

CO SIĘ STAŁO Z TOMEM PACKHAMEM?
DLACZEGO ŻADNA Z KOBIET **NIE MÓWI PRAWDY?**

JANE HEAFIELD

**NIE
WIERZCIE
JEJ**



JANE HEAFIELD

NIE
WIERZCIE
JEJ

Przełożył
Jacek Żuławnik



MUZA

Warszawskie Wydawnictwo Literackie



Tytuł oryginału: Don't Believe Her

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redaktor prowadzący: Mariola Hajnus

Redakcja: Sandra Popławska

Redakcja techniczna: Grzegorz Włodek/

Skład wersji elektronicznej: Robert Fritzkowski

Korekta: Monika Łobodzińska-Pietruś, Justyna Techmańska

Fotografia na okładce: © FoodAndPhoto/Shutterstock

Copyright © 2021 Jane Heafield

All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2022

© for the Polish translation by Jacek Żuławnik

ISBN 978-83-287-2332-0

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2022

CZĘŚĆ I

1

LUCY

Poznacie dwie wersje tej historii. Musicie jednak wiedzieć, że Mary kłamie. Dlatego nie wierzcie jej, nie wierzcie w ani jedno słowo. Tylko moja opowieść jest prawdziwa. A wszystko zaczęło się od perfidnego oskarżenia...

Zaskoczyło mnie pukanie do drzwi, tym bardziej że nie spodziewaliśmy się gości w Kaskadzie. Poszłam otworzyć i zobaczyłam dwóch kolegów Toma oraz jego siostrę.

Byliśmy z Tomem parą od ośmiu lat, małżeństwem od pięciu, i przez cały ten czas jakoś nigdy nie udało mi się znaleźć wspólnego języka z Mary. Nie łączyło nas nic poza tym, że byliśmy w podobnym wieku. Lubiłam inną muzykę niż ona, miałam inne zainteresowania, smakowały mi inne potrawy; różniłyśmy się nawet wyglądem: Mary miała metr pięćdziesiąt dwa wzrostu, prawie piętnaście centymetrów mniej ode mnie, do tego bladą karnację i długie, czarne włosy. Właściwie jedyną rzeczą, która nas nie dzieliła, była słabość do soku jabłkowego. I oczywiście przekonanie, że Tom nie potrzebuje dwóch kobiet w swoim życiu – i zbędna jest „ta druga”.

Trudno mi powiedzieć, skąd się wzięła ta obopólna wrogość. Nie odebrałam Toma rodzinie, bo przecież zamieszkaliśmy niedaleko, nie zabraniałam mu spotykać się ze znajomymi, nie namawiałam go do rezygnacji z hobby. Być może przyczyną było to, że nie mieliśmy dzieci; Mary, sama będąc bezpłodną, mogła mieć nam za złe, że nie obdarzyliśmy jej bratanicą albo bratankiem.

Mogło chodzić również o mój wiek: miałam czterdzieści trzy lata i byłam o osiemnaście lat starsza od Toma, co rzeczywiście wywoływało konsternację. Ale to tylko domysły. Przez osiem lat zrażania mnie do siebie Mary nigdy nie powiedziała wprost ani nawet nie zasugerowała, w jaki sposób nadepnęłam jej na odcisk.

W każdym razie zjawiała się w Kaskadzie z tą swoją miną wyrażającą zniesmaczenie faktem dzielenia ze mną przestrzeni; podejrzewałam, że

zarezerwowała ją i doprowadziła do perfekcji specjalnie dla mnie.

– Przyjechałaś do Toma? – spytałam. Nie otworzyłam drzwi na oścież, uchyliłam je tylko, częściowo schowana za nimi, i zablokowałam stopą na wypadek, gdyby Mary postanowiła wtargnąć. Zobaczyłam w jej dłoni rdzewiejący zapasowy klucz Toma; gdybym nie przekręciła swojego i nie zostawiła go w zamku, weszłaby do środka bez pukania.

– A niby do kogo? Nie odbiera telefonu. – Mary była drobną, bladą jak wampir dziewczyną potrafiącą wykazać się silnym, przekonującym gniewem. Pracowała jako asystentka trenera amatorskiej drużyny piłki nożnej i Tom nieraz opowiadał, że widział, jak jego siostra bez trudu podporządkowuje sobie znacznie większych od siebie facetów.

– Dziś jest wieczór monster trucków – odezwał się jeden z kumpli Toma.

Tom i jego koledzy uwielbiają monster trucki. We czterech – Tom, tych dwóch przyprowadzonych przez Mary i jeszcze jeden – kupili taką maszynę, nazwali ją Zwierzakiem i razem o nią dbają. W tę niedzielę miała wziąć udział w wystawie towarzyszącej imprezie w Manchesterze, niecałe pięćdziesiąt kilometrów od Kaskady.

Kaskada to nazwa domku letniskowego, w którym zatrzymaliśmy się z Tomem. Stoi w niewielkiej wiosce Cullerton w okręgu Chorley w hrabstwie Lancashire. Cullerton leży niemal tuż obok szosy A675, niecały kilometr na wschód od Abbey Village i dosłownie kilkaset metrów na północ od zbiornika Rake Brook. Odwiedzaliśmy to miejsce parę razy w roku po to, żeby się odprężyć, najchętniej podczas deszczowego weekendu.

Było lato, ale natura podarowała nam dwa cudownie dżdżyste dni. Kiedy z nieba lały się strugi deszczu, szemrzący pod oknami chaty strumyk zaczynał głośno huczeć i przelewająca się woda brzmiała jak przyjemna melodia. Nieco dalej znajdował się niewielki, ale bardzo malowniczy wodospad – stąd nazwa Kaskada.

– Mielicie tu nie przyjeżdżać – zauważyłam zgodnie z prawdą. Umówiliśmy się, że Tom spotka się ze znajomymi na miejscu, wczesnym wieczorem, ponieważ nie było sensu, żeby wracał do Sheffield, gdzie wszyscy – to znaczy my, jego siostra i koledzy – mieszkaliśmy.

– Chciałam się upewnić, że w ogóle wybiera się na imprezę. Bo przecież nie odbiera komórki – ryknęła Mary. – Gdzie on jest?

– Tom... – Telefon wysunął mi się z dłoni i upadł na podłogę. Schyliłam się po niego. – Tom jest nieosiągalny.

– Czyli że co? – Pokazała kciukiem za siebie, na zaparkowane przed domkiem należące do Toma bmw serii 3. Obok stał jej SUV i jeszcze jeden samochód. – To jego wóz, tak? Znaczy, że Tom tu jest. Więc czemu nie odbiera telefonu?

– No właśnie nie ma go. Został w lesie.

Wyjaśniłam, co miałam na myśli: wybraliśmy się z Tomem na przechadzkę, pokonaliśmy prowizoryczny mostek przerzucony przez strumień Low Man, dopływ rzeki Darwin, i ruszyliśmy szlakiem przez las, kierując się w stronę oddalonego o trzy kilometry z hakiem pubu Fox and Hound. W pewnej chwili poczułam się zmęczona i postanowiłam zrezygnować. Nie chciałam jednak psuć Tomowi przyjemności, dlatego przekonałam go, żeby dalej poszedł sam. Powiedziałam, że wezmę samochód i spotkamy się później u celu. Wróciłam do domku bez niego.

Mary wyjęła telefon i wybrała numer.

– Możesz dzwonić do woli. Nie zabrał ze sobą komórki.

Zignorowała mnie. Słyszając dolatujące z sypialni na piętrze ciche brzęczenie, moi nieproszeni goście wznieśli spojrzenia ku schodom.

Mary prychnęła jak byk szykujący się do szarży.

– To było dziesiąte nieodebrane połączenie. Próbowałam się do niego dodzwonić w południe, żeby mu przypomnieć, o której będziemy. Nie podoba mi się, że nie odpowiada przez cały dzień. To zupełnie nie w jego stylu. Poszło o tę kłótnię?

– Jaką kłótnię?

Znowu prychnęła, tym razem drwiąco.

– Nie zgrywaj niewiniątka. Tom mówił, że nawrzeszczałaś na niego wczoraj w pubie. Zapomniałaś wziąć leki?

Speszona zerknęłam na kolegów Toma i zobaczyłam, że obaj cofnęli się o dwa kroki, w oczywisty sposób zażenowani spięciem pomiędzy siostrą Toma a jego żoną.

– Nie nawrzeszczałam na niego. Posprzeczaaliśmy się, bo palił e-papierosa i pozostali goście krzywo na niego patrzyli. Powiedziałam mu, żeby go schował, ale mnie nie posłuchał. To nie miało nic wspólnego z moimi lekami. Kiedy wychodziliśmy z pubu, wszystko między nami było w porządku. Przecież gdybyśmy się poważnie pokłócili, nie poszlibyśmy na spacer, nie sądzisz? Pary często się sprzecniają, ale co ty możesz o tym wiedzieć?

Wiedziałam, że ten przytyk ją zabolii. Ale szybko się otrząsnęła.

– W takim razie gdzie on się podziewa? Coś się stało w pubie, że znów się pokłóciliście?

– Chyba nie słyszałaś, co powie...

– Głupia jesteś czy co? Chodzi mi o dziś. Szliście do Fox and Hound, tak? Zawróciłaś, a potem pojechałaś do niego. Znowu się... posprzeczaście, jak to nazywasz?

– Nie pojechałam. Coś mnie zatrzymało. Zresztą i tak napisał, że jeśli się rozmyślę i nie dołączę do niego, po prostu spotkamy się później w Kaskadzie.

– Napisał? – nadała temu słowu ciężar kpiny. – Przecież zostawił telefon w sypialni.

– Przejeździłam się. Powiedział. Na spacerze, kiedy postanowiłam zawrócić. Wtedy mi to powiedział.

Nie spodobała jej się moja odpowiedź; poznałam to po niemal niedostrzegalnym przeczącym ruchu głową. Nawet koledzy Toma spojrzeli po sobie pytająco. Głupia pomyłka, przez którą cała trójka pomyślała, że kłamie. Tylko dlaczego Mary zakładała, że nie będę wobec niej szczerą? Cóż takiego mogłam ukrywać?

Jej postawa sprawiła, że podjęłam próbę obrony.

– Czego nie rozumiesz? Rano wybraliśmy się na spacer. Zmęczyłam się i rozboleła mnie noga, dlatego powiedziałam Tomowi, że dalej nie idę. Umówiliśmy się tak, że jeśli nie przyjadę do pubu, zobaczymy się dopiero po powrocie Toma do domku.

– Nie no, ładnie to wyłożyłaś, dziękuję – skomentowała sarkastycznie Mary. – Tyle że poszliście, jak mówisz, rano, a jest już prawie dwudziesta. Więc nie wiem, może czegoś nie zrozumiałam, ale chyba nie twierdzisz, że Tom nadal jest... gdzieś tam?

– Jeszcze nie wrócił.

Koledzy Toma zrobili zdziwione miny i zerknęli na zegarki. Domyśliłam się, co teraz powie Mary.

– Tom nigdy nie wystawia ludzi do wiatru. Wiedział, że przyjedziemy. Mimo to upierasz się, że wciąż nie wrócił z waszego porannego spaceru? Jesteś pewna, że nie wydarzyło się nic więcej?

– Niby co? Jasne, że jestem pewna. Może, bo ja wiem, zapomniał o imprezie?

Cała trójka jednocześnie uniosła brwi.

– Tom nigdy nie zapomina o takich rzeczach – mruknął jeden z jego kumpli. Teraz wszyscy popatrzyli na mnie podejrzliwie.

– Słuchaj, nie wiem, co ci odpowiedzieć, po prostu zapytaj Toma, kiedy wróci. Równie dobrze może być w drodze na tę waszą imprezę. Załóżmy, że był na mnie trochę zły i dlatego nie powiedział mi o swoich planach. Czy to cię satysfakcjonuje? A skoro mowa o planach, to co tu właściwie robicie? Zdaje się, że powinniście być w Manchesterze i zastanawiać się, gdzie, u licha, wcięło Toma. Jeśli wy będziecie tu, a on tam, w życiu się nie znajdziecie.

– Po prostu postanowiliśmy po niego wstąpić – odparła Mary. – I, jak widać, dobrze zrobiliśmy, inaczej nie mielibyśmy pojęcia, że dzieje się coś podejrzanego.

– Nie dzieje się nic podejrzanego. – Jeszcze przed chwilą czułam się przytłoczona ich oskarżającym spojrzeniem, teraz jedynie narastała we mnie złość. Nie pozwolę się tak traktować. – Dobrze, posłuchajcie. Toma nie ma, więc możecie już sobie iść. Jedźcie do Manchesteru i tam go szukajcie. Cześć.

Zaczęłam zamykać drzwi, ale Mary zrobiła krok do przodu, położyła na nich dłoń i lekko pchnęła.

– Uspokój się. Zaraz sobie pójdziemy. Potrzebuję telefonu Toma, bo jest w nim numer, na którym mi zależy. Wpuść mnie.

Powiedziałam, żeby zaczekała, sama przyniosę. Nie chciałam ich wpuszczać, bo w chacie panował nieporządek, ale popełniłam błąd, zostawiając otwarte drzwi.

Telefon leżał na toaletce w sypialni. Wyciągnęłam po niego rękę i nagle usłyszałam:

– Skoczę do łazienki.

O mało nie dostałam zawału. Mary weszła za mną na górę i stanęła w wejściu do sypialni. Najwyraźniej potraktowała otwarte drzwi jako zaproszenie do środka. Przycisnęłam komórkę do piersi.

– Mogłabyś się tak nie podkradać. Czego konkretnie potrzebujesz? Tomowi raczej by się nie spodobało, że chcesz grzebać w jego prywatnych rzeczach.

Prychnęła tak, że prawie mnie opluła.

– Jestem jego siostrą. Myślisz, że ma przede mną jakieś tajemnice?

– Nie chcę, żebyś przypadkiem przeczytała nasze esemesy. Poza tym, jak go znam, robił mi ukradkowe zdjęcia, kiedy się rozbierałam. Powiedz,

czego szukasz, a ja to znajdę.

– Pstryknął fotkę kuponu rabatowego w internecie.

Stojąc po drugiej stronie szerokiego łóżka, które było jak zaporą między nami, odblokowałam telefon Toma i rzeczywiście znalazłam w nim to, o czym mówiła. Wyciągnęłam rękę – mocno trzymając aparat na wypadek, gdyby wpadła na pomysł, żeby mi go wyrwać – i pokazałam jej. Mary wyjęła swoje urządzenie, pochyliła się i sfotografowała widoczne na ekranie zdjęcie.

– Jeszcze toaleta – rzuciła i pomknęła do łazienki, zanim zdążyłam zaprotestować.

Uznałam, że jeśli pójdę na dół, Mary wymknie się i zacznie myszkować po sypialni, dlatego nie ruszyłam się z miejsca. Zresztą i tak nie mogłabym tego zrobić, ponieważ Mary wyszła z łazienki szybciej, niż do niej weszła.

– Co to za bajzel? Co tu się stało?

Wróciła do środka. Zbliżyłam się do drzwi. Mary z przerażeniem w oczach wskazywała na zachlapaną krwią umywalkę i cienkie czerwone smużki na podłodze.

– Myślałam, że jest już czysto – mruknęłam.

– Co to znaczy? To krew Toma? Co tu się, do cholery, wydarzyło?

Przecisnęłam się obok niej, żeby oderwać kawałek papieru toaletowego do wytarcia podłogi.

– Tom się skaleczył – wyjaśniłam. – Obiecał, że posprząta, i myślałam, że to zrobił. Nie było mnie przy tym, siedziałam na dole.

– Więc skąd wiesz, co się stało?

Kucnęłam i zaczęłam ścierać ślady krwi z płytek. Mary zawisła nade mną i mimo że normalnie sięgała mi głową zaledwie do połowy twarzy, nagle poczułam się przez nią osaczona. Wyprostowałam się i spróbowałam się cofnąć, ale przeszkodził mi sedes.

– Tom skaleczył się o kran. Zszedł na dół z zabandażowanym palcem. Myślałam, że posprzątał po sobie, bo powiedział, że to robi.

Mary chwyciła mnie za rękę ze zwinnością atakującej kobry. Zaskoczyła mnie tak, że wypuściłam z dłoni zmięty zakrwawiony papier toaletowy.

– A to co? – spytała, podnosząc moją rękę, żeby lepiej się przyjrzeć. Nieco poniżej miejsca, w którym jej chude, kościste palce wbijały mi się w biceps, na mojej żółtej bluzce widniała cienka kreska zaschniętej czerwieni. Spojrzałam ze zgrozą. – To krew Toma? Skąd się tu wzięła,

skoro byłaś na dole, kiedy się skaleczył, i przyszedł do ciebie z zabandażowanym palcem? Skąd na tobie jego krew?

Unikałam świdrującego spojrzenia zielonych oczu Mary. Skupiłam się na nierównym śladzie poniżej łokcia. Zdumiewające, że przez cały dzień nie zwróciłam na niego uwagi.

– Nie, nie. To moja. Miałam krwotok z nosa i po prostu wytarłam o rękaw.

Próbowałam się wyswobodzić, ale Mary mocno mnie trzymała.

– Wytarłaś o rękaw? – zadrwiła. – Bzdura. Wtedy plama wyglądałaby zupełnie inaczej. Ta przypomina rozbryzg. Poza tym ktoś tak schludny jak ty w życiu nie wyszedłby z domu w brudnym ubraniu.

Nareszcie mnie puściła, a raczej odepchnęła od siebie. Wyciągnęła chusteczkę, ostrożnie przyłożyła ją do umywalki i następnie dokładnie przyjrzała się krwi na białym materiale. Skorzystałam z okazji, by prześlizgnąć się obok Mary i wyjść z łazienki.

– Kurki są czyste – stwierdziła. – Czyli co: wytarł krany, ale pominął umywalkę i podłogę?

– Może nie zauważył... – urwałam, uświadamiając sobie, jak idiotycznie zabrzmiałoby to, co chciałam powiedzieć.

Mary pięć, sześć razy mocno uderzyła w oba kurki, a nawet w maniakałnym geście przejechała po nich wierzchem dłoni.

– Wyjaśnij mi, w jaki sposób można się skaleczyć o kran. To przecież gładkie, zaokrąglone powierzchnie. Nie sposób rozciąć sobie o nie skórę. Lepiej powiedz, co się naprawdę wydarzyło.

Pamiętam, że pomyślałam to samo o kranie, dlatego wiedziałam, że jej podejrzenia nie są zupełnie bezpodstawne. Niemniej miałam po dziurki w nosie jej zachowania, dlatego odparłam:

– Nie mam pojęcia, jak się skaleczył, jeśli nie mógł tego zrobić o kurek, co tak fachowo zademonstrowałaś. Posłuchaj, muszę tu posprzątać. Toma nie ma, dostałaś to, na czym ci zależało, więc byłabym wdzięczna, gdybyś już sobie poszła.

Nie zaczekała, aż usunę się z przejścia, tylko przepchnęła się obok mnie i ruszyła na dół – a ja za nią, w bezpiecznej odległości. W milczeniu wyszła przed domek i dopiero wtedy się do mnie odwróciła. Przez cały ten czas koledzy Toma nie ruszyli się z miejsca.

– Coś tu nie gra – stwierdziła. – Tom nie przepuściłby pokazu monster trucków. Myślę, że kłamiesz.

Miałam wrażenie, jakbym cofnęła się w czasie o kilka minut. Mary znów stała nieco z przodu, przed swoimi kompanami, a ja chowałam się za dębowymi drzwiami, przytrzymując je nogą. Powiedziałam, żeby poszukała Toma na imprezie w Manchesterze.

– Zrobię to. Przetrzęsnę cały teren, przyjrzę się każdej twarzy i jeśli go nie znajdę, wrócę tu, Lucy, ale nie sama, tylko z policją.

Nogi lekko się pode mną ugięły.

– Po co ci policja?

Wykonała gwałtowny ruch głową, jakby chciała pokazać kumplom Toma, że pora się stąd zabierać.

– Idziemy. Wyjaśnię wam w aucie.

Kiedy zupełnie zdezorientowani ruszyli posłusznie za nią, krzyknęłam:

– Mary, o czym ty mówisz? Po co ci policja?

Nie odpowiedziała, ale usłyszałam z jej ust słowo „kran” i wiedziałam, że opowiada o tym, co zobaczyła w łazience. Odjeżdżając, cała trójka spiorunowała mnie wzrokiem. Stałam w drzwiach, dopóki samochód nie zniknął między drzewami.

Nie spodobały mi się ich spojrzenia ani okropne przeczucie, które raptem zaczęło mnie wypełniać. Przyznaję, krew i nieobecność Toma mogły się wydawać trochę podejrzanę, ale chyba Mary nie sądziła, że skrzywdziłam jej brata? Że zraniłam go tak poważnie, że uniemożliwiło mu to udział w imprezie? Co za absurdalna myśl. Przecież Tom był dwa razy większy ode mnie.

Ale widziałam ich miny. Mary i koledzy Toma naprawdę uważali, że coś mu zrobiłam.

MARY

Każde słowo, które wypływa z siebie Lucy, jest kłamstwem. Weźcie jej łgarstwa i spalcie, a popiół zakopcie. Nie wierzcie jej: teraz, wtedy – nigdy. Usłyszycie ode mnie prawdę na temat tego, co zaszło; nie jedną z wersji zdarzeń – prawdę. A wszystko zaczęło się od okropnego przeczucia, że coś jest nie w porządku...

– Coś się dzieje z Tomem?

Pytanie pada ze strony Tłustego Pete’a, współnika mojego brata w agencji nieruchomości. Zadzwoił akurat wtedy, kiedy szykowałam tacie śniadanie. Poprawiam telefon w dłoni, mocniej ściskam aparat, bo domyślałam się, co Pete teraz powie.

– Mary? Jesteś tam? Co u Toma? Wszystko okej? Nie uprzedził, że nie przyjdzie do pracy i nie odbiera komórki.

Znowu to samo. Za każdym razem, kiedy Tom nie zjawi się na umówionej wizycie, spotkaniu, imprezie, czymkolwiek, wymagają od niego, żeby się tłumaczył. Wczoraj przegapił pokaz monster trucków, dziś, czyli w poniedziałek rano, nie stawił się w pracy i w obu przypadkach nie ma z nim żadnego kontaktu. Coś tu śmierdzi.

– Mary? Słyszysz mnie?

– Dowiem się – rzucam do słuchawki i rozłączam się.

W pośpiechu kończę robić śniadanie, przebieram się w czystsze dżinsy i T-shirt, łapię kluczyki od auta, mówię tacie, że jadę do sklepu – wybaczyć kłamstewko, tato – i wychodzę.

Do domu Toma mam raptem dziesięć minut samochodem, ale wyrabiam się w pięć. Przejeżdżam na czerwonym, do tego pewnie dostanę zdjęcie z fotoradaru – i co z tego? Punkty karne i mandat to ostatnie, czym się teraz zajmuję. Po tym, jak Tom nie zjawił się na wczorajszym pokazie monster trucków, powinnam była wrócić do Kaskady, wywalić drzwi kopniakiem, złapać tę jego cholerną żonkę za gardło i wydusić z niej prawdę. Powinnam była również spełnić groźbę i zawiadomić policję.

Mówię: wszystko zaczęło się od okropnego przeczucia, że coś jest nie w porządku. Zlekceważyłam je i to był błąd. Jestem zła na siebie, bo uwierzyłam Lucy na słowo pomimo wątpliwości. Namieszała mi w głowie. Nie wiem, może te przeklęte kadzidełka, którymi okadza domek, zamuliły mi umysł. Postanowiłam zaczekać i przekonać się, czy nowy dzień przyniesie dobre wieści – tymczasem on sprzedał mi kopniaka w zęby. Nie zorientowałam się, że coś jest grane, i tak bardzo wściekam się na swoją ślepotę, że sama mam chęć komuś dokopać.

Zastanawiam się, czy zadzwonić do kolegów Toma. Tym dwóm, z którymi wczoraj pojechałam do Kaskady, po powrocie do domu musiał się włączyć tryb starej plotkary. Późnym wieczorem próbowały się do mnie dodzwonić trzy osoby z kręgu znajomych Toma. Martwili się o niego, ponieważ nie odbierał komórki. Lucy też milczała. Głupia larwa ignorowała ich telefony, bo wiedziała, że nie będzie potrafiła przekonująco odpowiedzieć na pytania.

Dziś rano napisałam do dwóch kumpli Toma, że odezwę się do nich. I zadzwoniłam do niejkiej Jen, ponieważ ona i jej mąż są najstarszymi przyjaciółmi Toma. Cała trójka poznała się w podstawówce, Jen i jej facet

zostali parą niewiele później, ale niedawno ona znudziła się nim, bo gość jest tłustym nierobem, i zaczęła go zdradzać.

Jen nie spała, mimo że w Stanach była wczesna pora. Plotkarscy koleś Toma nie odzywali się do niej, dlatego nie miała pojęcia o zniknięciu mojego brata. Lucy też nie dzwoniła ani nie pisała z pytaniem, czy przypadkiem Tom się z nią nie kontaktował. Rozeznanie po znajomych to przecież pierwsza rzecz, jaką się robi, kiedy znika ktoś bliski, ale założę się, o co chcecie, że Lucy do nikogo nie przekreśliła.

Starannie ukrywając niepokój w głosie, powiedziałam Jen, że nie podoba mi się historyjka Lucy; wiedziałam, że jeśli Jen wyczuje, że Tom ma kłopoty albo coś mu grozi, przyleci do Anglii pierwszym samolotem. Dam znać, jak tylko dowiem się czegoś więcej, obiecałam.

Teraz, dzięki telefonowi od Tłustego Pete'a, rzeczywiście wiem więcej. Jak ostatnia kretyńka – zwłaszcza w kontekście tego, co zobaczyłam w Kaskadzie – uwierzyłam, że Tom po prostu wróci do domu i rano wszystko znów będzie jak zawsze. Dlaczego to zrobiłam? Głupia. Nie mogę dłużej ignorować tego okropnego przeczucia. Sięgam po telefon i wybieram numer Jen.

Nie odbiera. Nie zdążę spróbować jeszcze raz, bo właśnie dojeżdżam do celu. Tom mieszka w bliźniaku ze zwirowym podjazdem. Zatrzymuję się przy krawężniku i zauważam z niepokojem, że pod oknem od ulicy stoi główniany ford focus Lucy, ale miejsce, na którym Tom zwykle parkuje swoje bmw, jest puste.

Wysiadam, głośno trzaskając drzwiami, ponieważ chcę zwrócić uwagę sąsiadów. Podchodzę do drzwi wejściowych i walę w nie. Lucy otwiera okno w sypialni, wystawia głowę. Nie mogę się jej dobrze przyjrzeć, bo jest podświetlona od tyłu – i przez to, że jej równo obcięte przez jakiegoś podrzędnego fryzjerynę blond włosy okalają twarz, prawie jakby była obwiązana bandażami – ale z daleka wygląda na zaspaną. Razem z nią wychyla się Zuzu, kotka Toma. Obie gapią się na mnie z góry.

Nie lubię Zuzu – chociaż to ja wymyśliłam dla niej imię, kiedy Tom ją kupił – bo zawsze mierzy mnie takim wzrokiem, jakby mogła bez wahania odgryźć mi głowę, gdybym tylko była jej wzrostu. Pomimo siąpiącego deszczu niebo jest dosyć jasne, dlatego patrząc na Lucy, muszę mrużyć oczy – mimo to wyraźnie widzę wredne spojrzenie kotki.

– Tom nie zjawił się w pracy! – krzyczę. To powinno ją obudzić. Jestem drobna, nie zajmuję dużo miejsca, ale mam donośny, teatralny głos. –

A jego telefon milczy.

– Źle się poczuł i został w łóżku – odpowiada Lucy po chwili wahania, co ani trochę mi się nie podoba. Mówię, że nie poinformowałam o tym Pete’a, na co Lucy w nienaturalny sposób łapie się za czoło. – Tom zgubił telefon. Miałam zadzwonić za niego i zapomniałam.

– Nie ma jego samochodu.

Lucy przez chwilę wpatruje się w puste miejsce na podjeździe.

– Chyba wspominał, że chce go pożyczyć koledze.

Swoje ukochane bmw? Prędzej pozwoliłby kumpłowi przelecieć swoją żonę, niż wpuściłby go za kierownicę tego auta. Nawet ja usłyszałam stanowcze nie, kiedy jeden jedyny raz zapytałam, czy mogę się nim przejechać. Kładę dłoń na klamce i naciskam, ale drzwi są zamknięte.

– Wpuść mnie – mówię. – Chcę się z nim zobaczyć. Czy to ma coś wspólnego z twoją wczorajszą historyjką o kranie?

– Co? Chodzi ci o tamto skaleczenie? Nie, dziś ma problemy żołądkowe.

– Lucy podnosi wzrok i spogląda na drugą stronę ulicy. Odwracam głowę i widzę wścibską, zaintrygowaną zamieszaniem sąsiadkę z naprzeciwka. Stoi z nosem przyklejonym do szyby w salonie, gapiąc się na nas. Bardzo dobrze.

– Pewnie z powodu insuliny! – odkrzykuję, po czym dodaję głośniejsze: – Wpuść mnie. Muszę mu zmierzyć cukier. – Zaczynam wołać Toma, drąc się na całe gardło, ale Tom się nie odzywa. Zamiast zajrzeć do sypialni i sprawdzić, czy mój brat mnie usłyszał, Lucy cały czas wlepia we mnie te swoje zapuchnięte gały; zajrzałyby, gdyby Tom rzeczywiście leżał w łóżku.

– Po co się tak wydzierasz? Teraz się z nim nie zobaczysz, bo śpi. Powiedział, żeby pod żadnym pozorem go nie budzić.

Wszystko się we mnie gotuje.

– Zrobiłaś mu coś, Lucyferko? – W myślach często określam ją tym przewiskiem, ale jeszcze nigdy nie zrobiłam tego otwarcie. – Znowu się pokłóciliście? Wiem, że nie skaleczył się o cholerny kran. Powiesz mi, co tu się dzieje? Dlaczego wyglądasz jak zombie? Spałaś w ogóle? Jesteś na prochach?

Moja bratowa z niewzruszonym spokojem nadal wciska mi ten sam kit: Tom źle się czuje i nie chce, żeby mu przeszkadzano; później zadzwoni do mnie i do pracy. Jeśli chodzi o to, czy przespała noc, mam się nie interesować. A co do leków, odpala celną, jak jej się wydaje, ripostę:

– Szukasz czegoś dla swojego chłopaka skazańca?

Prowadzę korespondencję z mężczyzną oczekującym na wykonanie wyroku śmierci w Stanach. No i co? Jeżeli wydaje jej się, że takie prostackie szyderstwo wyprowadzi mnie z równowagi, to jest o wiele głupsza, niż myślałam. Nie daję się sprowokować.

– Tom opisał mi w esemesie waszą sobotnią kłótnię. Rozesłałam wiadomość do jego znajomych i teraz wszyscy wiedzą, że się pożarliście. Wpuść mnie i obudź go. Chcę się zobaczyć z moim bratem.

Lucy rozgląda się po ulicy, martwi się, że zlecą się ludzie. Bardzo dobrze. Chcę, żeby sąsiedzi usłyszeli. Chcę, żeby o niej plotkowali. Chcę, żeby unikali jej jak trędowatej.

– Nie. – Kręci głową. – Tom wyraźnie prosił, żeby go nie budzić. Wracaj do domu. Powiem mu, żeby potem do ciebie zadzwonił. I do pracy.

Tu, na dworze, nie ma kadejki, którym mogłaby mnie zahipnotyzować. Nie pozbędzie się mnie tak łatwo.

– Muszę wziąć coś z jego plecaka... Baterie. Muszę zabrać baterie.

Zaskoczyłam ją. Mogłabym przysiąc, że słyszę, jak w tym jej przerdzewiałym mózgu z trudem obracają się trybiki. To oczywiste, że Lucy rozpaczliwie usiłuje wymyślić jakąś wymówkę.

– Wczoraj miałaś identyczną minę – mówię, bo nie mogę się powstrzymać. – Próbowełaś zyskać na czasie i teraz robisz dokładnie to samo. Żądam dostępu do plecaka Toma.

Plecak jest dla mojego brata jak torebka dla kobiety. Jeździ z nim do pracy, na zakupy, a nawet zabiera na spacer po Cullerton i okolicach. Jeżeli Lucy mi go nie pokaże, tu i teraz, będzie to dla mnie niezbity dowód, że Tom nie wrócił na noc. Co oznacza, że w Kaskadzie wydarzyło się coś bardzo, bardzo niedobrego.

Lucy znika w środku, zostajemy tylko ja, Zuzu i nasze gniewne spojrzenia i przez chwilę zastanawiam się, co zrobię, jeśli bratowa wywiesi przez okno plecak Toma. Okazuje się, że zupełnie niepotrzebnie. Lucy wraca po kilku sekundach z portfelem w dłoni i rzuca mi banknot pięćofuntowy, który spada, wirując w powietrzu.

– Będziesz musiała kupić sobie nowe baterie. Tom zgubił plecak w lesie.

Przechodzi mnie zimny dreszcz, mimo że jest środek lata. Dobrze, że nadal trzymam dłoń na kłamce, inaczej osunęłabym się na ziemię. „Niezbity dowód”.

Wracam do samochodu jak w transie. Widzę, że do ciekawskiej sąsiadki z naprzeciwka dołączyli inni; stoją w oknach i przyglądają się. Siadam za

kierownicą, nawet na chwilę nie przestając myśleć o porażających wydarzeniach wczorajszego wieczoru i dzisiejszego poranka. O szalonej kłótni Toma i Lucy, jednej z wielu na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy. O przemocy w rodzinie, której doświadczył Tom – wiem, bo zwierzył mi się z tego. O jego milczącym telefonie. O tym, że nie zjawił się na pokazie monster trucków i nie poszedł do pracy.

O krwi w łazience i osobliwych wyjaśnieniach Lucy.

Wyciągam komórkę. Dzwonię na policję. Koszmar jednak się ziścił. Lucy zabiła swojego męża, a mojego brata, i usiłuje zatrzeć ślady.

2

LUCY

Mary przyglądała się domowi, siedząc w swoim szpanerskim range roverze. Wiedziałam, że czeka na policję. Co kilka minut podchodziłam do okna, przy którym czuwała Zuzu, zajęta obserwacją drepczących w ogrodzie i przycupniętych na latarni ptaków, i sprawdzałam, czy auto Mary nadal stoi na ulicy.

Prawdę mówiąc, spodziewałam się policji już wczoraj wieczorem, w Kaskadzie. Siedziałam do brzasku, nie mogąc zasnąć przy bucującym co rusz telefonie. Dzwonili znajomi Toma, wśród których Mary musiała rozpuścić złośliwą plotkę o tym, że rzekomo coś mu zrobiłam. Ignorowałam te połączenia, ponieważ miałam nadzieję, że do rana Tom wróci do domu i zniknie konieczność tłumaczenia się przed kimkolwiek. Wszyscy zapomną o sprawie, a jeśli ktoś zapyta, dlaczego nie odbierałam, powiem, że po prostu spałam.

Dostrzegłam radiowóz, który wyjechał z uliczki jakieś pięćdziesiąt metrów od domu. Prędko przecesałam palcami splecione włosy – zrobiłam to bez lustra, dlatego nie zdziwiłabym się, gdyby wyglądały jeszcze gorzej niż przedtem – i wygładziłam prawą brew, żeby jak najlepiej ukryć cztery cienkie, ukośnie wygolone paski. Na worki pod oczami, pamiątkę po bezsennej nocy, nie byłam w stanie nic poradzić.

Wóz patrolowy zatrzymał się przed domem. Wysiadło z niego dwoje młodych, wysokich, groźnie wyglądających funkcjonariuszy w koszulach mundurowych z krótkimi rękawami i w odblaskowych bezrękawnikach. Kobieta okazała się nieco podobna do mnie; kiedy otworzyłam drzwi, ujrzałam w jej minie odbicie własnego zdumienia. U boku policjantów zobaczyłam niższą od nich o głowę Mary, a dalej, w oknach domów, przyklejone do szyb twarze sąsiadów. To spokojna ulica, jak setki innych w Sheffield, na której nigdy nic się nie dzieje, dlatego zdawałam sobie sprawę, że dzisiejsze poruszenie jeszcze długo będzie na ustach okolicznych mieszkańców.

W przeciwieństwie do Mary funkcjonariusze nie próbowali wejść siłą do środka, nie musiałam więc ukrywać się za drzwiami, blokując je stopą. Otworzyłam je szeroko i uprzedziłam pytanie:

– Jestem żoną Toma. Nazywam się Lucy Packham. Toma nie ma. Został w Cullerton. Nie dzieje się nic niezwykłego.

– Kłamie – zagrzmiała Mary, budząc zdziwienie policjantów swoim potężnym, nieprzystającym do drobnej postury głosem. – Mówiła, że Tom źle się czuje i nie może zejść.

– To prawda, źle się czułem, kiedy się ostatnio widzieliśmy, ale nie powiedziałam, że jest w domu. Został w Cullerton. Dlatego nie ma jego samochodu ani plecaka. Nie wiem, dlaczego Mary twierdzi, że mówiłam co innego.

– Zostawiłaś tam jego trupa! Spójrzcie na nią, w jakim jest stanie. Nie mogłaś spać, bo gryzło cię sumienie po tym, co zrobiłaś?

Po części rozumiałam jej szok. Było mi głupio, ponieważ Tom nie wrócił na noc do Kaskady, a ja niemądrze postanowiłam udawać, że dziś rano źle się poczuł i nie wstał z łóżka. Zrobiłam to, żeby Mary nie pomyślała, że między mną a Tomem przestało się układać. Nikt nie lubi się przyznawać, że pokłócił się z mężem albo żoną.

Pytania Mary o auto i plecak Toma zbiły mnie z tropu, spanikowałam i zupełnie niepotrzebnie rzuciłam coś na odczepnego. Wiem, że w ten sposób jedynie utwierdziłam ją w przekonaniu, że kłamię, ale trudno, stało się. To jednak nie usprawiedliwia jej szalonych zarzutów.

Zanim zdążyłam zaprotestować przeciwko bzdurnym oskarżeniom, policjantka poprosiła Mary o słowo na osobności – liczyłam, że powie jej do słuchu – a policjant zwrócił się do mnie:

– Siostra pani męża wezwała nas, ponieważ nie przekonują jej pani wyjaśnienia. Czy możemy wejść do środka? Chciałbym usłyszeć, dlaczego pani męża nie ma w domu.

Kiwnęłam głową i odwróciłam się. Funkcjonariusz ruszył za mną korytarzem, a potem do salonu. Zobaczyłam przez okno wykuszowe, że Mary i policjantka wsiadają do radiowozu, i wiedziałam, że Mary sprzeda jej własną, sensacyjną wersję tej historii, dlatego postanowiłam ją uprzedzić i zatrzymując się przy kanapie, od razu zaczęłam opowiadać.

Poznałam Toma przed ośmioma laty po powrocie z Niemiec, dokąd wysłano mnie na staż po szkole. W Niemczech spodobało mi się tak bardzo,

że po półrocznym przysposobieniu zawodowym zdecydowałam się na przedłużenie pobytu i ostatecznie spędziłam tam aż siedemnaście lat.

– Potem przeniosłam się znów do kraju.

– Dlaczego?

– Z przyczyn osobistych – odparłam po krótkim wahaniu. – Szukałam mieszkania do wynajęcia. Tom, choć miał zaledwie osiemnaście lat, prowadził agencję nieruchomości, i tak się poznaliśmy.

Policjant spojrzał na mnie zaskoczony; wiele osób dziwi się, jak nastolatek mógł kupić firmę i z powodzeniem nią zarządzać. Albo zgorszył go fakt, że byłam wtedy prawie dwa razy starsza od Toma.

MARY

Rozmawiając z policjantką, co rusz zerkam w stronę domu. Nie widzę, co się dzieje w środku, bo oślepiają mnie odbijające się od szyb w salonie promienie porannego słońca, ale z łatwością wyobrażam sobie rozgrywającą się tam farsę. Lucy siedzi na kanapie, zapewne z lekko podciągniętą krótką, znoszoną spódnicą, spod której widać jej plamiste uda, ze smutkiem wykrzywia usta niczym nadąsane dziecko i łamiącym się głosem kłamie jak z nut.

Zapatrzyłam się w okno, dlatego pytanie policjantki dociera do mnie dopiero za drugim razem:

– Mary? Mówiła pani, że Tom prowadzi agencję nieruchomości?

Przenoszę na nią spojrzenie.

– Tak, od osiemnastego roku życia.

W torebce mam nasze wspólne zdjęcie sprzed dziesięciu dni, stoję z Tomem pod rękę na tle pokazu monster trucków w Manchesterze. Tom ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i dosłownie rzuca na mnie cień. Jest ubrany w T-shirt, którego krótkie rękawy ledwie zasłaniają jego umięśnione ramiona. Nosi gładko zaczesane do tyłu włosy i gęstą brodę; wiele razy mówiłam mu, że wygląda z nią jak rozbitek na bezludnej wyspie. Funkcjonariuszka ogląda fotografię, a ja opowiadam dalej:

– Rodzice mieli firmę budowlaną, którą sprzedali, kiedy mama zachorowała mniej więcej przed dwunastoma laty. Zmarła dwa lata temu. Kupili dwa domy, po jednym dla każdego z nas. Ja swój dostałam od razu, ale Tom miał dopiero trzynaście lat i musiał poczekać do osiemnastki. Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było sprzedanie domu i za uzyskane pieniądze założenie agencji nieruchomości. Początkowo planował, że agencja będzie dla niego trampoliną do kariery w branży deweloperskiej, ale ostatecznie

pozostał przy obrocie nieruchomościami. Wtedy poznał Lucy. Mieszkała w Niemczech, zmuszona do tego przez rodziców...

– Zmuszona?

– Oczywiście. Na pewno powie, że rodzice dali jej wybór, ale Tomowi mówiła co innego. A Tom przekazał to mnie. Chcieli się jej pozbyć, dlatego wysłali ją do pracy za granicą. W Niemczech wyszła za męża za jakiegoś kretyna, nie wiem, z pół roku po tym, jak się poznali. Kiedy zwolniono ją z pracy, którą załatwili dla niej rodzice, zaczęła uczyć angielskiego, ale to też schrzaniła. Później trafiła na krótko do szpitala psychiatrycznego. Powinna być na antydepresantach, ale wiem, że od pewnego czasu ich nie bierze. Założę się, że przemilczy sprawę psychiatryka i tego, jak źle traktowała pierwszego męża. Powinniście się temu przyjrzeć. W każdym razie po tym, jak rozpadło się jej życie w Niemczech, Tom pomógł jej znaleźć nowe mieszkanie, kiedy uciekła...

– Uciekła?

– Nie można tego inaczej nazwać. Wróciła do kraju z podkulonym ogonem i omotała Toma. Obecnie agencja mojego brata zajmuje się wyłącznie biurami i obiektami komercyjnymi, ale dawniej pośredniczyła również w obrocie mieszkaniami. Któregoś dnia Tom pokazywał jej lokal i wtedy zaskoczyło między nimi. Zabiegała o jego względy, bo był młody, chociaż sama była już po trzydziestce. Po prostu. Wie pani, chłopak zafascynowany starszą kobietą, usidlony jej sztuczkami. Wiedziała, że Tom musiał mieć pieniądze, skoro jako osiemnastolatek prowadził własną agencję. Ale na pewno nie ma pojęcia, że Tom zawarł umowę ze swoim partnerem, w myśl której żaden z nich nie może odstąpić udziałów w firmie, o ile ten drugi również nie wyrazi zgody na sprzedaż. Nieźle, prawda? Tom zrobił to, żeby Lucy nie mogła zmusić go do upłynnienia firmy i pozbawić pieniędzy. Próbuje zgrywać młodą i wyluzowaną, zwłaszcza przy Tomie. Widziała pani te cztery wygolone paski na brwi? Co za głupota. Wydaje jej się, że jest nastolatką. Lubi młodszych, bez przerwy flirtuje z kumplami Toma. Zaręczyli się po dziewięciu miesiącach znajomości. Cholerna dzieciofilka...

3

LUCY

– ...trupofil. Tak niektórzy nazywają Toma, przynajmniej w myślach – powiedziałam policjantowi, nawet nie próbując ukryć zniesmaczenia. Siedział w drugim fotelu, trzymając na kolanach notatnik, w którym nie pisał. – Dlatego że zapragnął starszej kobiety. Ale świetnie się dogadywaliśmy i wiek nie miał dla nas znaczenia, co było nie w smak jego siostrze. Tom i Mary dostali od rodziców domy i kiedy je sprzedali, Mary przepuściła pieniądze na imprezy, wakacje i Bóg wie co, została bez grosza i teraz mieszka z ojcem, licząc na spadek po nim. W dodatku zakochała się w więźniu odsiadującym wyrok w amerykańskim zakładzie karnym. Tamten mężczyzna jest sporo młodszy od niej, dlatego uważam, że Mary nie ma prawa mnie krytkować.

– Czy mogę zapytać, jak obecnie wygląda pani małżeństwo? Często się kłócicie?

Muszę przyznać, że czułam się co nieco zdezorientowana. Zawsze mi się wydawało, że tworzymy z Tomem zgodną parę. Oczywiście nie było idealnie, bo przecież nigdy tak nie jest po tylu latach razem. Ujmę to tak: uważałam, że nie grozi nam rozstanie. Niemniej Tom zostawił mnie bez słowa i najwyraźniej bez konkretnej przyczyny, zmuszając mnie do weryfikacji przekonania o sile naszej więzi.

– Naturalnie, że się kłócimy. Jak wszystkie pary. Ale potem się godzimy. Jak większość par.

– A w weekend? W niedzielę, dzień zniknięcia Toma? Szwagierka twierdzi, że pokłóciła się pani z mężem w sobotę wieczorem.

– No tak, nie dziwię się, że to powiedziała. Rzeczywiście trochę się posprzeczałyśmy w sobotę wieczorem w pubie i mieliśmy małe spięcie w niedzielę rano, po którym Tom wyszedł z domu. Ale nie przebiegło to tak dramatycznie, jak chciałaby Mary. Nigdy za mną nie przepadała, ponieważ jako jedyna zdołałam ominąć jej pole siłowe.

– Co to znaczy?

– Mary zawsze lubiła kierować życiem swojego brata, po prostu dlatego, że jest starsza. Szanuję to, że jako nastolatka opiekowała się nim, gdy był zupełnie mały, ale jej specyficzna troska wcale nie osłabła, kiedy Tom wszedł w dorosłość. Mary zaczęła doglądać jego finansów i podpowiadać mu, jak wydawać pieniądze: co kupić, a na co nie może sobie pozwolić. Zresztą do dziś mówi mu, jak powinien się czesać i ubierać, mimo że od takich rzeczy Tom ma mnie, swoją żonę. Muszę czuwać nad jego kontami, inaczej szybko by je opróżniła. No i dziewczyny... Mary zawsze dokładnie sprawdzała kobiety, z którymi Tom chciał się umawiać. Oprócz mnie. Nigdy nie miał prawa do własnego wyboru, ale w moim przypadku postawił na swoim. Mary nigdy mnie nie lubiła i od początku naciskała na Toma, żeby zakończył naszą znajomość. Odmówił i to była bodaj jedyna rzecz, w której sprzeciwił się siostrze. Mary nienawidzi mnie za to.

– Proszę odpowiedzieć, co się wydarzyło w weekend – poprosił policjant.

Opisałam wszystko po kolei: Tom i ja przyjechaliśmy do Cullerton w sobotę rano, poświęciliśmy popołudnie na rozpakowywanie się i inne rzeczy, a wieczorem wybraliśmy się do miejscowego pubu – nazywał się Serengeti – żeby coś zjeść; posiłek był na koszt firmy, bo Tom i właściciel znają się z wystaw monster trucków i do tego przyjaźnią. Nazajutrz włożyliśmy ubrania przeciwdeszczowe, przeszliśmy na drugą stronę strumienia i zagłębiliśmy się w lesie.

Znów się trochę posprzeczaaliśmy. Nie poszło o nic wielkiego, ale kiedy coś mi się stało w stopę i postanowiłam zawrócić, Tom zdecydował, że nie będzie mi towarzyszył. Rozdzieliliśmy się: on ruszył dalej przed siebie, a ja z powrotem do domku. Wtedy widziałam go po raz ostatni. Nie zjawił się wieczorem. Przesiedziałam większą część nocy, czekając na niego, ale w pewnym momencie zasnęłam. Obudziłam się wczesnym rankiem i ponieważ wciąż nie było śladu po Tomie, po prostu wsiadłam do samochodu i pojechałam do domu. Sama.

Kiedy szkicowałam tło naszego związku, policjant słuchał uważnie, nie robiąc notatek; zabrał się do nich, dopiero kiedy zaczęłam relacjonować niedzielne wydarzenia.

– Czy to typowe dla pani męża? Często nie wraca na noc?

– O, tak. Tom lubi spotykać się ze znajomymi. W przeciwieństwie do moich, sporo starszych, zwykle już zameężnych, żonatych i dzieciatych, jego przyjaciele są młodzi i lubią wieczorami spędzać czas na mieście. Bywa, że sypia poza domem z powodu pokazów monster trucków, wie pan, kiedy

odbywają się gdzieś dalej od Sheffield i najłatwiej przenocować w hotelu. Dlatego nie przejmuję się aż tak bardzo, że nie wrócił. Bo wiem, że wróci.

– Kontaktowała się pani z jego przyjaciółmi? Pytała, czy się odzywał?

– Nie... jeszcze nie. Pomyślałam, że lepiej tego nie robić, bo może Tom uznał, że potrzebuje więcej przestrzeni.

– W porządku, zajmiemy się tym. Będę potrzebował listy znajomych i rodziny. Zapytam jeszcze raz, dla pewności: nie jest niczym niezwykłym, że pani mąż nie wraca na noc, nie uprzedzając o tym?

– Zgadza się...

MARY

– ...w życiu – wyrzucam z siebie, po raz bodaj setny zerkając w stronę domu Toma. – Bez słowa? Nie, nie ma takiej możliwości. Zdarza się, że mój brat nocuje w hotelach, bo jeździ na pokazy monster trucków w całym kraju. On i paru jego kolegów są właścicielami wozu, który bierze udział w występach. Ale zawsze wtedy pisze do mnie, dzwoni do kogoś znajomego albo do współnika z pracy. Albo wrzuca coś na Facebooka. Krótko mówiąc, daje jakiś znak życia.

Policjantka podnosi palec, chcąc przerwać mój słowotok, i przez chwilę wygląda jak nauczycielka.

– Wspomniała pani, że zostawił telefon.

– Tak, ale to też jest podejrzane. Tom nie wybyłby na noc z domu bez telefonu. Poza tym podczas pobytów w chacie nigdy nie chodził na żadne imprezy i tym podobne. Wyjątkiem były pokazy monster trucków, na które jeździł zawsze i wszędzie. Aż do teraz. Mówię pani, że jego żona kłamie jak z nut.

Funkcjonariuszka lekko kiwa głową. Próbuję odczytać znaczenie tego gestu.

– Zatem to dla niego nietypowe?

– Tak. Właśnie próbuję to pani powiedzieć.

Kiedy zadzwoniłam na policję, w pośpiechu streściłam swoje obawy dyspozytorce. Zdaję sobie sprawę, że wielu rzeczy mogła nie zrozumieć, dlatego teraz jasno i powoli wyłuszczam policjantce wszystko, co nie klei się z historijką Lucy.

– Musicie przeszukać dom, a potem pojechać do Cullerton i przetrząsnąć chatę. W sobotę mój brat i jego żona skoczyli sobie do oczu. Kłóć się, jasne, ale nie aż tak. To nie było normalne.

– Są zgodnym małżeństwem?

– Bez przesady, ale raczej tak. Tom ją kochał. Jest spokojnym, wyrozumiałym facetem i nie lubi wszczynać kłótni. I bardzo dobrze, bo Lucy potrafi być agresywna.

– Agresywna?

– Kiedy ostatnio się pożarli, uderzyła go. Stąd wiem, że teraz też mu coś zrobiła. Jeśli doszło między nimi do ostrej kłótni, mogła dać się ponieść wściekłości. Pokażę pani esemesa od niego...

4

LUCY

...przepraszam za kłótnię. Może na zgodę wybierzemy się jutro na pieszą wycieczkę po lesie?

Policjant długo przyglądał się wiadomości. Zabrałam telefon, kiedy podniósł rękę i wyciągnął palec, żeby dotknąć ekranu. Z chęcią pokazałabym mu inne esemesy, ale najpierw musiałabym je przepatrzyć, ponieważ niektóre miały charakter bardzo osobisty, a zdarzały się nawet lekko sprośne.

– O co się państwo pokłóciliście w lesie?

– W sumie o nic. Chyba po prostu oboje byliśmy podminowani. Tom odszedł w złości i nawet się ucieszyłam, że będę miała trochę spokoju.

– Dlaczego nie zadzwoniła pani na policję, kiedy mąż nie wrócił wieczorem?

– Wiem, że w lesie bywa niebezpiecznie, ale Tom to młody, dobrze zbudowany mężczyzna, z którym nie zaczynałby nikt, kto ma choć odrobinę oleju w głowie.

– Niekoniecznie musiał zostać napadnięty. Nie bała się pani, że spadł z wysoka albo zrobił sobie krzywdę w inny sposób? Nie zabrał ze sobą telefonu komórkowego.

– Nie. Ale wie pan, to popularny szlak. Gdyby coś mu się przytrafiło, zapewne ktoś by się na niego natknął. Możecie sprawdzić szpitale, jeśli chcecie – dodałam zirytowana jego tonem, bo miałam wrażenie, że traktuje mnie jak niemądre małe dziecko. Często zwracałam się w taki sposób do Zuzu.

– Zrobimy to. Jego siostra wspomniała, że jest cukrzykiem. Chyba jest się o co martwić, gdyby coś mu się stało podczas samotnego...

– Nie – weszłam mu w słowo. – Tom zawsze ma przy sobie insulinę. Zawsze. Nie może się bez niej obejść, ponieważ choruje na cukrzycę typu pierwszego.

Policjant pokiwał głową i na dźwięk zamykanych drzwi do samochodu spojrzął za okno.

– Widzę, że pani szwagierka i moja partnerka już tu idą. Porozmawiamy we czwórkę, a potem będę chciał się rozejrzeć po domu.

Kiedy weszły, przyjrzałam się obu, szukając czegoś, co wskazywałoby na to, że rozmowa w radiowozie nie przebiegła po myśli Mary. Ale wkroczyła jak zwykle butna i zadowolona z siebie, więc już wiedziałam, że obsmarowała mnie przed policjantką. Rozdrażniło mnie to do tego stopnia, że warknęłam do funkcjonariusza:

– Niby po co? Przecież nie schował się pod łóżkiem.

Przyjął to nawet nieźle.

– Zdziwiłaby się pani, jak wiele zaginionych osób, nawet dorosłych, odnajdujemy w ich własnych domach.

MARY

Dwoje funkcjonariuszy krąży po domu, zaglądając do pokoi, ale jakby od niechcienia, a potem wychodzi na zewnątrz i rozmawia przy radiowozie. Zostaję sama z Lucy. Siedzę na fotelu, ona na kanapie. Nie patrzy na mnie, za to ja wbijam w nią spojrzenie.

Obejmuje się wpół i lekko kołysze. Czytałam, że to podświadoma oznaka zakłamania. Lucy zamyka się w sobie, bo ktoś podważa jej wersję zdarzeń. W każdym razie na pewno nie jest jej zimno, nie w tym tandetnym polarze z suwakiem pod szyją. Oblizuje usta – swoją drogą, przesadziła z błyszczkiem – co zdaniem niektórych oznacza próbę usunięcia wypowiedzianej nieprawdy. Mowa ciała Lucy w oczywisty sposób świadczy o jej winie. Nie pojmuję, jakim cudem policjanci tego nie widzą – chyba że właśnie o tym rozmawiają?

Uświadamiam sobie, że minął ponad rok, od kiedy po raz ostatni byłam w tym salonie, i wtedy większość mebli stała w kuchni, bo tę część domu odnawiano. Tom doskonale wie, jak bardzo nie znoszę Lucy – z wzajemnością – dlatego pilnuje, żebyśmy niepotrzebnie nie wchodziły sobie w drogę. Kiedy umawia się ze mną na pogaduszki, zwykle spotykamy się na mieście albo u niego w biurze, a w każdym razie prawie nigdy tutaj. A kiedy Lucy odwiedza mojego tatę, co stara się robić raz w tygodniu – oglądają wtedy swój ulubiony program w telewizji – zawsze planuje to tak, żeby nie było mnie w domu. Krótko mówiąc, unikamy się.

Lucy była nieobecna, kiedy przyszłam pomóc Tomowi z tapetą. Teraz żałuję, że to zrobiłam. Zegar, obrazki, główniana półeczka na ścianie – dodatki są dziełem Lucy, ale tapetę wybrałam ja i położyłam ją razem z Tomem. Lucy nie zakwestionowała wzoru – a na pewno by się nie

zawahała, gdyby nie przypadł jej do gustu – co mnie oczywiście wkurza. Małostkowość? Być może, nic na to nie poradzę.

Uśmiecham się, zerkając w stronę kominka. W przypiływie infantylnej złości namazałam „LUCY ŚMIERDZI” na ścianie tuż nad kominkiem, zanim przykleiłam do niej kwiecistą płachtę. Chciałabym zobaczyć minę Lucy, kiedy zdecyduje się zmienić tapetę, zerwie starą warstwę i zobaczy rozkoszną wiadomość ode mnie.

Zresztą dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiła. Dom należy do Toma, ale to Lucy go urządziła. Dlatego gdzie nie spojrzeć, widać przykłady jej bezguścia. Zamontowała kominek, ale pomalowała go czarną jak piekielny ołtarz farbą. Tom kupił kanapę i dwa fotele z eleganckimi, niebieskoszarymi obiciami, których nie da się podziwiać pod wymyślonymi przez nią tandetnymi fioletowymi narzutami. Na półce we wnęce postawiła puchar z pokazu monster trucków, ale zasłoniła go trzema szkaradnymi śnieżnymi kulami. W oknach zawiesiła paskudne jasnoniebieskie – to jej ulubiony kolor – długie do podłogi zasłony.

Gdzie wielki plakat z monster truckami, który kupiłam Tomowi? Pewnie skazała go na wygnanie do łazienki, jakby był jakimś rupieciem z pchlego targu. Założę się, że robi Tomowi wymówki o to, jak śmie zachowywać się tak, jakby to był również jego dom.

Krępujące milczenie, do którego ją zmuszam, zaczyna ją coraz bardziej dręczyć. Wierci się i rozgląda, ani razu nie zerkając na mnie. Mogłabym przez cały dzień patrzeć, jak wije się jak robal na haczyku, ale wracają policjanci. Mężczyzna siada na kanapie obok Lucy, a kobieta staje między nami, jakby gotowa w każdej chwili przerwać pyskówkę, która może się wywiązać.

Uparłam się, żeby zażądali od Lucy wyjaśnienia esemesa, który Tom przysłał mi w sobotę, a więc dzień przed zniknięciem, z pubu Serengeti. Od tego zaczynają. Mają kopię wiadomości. Mężczyzna pokazuje ją Lucy, recytując z pamięci:

Jezu po co się żeniłem z tą wariatką groziła mi nożem

Lucy ma minę, jakby zobaczyła ducha. To nie gra, tylko autentyczne zdumienie. Nie miała pojęcia, że Tom napisał do mnie coś takiego.

– To nieprawda – wypala, znowu obejmując się w pasie. Wsuwa dłonie w długie rękawy polarowej bluzy, próbuje zwinąć się w sobie jak jeź. Wbija wzrok w podłogę. – Nie groziłam mu nożem. To nie była poważna kłótnia.

Wiem, co będzie dalej, bo oczywiście nie omieszkałam wspomnieć o tym policji.

– Podobno w umywalce były ślady krwi Toma – mówi funkcjonariusz.

– Twierdzi, że skaleczył się o kran, ale to bzdura – wtrącam; nie mogę się powstrzymać. – Krany przecież nie są ostre, poza tym od razu by posprzątał. Tom z pewnością nie zostawiłby takiego bałaganu.

Policjanci nie próbują ostudzić mojej złości, być może dlatego, że chcą zobaczyć reakcję Lucy, która brnie dalej w to przedstawienie.

– Nie wiem, dlaczego nie sprzątnął. Naprawdę skaleczył się o kran, ale nie mam pojęcia, w jaki sposób to zrobił. Starł trochę krwi, która skapnęła na podłogę, ale potem wyszedł z łazienki. Czuł się dobrze. Nie było między nami wrogości. Wydaje wam się, że mogłam mu coś zrobić, ale to absurd. Jest o wiele większy i silniejszy ode mnie, nie mogłabym...

– Nie zdołałby się obronić przed ciosem nożem w plecy, na przykład będąc w łazience. – Policjantka uprzejmie ostrzega, żebym nie podnosiła głosu. Nie zamierzam milczeć. – Tom nie wraca, bo ta cholerna wiedźma zabiła go w lesie.

Reakcja Lucy: stukanie stopą – kolejna oznaka oszustwa. Lucy chowa brodę w postawiony kołnierz zapiętej pod samą górę bluzy i pewnie najchętniej skryłaby się w niej cała, zniknęła nam z oczu. Bije od niej rażące poczucie winy. Kiedy policjanci wreszcie zorientują się, że to żalosne stworzenie pogrywa sobie z nimi, i aresztują je?

5

LUCY

Nie mogłam uwierzyć. Nie wiedziałam, czy Tom naprawdę przysłał Mary tego okropnego esemesa, ale jeśli rzeczywiście to zrobił, zdecydowanie wyolbrzymił w nim sprzeczkę w pubie w sobotni wieczór. Owszem, w grę wchodził nóż, ale wcale nie wyglądało to tak dramatycznie, jak napisał. I jak już wspomniałam wcześniej, całe zajście nie miało nic wspólnego z tym, że nie wzięłam leków. Niestety żadnej z tych rzeczy nie byłam w stanie udowodnić.

A teraz czekały mnie dalsze upokorzenia. Wskutek nalegań Mary policja rozejrzała się po domu i zażądała dostępu do Kaskady, naszej letniej miejscówki w Cullerton. Nie znaleźli tu nic obciążającego i w chacie też nie znajdują.

Chociaż... przy odrobinie złej woli wszystko można uznać za dowód wskazujący na czyjąś winę. Krew w łazience – ze skaleczenia Toma o kran – nie miała żadnego znaczenia, dopóki Mary nie przywiązała do niej wagi. Nie mogłam wykluczyć, że policja dojdzie do podobnych wniosków co moja szwagierka. Czy w Kaskadzie natrafią na coś, co przedstawi mnie w niekorzystnym świetle? Przyznaję, lekko się stresowałam, mimo że przecież nie zrobiłam nic złego. Byłam zła na Toma za to, że zapadł się pod ziemię i wpakował mnie w kłopoty.

Nie, to trochę nie w porządku. Nie wyobrażałam sobie, że kiedykolwiek znajdę się w takiej sytuacji, i Tom na pewno też nie był w stanie tego przewidzieć. Poza tym nie mogłam mieć do niego pretensji o jego siostrę paranoiczkę, której wrogość w stosunku do mnie osiągała coraz wyższe poziomy. Nie wystarczyłoby mi palców u obu rąk, gdybym chciała policzyć przypadki, kiedy Mary próbowała dodzwonić się do brata albo wpadała bez zapowiedzi i odchodziła z kwitkiem. Przy żadnej z tych okazji nie wietrzyła przestępstwa, więc dlaczego teraz? Bez sensu.

Policjanci powiedzieli, że nie mogą uznać Toma za zaginionego, ponieważ jest osobą dorosłą i uprzednio zdarzało mu się nie wracać na noc. Podyktowałam im nazwiska jego znajomych, numery telefonów i adresy,

przynajmniej te, które pamiętałam. Obiecali, że skontaktują się zarówno z przyjaciółmi, jak i bliższą oraz dalszą rodziną Toma, a nawet przeszukają nieruchomości oferowane przez jego biuro.

Te działania mogły wskazywać, że przekonałam ich do swojej wersji zdarzeń, zwłaszcza że przeszukanie domu nie zakończyło się zebraniem jakichkolwiek dowodów ani też nie poproszono mnie o złożenie zeznań na komisariacie. Mimo to miałam wrażenie, że oboje wysyłają nie do końca pozytywne fluidy. Pocieszałam się, że po wizycie w Kaskadzie pozbędą się wszelkich wątpliwości co do tego, że jestem niewinna, i będę mogła zapomnieć o całym tym zamieszaniu.

Co innego Mary – o niej nie mogłam tak łatwo zapomnieć. Wyczuwając wzajemną niechęć między nami, funkcjonariusze zasugerowali, żeby Mary wróciła do siebie. Narobiła mnóstwo szumu wokół swojego odjazdu, szykowałam się w nieskończoność, aż w końcu to policja oddaliła się jako pierwsza. Mary nie ujechała daleko, po prostu przestawiła auto na drugą stronę ulicy i kawałek dalej od mojego domu. Z okna w salonie widziałam maskę jej wozu i część przedniej szyby po stronie kierowcy, co oznaczało, że Mary mogła obserwować budynek.

Utrudniłam jej zadanie, zaciągając zasłony, ale nie potrafiłam się powstrzymać przed sprawdzaniem co jakiś czas, czy nadal tam jest. Przypaliłam obiad, bo stałam przy oknie, i nie umiałam skupić się na oglądanym programie w telewizji. Byłam świadoma jej stałej obecności, kojarzyła mi się z drapieżnikiem gotowym rzucić się na ofiarę.

W Stuttgarcie uczyłam angielskiego i przez lata spędzone w Niemczech opanowałam tamtejszy język na tyle dobrze, że po powrocie do Anglii postanowiłam spróbować zostać nauczycielką niemieckiego. Zarejestrowałam swój kurs na platformie learningowej Udemy i zdobyłam piętnaścioro uczniów gotowych płacić niewielkie sumy za dostęp do moich zajęć. Prowadzenie lekcji wymagało ode mnie systematyczności w umieszczaniu nowych materiałów na stronie – filmików, wykładów, ćwiczeń. Uznałam, że właśnie to pomoże mi oderwać myśli od Mary.

Nie nadawałam się do występowania przed kamerą, dlatego postanowiłam ograniczyć się do nagrania bez wizji. Poszłam do mieszczącego się na piętrze gabinetu, włączyłam odpowiedni program na komputerze, usiadłam przy biurku i otworzyłam książkę na klasycznym opowiadaniu grozy Dickensa pod tytułem Dróżnik. Zamierzałam zaskoczyć

uczniów tłumaczeniem całego utworu, ale na tym też nie byłam w stanie się skoncentrować.

Wyrecytowałam pierwszą linijkę: „Halloa! Unten dort!”, czyli: „Halo! Tam, w dole!”, i poczułam pustkę w głowie. Mój umysł uparcie krążył wokół Mary.

Zapewne dlatego, że chyba rozgryzłam jej plan. Wcale tak naprawdę nie uważała, że zabiłam Toma, bo przecież nic takiego się nie wydarzyło... nie mogło się wydarzyć. Nie, Mary po prostu nie potrafiła przepuścić okazji do wywołania napięcia; wykorzystała nieobecność Toma, by wbić kolejną szpilę w nasze małżeństwo. Próbowwała obudzić we mnie wściekłość na to, że Tom wsiąkł.

Po jego powrocie opowie mu, jak to zawiadomiła policję – ona, nie ja – i podkreśli, jak bardzo przeraziło ją, że nic a nic nie przejęłam się zniknięciem męża. Kolejny raz uderzała w fundamenty naszego związku. Jej ostatecznym celem – nie od dziś, lecz od zawsze – było doprowadzenie do rozwodu.

Nie mogłam znieść myśli, że siedzi tam, w swoim aucie, i wisi nade mną jak sęp nad padliną. Wzięłam kluczyki i poszłam do swojego samochodu. Widząc to, włączyła silnik. Udałam, że nie zauważyłam. Dotknęłam skroni i zaczęłam wykonywać ruchy, jakbym się drapała, po to, żeby nie zerkać w jej stronę.

Będąc już w wozie, nie zdołałam się powstrzymać. Zobaczyłam, że siedzi z telefonem przy uchu i prowadzi ożywioną rozmowę, wpatrując się we mnie. Na pewno znów nastawiała znajomych Toma przeciwko mnie. Albo dzwoniła do gazety. W każdym razie robiła coś, co miało postawić mnie w trudnym położeniu. Niech sobie gada – po powrocie Toma to ona będzie świeciła oczami.

MARY

Pora rozpuścić wiadomość. Wysyłam do znajomych Toma esemesa o treści:

TOM ZAGINAŁ. LUCY COŚ MU ZROBIŁA. ODEZWE SIĘ, KIEDY BĘDĘ WIEDZIAŁA WIĘCEJ.

Lucy będzie miała ból głowy, bo przyjaciele Toma nie usiedzą spokojnie, czekając na wieści ode mnie. Zaczną do niej wydzwaniać. Zaczną pukać do jej drzwi. Zapewne będzie próbowała ich ignorować, przez co jedynie straci w ich oczach wszelką wiarygodność i sprawi, że tym bardziej będą się domagali odpowiedzi. Pójdą na policję, podzielą się całą swoją wiedzą na

temat Lucy, zdradzą wszystkie pikantne, obciążające ją szczegóły, aż w końcu funkcjonariusze zobaczą, jaka osoba kryje się za tą obłudnie przyjazną maską.

Jen, koleżanka Toma ze szkoły, tym razem odbiera telefon. Przechodzę od razu do rzeczy:

– Lucy zrobiła krzywdę Tomowi. Zaginął i nikt nie wie, gdzie się podziewa. Właśnie obie rozmawiałyśmy z policją i Lucy zachowywała się podejrzanie.

Jen już wie, dlatego nie reaguje pełnym zdumieniem niedowierzaniem.

– Musisz podzwonić po jego znajomych – mówi po chwili zastanowienia.

– Może ktoś coś...

– Już to zrobiłam. Nikt nic nie wie. Ona go zabiła.

Nadal nie wydaje się wstrząśnięta.

– Na pewno chodzi o coś innego. Nie zabiłaby go. Takie rzeczy zdarzają się tylko w filmach. Nie działaj pochopnie, przecież minęła dopiero jedna noc.

Otwierają się drzwi do domu. Widzę Lucy, zmierza do samochodu, udając, że mnie nie zauważa. Co za bezczelność. Dotyka dłonią skroni, jakby się drapała, jednocześnie wyciągając w moją stronę środkowy palec. Mam ochotę podbiec i uderzyć ją w twarz.

– Nie, Jen, nie rozumiesz. Ja wiem, co tu jest grane. Znam Toma i znam tę jego jędzę.

– Spokojnie. Nie krzycz na mnie. I proszę cię, nie mów tak o niej. To wszystko dopiero się wydarzyło i jeszcze nic nie wiadomo. Uspokój się i pozwól mi podzwonić po jego starych znajomych. Może ktoś będzie coś wiedział.

– Nikt nic nie będzie wiedział – rzucam i rozłączam się. Po tej rozmowie czuję się jeszcze bardziej nakręcona. Jak mogła zlekceważyć moje obawy? Pewnie jest myślami przy swoim najnowszym kochanku.

Lucy wsiada do auta. Nie wiem, dokąd się wybiera, ale podejrzewam, że chce zrobić coś, co pomoże jej ukryć zbrodnię, którą popełniła. Nie ma mowy, nie pozwolę jej tak po prostu odjechać.

LUCY

Ruszyła za mną. Raz na jakiś czas zerkałam w lusterko i widziałam, że jedzie. Nawet nie starała się zachować bezpiecznego dystansu, tylko zwyczajnie siedziała mi na zderzaku. Nie była dobra w szpiegowaniu – albo

chciała wyprowadzić mnie z równowagi. Muszę przyznać, że trochę mnie to rozbawiło.

W ciągu kilku minut mój telefon zadzwonił trzy razy. Zignorowałam dwa pierwsze połączenia – dobijali się koledzy Toma – ale kiedy zobaczyłam na ekranie numer Jennifer, postanowiłam odebrać.

Wprawdzie mieszkała teraz w Stanach i nie widziała się z Tomem na żywo od ładnych paru lat, ale jednak znali się od dziecka. Dawniej Jennifer była modelką, która wyszła za ich wspólnego znajomego. Ich małżeństwo przeżywało trudny okres, ponieważ z powodu jakiejś dolegliwości związanej ze stopami jej mąż nie mógł pracować, praktycznie nie ruszał się z domu i w konsekwencji znacznie przytył. O dziwo, zgodził się, by żona spotykała się z innymi mężczyznami. Wiedziałam, że Jennifer darzy mnie sympatią, i liczyłam, że przynajmniej ona nie będzie próbowała mnie osądzać przed poznaniem wszystkich faktów.

Nie pomyliłam się.

– Dotarły do mnie jakieś bzdury o tym, jakoby Tom zaginął – odezwała się, jak tylko odebrałam połączenie. – Zostawił cię, skarbie?

– Tak. – Opowiedziałam jej całą historię, którą przyjęła bez cienia szyderstwa.

– Jego siostra widzi to zupełnie inaczej. Ale cóż, nigdy nie zaliczała się do twoich wielbicielek. Rozmawiałam z nią dosłownie przed chwilą.

Poczułam rozdrażnienie. A więc to Mary roznosiła plotki, a nie jeden z kolegów Toma, z którymi zjawiała się wczoraj w Kaskadzie.

– Zawiadomiła policję. Musiałam się przed nimi tłumaczyć i szczerze mówiąc, nie wiem, czy mi uwierzyli.

– Tom na pewno wróci. Tylko nie wolno ci się poddawać. Musisz podzwonić po jego znajomych i miejscach, w których bywa.

– Tak zrobię. Posłuchaj, mogę się odezwać później? Jadę samochodem.

W rzeczywistości zakończyłam połączenie nie dlatego, że prowadziłam, ale ponieważ zatrzymałam się na światłach. Poczułam, że muszę znaleźć ujście dla wściekłości na Mary za to, że rozpowiada wstrętne plotki. Wsiadłam z wozu i stanęłam przy otwartych drzwiach. Kiedy skręciłam na poprzednim skrzyżowaniu, Mary musiała przepuścić jedno auto i teraz stała za nim na moim pasie.

– Zgubiłaś drogę?! – krzyknęłam do niej. – Chcesz, żebym cię zaprowadziła do domu?

Mary wystawiła głowę przez okno.

– Nie, Lucyferko. Po prostu cię śledzę, o czym dobrze wiesz. Twój plan ucieczki z kraju wziął w łeb.

Naprawdę myślała, że właśnie to chcę zrobić? Bez ubrań na zmianę, w starych adidasach?

– Jedziesz tam, gdzie ukryłaś jego ciało? – dodała.

– Chętnie bym się dowiedziała, co w takiej sytuacji zrobiłby hrabia Mont Clare.

Jej twarz spochmurniała. Wiedziałam, że Mary zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo nie trawię jej idiotycznego hobby polegającego na korespondowaniu z więźniami oczekującymi na wykonanie wyroku śmierci w amerykańskich zakładach karnych. Tom mówił, że nie cierpiała zwłaszcza przewiska, które nadałam przestępcy będącemu aktualnym obiektem jej fascynacji.

– Kiedy trafisz za kratki, da znać, komu trzeba, i wykończą cię.

Wydawała się lekko zaskoczona własnymi słowami, jakby przekroczyła pewną granicę. Nie mogłam się powstrzymać, by nie odpalić:

– Jesteś zła, bo niedługo mają wykonać wyrok?

Nagle wyszczerzyła do mnie zęby.

– Po trzydziestu latach w pierdłu zatęsknisz za karą śmierci.

W samochodzie pomiędzy nami siedziało dwóch nastolatków w czapkach z daszkiem i z rozbawieniem śledziło naszą pyskówkę, spoglądając to na mnie, to na Mary. Widziałam, że zatrzymało się też kilkoro przechodniów. Ktoś zirytowany zatorem zaczął wściekle trąbić – dopiero wtedy zorientowałam się, że światło zmieniło się na zielone.

– Wiesz co, Mary? Odwal się ode mnie i zajmij się własnym życiem.

– A ty ciesz się swoim, Lucyferko, póki jeszcze jesteś na wolności. Parę wieków temu umarłabyś na kole za to, co zrobiłaś. Wiesz w ogóle, co to takiego?

Wiedziałam, ale to nie powstrzymało Mary przed zrobieniem mi wykładu z dawnej metody egzekucji. Łamanie kości, ukrzyżowanie, długa, bolesna śmierć, wszystko absolutnie przerażające – dla ówczesnych przestępców, ma się rozumieć; moją reakcją był pobłażliwy uśmiech i mała lekcja historii dla szwagierki:

– W średniowieczu istniał zwyczaj, według którego oskarżeni o morderstwo mogli dowodzić swojej niewinności poprzez pojedynek sądowy, czyli po prostu walkę z oskarżającym.

– Musisz być skończoną idiotką, skoro chcesz ze mną walczyć.

Oczywiście, że nie chciałam. I nie zamierzałam dłużej ciągnąć tej publicznej kłótni. Wsiadłam do samochodu. Byłam tak rozwścieczona i zdezorientowana, że nie zwróciłam uwagi na sygnalizację. Ruszyłam na czerwonym przy akompaniamencie trąbiących aut i wcisnęłam pedał gazu, by jak najprędzej zjechać ze skrzyżowania. Ręce mi się trzęsły. Byłam gotowa się założyć, że po tej ostatniej akcji gapie wzięli mnie za wariatkę.

Szybko uznałam, że mam to gdzieś. Byłam bezpieczna po drugiej stronie skrzyżowania. Zobaczyłam w lusterku, że range rover Mary wyjechał z za wozu nastolatków i utknął na światłach. Szybko skręciłam w lewo, na czyjś prywatny teren, jak się okazało, ale na szczęście łatwo znalazłam drugi wyjazd. Wróciłam na ulicę, skręciłam jeszcze kilka razy i zaparkowałam. Czekałam. Po dziesięciu minutach miałam już pewność, że udało mi się zgubić Mary.

Ulżyło mi, ale wiedziałam, że to uczucie nie potrwa długo. Mary znała przecież mój adres i na pewno nie zamierzała łatwo odpuścić.

MARY

– Tom!

Tata z trudem dźwiga się z fotela i wyciąga rękę do balkonika na kółkach. Zrywam się z kanapy i łapię go za ramię, zanim przewróci się twarzą na podłogę.

– Nie, tato, to tylko kurier. Zaczekaj, załatwię to.

– Ale Tom przyjdzie.

Pomagam mu wrócić na miejsce. Mimo że praktycznie nie wychodzi z domu, tata upiera się przy noszeniu spodni, koszuli i marynarki – dziś włożył niebieską, w niemal identycznym odcieniu jak obicie fotela, przez co zapadnięty w długim, miękkim oparciu i wysokich podłokietnikach stał się prawie niewidoczny. Kwituję odbiór przesyłki i przynoszę ją do salonu. W paczce znajduje się zamówiona przez tatę książka z dużym drukiem o powodziach w środkowych Chinach. Tata chwyta ją jak łasuch czekoladę, ale po chwili wpycha mi ją do rąk; ma zbyt mało siły w dłoniach, by samemu ją otworzyć.

– Wiesz, że trzy największe klęski żywiołowe w dziejach ludzkości miały miejsce w Chinach? – Przez chwilę jest szczęśliwy jak dziecko. Potem odsuwa książkę na bok. – Nie ma Toma, prawda?

Bałam się tej rozmowy. W poniedziałki Tom zwykle sadza tatę na wózku inwalidzkim i jedzie z nim do parku, podczas gdy jego głupia żona pierdzi

na zajęciach jogi. Nie mam odwagi przyznać, że Tom go nie odwiedzi, ale przecież muszę coś powiedzieć.

– Tom dziś nie mógł.

Oczywiście to nie rozwiązuje problemu. Mogłabym jakoś usprawiedliwić poniedziałkową nieobecność Toma przez kilka tygodni, ale nie zdołam zbywać taty w nieskończoność. Luki w jego pamięci, których jest sporo, nie obejmują przyjemnych chwil z synem pośród drzew i wzgórz. Prędzej czy później będę musiała przekazać mu wiadomość o śmierci Toma.

– Praca? – pyta.

Znów muszę go okłamać; niemal pęka mi serce.

– Nie, tato, nie praca. Musiał załatwić ważną sprawę. Mam nadzieję, że za tydzień będzie mógł cię zabrać do parku.

Obym się myliła co do losu Toma. Oby zjawił się nagle, opowiadając szaloną historię o tym, jak wpadł do studni albo jakiejś jamy i przesiedział w niej dwa dni. Ale jeśli za tydzień, kiedy tata znów pomyśli o spacerze do parku, Tom nadal się nie odnajdzie, będę musiała powiedzieć mu prawdę o tym, że jego syn nie żyje.

Tata przenosi uwagę na telewizor, mrugając w charakterystyczny dla siebie sposób: powoli, szeroko, jakby dopiero się obudził, a ja zaczynam się zastanawiać, co będzie dalej. W ostatnim czasie przestał mówić o Tomie pomiędzy jego odwiedzinami, tak jakby zapominał o własnym synu i dopiero obietnica poniedziałkowego spaceru budziła w nim uśpione wspomnienia. To jak odruch warunkowy. Dręczy mnie przeczucie, że powiem mu o śmierci Toma, a on i tak nie zapamięta. Że będę musiała stale powtarzać tę okropną wiadomość.

– Przywiezie Lucy na Zacisze?

Mogę z łatwością unikać Lucy do końca życia, ale niestety jest żoną Toma i nie mam prawa pozbawiać jej możliwości kontaktu z tatą, tak się po prostu nie robi. Tom przywozi ją raz w tygodniu. Wtedy zwykle wychodzę z domu albo siedzę w drugim pokoju. Tata przepada za Hotelem Zacisze, wprost uwielbia perypetie impertynenckiego kierownika, i codziennie ogląda odcinek.

Kiedy o tym myślę, wzbiera we mnie kolejna fala złości. Dla taty wspólny seans Hotelu Zacisze zawsze był czymś wyjątkowym, ale Lucy to zniszczyła. Zabiła mu syna i zmusiła mnie do tego, bym raz za razem

sprawiała mu koszmarny ból. Nikt tak bardzo nie życzył śmierci drugiemu człowiekowi jak ja w tej chwili.

Zamiast do parku zabieram tatę na podwórze za domem, żeby złapał trochę słońca. Potem dzwonię do współnika Toma, Tłustego Pete'a, który czeka na wiadomości ode mnie, zastanawiając się, dlaczego mój brat nie zjawił się w pracy. Korci mnie, żeby powiedzieć mu prawdę i zrobić przytyk pod adresem Lucy, ale sęk w tym, że Pete ją lubi i jeśli zdążyła uwieść go swoimi kłamstwami, moje słowa mogłyby nastawić go przeciwko mnie.

Tłusty Pete nie ma pojęcia, co się dzieje. Pyta mnie, czy Tom odsypia kaca, bo wczoraj schlał się na imprezie monster truckerów. Lucy nawet nie raczyła do niego oddzwonić.

Nie mam czasu na dłuższą rozmowę, dlatego rzucam trochę na odczepnego, że Tom wyjechał, nie mówiąc nikomu dokąd, i nie zabrał telefonu. Pete chce wiedzieć, czy z Tomem wszystko w porządku, i naprawdę jestem już o krok od wygadania całej prawdy. Byłoby miło rozwiązać ten jego błogi sen o szlachetnej, dobrej Lucy. Ale nie, nie mam teraz na to ochoty. Tłusty Pete nie jest najważniejszy, może zaczekać.

Idę do swojego pokoju, siadam przy biurku i wpatruję się w ścianę. Przyglądając się zdjęciu uśmiechniętego Richarda, rozmyślam nad złośliwymi uwagami Lucy pod jego adresem. Z reguły nie tak łatwo mnie zranić, ale tym razem jej słowa dotknęły mnie do żywego. Tom nieraz przekazuje mi komentarze Lucy na temat Richarda, bo podobnie jak ona uważa za nieco dziwny fakt, że koresponduję z więźniem oczekującym na wykonanie wyroku śmierci. W normalnych okolicznościach zbywam te zgryźliwości śmiechem. Ale nie dziś.

Richard Chester ma pięćdziesiąt dwa lata. W 1999 roku został uznany za winnego popełnienia dwóch morderstw i osadzony w zakładzie karnym hrabstwa Greene w stanie Pensylwania. Urodził się w Mont Clare, stąd przezwisko, które nadała mu Lucy, w nawiązaniu do Hrabiego Monte Christo. Diler okradł jego dziewczynę, więc trzydziestoletni wówczas Richard pojechał do niego do domu, wywiązała się bójka i Richard w samoobronie zabił dilerka oraz inną osobę, która usiłowała pomóc kumpłowi.

Sąd z jakiegoś powodu nie wziął pod uwagę aspektu obrony własnej i skazał Richarda za morderstwo z premedytacją. Richard złożył apelację, powołując się na nieudolność swojego obrońcy, który nie wniósł o zmianę

miejsca rozprawy. O zbrodni szeroko rozpisywały się gazety w Filadelfii, gdzie odbywał się proces, i Richard czuł, że nie może liczyć na bezstronną, sprawiedliwą ławę przysięgłych. Dlatego zdecydował się na proces bez jej udziału, co oznaczało, że o jego losie miał zdecydować sam sędzia. Sukinsyn wziął się na niego. Wyrok: kara śmierci.

Richard nie zaprzecza, że pozbawił dwóch mężczyzn życia, ale podkreśla, że obaj byli złymi ludźmi i że zrobił to w obronie własnej. Wyczerpał możliwości apelacji i już nic nie może zrobić. Pocieszające jest to, że przez cały ten czas, od kiedy Richard trafił do więzienia, w Pensylwanii nie wykonano ani jednej egzekucji.

Przeczytałam w internecie o przypadku Richarda i zaintrygował mnie na tyle, że postanowiłam do niego napisać; od tamtej pory utrzymujemy stały kontakt. Ponieważ zaczęło się to krótko po tym, jak Tom poznał Lucy, mój brat często nabijał się ze mnie, że czułam się zazdrosna i rozpaczliwie potrzebowałam faceta. Sprawa Richarda naprawdę mnie zainteresowała. Owszem, według prawa jest on przestępcą, ale zbłądził tylko raz, wiele lat temu, poza tym bronił swojej dziewczyny – która, nawiasem mówiąc, rzuciła go, jak tylko trafił za kratki. Richard jest dobrym, pełnym skruchy człowiekiem. Chciałabym go kiedyś odwiedzić.

Wiem, że dla wielu związek ze skazańcem to dziwactwo. Tom nieustannie z tego żartuje: Richard to chłopak idealny, bo zawsze wiem, gdzie jest; nie muszę prać jego rzeczy, nie muszę mu gotować i nawet mnie nie zdradzi, chyba że „schyli się po mydło”. Bardzo śmieszne.

Tata nie wie zbyt dużo o Richardzie. Jedyna uwaga, jaką poczynił, brzmiała: „Cięgnie wilka do lasu”. Jedna koleżanka powiedziała, że jeśli chcę, aby było o mnie głośno, powinnam raczej zostać piosenkarką. Żarty zbywam śmiechem. Niektórzy patrzą na rzecz poważniej i komentują, że dostrzegłam w Richardzie młodego człowieka, który zszedł na złą drogę, i zapragnęłam go zmienić. Albo że uciekam przed miłością. Albo że czuję się silna, ponieważ mam mężczyznę, który jest ode mnie zależny. Albo że to po prostu wrodzona kobieca słabość do agresywnych facetów.

To wszystko bzdury. Pomagam Richardowi. Mój związek z nim – człowiekiem zamkniętym w więzieniu i porzuconym przez rodzinę – to dla niego punkt zaczepienia w świecie poza murami zakładu. Dla mnie Richard nie jest mordercą; jego jedyna wina polega na tym, że chciał ochronić swoją kobietę.

Zniewagi Lucy sprawiają, że mam ochotę ją dopaść i udusić.

Po południu odbieram telefon od policji hrabstwa Lancashire. Tutejsi funkcjonariusze zgodnie z obietnicą skontaktowali się ze swoimi kolegami z północnego zachodu i chcą ze mną porozmawiać. Policja poinformowała Lucy, że zamierza przeszukać chatę w Cullerton pod kątem ewentualnych wskazówek co do miejsca pobytu Toma, i Lucy nie zaprotestowała. Najbardziej zdumiewające jest to, że zapytali ją, czy nie będzie miała nic przeciwko temu, jeśli pojedę z nimi, na co odparła, że nie.

To dobra wiadomość. Chyba zależy im na tym, żebym weryfikowała odpowiedzi udzielane przez Lucy. To znaczy, że nie do końca wierzą w jej wersję zdarzeń. Przeszukanie ma służyć, jak przypuszczam, zebraniu dowodów na popełnienie przestępstwa. Przygotowuję naprędce wczesną kolację dla taty, a potem ruszam w drogę.

6

LUCY

Na terenie stojącego na południowym krańcu Cullerton kościoła znajdował się idealny punkt obserwacyjny, z którego roztaczał się widok na całą niewielką, skupioną wokół głównej drogi miejscowość. Po obu stronach szosy wybudowano obiekty handlowe; na zachód od nich leżało osiedle domów, a na wschód – las. Przycupnęłam na ławeczce na cmentarzu ulokowanym na lekkiej pochyłości.

Ostatni raz siedziałam tu w sukni ślubnej. Musiałam przerwać sesję zdjęciową, bo rozboleł mnie brzuch i wcześniej już raz wymiotowałam. Denerwowałam się świadomością, że zaczynam nowe życie z Tomem – bez sensu; przecież jedyne, co miało się zmienić, to to, że odtąd będę nosiła obrączkę na palcu. Odczekałam kilka minut z twarzą ukrytą w dłoniach, aż skurcze w końcu minęły.

Pomyślałam o ludziach czekających w kościele i zastanawiających się, gdzie, u licha, wcięło pannę młodą. Zanim tam wróciłam, musiałam jeszcze oczyścić z błota syreni ogon mojej sukni, który ześlizgnął się z ławeczki na trawę.

Teraz znów poczułam niepokój w żołądku, ale tym razem z zupełnie innych powodów. Wtedy martwiłam się, że jako żona nie sprostim oczekiwaniom Toma, dziś – obawiałam się, jak będzie wyglądała moja przyszłość bez niego. Zniosłabym całe wieki mdłości, gdybym tylko mogła go odzyskać.

Przyglądałam się miasteczku. Wodziłam wzrokiem za wchodzącymi i wychodzącymi ze sklepów klientami. Mniej więcej dwieście metrów od kościoła znajdował się pomalowany na niebiesko pub Serengeti, pierwszy budynek przy wjeździe do Cullerton. Pokłóciłam się tam z Tomem w sobotni wieczór. Pięćdziesiąt metrów dalej, po drugiej stronie ulicy, stał Kwaint, herbaciarnia i sklep z upominkami w jednym. Dawniej mieścił się tam pub, co wyjaśniało sporą liczbę miejsc parkingowych.

Na końcu parkingu, niewidoczna dla mnie, bo zasłonięta przez budynek, miała swój początek gruntowa droga biegnąca w dół, przez las, w stronę

Kaskady. Na okrągłej polanie przecinał ją strumień Low Man. Krążyła plotka, że poprzedni właściciele pubu i chaty zginęli na wakacjach w Afryce. Obecnie Kaskada należała do australijskiego biznesmena, który nigdy nawet nie był w Cullerton. Tom i ja trafiliśmy na nią zupełnie przypadkiem na stronie Australijczyka, gdzie ogłoszenie o możliwości wynajęcia Kaskady sąsiadowało z informacjami o jego morskich interesach.

Popijałam sok jabłkowy, który kupiłam w sklepiku przy głównej ulicy. Sześć lat temu, kiedy odkryliśmy Cullerton i przyjechaliśmy z pierwszą wizytą, Tom zaciągnął mnie do wszystkich sklepów po kolei, żeby się przywitać – powiedział, żebym potraktowała to jak inwestycję; poznamy miejscowych, a oni odwdzięczą się nam za życzliwość, choćby przy okazji naszego ślubu. Metoda się opłaciła: tutejszy cukiernik zapewnił nam darmowy bufet na przyjęciu weselnym w sali konferencyjnej w Serengeti – za którą też nie musieliśmy płacić. Pech, że nie byłam w stanie nic przełknąć ani wypić.

Miejscowi nas zapamiętali. Sok jabłkowy dostałam gratis od sklepikarza – wesołego grubaska podającego się za byłego mistrza kulturystyki – bo skojarzył mnie z zeszłego lata.

Na myśl o tym, jak przed laty Tom z uśmiechem na ustach wziął mnie pod rękę i prowadził od sklepu do sklepu, łzy napłynęły mi do oczu. Bywało, że w czasie kłótni – zwłaszcza przez ostatnie pół roku – miałam wrażenie, jakby stawał się zupełnie innym człowiekiem, ale wciąż w najżywszych wspomnieniach widziałam jego uśmiechniętą twarz. Wybiórcza pamięć. Albo może po prostu mocniej odciska się w nas to, co miłe.

Zabrakło mi czasu na rozmyślanie o smutku, ponieważ zadzwonił telefon. Na wyświetlaczu widniał numer policji. Postawiłam pustą butelkę po soku na ziemi i wolną ręką zasłoniłam jedno ucho, chcąc wytłumić dolatujący zza kościoła warkot kosiarki, a potem odebrałam połączenie i przyłożyłam aparat do drugiego ucha.

Policja hrabstwa Lancashire kontaktowała się ze mną już wcześniej tego popołudnia w sprawie przeszukania w Kaskadzie. To dobra wiadomość, ponieważ jeszcze wczoraj wieczorem bałam się, że zostanę aresztowana. Zawdzięczałabym to idiotycznej uporczywości, z jaką Mary twierdziła, że zabiłam jej brata. Gdyby policja miała jakiegokolwiek uzasadnione podejrzenia, że może to być prawda, nie prosiłaby mnie o zgodę, tylko zakułaby mnie w kajdanki i zawiozła do Cullerton.

Na szczęście tak się nie stało; po prostu umówili się ze mną na konkretną godzinę i pozwolili samej odbyć podróż. Podkreślili jedynie, żebym nie wchodziła do domku przed ich przyjazdem – dlatego czekałam tutaj, przy kościele. Wyruszyłam nieco wcześniej, chcąc dać sobie czas na przemyślenia.

Funkcjonariusz poinformował mnie, że się spóźni.

– Zdarzenie na autostradzie – brzmiało wyjaśnienie. Domyśliłam się, że przyczyną było rozbite zielone audi, które mijałam w drodze do Cullerton; moją podróż też wydłużyło to o kilka minut. Oby nikomu nic się nie stało.

Po telefonie uznałam, że dosyć już się nasiedziałam na cmentarzu, i postanowiłam wrócić do samochodu. Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem policji o dobrej wiadomości, którą odebrałam godzinę wcześniej.

MARY

Liczyłam, że dotrę do domku przed policją i Lucy, ale jakiś samolubny sukinsyn w zielonym audi musiał się rozbić i zablokować jeden pas autostrady, krzyżując plany tysięcy kierowców, którzy jeżdżą bezpiecznie i odpowiedzialnie. Skręcam na znajdujący się po lewej spory parking przed Kwaintem, herbaciarnią i sklepem z upominkami w jednym.

Na tyłach budynku, tuż przed linią drzew, stoi drewniany płot z szeroką dziurą, za którym zaczyna się gruntowa droga przecinająca las. Jest tak zarośnięta z obu stron, że wygląda jak tunel i nawet latem panuje na niej półmrok. Schodzi łukiem w dół na odcinku jakichś pięćdziesięciu metrów i otwiera się na polanę, gdzie zbudowano Kaskadę. Dostrzegam głównianego forda Lucy. Oprócz niego nie ma żadnego innego samochodu. Gdzie policja? Gdzie bmw Toma?

Powoli podjeżdżam i zatrzymuję się od strony pasażera. Lucy siedzi za kierownicą z odchyloną głową i spojrzeniem wbitym w sufit. Pewnie modli się o cud. Niedoczekanie. Opuszczam szybę od strony kierowcy; Lucy nadal mnie nie widzi. Wyjmuję ze schowka monetę i rzucam nią w drzwi. Dopiero teraz mnie zauważa. Zerka w moją stronę i natychmiast przenosi spojrzenie na telefon. Wsiadam, obchodzę jej wóz i stukam w okno.

– Gdzie samochód Toma? Mówiłaś, że tu go zostawił.

Nawet nie raczy zareagować. Szarpię za klamkę. No tak, zablokowane.

– Odpowiadaj, Lucyferko. Okłamałaś mnie w sprawie auta. Toma wcale tu nie było. Albo był, tylko zepchnęłaś go do wąwozu. Otwórz drzwi i powiedz prawdę.

Nie zrobi tego, to jasne. Nadal mnie ignoruje. Rozglądam się za jakimś kamieniem – jest ich tu całkiem sporo – ale w końcu rezygnuję; nie chcę mieć kłopotów.

Lucy konsekwentnie unika mojego wzroku. Wracam do wozu, podjeżdżam kawalek, zawracam i ustawiam się przodem do jej maski, dosłownie kilka centymetrów od zderzaka. Mój range rover jest wyższy od jej forda, więc mam na nią doskonały widok. Siedzi z rękami na kolanach i robi coś na telefonie. Przeszywam ją spojrzeniem. Chcę, żeby poczuła się nieswojo. Od mojej przedniej szyby odbija się słońce, ale mam nadzieję, że jego blask nie przyćmi wściekłości w moich oczach.

Sama też czuję się trochę niepewnie. Zdaje się, że błędnie zrozumiałam intencje policji. Pozwolili Lucy przyjechać tu samej, a więc ich zdaniem nie ma ryzyka, że spróbuje się wykpić, na przykład udając, że popsuł się jej samochód. Nie wiążą zniknięcia Toma z niczym podejrzanym. Wierzą jej. To zły znak. Oby tylko udało mi się ich przekonać, że się mylą.

Lucy myśli, że nie widzę, jak łypie znad telefonu. Od czasu do czasu trąbię, żeby ją przestraszyć, ale przez większość czasu nic się nie dzieje.

Po dłuższej chwili nareszcie zjawia się radiowóz, wytacza się powoli z lasu i zatrzymuje za wozem Lucy. Wyskakuję z auta i podbiegam do nich, zanim zgaszą silnik.

– Ona kłamie – mówię, kiedy jeden z funkcjonariuszy zaczyna otwierać drzwi. – Mówiła, że jest tu samochód Toma, ale go nie ma.

Wysiada dwóch młodych, wysokich, przystojnych policjantów. Lucy dopiero wtedy opuszcza kabinę swojego forda. Policjanci ustawiają się pomiędzy nami, tak żeby w razie czego łatwo nas rozdzielić. Lucy patrzy na mnie nieufnie.

– Zapytajcie ją, dlaczego nie ma samochodu Toma – domagam się.

– Widocznie Tom wrócił i zabrał go razem ze swoimi rzeczami.

– Co za bzdura, ona... – Zaczynam szybko i wściekle opowiadać o tym, co się wydarzyło, ale jeden z policjantów ucisza mnie w połowie pierwszego zdania.

– Bardzo proszę, żeby obie panie na razie się powstrzymały. Za chwilę zadam paniom pytania w oparciu o to, czego dowiedziałem się od funkcjonariuszy z South Yorkshire. Proponuję, żebyśmy porozmawiali w środku.

Nagle Lucy postanawia zrzucić bombę. Nie mogła tego zrobić pół godziny temu, kiedy przyjechałam, ani przed pięcioma minutami, kiedy

zjawili się policjanci, prawda? Nie, z jakiegoś powodu uznała, że akurat ten moment będzie odpowiedni do tego, by o tym wspomnieć.

– Dostałam esemesa od Toma.

Opada mi szczęka.

– Co takiego? Jak? To jakaś bzdura. Przecież nie wziął ze sobą telefonu.

Macha aparatem jak dłonią.

– Widocznie kupił sobie nowy.

Przez chwilę zastanawiam się, czy to może być prawda. Nie dłużej niż przez chwilę.

– Niemożliwe. Dlaczego odezwał się tylko do ciebie? Nie skontaktował się ze mną ani z nikim innym. Przecież ktoś by mi coś powiedział. Pokaż tego esemesa.

Robię krok do przodu i wyciągam rękę po telefon, ale barczysty policjant zastępuje mi drogę. Drugi przejmuje aparat od Lucy i odczytuje wiadomość. Przekazuje urządzenie koledze, który obraca je tak, żebym mogła zobaczyć ekran z esemesem od nieznanego numeru.

Tu Tom piszę z nowego telefonu nie kontaktuj się ze mną może się kiedyś odezwę

– To jakaś piramidalna bzdura – powtarzam. – Tom ma umowę z operatorem, poza tym jego aparat był drogi. Gdyby potrzebował telefonu, nie kupowałby nowego, tylko wrócił po stary. Ona kłamie.

Wyrywam policjantowi urządzenie i odsuwam się od całej trójki.

– Zadzwoń pod ten numer.

– Już próbowałam, nic to nie dało – komentuje Lucy. Wyczuwam desperację w jej głosie i mam nadzieję, że funkcjonariusze też zwrócili na to uwagę. Lucy próbuje odzyskać telefon, ale policjant opuszcza rękę jak szlaban.

– Przekonajmy się, czy odbierze – mówi.

– Wątpię – rzucam, wybierając połączenie. – Założę się, że zacnie brzęczeć w jej kieszeni.

– Oddaj mi telefon – jęczy Lucy. – To kradzież.

Policjant, który mnie pilnuje, podchodzi do samochodu Lucy i otwiera drzwi. Z satysfakcją obserwuję jego ruchy. Wiem, po co to robi: żeby się przekonać, czy telefon, z którego rzekomo napisał Tom, rzeczywiście znajduje się w posiadaniu jego żony. Wszyscy milkniemy i czekamy.

– Wyłączony – stwierdzam zniechęcona. Cholernie wygodne dla Lucy i jej historyjki.

Ta pełna samozadowolenia jędza doskonale o tym wie.

7

LUCY

W niedzielę rano, kiedy z Tomem opuściliśmy Kaskadę, przecięliśmy gruntową drogę i weszliśmy na wilgotną trawę przy strumieniu. W najbardziej suchych miesiącach – chociaż przyznaję, że akurat padało więcej niż zwykle – strumień płynął na tyle wąsko i leniwie, że stawiając ostrożnie kroki na odsłoniętych kamieniach, można było przejść na drugi brzeg, nie zamoczywszy nóg.

Natomiast nawet kilka godzin po deszczu spływająca do strumienia woda z najbliższej okolicy zmieniała go w głęboki, rwący potok i wtedy przekraczanie go na wysokości polany, na której stała Kaskada, bywało niebezpieczne. W lesie nurt się uspokajał, ale tam dostanie się na drugą stronę wiązało się z jeszcze większym ryzykiem, ponieważ koryto strumienia wrzynało się głęboko w ziemię, a oba brzegi robiły się strome i zdradliwe.

Najpewniejszym rozwiązaniem była droga przez wodospad. Jego krawędź znajdowała się na płaskiej, wysokiej mniej więcej na pięć metrów półce skalnej z mocno nachylonymi bokami, wyglądającej prawie jak cypel, i właśnie w tym miejscu woda płynęła najwężiej i przez to najbardziej wartko. Tam też właściciel chaty umieścił po obu stronach duże, kwadratowe kamienne płyty i przymocował do nich trzymetrowy pomost z perforowanej blachy aluminiowej. Sęk w tym, że dostanie się do mostku wymagało wspięcia się na dosyć stromą trawiastą skarpe.

Idąc za mną, Tom czasem kładł dłonie na mojej pupie i przytrzymywał mnie, żebym przypadkiem się nie ześlizgnęła; a kiedy to ja szłam za nim, łapałam go za kurtkę, żeby nie stracić równowagi – tak jak tym razem: w pewnej chwili osunęłam się na kolana i ubłociałam sobie spodnie. Spodziewałam się, że Tom wyciągnie do mnie rękę i pomoże mi wstać, ale nie. Nawet nie odwrócił głowy. Nie okazał mi też żadnego współczucia.

– Nie potrafisz się wspiąć na niewielki pagórek?

Od samego rana dziwnie się zachowywał. Nie skomentowałam jego zgryźliwej uwagi, bo nie miałam ochoty na kolejną kłótnię. Po prostu

podniosłam się i ruszyłam dalej. Kładkę przerzucono mniej więcej metr nad wodą, dlatego nawet gdyby ktoś wpadł do strumienia kilka metrów dalej, licząc w górę biegu, nurt i tak przepędziłby go pod pomostem i wyrzucił za krawędź wodospadu. Pierwszy próg ma jakieś metr dwadzieścia wysokości, potem skalna ściana nachyla się pod dużym kątem na długości około trzech metrów, by na koniec utworzyć drugi, z grubsza półtorametrowy stopień.

W porze suchej Tomowi zdarzało się schodzić do wodospadu i wdrapywać z powrotem na górę, a raz nawet usiadł na płaskim kamieniu przy krawędzi i machał nogami, podczas gdy dokoła niego woda spływała kaskadą. Natomiast kiedy padało, tak jak tamtego dnia, strumień stawał się groźnym, skłębionym potokiem i każdy, komu przyszyłaby ochota na kąpiel, zostałby w mgnieniu oka porwany, rzucony o skały i poniesiony w głąb lasu i dalej, do wąwozu.

Na mostku zwykle trzymaliśmy się za ręce; zamykałam dłoń Toma w swoich i szłam za nim, ściskając tak mocno, że niemal łamałam mu kości. Ale...

– Tutaj, moja mała, nastąpi transmogryfikacja.

Tom lubił używać dziwnych, nie zawsze jasnych słów dla podkreślenia wagi tego, co miał do powiedzenia. Akurat to już znałam – miał na myśli, że coś się zmieni. Kiedy pomknął przez kładkę beze mnie, już wiedziałam, jak będzie wyglądał ten dzień. Tom nazywał mnie swoją „małą” tylko wtedy, gdy był na mnie zły. Nie zamierzał mi pomagać. Nie ma co, szykował się niezły romantyczny weekend.

Pokonywałam mostek niezliczoną ilość razy i nigdy nie spadłam, ale teraz, nie mogąc liczyć na asystę Toma, uznałam, że zdołam to zrobić tylko na czworakach. Kładka miała niespełna metr szerokości, ale otwory w blasze przynajmniej zapewniały jako taką przyczepność. Rozpryskująca się na kamieniach woda moczyła mi dzinsy na kolanach i łydkach oraz dolną część rękawów kurtki. Tom przyglądał się mojej mozolnej przeprawie z obojętną miną i upewniwszy się, że bezpiecznie znalazłam się na drugim brzegu, bez słowa i jakiegokolwiek gestu świadczącego o tym, że zechce pomóc mi wstać, odwrócił się i ruszył w dół pochyłości, kierując się w stronę lasu.

Wtedy pomyślałam, że chyba daruję sobie wspólną wyprawę – to będzie moja własna „transmogryfikacja” – bo wiedziałam, że z takim nastrojem Toma nie ma co liczyć na miło spędzony czas. Postanowiłam jednak iść dalej z nadzieją, że odzyska humor, kiedy przekroczymy próg Fox and

Hound, pięknie urządzonego pubu na drugim końcu lasu. Zawsze lubił naszą tradycję, zgodnie z którą w niedziele, będąc w Cullerton, wybieraliśmy się na jagnięcinę.

Tyle że nie dotarliśmy wtedy do pubu.

Przecieliśmy polanę i weszliśmy na ścieżkę wijącą się przez gęsto porośnięte drzewami zbocze. Teren biegł wzniesieniem ku prawej stronie i prowadził do strumienia za wodospadem. Pięćdziesiąt metrów dalej las urywał się u krańca wąwozu, a strumień Low Man płynął dalej. Tutejsi nazywali to miejsce wąwozem, ale tak naprawdę urwiskiem była tylko jedna, mocno zadrzewiona i bardzo stroma, niemal pionowa ściana, z szemrzącym sto metrów niżej strumieniem; po przeciwległej stronie rozciągała się otwarta, pagórkowata kraina. Tuż nad krawędzią urwiska wiódł rzadko uczęszczany szlak, którym lubiliśmy wracać z pubu, bo roztaczały się z niego wspaniałe widoki.

Tom szedł przodem i oprócz tego, że od czasu do czasu zerkał przez ramię, zachowywał się tak, jakby w ogóle mnie z nim nie było. Nie odzywał się. Czułam się, jakbym była zupełnie sama. Wtedy, po pokonaniu mniej więcej półtora kilometra z pięciokilometrowej trasy, Tom nagle się zatrzymał.

Miejscami ścieżka bardzo się rozszerza, tworząc polanki, na których spokojnie można urządzić piknik, a chwilami staje się tak wąska, że nie sposób iść inaczej niż gęsiego – na tych odcinkach jest porwana korzeniami drzew wystającymi z ziemi jak cielsko potwora z Loch Ness. Dlatego szłam z pochyloną głową, skupiona na tym, gdzie stawiam stopy – i wpadłam na Toma.

Ponieważ mam zaledwie metr sześćdziesiąt siedem wzrostu, a Tom prawie metr osiemdziesiąt osiem, czubek mojej głowy trafił go w plecak. Zaskoczona zrobiłam krok do tyłu, zaczepiłam butem o korzeń i straciłam równowagę. Próbowałam podeprzeć się drugą nogą, ale zamiast powstrzymać się przed upadkiem, udało mi się jedynie wykręcić kostkę.

Kiedy zawyłam z bólu, Tom nie wyciągnął ręki, żeby mi pomóc. Patrząc na mnie z góry, pociągnął z elektronicznego papierosa i powiedział:

– Co z tobą? Nie potrafisz nawet normalnie chodzić?

Z trudem dźwignęłam się ze ścieżki. Strasznie bolała mnie kostka. Zachwiałam się i odruchowo spróbowałam złapać się Toma, żeby znów nie upaść, ale odsunął się tak, że znalazł się poza moim zasięgiem. Postawiłam

stopę na ziemi i chciałam zrobić krok – nie dało się. Skręcona jak nic, pomyślałam.

– Boli mnie. Muszę zawrócić.

– To oczywiste – stwierdził, chowając papierosa do kieszeni. – Ale ja nie muszę. Potrafię chodzić tak, żeby nie wylądować na dupie. Dogonisz mnie, jeśli będziesz w stanie.

– Nie mam ochoty na twoje towarzystwo, kiedy jesteś w takim nastroju. Idź dalej sam.

Na odchodnym rzucił jeszcze:

– To ty jesteś w „takim” nastroju. Lepiej nie ryzykować niedzielnego lunchu z tobą, bo może się okazać, że znowu coś ci nie pasuje. Na przykład ziemniaczki są za mało kruche.

Rozdrażnił mnie ten nasz, nazwijmy go, prywatny żart, mimo to nadal nie chciałam rezygnować z dnia. Spróbowałam zrobić kilka kroków, ale za bardzo bolało. Uznałam, że lepiej nie pogłębiać kontuzji i po prostu zawrócić. Zawołałam za Tomem, mówiąc, że możemy się przecież wybrać do Fox and Hound później, ale zignorował mnie. Patrzyłam za nim, za jego malejącą w oddali sylwetką, aż w końcu zniknął za zakrętem. Odczekałam kilka chwil. Nie cofnął się. Dałam mu jeszcze parę minut, licząc, że może zmieni zdanie. Nie przyszedł.

Ruszyłam w drogę powrotną. Dotarwszy do Kaskady, włożyłam stopę do miski z lodowatą wodą, co nieco złagodziło ból. Mniej więcej godzinę później wybrałam numer Toma, ale jego telefon zadzwonił na górze. Potem co jakiś czas spoglądałam za okno w nadziei, że zobaczę, jak Tom wychodzi z lasu i przekracza strumień. Dwa razy wykuśtykałam na zewnątrz i głośno go zawołałam; myślałam, że może znajduje się gdzieś w zasięgu głosu i mnie usłyszy. Na próżno. Nie wrócił. Później tego samego wieczoru przyjechała Mary z jego kolegami...

– I wtedy nas okłamałaś – dopowiedziała Mary.

Siedziałam na pufie w salonie. Policjanci stali pośrodku pokoju, skąd mieli oko na nas obie. Mary wybrała kanapę, usadowiła się jak najbliżej mnie – dzieliło nas raptem pół metra – i nawet ułożyła ciało w taki sposób, żeby być zwróconą twarzą do mnie. Ignorowałam ją, wpatrując się prosto przed siebie, w policjantów. Czekali, jak zareaguję na komentarz, którym Mary podsumowała moją opowieść o niedzielnych wydarzeniach.

Postanowiłam nie zwracać uwagi na jej oskarżenia. Nie zamierzałam odpowiadać na zaczepki.

– Było mi wstyd – przyznałam po chwili milczenia. – Nie chciałam, żeby ktokolwiek się dowiedział, że się pokłóciliśmy i Tom zostawił mnie na szlaku. Nie myślałam trzeźwo. Dlatego kiedy zjawiała się Mary i koledzy Toma, chyba po prostu miałam nadzieję, że wystarczy, jeśli powiem, że Tom zdecydował się zostać poza domem dłużej niż zwykle. I że między nami wszystko w porządku.

Mary znów próbowała się wtrącić, ale jeden z funkcjonariuszy kazał jej poczekać na swoją kolej i dał mi znak, żebym kontynuowała.

– Było coraz później, a Tom wciąż nie wracał. Zostawiłam drzwi niezamknięte na klucz i położyłam się na kanapie. Chciałam usłyszeć, kiedy będzie wchodził do domu. Pomyślałam, że może czeka, aż zasnę, żeby uniknąć konieczności tłumaczenia się z nocnego powrotu. Ale gdy obudziłam się następnego dnia, nadal go nie było. Spakowałam nas wieczorem, zanim poszłam spać, bo rano mieliśmy wyjeżdżać. Przeniosłam swoje rzeczy do samochodu, walizkę Toma zostawiłam w sypialni. Jego samochód stał przed chatą, stąd wiedziałam, że rzeczywiście nie wrócił. Zostawiłam mu kartkę.

Wskazałam na kominek. Jeden z policjantów sięgnął po stojącą na nim pocztówkę. Napisałam na niej: „Przyjechaliśmy osobno, więc pewnie będziesz mnie unikał aż do samego domu. Spakowałam nas. Zostawiłam twoje rzeczy na górze. Do zobaczenia później”.

– Dlaczego przyjechaliście państwo osobno? – spytał policjant.

– Zawsze tak robimy – odparłam bez wahania. – Żeby nie została bez transportu na wypadek, gdyby Tom musiał pilnie pojechać do biura albo do którejś z nieruchomości.

Mary bąknęła pod nosem coś, czego na szczęście nie usłyszałam.

– Przed wyjazdem zadzwoniłam do domu, żeby sprawdzić, czy go tam nie ma. Doszłam do wniosku, że postanowił zostać dłużej w Cullerton i że wróci do chaty dopiero, kiedy stąd zniknę.

– Pomimo tego, że dziś musiał iść do pracy? – prychnęła Mary.

– Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Po prostu chciałam dać mu więcej przestrzeni. Każde z nas przyjechało tu swoim samochodem, więc to nie tak, że przeze mnie utknął z dala od biura.

Mary nieoczekiwanie wstała i oznajmiła, że musi skorzystać z toalety. Łazienka znajdowała się na dole, ale Mary z jakiegoś powodu wybrała tę na górze. To oczywiste, że poszła powęszyć.

– Czyli po tym, jak wczoraj opuściła pani to miejsce, ale zanim dziś się tu spotkaliśmy, pani mąż przyszedł i zabrał swój samochód oraz walizkę? – spytał jeden z policjantów.

– Najwyraźniej tak. Bo obie te rzeczy były tutaj wczoraj, kiedy odjeżdżałam.

– Dzwoniła pani do Fox and Hound, żeby się dowiedzieć, czy mąż w ogóle dotarł do pubu?

Pokręciłam głową.

– Nie, nie zrobiłam tego. Tom był na mnie zły, nie podszedłby do telefonu. Ale teraz rozumiem, że rzeczywiście powinnam była zadzwonić.

Nagle z góry doleciał gniewny krzyk Mary. Wzywała funkcjonariuszy. Pobiegli po schodach, ja tuż za nimi. Nie miałam pojęcia, co ją tak wystraszyło, ale zorientowałam się, jak tylko wpadliśmy do łazienki. Była tak rozwścieczona i wyrzucała z siebie słowa z takim bełkotem, że docierało do mnie zaledwie jedno na kilka. Plotła coś o „wybielaczu” i „lakierze”, podkreślała, że to „przesądza” sprawę.

Wszyscy spojrzeli na mnie.

– Nie mogłam tego tak zostawić – wybąkałam. – Musiałam sprzątnąć bałagan.

Mary pokazała na krany.

– Powiedziała, że Tom skaleczył się o kran. Ale przecież nie da się skaleczyć o coś takiego. Sami spójrzcie. Dotknijcie.

Jeden z policjantów podszedł bliżej, nachylił się i dokładnie obejrzał kurki; nie dotknął ich.

– Ile było krwi? Podobno niewiele.

Mary musiała przyznać, że krwi rzeczywiście było niedużo... Ale nagle przypomniała sobie coś i pokazała mnie palcem.

– Miała ślady krwi na bluzce. Mów, gdzie ją schowałaś. Powiedziała, że Tom otarł się o nią, kiedy krwawił, ale wystarczy spojrzeć, żeby wiedzieć, że to ślad po chlapnięciu, a nie rozmazaniu. Gdzie jest bluzka?

– Raptem parę kropli na rękawie – zaprotestowałam, bo opisała to tak, jakby krew trysnęła jak fontanna.

– Przynies bluzkę. Pokaż. A może zdążyłaś ją potraktować wybielaczem?

Funkcjonariusze popatrzyli na mnie i w ich spojrzeniach zobaczyłam coś, co mi się bardzo nie spodobało.

– Wyrzuciłam ją, bo nie mogłam zmyć krwi.

Mary wykonała gest, który miał oznaczać: „Potrzebujecie jeszcze więcej dowodów? Tylko posłuchajcie tych bredni!”.

– Gdzie jest bluzka? – powtórzyła. – Wiem, że istnieją metody na określenie tego, w jaki sposób powstała plama z krwi. Może w koszu? Gdzie masz kosz?

Wciąż nie mogłam uwierzyć w to, co się działo. Moja szwagierka oskarżała mnie o... Dotąd chyba nie dopuszczałam tego do siebie – teraz w końcu musiałam. Mary oskarżała mnie o zabicie Toma i pozbycie się jego ciała. Wiem, to niedorzeczne. Ale odpowiadając na jej pytanie – mimo że była to szczerą prawdą – sama musiałam przyznać, że moje słowa brzmią jednak trochę podejrzanie.

Po minach całej trójki poznałam, że ani trochę mi nie wierzą.

MARY

Zdumiewające, że jeszcze jej nie aresztowali. Przecież gołym okiem widać, że zachowuje się podejrzanie. Pokazuje policjantom karteczkę, którą – proszę, jak się doskonale składa – zostawiła Tomowi, a potem pada pytanie o to, dlaczego wzięli dwa samochody na wspólny wyjazd.

Lucy długo milczy, nie bardzo wiedząc, jak wybrnąć z pułapki, do której sama się zagoniła, i w końcu odpowiada:

– Zawsze tak robimy. Żeby nie została bez transportu na wypadek, gdyby Tom musiał pilnie pojechać do biura albo do którejś z nieruchomości.

Wiem, że rzeczywiście tak się zdarzało, tyle że bardzo rzadko, dosłownie kilka razy, kiedy Tom z góry wiedział, że nie będzie mógł zostać w Cullerton tak długo jak ona. I wiem, że tym razem nie planował niczego takiego. Nie mogę pozostawić takiej bzdury bez komentarza, ale też muszę zapanować nad złością, dlatego zniżam głos tak, żeby moje słowa dotarły tylko do Lucy:

– Pieprzysz jak potłuczona.

Ignoruje mnie.

– Przed wyjazdem zadzwoniłam do domu, żeby sprawdzić, czy go tam nie ma. Doszłam do wniosku, że postanowił zostać dłużej w Cullerton i że wróci do chaty, dopiero kiedy stąd zniknę.

– Pomimo tego, że dziś musiał iść do pracy?

Plecie dalej, ale mam już dosyć bredni. Udając, że muszę skorzystać z toalety, idę na górę przekonać się, czy w łazience nadal znajdują się plamy krwi. No tak, Lucy posprzątała. Tak jak przypuszczałam. Podłoga

i umywalka lśnią czystością. Naprawdę sądziłam, że nie usunie śladów? Jakże byłam naiwna... Nagle wyczuwam znajomy odór.

Wybielacz. W dużych ilościach.

Zaczynam krzyczeć, wzywając do siebie funkcjonariuszy. To nie było zwykłe sprzątanie; zołza wypucowała łazienkę wybielaczem w nadziei, że technicy, z tymi ich specjalnymi lampami i środkami chemicznymi, nie znajdą nawet kropli krwi. Ta niewielka ilość, którą zobaczyłam w niedzielę, była prawdopodobnie pozostałością po pierwszym, jak widać bardzo niedokładnym, szorowaniu. Niewykluczone, że całe ściany, okno i lustro były pochłapane krwią.

Policjanci wbiegają po schodach, Lucy tuż za nimi.

– Umyła łazienkę wybielaczem, żeby pozbyć się krwi z podłogi i umywalki – wypalam. – Krew przecież łatwo schodzi z lakieru i ceramiki, a ona mimo to użyła wybielacza. Wybielacz do plam z krwi? To chyba przesądza sprawę.

Lucy nawet nie próbuje się usprawiedliwiać w żaden pokrętny sposób, po prostu przyznaje, że sprzątnęła bałagan. Kiedy przypominam policjantom, że Tom rzekomo skaleczył się o kran, jeden z nich długo przygląda się kurkom. Z jego miny wnioskuję, że podobnie jak ja uważa, że rozcięcie skóry o coś tak gładkiego jest zwyczajnie niemożliwe. Ale nie odzywa się. Mówię więc o plamie krwi na rękawie Lucy i domagam się, żeby pokazała, co zrobiła z bluzką. Liczę, że zapomniała o tym szczególe i nie przygotowała sobie odpowiedzi.

Nie doceniłam jej – jasne, że ma gotowe wytłumaczenie: pozbyła się bluzki. Ależ oczywiście. Myśli, że mnie zagięła, ale się przeliczyła. Jest zbyt pewna siebie. Ponieważ okazuje się, że wcale nie wrzuciła bluzki do kosza w kuchni ani do kontenera na zewnątrz, a więc tam, gdzie każda normalna osoba w normalnych okolicznościach umieściłaby zniszczoną odzież niemającą związku z żadną ohydłą zbrodnią. Nic z tych rzeczy. Otóż nasza rzekomo niewinna Lucy przyznaje, jak gdyby nigdy nic:

– Spaliłam ją w palenisku za domem.

8

LUCY

Mary wybiegła z łazienki i pomknęła na dół. Poszliśmy za nią do kuchni i stanęliśmy w drzwiach, akurat kiedy kopniakiem zdejmowała pokrywę ze schowanego w kącie pięćdziesięciolitrowego kosza na śmieci, w którym nie było nic poza pustymi opakowaniami po produktach spożywczych; w każdym razie na pewno nie znalazłaby tam bluzki. Mimo to pochyliła się nad nim, wsadziła rękę do środka i zaczęła grzebać jak kloszardka.

– Przecież mówię, że ją spaliłam – skomentowałam, zerkając znacząco na policjantów. – Co ona wyprawia?

Zignorowali mnie. Przeniosłam spojrzenie z powrotem na Mary i zobaczyłam, jak wyjmuje coś z kosza i trzyma dwoma palcami, wyciągając przed siebie.

– Co to takiego? – spytał jeden z policjantów.

Wiedziałam, czym jest ten przedmiot, i nie mogłam uwierzyć w to, co widzę.

– Insulina Toma – oznajmiła Mary.

Do połowy pełna buteleczka. Bez sensu. Tom potrzebował insuliny, a to był jego jedyne zapas; trzymał go w apteczce w łazience albo w swoim samochodzie, jeśli planował spędzić cały dzień poza domem – właśnie dlatego, żeby opakowanie przypadkiem nie trafiło do kosza. Jednak z jakiegoś powodu je wyrzucił. Próbowałam wymyślić, dlaczego mógł to zrobić, kiedy nagle Mary podsunęła gotową odpowiedź:

– To dowodzi, że Tom nie wybrał się na żadną pieszą wędrówkę. Ona – pokazała mi palcem – wyrzuciła insulinę, bo wiedziała, że Tom nie będzie już jej potrzebował.

– Co? O czym ty mówisz?

– Tom nie żyje. Dlatego pozbyłaś się insuliny. Spójrz, buteleczka jest do połowy pełna. Jedyna, jaką miał.

– Przecież wiem. Musiał ją wyrzucić przez przypadek, może kiedy czyścił schowek w samochodzie...

– Mam dosyć wysłuchiwania tych kłamstw. Aresztujcie ją za morderstwo.

Gdyby zachowywała się odrobinę mniej gwałtownie i gdyby nie otwierała tak szeroko oczu ze wściekłości, być może zbyłabym jej absurdalne oskarżenia śmiechem. Ale wcale nie było mi do śmiechu.

Dobrze, że przynajmniej policjanci nie rzucili się na tę buteleczkę z insuliną jak na ostateczny dowód mojej winy.

– Bardzo panie proszę o zachowanie spokoju – odezwał się jeden z funkcjonariuszy. – Skąd pewność, że Tom nie ma więcej insuliny?

– Bo nie ma – stwierdziła krótko Mary.

– Może nie mógł jej znaleźć, kiedy wrócił po samochód i ubrania, bo ktoś przypadkiem strącił ją do kosza – zastanawiałam się głośno.

– Kiedy ostatni raz brał insulinę?

– W niedzielę rano.

Kiedy wypowiadałam te słowa, naszła mnie okropna myśl. Wychodząc z domu na dłużej, Tom zwykle zabierał ze sobą insulinę, ale nie można było wykluczyć, że w tym przypadku nie zrobił tego i zanim zdążył wrócić do Kaskady, poziom cukru we krwi spadł mu tak bardzo, że w lesie Tom dostał ataku i stracił przytomność. Być może nawet umarł.

Mary najwyraźniej doszła do takiego samego wniosku. Usiadła na linoleum w kuchni i zasłoniła twarz dłońmi. Przemieniła się w małą dziewczynkę i głosem pozbawionym jadu, walcząc ze łzami, powiedziała:

– Musimy przeszukać las. I wąwóz.

Pochyliłam się nad nią i położyłam dłoń na jej ramieniu.

– Mary, Tom na pewno miał przy sobie więcej insu...

Niesamowite, ile siły drzemało w tym drobnym ciałku. Odtrąciła moją rękę tak mocno, że zabolął mnie nadgarstek. Nagle skoczyła na równe nogi – aż musiałam się cofnąć – i wrzasnęła:

– Nie dotykaj mnie, ty suko! Wiem, że coś mu zrobiłaś. Zabiję cię za to.

Policjanci zainterweniowali i rozdzielili nas. Usiadłam w sypialni na górze z jednym z nich i spróbowałam odciąć się od grózb Mary, które było słychać nawet przy zamkniętych drzwiach. Na szczęście w końcu się uspokoiła i uciszyła.

Funkcjonariusz poinformował mnie, że wszystkie szczegóły dotyczące zniknięcia Toma zostaną przekazane do odpowiedniego wydziału, który zajmie się oszacowaniem ryzyka, a także dokona rozeznania w biurze Toma, w miejscach, w których często bywał, oraz w szpitalach. Teren w pobliżu chaty zostanie przeszukany, odpowiedni ludzie sprawdzą, czy

nie nastąpiły podejrzane ruchy na koncie bankowym Toma, jak również prześwietlą jego profile w mediach społecznościowych.

Niemniej jednak nikt jeszcze nie zamierzał wzywać kawalerii, chyba że oficer prowadzący natrafi na dowody mogące świadczyć o popełnieniu przestępstwa bądź uzna, że Tomowi grozi niebezpieczeństwo.

– Proszę wybaczyć sformułowanie, wiem, że brzmi bezdusznie – powiedział policjant. – Rozumiem, że się pani martwi, ale proszę pamiętać, że pani mąż jest dorosłym człowiekiem, a dorośli ludzie zasadniczo mogą robić, co chcą. Takie rzeczy zdarzają się naprawdę bardzo często, pani Packham. Mężowie lub żony nagle i bez słowa znikają z rodzinnego domu. Mają do tego prawo.

– Ile czasu potrzeba, zanim ten oficer prowadzący zdecyduje, że przypadek Toma uzasadnia, jak pan to ujął, wezwanie kawalerii?

– Być może kilka dni. Ale kto wie, może nawet parę tygodni. Proponuję, żeby tymczasem odwiedziła pani miejsca, w których mąż bywa, i jeszcze raz podzwoniła do znajomych i rodziny. Ktoś może dysponować informacjami. Niewykluczone, że mąż kontaktował się z kimś po tym, jak rozmawialiście po raz ostatni. A jeśli nie zrobił tego dziś, może zrobić jutro. Po powrocie do Sheffield proszę wypełnić zgłoszenie zaginięcia w miejscowej komendzie. W ten sposób nada pani sprawie oficjalny bieg.

Pocieszył mnie, by po chwili znów przejść do negatywów. Uprzedził, że nawet jeśli policja odnajdzie Toma, ten będzie musiał wyrazić zgodę na przekazanie mi informacji o jego miejscu pobytu. Muszę być przygotowana na to, że Tom odmówi.

Byłam przygotowana – dlatego nie zamierzałam zgłaszać zaginięcia. To Mary zawiadomiła policję, nie ja. Wcale ich tu nie chciałam. Ale zanim mnie za to potępicie, musicie poznać powód, dla którego nie miałam wątpliwości, że Tom żyje. Dla którego mnie zostawił. Dla którego wiedziałam, że do mnie nie wróci. Nikomu o tym nie powiedziałam, mimo że mogłam oszczędzić sobie jadu Mary.

Otóż Tom miał romans.

MARY

– Nie da się zaprzeczyć, że nie wszystkie elementy historii Lucy układają się w spójną całość. Niepokojąca jest zwłaszcza ta spalona zakrwawiona bluzka.

Te słowa policjanta nareszcie pozwalają mi się uspokoić. Straciłam panowanie nad sobą po kłamstwach, które Lucy wygadywała na temat

Toma, i teraz przyglądam się funkcjonariuszowi, otwierając szeroko oczy jak urzeczzone dziecko. A więc są po mojej stronie. Wiedzą, że Lucy to zła osoba.

– Niestety nie możemy jej aresztować bez dowodów. Tom jest dorosłym człowiekiem i może chodzić, dokąd chce, kiedy chce i na jak długo ma ochotę. Istnieje prawdopodobieństwo, że wszystko, co mówi Lucy, jest prawdą i rzeczywiście martwi się o męża. Musimy postąpić odpowiednio do tych okoliczności.

Pozbawił mnie nadziei, a mimo to nachyla się, jakby chciał mi coś powiedzieć, jakbyśmy byli współspiskowcami. Może potrzebuje odrobinę zachęty?

– Ale możemy coś zrobić bez jej wiedzy?

Robi zdziwioną minę, jakbym zaproponowała, żeby wręczył mi odznakę i wysłał na tajną misję. Widocznie źle go zrozumiałam.

– W tej chwili nie widzę innego rozwiązania niż uwzględnienie wątpliwości w raporcie – oznajmia oficjalnym tonem. – Zbyt mała ilość dowodów wskazujących na ewentualność popełnienia przestępstwa nie daje nam podstaw do aresztowania Lucy ani przeszukania domku. Ale coś pani powiem. Mój ojciec jest komisarzem, jego dobry znajomy, Aaron Reavley, również komisarz, pracuje w South Yorkshire i zajmuje się ciężkimi przestępstwami. Opowiem ojcu o tej sprawie, być może skontaktuje się ze swoim odpowiednikiem w hrabstwie. Będzie pani musiała wypełnić zgłoszenie zaginięcia na wypadek, gdyby Lucy z tym zwlekała. Nie jest powiedziane, że komisarz Reavley zostanie przydzielony do tej sprawy, ale jeśli pozna moje obawy co do spójności historii opowiedzianej przez żonę pani brata, może zdoła zainterweniować i przyspieszyć procedury.

– W porządku. Zaczekam na kontakt ze strony komisarza Reavleya. Co jeszcze mogę zrobić?

– Coś pani poradzę, ale proszę się tym nie chwalić, inaczej mogę mieć kłopoty. Jeżeli do jutra nikt się do pani nie odezwie, niech pani powie, że brat ukradł pani biżuterię.

Zdaje się, że znów wspólnie spiskujemy. Jestem zaintrygowana, ale i zdziwiona.

– Jak to?

– Wiem, że powinno być inaczej, ale tak się składa, że policja poświęca więcej troski utraconemu mieniu niż zaginionym osobom. Jeśli zgłosi pani,

że Tom dopuścił się kradzieży, być może oficer prowadzący bardziej się przyłoży.

Zaskakujące, ale warto mieć to na uwadze.

– Rozumiem. Co teraz?

– Teraz musi pani stąd odjechać. Lucy opuści chatę jakiś czas później.

No jasne. Wiedzą, jak łatwo skaczemy sobie do gardeł, i nie chcą, żebym zaczęła ją śledzić i próbowała, nie wiem, zepchnąć ją z drogi. Miło byłoby popatrzeć, jak jej gówniany ford wpada do rowu, ale nie zamierzam tak prędko rozstawać się z Cullerton.

– Jesteście, panowie, mocno zajęci? Moglibyśmy pokonać tę trasę przez las, o której mówiła Lucy. Poza tym wypadałoby zapytać w Fox and Hound, czy mają monitoring. Może dałoby się sprawdzić, czy Tom rzeczywiście dotarł do pubu, w co wątpię.

– Bardzo mi przykro, ale niestety nie mamy na to czasu...

– Chodzi o szybkie rzucenie okiem. Powiecie, że wizyta w Kaskadzie zajęła wam dłużej, niż zakładaliście.

– Pani Packham, proszę posłuchać. Przeszukanie domu wymaga obecności specjalistycznej ekipy i...

Wiem, że nie chciałby, żebyśmy przegapili coś ważnego, dlatego mówię, wchodząc mu w słowo:

– Tylko się rozejrzemy. A nuż coś znajdziemy. Jeśli umknie nam jakiś dowód, nikt się o tym nie dowie, nie będzie pan miał kłopotów. Przecież technicy i tak na niego natrafiają, kiedy będziecie przeprowadzali właściwą rewizję. A tak... może wpadnie nam w ręce coś ważnego. Nie chciałby pan być tym, który rozwiąże tę sprawę?

Najwyraźniej nie zależy mu na uznaniu.

– Jeśli pani chce, może pani wejść na szlak, ale odradzałbym samotną wyprawę. Proszę się również trzymać z daleka od wąwozu. Sugerowałbym ponadto, żeby nie podejmowała pani próby kontaktu z kierownikiem Fox and Hound.

Postanawiam wykorzystać swój urok. Wiem, że jestem atrakcyjną kobietą, dlatego przysuwam się do policjanta. Niech poczuje moje perfumy.

– Przecież moglibyśmy przeszukać dom teraz, skoro już tu jesteśmy. I podwórze. A jeśli ciało Toma jest zakopane za domem albo spalone na popiół w palenisku?

Wszystko na nic. Policjant okazuje się nieczuły na moje wdzięki i dosłownie wyrzuca mnie z Kaskady. Zatrzymuję się przy samochodzie

i jeszcze raz zerkam na chatę. Dostrzegam Lucy w oknie w sypialni, jest niewyraźnym kształtem, który szybko znika.

Funkcjonariusz rusza za mną w radiowozie i eskortuje aż do granic Cullerton, uniemożliwiając mi ukrycie się w bocznej uliczce. Nie zdoła jednak powstrzymać mnie przed zastawieniem zasadzki półtora kilometra dalej. No, chyba że by mnie ubłagał. Co w pewnym sensie robi. Na wysokości pubu Serengeti zatrzymuje się przede mną i wysiada. Opuuszczam szybę.

– Po powrocie do Kaskady proszę zwrócić uwagę, czy Lucy ma na palcu obrączkę ślubną. Jest srebrna i dosyć droga. Oczywiście Tom płacił... Jeżeli mój brat rzeczywiście po prostu z jakiegoś powodu postanowił nie wracać z pieszej wyprawy, Lucy zapewne spodziewa się, że jeszcze go ujrzy, prawda? Dlatego powinna nadal nosić obrączkę.

– Przyjrę się – obiecuje i brzmi to, jakby zamierzał dotrzymać słowa. – Proszę na nią nie czekać. Odeskortujemy ją o wiele dalej niż panią. I proszę się też trzymać z daleka od jej domu. Naprawdę. Bardzo panią proszę. Niech się pani z nią nie kontaktuje. To bardzo zły pomysł i może pani przysporzyć sobie kłopotów.

Udzieliwszy mi ostrzeżenia, żegna się ze mną, wsiada do radiowozu, zawraca i odjeżdża w stronę chaty. Mógł sobie odpuścić to pouczenie. I nie nadużywać słowa „proszę”. Moje zamiary co do Lucy nie obejmują pościgu autostradą za jej gównianym fordem.

Nie, mam zupełnie inne plany. Chcę przeprowadzić śledztwo na własną rękę.

9

LUCY

Wieści o tym, że rano było u mnie zamieszanie, najwyraźniej zdążyły roznieść się po najbliższej okolicy. Kiedy wracałam do domu wczesnym wieczorem, sąsiad naprawiający samochód trzy budynki dalej posłał mi długie, badawcze spojrzenie. Sąsiadka z domu obok podeszła do okna i wpatrywała się we mnie, a potem pomachała, kiedy ją zauważyłam. To nie była paranoja, ci ludzie po prostu bardzo chcieli poznać przyczyny wizyty policji.

Wyjęłam telefon po raz pierwszy od wyjazdu z Kaskady i zobaczyłam nieodebrane połączenie od Petera, wspólnika Toma. Dzwonił rano, ponieważ Tom nie stawił się w biurze, ale wtedy go zignorowałam. Dotarło do mnie, że Peter nadal czeka na wiadomość. Postanowiłam, że tym razem... znów odpuszczę. Później z nim porozmawiam.

Naprzeciwko mieszkała rodzina Carterów, których dwunastoletnia córka czasem pukała do drzwi okolicznych domów i sprzedawała spiracone filmy. Widocznie rodzice nauczyli ją, jak nielegalnie ściągać pliki i wypalać płyty. Dosłownie kilka dni temu kupiłam od niej dwa krążki, a teraz znów przyszła, od razu informując, że nie ma nic nowego. Mimo to zdjęła wieko z pudełka po butach i pokazała mi jego zawartość.

Niby wszystko było jak zawsze, a jednak nastąpiła jakaś wyczuwalna... transmogryfikacja. Zwykle dziewczyna opowiadała, co słyhać w szkole, albo mówiła, które filmy są fajne, a które nie bardzo, tymczasem dziś zapytała, „co u mnie”. Zerknęła przy tym w stronę swojego domu – gdzie jej rodzice stali z nosami przyklejonymi do okna w salonie – co tylko potwierdziło moje podejrzenia. Wysłali ją na przeszpiegi, żeby się dowiedziała, po co była u mnie policja.

– Dziękuję, dobrze – odparłam. – Poza tym, że musiałam zgłosić próbę włamania do garażu, w którym Tom trzyma monster trucka.

– O, nie ma pani obrączki. Chyba nie dała jej pani komuś innemu?

Spojrzałam na pasek jasnej skóry na palcu. Córce sąsiadów zawsze bardzo się podobała moja obrączka i nawet wymogła na mnie obietnicę, że

oddam ją jej, jeśli kiedykolwiek rozstanę się z Tomem.

– Nie, nie. Przypadkiem zostawiłam ją w Kaskadzie. Zabiorę następnym razem. To był pracowity dzień.

– Dlatego nie zdążyła się pani umyć?

– Czyżbym śmierdziała?

– Tego nie powiedziałam. To by było niegrzeczne.

A jednak właśnie to zrobiłaś, pomyślałam. Wybrałam film, zapłaciłam i dziewczyna pobiegła zdać sprawozdanie rodzicom. Historyjka o próbie włamania nie wyjaśniała, dlaczego siostra Toma wrzeszczała na mnie na ulicy – zwłaszcza jeśli ktoś słyszał groźby, którymi mnie raczyła – ale miałam nadzieję, że zaspokoi ciekawość przynajmniej niektórych. Teraz tylko musiałam zaczekać, aż rozniesie się jak wirus.

W drodze do domu odwołałam poniedziałkowe zajęcia jogi, ponieważ chciałam być na miejscu, w razie gdyby wrócił Tom, zwłaszcza jeśli zamierzał zakraść się po więcej swoich rzeczy. Poza tym nie byłam w nastroju i nie miałam ochoty na towarzystwo. Tyle że kiedy już zostałam sama w czterech ścianach, nie mogłam znieść bezczynności i czekania. Biegałam do okna na każdy odgłos zamykanych drzwi od samochodu albo ludzkie głosy. Wiedziałam, że muszę się ruszyć. W końcu joga to joga, dobrze mi zrobi zarówno na ciało, jak i na umysł.

Ale najpierw: prysznic. Nie brałam go od sobotniego popołudnia, kiedy szykowaliśmy się z Tomem do wieczoru w pubie. W niedzielę rano nie wykąpałam się, bo uznałam, że i tak nie ma to sensu, skoro wybieramy się na długą pieszą wycieczkę. A później, rzecz jasna, okoliczności sprawiły, że nie miałam do tego głowy ani czasu. Przejrzałam się w lustrze w łazience i zobaczyłam worki pod oczami, splątane włosy, zakurzoną skórę, sklezione pomimo łez powieki i grudki brudu przyklepione do brwi tuż obok jednego z wygolonych pasków.

Chodziłam na jogę od ośmiu miesięcy – w tych godzinach, kiedy Tom zabierał swojego ojca na spacer w parku – ale przez ten czas nie udało mi się nawiązać bliższej znajomości z żadną z ćwiczących ze mną kobiet. Ograniczałam się do płytkich, niezobowiązujących rozmów, co ułatwiało mi przemykanie drobnych, nieszkodliwych kłamstw w odpowiedzi na pytania o Toma, nasz związek i ogólnie życie. Tylko jedna osoba zorientowała się, że coś jest ze mną nie w porządku, ale poruszyła temat w tak zawoalowany sposób, że z łatwością ją zbyłam. Lubiłam chodzić na zajęcia, ale jeszcze chętniej przebywałam w domu.

To się mogło wkrótce zmienić. Tom nadal nie wracał i byłam przekonana, że wieczorem też go nie zobaczę. Po zapadnięciu zmroku mój nastrój znacząco się pogorszył. Napiłam się trochę wódki na sen, chociaż nie miałam większych złudzeń, że rzeczywiście mi pomoże. Dziwnym objawem po ostatnich kilku dniach bez antydepresantów okazał się nawrót osłabiających lęków z dzieciństwa.

Tabletki skończyły się przed dziesięcioma dniami. Przez pierwszy tydzień zaliczyłam wprawdzie lekki spadek nastroju, ale spałam całkiem nieźle – dlatego, że przez całą noc miałam przy sobie Toma. Natomiast niedzielna i poniedziałkowa samotność wywołała coś, co nazywam snem o nieskończoności. Jeszcze do tego wrócę.

Mimo to położyłam się i spróbowałam zasnąć. Wpadłam na pomysł, żeby zająć środkową część łóżka – wtedy Tom na pewno mnie obudzi, jeśli przyjedzie w środku nocy i będzie próbował wsunąć się pod kołdrę – ale było mi tam niewygodnie, w dodatku wciąż myślałam o tym, że jestem tu całkiem sama, co nasilało sen o nieskończoności.

Leżąc przy włączonym świetle, postanowiłam sprawdzić nasz wspólny rachunek bankowy. Chyba miałam nadzieję, że w historii znajdę jakiś zakup albo wypłatę z bankomatu z podaną lokalizacją i przynajmniej będę wiedziała, gdzie przebywa Tom. I że w ogóle żyje. Wiedziałam jednak, że tego rodzaju operacje pojawiają się na koncie nierzadko z jedno- albo dwudniowym opóźnieniem.

Ponownie wybrałam nowy numer, z którego Tom napisał esemesa, ale tak samo jak poprzednio odezwał się automat i poinformował mnie, że połączenie nie może zostać zrealizowane. Mogłam liczyć jedynie na to, że policji uda się namierzyć aparat – o ile to w ogóle wykonalne przy wyłączonym urządzeniu.

Zuzu zaczęła głośno domagać się jedzenia, czym dała mi pretekst do wstania z łóżka. Ale kiedy zeszałam na dół, okazało się, że jej miska jest do połowy pełna. Kotka stała pod drzwiami i miauczała; chciała, żeby ją wypuścić. Trochę się zaniepokoiłam, bo Zuzu rzadko kiedy wychodziła w nocy, zwykle przesyiała ją zwinięta w kłębek na poduszce pod biurkiem Toma. Widocznie wyczuła jego nieobecność. Albo postanowiła mnie opuścić.

– Toma nie ma – odezwałam się do niej. – Już nie wróci. Zostałyśmy we dwie. – Wątpię, czy zrozumiała, ale zdawała się patrzeć na mnie ze smutkiem w oczach. – Więc śmiało, ty też mnie porzuć. Zasłużyłam sobie. –

Uchyliłam drzwi i Zuzu błyskawicznie wymknęła się na zewnątrz jak uwolniony więzień.

Poszłam do salonu, włączyłam xboksa Toma i próbowałam obejrzeć film, który kupiłam od sąsiadki, ale zupełnie mi nie szło, nie byłam w stanie się skupić. Przeniosłam się na górę, usiadłam przed komputerem... i ponownie nie udało mi się nagrać mojego niemieckiego tłumaczenia Dróżnika Dickensa; znów zawiesiłam się na: „Halo! Tam, w dole!”.

Tym razem jednak winien był nie tylko brak skupienia. Na ułożonej w porządku chronologicznym liście nagrań zauważyłam jedno bez nazwy, co było dziwne, bo zawsze dokładnie opisuję pliki. Z daty wynikało, że utworzono je w czwartek 13 czerwca, kilka dni temu, co też wydało mi się zaskakujące, ponieważ wiedziałam, że akurat tamtego dnia nic nie nagrywałam. Włączyłam odtwarzanie.

„Wie viel für einen blasen?” – rozbrzmiał w głośnikach głos Toma. Zachichotałam zaskoczona. Nagranie trwało minutę i w skrócie chodziło o to, że mój mąż tłumaczył turystom, w jaki sposób nagabywać prostytutki na berlińskich ulicach. Pod koniec płakałam ze śmiechu.

Tom zawsze był kawalarzem, uwielbiałam to w nim, ale dobrze, że nie znał mojego hasła, inaczej jestem przekonana, że wrzuciłby tę perełkę do biblioteki plików, które udostępniałam uczniom. Wyobraziłam sobie jego rozradowaną minę, kiedy to nagrywał, zapewne rzetelnie przygotowany, tylko po to, żebym miała ubaw.

Po chwili łyzy wesołości zmieniły się w łyzy smutku. Temat żartu skierował moje myśli na nowe tory.

Wyobraziłam sobie Toma z inną kobietą, nie zastanawiając się nad tym, kim mogła być i gdzie mieszkać. Widziałam ich, jak leżą spleceni. Jak się kochają. Kobieta w ogóle o mnie nie myśli, być może nawet nie wie o moim istnieniu; Tom wypchnął mnie ze świadomości. Miałam nadzieję, że zwyczajnie poczuł potrzebę wyszumienia się i w końcu wróci.

Kliknęłam nagrywanie, żeby zrobić kolejne podejście do opowiadania Dickensa, ale zamiast przełożyć fragment tekstu, wyszeptałam:

– Bitte nach Hause kommen, Tom. – To sprawiło, że znów się rozplakałam. Tęskniłam za nim i bardzo pragnęłam go odzyskać, żeby znów mógł mnie rozśmieszać.

Zarazem potrzebowałam go, bo nie chciałam, by ludzie pomyśleli, że naprawdę coś mu zrobiłam.

MARY

Pod wieczór postanawiam zastosować taktykę, którą podsunął mi policjant z Lancashire: chcę zgłosić kradzież biżuterii, ponieważ Tom jako przestępca wzbudzi większe zainteresowanie organów ścigania niż Tom jako osoba zaginiona. Wcale nie mam ochoty tego robić, ale muszę jakoś pchnąć sprawę do przodu.

Na szczęście okazuje się, że nie ma takiej potrzeby. Biorę telefon do ręki, żeby zadzwonić, i w tej samej chwili rozlega się dzwonek. Nieznany numer.

– Dzień dobry, mówi komisarz Reavley z policji hrabstwa South Yorkshire. Czy rozmawiam z panią Mary Packham?

– Najwyższa pora – odpowiadam wciąż nabuzowana złością. – Mam nadzieję, że chodzi o mojego zaginionego brata.

– Tak. Dowiedziałem się o pani wątpliwościach i jeśli ma pani czas, chciałbym o tym porozmawiać.

Żałuję, że przywitałam się z nim nieprzyjemnym tonem, ale tak bardzo mi zależy na rozwiązaniu zagadki zaginięcia Toma, że nie potrafię zapanować nad emocjami.

– Wiadomo już coś? – pytam spragniona odpowiedzi. – Musicie znaleźć jego samochód.

– Na razie wiem niewiele. Liczyłem, że uzyskam informacje od pani. Ale nie chciałbym tego robić przez telefon. Czy możemy się gdzieś spotkać?

– Nie wszczęliście jeszcze dochodzenia? Choćby w sprawie samochodu?

– Pani Packham, spotkajmy się i pomówmy o tym, dobrze? Może być dziś wieczorem?

Starając się zachować spokój, odpowiadam, że dobrze, chętnie się spotkam, ale nie u niego. Ani w domu, bo tata zacznie się niepokoić. Powiem mu o Tomie, ale jeszcze nie teraz; nie chcę, żeby się dowiedział od glin.

– Nie, nie, komenda odpada. Jestem już po służbie. Myślałem o spotkaniu na mieście. Może w jakiejś kawiarni?

– Po służbie? To znaczy, że traktuje pan to poważnie? Uważa pan, że żona Toma coś mu zrobiła?

– Powoli. Kolega opowiedział mi o zniknięciu Toma i zaproponował, żeby mój zespół zajął się tym przypadkiem. Na razie chcę poznać kontekst, wie pani, rozeznaczyć się w sytuacji. To jak będzie? Kawiarnia?

Mam lepszy pomysł.

– Odwiedzam dziś kogoś w pewnej sprawie.

Nie byłby glina, gdyby nie zapytał kogo i w jakiej sprawie. Odpowiadam, że w poniedziałki Lucy ma jakieś głupie zajęcia. W tym czasie Tom zabiera tatę do parku, a potem grzebie przy swoim monster trucku. W niedzielę podczas pokazów Zwierzak stracił oponę, obiecałam, że przyjdę i pomogę w naprawie.

– Monster trucki są niesamowite – mówi Reavley. – Potrafi je pani naprawiać?

Śmieję się.

– Głównie parzę herbatę i podaję klucze.

– Chciałbym zobaczyć monster trucka z bliska. Mógłbym z panią pojechać. Porozmawialibyśmy, kiedy będzie pani podawała klucze.

Sama bym to zaproponowała. Wygląda na to, że Reavley zapalił się do sprawy Toma, co może oznaczać, że nie wierzy w historię, jakoby Tom po prostu wyszedł i nie wrócił. Niewykluczone, że wie już coś nowego, o czym ja nie mam pojęcia. Muszę to z niego wydobyć. Podaję mu adres i umawiam się z nim na siódmą.

* * *

Reavley jest już na miejscu. Stoi z założonymi rękami, opierając się o auto. Jest nawet dosyć przystojnym mężczyzną w średnim wieku, z brązowymi, lekko siwiejącym nad uszami włosami. Jego sylwetka kojarzy mi się z Tomem. Zostawiam wóz na miejscu parkingowym. Reavley wyciąga rękę na powitanie i widzę, że łąpie na mojego range rovera sport. Powstrzymuję się przed zasypaniem go pytaniami. Powtarzam sobie, że jest jeszcze za wcześnie, by komisarz wiedział coś konkretnego. Muszę być cierpliwa.

– Spodziewałem się warsztatu samochodowego. Myślałem, że pomyliłem adres.

Rozumiem jego zaskoczenie. Znajdujemy się przy typowej, obsadzonej po obu stronach rzędami szeregowców ulicy na przedmieściach.

– Jak pan się za chwilę przekona, to tak naprawdę wcale nie jest warsztat.

Wyjmuję klucze, żeby zamknąć wóz. Reavley przygląda się z podziwem.

– Range rover. Szpanerski. Musiał kosztować z pięćdziesiąt tysięcy.

– Kupiłam go nieco taniej. Odziedziczyłam sporą sumkę. Zależało mi na czymś dużym i solidnym, żeby nie musiała wymieniać co roku. Minus jest

taki, że głupi gówniarze często podjeżdżają do mnie na światłach i pytają, za ile go sprzedam.

– Słyszałem o spadku. Pani rodzice mieli firmę budowlaną. Pani i Tom dostaliście po domu, zgadza się? I pani swój sprzedała.

– Czyżbym była przesłuchiwana? Mam zadzwonić po adwokata?

Uśmiecham się, więc odpowiada mi tym samym.

– Nic podobnego. Nawet nie wzięłam kajdanek. Wystarczy, że będzie pani odpowiadała zgodnie z prawdą.

– Obiecuję. Albo lepiej... – Wznoszę oczy ku niebu i wyciągam rękę jak do przysięgi. – Uroczyście przyrzekam.

Posyła mi dziwne spojrzenie, jakby uważał mnie za wariatkę. Wyjaśniam, że mój brat składał takie ślubowanie w dzieciństwie, kiedy był w nastroju do żartów.

– Teraz może mnie pan zapytać o wszystko, mając pewność, że nie skłamię.

Powtarza pytanie o domy, które dostaliśmy z Tomem. Nie wspominałam o tym w rozmowie z policją w Lancashire, więc pewnie Lucy to wypaplała. Tom opowiedział jej całą historię, ale założę się, że wersja, którą sprzedała policji, była daleka od prawdy – po drodze przeszła „transmogryfikację”, że zacytuję jedno z pozerskich słówek Toma. Dlatego dzielę się z Reavleyem faktami, nie zmyśleniami.

Źle mi się mieszkało w dużym domu, dlatego postanowiłam go sprzedać. Odłożyłam sobie sto tysięcy, a za resztę zabawiłam się w szcudrą przyjaciółkę. Byłam po trzydziestce, wielu znajomych w moim wieku zaczynało zakładać rodziny i statkować się, więc im pomagałam. Fundowałam różne rzeczy: wieczorne wyjścia, trzy podróże poślubne, jedno wesele i coś specjalnego dla mojej najlepszej przyjaciółki i jej jeżdżącej na wózku córki z urazem kręgosłupa. Z czasem trochę oddaliliśmy się od siebie, ale z większością tych ludzi nadal utrzymuję kontakt przez media społecznościowe i od czasu do czasu telefon i cieszę się, że wszyscy mają się świetnie.

Przyznaję się komisarzowi, że wysyłałam Richardowi pieniądze na jedzenie i ubrania. Jak prawie każdy, Reavley jest zaskoczony tym, że koresponduję z mężczyzną oczekującym za oceanem na wykonanie wyroku śmierci.

Pieniądze, które sobie zatrzymałam, chciałam przeznaczyć na kupno skromnego lokum. Ale potem umarła mama i musiałam się zająć tatą.

Rodzice sprzedali firmę i przenieśli się do mniejszego domu, żeby mieć pieniądze dla mnie i Toma, dlatego skończyło się na tym, że zamieszkałam z tatą. Połowę tego, co zostało, zainwestowałam w range rovera, a z reszty się utrzymuję, od czasu do czasu pracując tu i ówdzie na część etatu.

W razie problemów finansowych po prostu sprzedam samochód. Jeżeli coś mi się przytrafi i tata zostanie sam, będą mu się należały pieniądze z mojej polisy na życie. Kiedy doda do tego sumę ze sprzedaży domu i samochodu, będzie mógł sobie pozwolić na miejsce w dobrym domu opieki. W tej chwili priorytetem jest tata, a jeśli chodzi o moją własną przyszłość, to cóż, pomyślę o niej, kiedy już go zabraknie.

Reavley kiwa głową.

– Tom kupił sobie firmę, tak? Agencję nieruchomości. Jak sobie radzi?

Poznaję po spojrzeniu komisarza, że to nie jest zwykła gadka szmatka. Zbiera informacje. Rasowy policjant. Postanawiam wykorzystać okazję, żeby wbić szpilę w czarną duszę Lucy – bo przecież przez nią całe to zamieszanie.

– Agencja dobrze prosperuje. Tom prowadzi ją ze współnikiem. Specjalizują się w nieruchomościach komercyjnych. Tom nieźle zarabia. Pewnie dlatego Lucy za niego wyszła. Położyła łapę na jego pieniądzach. Namówiła go, żeby udzielił jej trwałego pełnomocnictwa, co oznacza, że kontroluje wszystko: jego konto, fundusz emerytalny, rachunki. Tylko nie firmę. Tomowi nie wolno sprzedać udziałów w agencji bez zgody współnika. Dzięki temu Lucy nie może go zmusić do upłynnienia interesu. Wie pan, że kazała mu założyć osobne konto, na które co miesiąc przelewa niewielką sumę z jego własnych pieniędzy, i to wszystko, co wolno mu wydać?

– Cóż, są razem od wielu lat. Podejrzewam, że w grę musi wchodzić miłość.

– Jakoś nie było tego widać w dniu ślubu. Chodziła skwaszona, praktycznie w ogóle się nie uśmiechała, jakby nie miała ochoty tam być. Zbliżała się do początku wieku średniego, miała za sobą nieudane małżeństwo... dlatego myślę, że po prostu bardzo chciała wyjść za mąż, zanim będzie za późno.

Reavley kiwa głową, co chyba oznacza, że jest usatysfakcjonowany, przynajmniej na razie. Rozgląda się po ulicy.

– To gdzie ten warsztat, który nie jest warsztatem?

Prowadzę go wzdłuż ściany skrajnego segmentu. Uchylamy się przed zwieszającymi się gałęziami zaniedbanego żywopłotu. Reavley pyta, czy kontaktowałam się z kolegami Toma, jego współpracownikami i pozostałą częścią rodziny.

– Do nikogo się nie odzywał. Tylko do Lucyferki...

– Słucham?

– No, wie pan... bo taka z niej diablica. – Dopiero wtedy dociera do niego, że mam na myśli Lucy. – Twierdzi, że dostała od niego esemesa. Nikt inny, tylko ona jedna na całym świecie.

– Tak, powiedziano mi o tym. Czy jest prawdopodobne, że Tom zatrzymał się u którejś ze znanych mu osób i poprosił ją, aby zachowała to w tajemnicy?

– W tajemnicy... przede mną? Nie ma takiej możliwości. Gdyby ktoś przyjął go do siebie, powiedziałyby mi o tym. W tajemnicy. Ale ten esemes, który Lucy dostała... ustalicie, skąd go wysłano? Bo moim zdaniem Lucy wysłała go sama do siebie.

– Sprawdzimy to, proszę się nie martwić. Będę potrzebował listy miejsc, w których Tom najczęściej bywa.

Brzmi trochę tak, jakby niespecjalnie go interesowała wiadomość, którą Lucy otrzymała rzekomo od Toma – albo nie przejął się moją oceną, że to bzdura. Mówię sobie, że komisarz po prostu wykonuje swoją pracę. Wiem, że policja nie może się opierać wyłącznie na opiniach, niemniej czuję się lekko zgaszona.

– Mam pański numer. Prześlę panu listę, kiedy skończę tutaj.

Podnosi kciuk na znak, że się zgadza. Skrećamy na ścieżkę, która prowadzi pomiędzy ogrodzonymi wysokimi płotami ogrodami na tyłach szeregowców a otoczonym żywopłotem polem; zostało ono częściowo zaorane i w kilku miejscach usypano nieco wyższe od dorosłego człowieka kopce.

– Prosiłbym również o listę nieruchomości, które agencja ma w ofercie.

Rozumiem dlaczego.

– Toma nie ma w żadnym z tych miejsc.

– Skąd pani wie?

– Ponieważ Tom nie żyje. Zabiła go ta jego... wredna żona. Wie pan, że jest na antydepresantach?

– Wiem. Mimo wszystko będę musiał sprawdzić te nieruchomości. Mam nadzieję, że to dla pani jasne.

Przepraszam i podaję mu nazwę oraz adres agencji. Idziemy dalej. Tylne podwórze środkowego segmentu jako jedyne jest nieodgrodzone od strony pola – nie bez powodu. Reavley gwizdże z podziwu.

W środkowym segmencie mieszka Ian Brandy, mechanik Zwierzaka, a na podwórzu trzyma swojego pupila. Zbudowane z włókna szklanego nadwozie monster trucka jest pomalowane na zielono i czarno, żeby dawało złudzenie gęstej dżungli nocą; dodatkowo tu i tam spomiędzy liści spozierają groźne czerwone ślepia. Na oponach, w których startuje w zawodach, Zwierzak mierzy trzy i pół metra wysokości, tyle samo szerokości i ponad półtora metra więcej długości. Waży ponad cztery tony. W pełnym rynsztunku pojazd jest tak duży, że nie zmieściłby się w przyczepie, dlatego tymczasowo zmieniono gigantyczne opony na sporo mniejsze, ale nadwozie i tak znajduje się znacznie wyżej od kół, co sprawia, że widać bebechy.

Oprócz Brandy'ego w warsztacie jest jeszcze trzech facetów, naprawiają jedną z ogromnych obręczy, która uszkodziła się podczas skoku. Na ziemi leżą pozostałe koła na zawody, niezamontowana opona, rozmaite części i narzędzia. Na podwórzu panuje totalny bałagan, ale to akurat najmniejsze ze zmartwień sąsiadów. Skąd częściowy brak ogrodzenia i kopce na polu? Stąd, że Zwierzak musi gdzieś ćwiczyć. Ujmę to tak: mając za płotem ryczącą amerykańską wielkoblokową V-ósemkę z doładowaniem, sąsiedzi nie mogą liczyć na ciszę i spokój.

Reavley kręci się z boku, a ja podchodzę do chłopaków, żeby się przywitać. Na wieszaku czeka na mnie kombinezon. Nie jestem mechaniczką, ale pomaganie sprawia mi przyjemność i lubię się ubrudzić. Kumple – zwłaszcza ci dwaj, którzy w niedzielę wieczorem pojechali ze mną do Lancashire – zasypują mnie pytaniami o Toma. Wszyscy się o niego martwią i czują, że pomiędzy nim a Lucy wydarzyło się coś niejasnego i być może podejrzanego, niemniej muszę studzić ich zapędy. Sama też chętnie powiedziałabym głośno, co myślę o żonie brata, ale nie chcę tego robić przy Reavleyu. Mówię chłopakom, że pomagam komisarzowi w rozwikłaniu zagadki zaginięcia Toma. Kiedy dowiem się czegoś konkretnego, na pewno im to przekażę. To ich chwilowo uspokaja.

Odwracam się do Reavleya, patrzę na niego i nie mogę opanować rechotu. Komisarz stoi na leżącej na ziemi wielkiej, wysokiej jak ja i pięć razy ode mnie cięższej oponie i z dzieciennym uśmiechem na ustach lekko podskakuje, jakby sprawdzał wytrzymałość rozkołysanego mostu linowego.

Ale to tylko pozory: domyślam się, że słyszał, jak chłopcy rzucają się na mnie z pytaniami, i po prostu próbuje rozładować atmosferę. Skutecznie.

Moje zadanie na dziś: czyszczenie i oliwienie narzędzi. Łatwizna. Siadam w kącie, żeby móc spokojnie porozmawiać z Reavleyem. Opowiadam mu o swojej niedzielnej wizycie w Kaskadzie i dzisiejszej, porannej, w domu Toma. Moja wersja zdarzeń pasuje do tego, co usłyszał od policjantów tutaj, w Sheffield, oraz w Lancashire. Ku mojemu zadowoleniu komisarz przyznaje, że sytuacja jest „nieco dziwna”.

Nie łudzę się jednak, że zgadza się ze mną w stu procentach. Policjanci zwykle szukają niewinnych wytłumaczeń podejrzanych szczegółów – takich jak niedzielna kłótnia w pubie Serengeti, kiedy Lucy zagroziła Tomowi nożem, albo krew na bluzce, której Lucy się pozbyła. Ale w rozmowie podkreślam, że Tom zawsze jeździ na pokazy monster trucków. Zawsze. A gdyby z jakiegoś powodu musiał być nieobecny, na pewno, ponad wszelką wątpliwość, dałby komuś znać. To jasne jak słońce. Reavley kiwa głową ze zrozumieniem.

Wiem również, że policjanci lubią znać motyw. Służę uprzejmie:

– Tom i Lucy od pewnego czasu coraz gorzej się dogadują. Lucy zdarza się na niego wściekać i wtedy naprawdę wpada w piekielną furję, co nieraz widzieli ich sąsiedzi. Albo goście Serengeti. Na przykład w sobotę wieczorem, kiedy groziła mu nożem. Założę się, że w pubie mają monitoring, proszę obejrzeć zapis. I koniecznie musicie odnaleźć samochód Toma.

– Spokojnie, Mary, wszystko w swoim czasie. Na razie robię rozeznanie. Podobno od samego początku stanowczo twierdziła pani, że Tomowi coś się stało.

– Tak. Słusznie, jak się okazuje. Boję się myśleć, jak długo Lucy by nas okłamywała, gdybym nie podważyła jej bredni. Musicie coś z tym zrobić.

– Proszę się nie martwić. Cokolwiek zaszło, dotrzemy do sedna sprawy.

Mam się nie martwić – łatwo powiedzieć. Lucy jest przebiegłą manipulatorką i mam coraz większe obawy, że morderstwo mojego brata ujdzie jej na sucho.

10

LUCY

We wtorek obudziłam się wcześniej rano i obróciłam głowę w nadziei, że w nocy Tom wrócił i położył się obok mnie. Niestety. Jego strona łóżka była pusta. Dotknęłam pościeli, daremnie licząc, że może był tu, ale po prostu wstał przede mną. Też nie. Prześcieradło było lodowato zimne.

Tej nocy sen o nieskończoności uderzył ze zdwojoną mocą. Potrzebuję leków. Potrzebuję Toma.

Mówię: sen, ale tak naprawdę wcale nim nie był, bo wystawił swój szpetny łeb, kiedy jeszcze nie spałam. W dzieciństwie okropnie bałam się wody wskutek wypadku w zabytkowej stoczni, która była otwartą dla turystów częścią bazy marynarki wojennej w Portsmouth. Sprytnie przedostałam się za barierki, podeszłam do krawędzi nabrzeża i zanim się zorientowałam, byłam już w wodzie.

Był słoneczny, ciepły dzień, piękna aura, ale woda w doku okazała się ponuro czarna i lodowata. Wielki kadłub statku i ściana nabrzeża zdawały się napierać na mnie, wtłaczać mnie coraz dalej w ciemność. Czułam się jak uwięziona w głębokiej studni. Tym jednak, co najbardziej mnie przerażało, nie była perspektywa utonięcia, lecz myśl o tym nieprzeniknionym mroku – to on, nie woda, budził we mnie największy lęk.

Nie obawiałam się nieoświetlonych ulic ani wewnątrz, nie miałam problemu z wchodzeniem do ciemnej piwnicy. Ulice i pokoje mają swoje granice, są skończone i rzeczywiste. Nawet czarny jak noc ocean ma dno. Mój lęk dotyczył poczucia bezkresu, a więc czegoś, co nie istniało na ziemi. Dlatego zwróciłam wzrok ku niebu.

I ujrzałam ją: przestrzeń, moją piętę Achillesa. Tam, w górze, poza Ziemią, gdzie pustka rozciąga się w nieskończoność. Oglądałam nagrania ze statków wysyłanych w kosmos, widziałam, jak jasny dzień powoli staje się coraz ciemniejszy, zdaje się przechodzić przez bańkę, by w końcu zniknąć w sięgającej bezmiaru nicości, i przerażało mnie to. Jestem ostatnią osobą, która poleciałaby w kosmos. Nie zrobiłabym tego, nawet

gdyby chciano mi zapłacić. Ta ogromna próżnia nad naszymi głowami jest dla mnie jak długi, niekończący się upadek.

Wyobraźcie sobie, że wisicie na skalnej półce na wysokości pięćdziesiątego piętra. Właśnie tak się czułam, kiedy rozmyślałam o bezkresności wszechświata i swoim niepewnym zaczepieniu na tej drobince, którą nazywamy planetą Ziemią. Dawniej zdarzało się, że w nocy ścigałam prześcieradło na gumkę z narożnika materaca i ściszałam je w dłoni, jakbym usiłowała zakotwiczyć się w tej rzeczywistości, broniąc się przed wchłonięciem przez przestrzeń.

Ktoś mi kiedyś powiedział, że jeśli pokonam dystans odpowiadający trasie z Sheffield do Liverpoolu, ale do góry, przekroczę tak zwaną linię Kármána, będącą umowną granicą pomiędzy atmosferą Ziemi a kosmosem. To nie była dobra noc. Kiedy wpadłam w objęcia snu o nieskończoności, nie byłam w stanie leżeć we własnym łóżku, musiałam zejść na parter – tylko po to, żeby odsunąć się o kilka metrów!

Sen dokuczał mi zwłaszcza u progu dorosłości i krótko po jej osiągnięciu, ale zwykle wtedy, kiedy nie brałam antydepresantów. Zyskałam tę dodatkową ochronę po tym, jak drugi raz wyszłam za mąż. Gdy Tom wyjeżdżał, miałam pod ręką leki; a jeśli akurat się kończyły, pomagał mi się odprężyć, zanim nie wykupiłam kolejnej recepty. Przez lata sen mi nie doskwierał – aż do teraz.

Weźmy tę bezsenność noc w niedzielę po zniknięciu Toma. Nie trawiło mnie poczucie winy, jak twierdziła Mary, ani też nie byłam zajęta zakopywaniem ciała męża, jak sugerowała. Po prostu samotność spowodowała powrót snu o nieskończoności. Do pewnego stopnia udało mi się go osłabić dzięki sporej dawce alkoholu.

Ostatnia noc wcale nie była lepsza. Jak już wspomniałam, spałam na kanapie, żeby lepiej słyszeć Toma, gdyby postanowił wśliznąć się do domu, ale to nie wszystko. Kładąc się na dole, zyskiwałam dodatkowy sufit oddzielający mnie od bezkresu. Wiele godzin później, gdy noc już ustępowała dniowi, poczułam, że zapadam w sen. Nie pamiętałam, kiedy poszłam na górę, w każdym razie obudziłam się w łóżku.

Mimo to byłam wypoczęta. Moja pierwsza myśl po dręczącym pytaniu o to, gdzie się podziewa Tom, brzmiała: zgłoszenie zaginięcia – powinnam je wypełnić.

Bałam się. Oczywiście należało to zrobić, trzeba było zgłosić fakt, że Tom zaginął, ponieważ dopiero wtedy policja mogła oficjalnie zacząć go szukać.

Mimo to wstrzymywałam się. Wypełnienie formularza równało się w moim odczuciu potwierdzeniu, że moje małżeństwo jest skończone. Właściwie wiedziałam o tym – przez romans – a jednak na przekór wszystkiemu nie chciałam tracić nadziei.

Musiałam wziąć pod uwagę również to, co usłyszałam od policji: że Tom może odmówić kontaktu. Trudno mi było sobie wyobrazić, żeby nie rozumiał, że się o niego martwię, zwłaszcza po tym, jak odszedł bez słowa, ale uznałam, że właśnie z tych dwóch powodów muszę zgłosić zaginięcie. Chciałam, żeby do niego dotarło, że postąpił nie fair w stosunku do mnie i innych, którym na nim zależało. A ja... my wszyscy zasługiwaliśmy na to, by wiedzieć, że jest cały i zdrowy.

Otworzyłam tylne drzwi, spodziewając się, że wpadnie Zuzu, ale nie doczekałam się jej. Oczywiście żartowałam, mówiąc, że kot opuści mnie tak samo jak mąż, teraz jednak zaczęłam się zastanawiać, czy Zuzu nie zorientowała się, że Tom już nie wróci. Zostawiłam trochę suchej kociej karmy na schodku i przekręciłam klucz w zamku.

Idąc do samochodu, spojrzałam w niebo. Wiedziałam, że jego błękit jest po prostu wynikiem zjawiska rozpraszania promieniowania docierającego do Ziemi, ale samo to, że mój wzrok nie sięgał dalej, ku czarnej pustce, wydatnie poprawiał mi samopoczucie. Niebieskie sklepienie wydawało mi się ochronną kopułą. Dzięki niemu mogłam zbagatelizować sen o nieskończoności z ostatniej nocy.

Stałam z zamkniętymi oczami, twarzą do słońca, chłonąc jego ciepło, dlatego nie zorientowałam się, że mam gościa, dopóki się nie odezwał. Przed moją bramą parkował samochód, jego właścicielem był wysoki mężczyzna z krótko obciętymi włosami. Miał na sobie niedopiętą skórzaną kurtkę do pasa, a pod nią koszulę i krawat. Pomyślałam, że to kolega Toma, którego nie kojarzę.

– Słucham? – rzuciłam.

Podszedł do furtki i wyjął z kieszeni etui z jakimś herbem na okładce. W środku znajdowała się legitymacja. Przeczytałam ją dopiero z bliska. Komisarz Aaron Reavley, policja hrabstwa South Yorkshire. Wyciągnął rękę i podał mi ją przez bramę.

– Wiem, w jakiej sprawie pan przyjechał – powiedziałam. – Policja z Lancashire obiecała skontaktować się z miejscową. Właśnie wybierałam się na komendę zgłosić zaginięcie męża.

Pokiwał głową.

– Znamy już trochę szczegółów na temat tego, co się wydarzyło. Liczyłem, że dowiem się więcej od pani. Zajrzałem wczoraj wieczorem, ale musiałem zostać dłużej w biurze. Możemy chwilę porozmawiać? Najlepiej w środku.

O tak, zdecydowanie tam. Tutaj widzieliby nas wszyscy sąsiedzi. Poszliśmy do salonu. Przykryłam ręcznikiem leżący na fotelu stos świeżego prania i przysiadłam przed nim. Reavley wybrał kanapę.

– Przekazano mi listę znajomych Toma, którą pani sporządziła – zaczął. – Rozmawiała pani z ludźmi, z którymi mąż mógł się skontaktować?

– Nie wiedzą, gdzie jest... Komisarzu, zanim zada pan kolejne pytania, muszę zaznaczyć, że nie powiedziałam wszystkiego pańskim kolegom.

Uniósł brwi i lekko się pochylił. Widziałam, że jest zaintrygowany. Jego przeszywające spojrzenie nieco wytrącało mnie z równowagi, ale złożyłam to na karb policyjnego umysłu, nawet na chwilę niezaprzeszającego analizowania sytuacji.

– Słucham.

– Myślę, że Tom ma romans.

Nie spodobała mi się jego reakcja. Zrobił lekko zawiedzioną minę. Domyślałam się dlaczego: na pewno liczył, że przyznam się, że coś zrobiłam Tomowi.

– Z kobietą? Zna pani tę osobę?

– Nie, nie znam jej. Nie wiem, kim jest.

– Widziała ją pani? Albo Toma z nią?

Pokręciłam głową.

– Po prostu wiem.

– Czy Tom coś przed panią ukrywał? Na przykład to, co robił na telefonie?

Rozumiałam, do czego zmierza.

– Nie. Jeżeli do niej pisał, robił to prawdopodobnie z aparatu, o którym nie wiedziałam. I uprzedzając pańskie pytanie: nigdy nie miał dziwnych spotkań, o których mi nie mówił.

– Skąd więc przekonanie, że miał romans?

Było dla mnie jasne, skąd wątpliwości komisarza. Tom nie zachowywał się... tak, jak powinien się zachowywać mężczyzna mający romans. Kierowałam się wyłącznie przecuciem, chodziło po prostu o różne drobnostki. Wy tłumaczyłam to Reavleyowi. Odparł, że się temu przyjrzy.

– Ja też pragnę na wstępie zaznaczyć pewną rzecz – powiedział. – Otóż wiem, że szwagierka oskarża panią o udział w zaginięciu jej brata, ale dziś przychodzę do pani wyłącznie po to, żeby się rozeznąć w charakterze waszego związku. Mam również na myśli pewien ogólny zarys waszych poczynañ na przestrzeni ostatnich kilku tygodni. Chcę po prostu zrozumieć, dlaczego pani mąż mógł zniknąć nagle i bez słowa.

– Nie dziwi mnie to. Mary zawsze mnie nienawidziła za to, że odebrałam jej brata.

– Proszę o tym opowiedzieć.

Powtórzyłam to, co usłyszała ode mnie policja w Lancashire: że kiedy przed nieco ponad dziesięcioma laty matka Toma i Mary zachorowała, oboje dostali od rodziców po domu. Tom mądrze zainwestował uzyskane ze sprzedaży pieniądze w agencję nieruchomości. To był znakomity ruch. O decyzjach Mary nie dało się powiedzieć tego samego.

– Przyznaję, dobrze o niej świadczy to, że kiedy Tom był mały, sporo się nim opiekowała, ponieważ rodzice nie mogli. Ale kiedy wyprowadził się z domu po skończeniu osiemnastu lat, Mary uznała, że pora zacząć wydawać pieniądze. Podróżowała, kupowała drogie przedmioty, fundowała wystawne imprezy dla swoich przyjaciół. Potem źródółko wyschło, znajomi ją opuścili, bo większość się ustatkowała, a Mary, bez domu i środków na utrzymanie, musiała nadal mieszkać z rodzicami. Kiedy zmarła matka, a ojcu się pogorszyło, Mary musiała zostać jego opiekunką. Tom mówi, że jego ojciec cierpi na demencję, ale Mary nie chce się zgodzić na diagnozę, dzięki której mógłby liczyć na profesjonalną pomoc, bo wtedy przeniesiono by go do domu opieki, a ona straciłaby dom. Wcale jej nie zależy na ojcu.

– Moim zdaniem ona wciąż ma Tomowi za złe, że w przeciwieństwie do niej zrobił coś ze swoim życiem. Utknęła z ojcem, którym musi się zajmować, ale nie może mieć pretensji do swojego brata, więc obwinia mnie. Gdybyśmy się nie pobrali, nadal byłby przy niej i niewykluczone, że mieszkaliby razem, pomagałby jej. Dlatego Mary tak chętnie wyciąga zbyt daleko idące wnioski z każdej mojej kłótni z Tomem. Nie wiem, tak mi się wydaje. Sprzeczka w pubie Serengeti to jeden z przykładów takiej przesadzonej interpretacji.

– Chodzi o wieczór przed zaginięciem męża, tak? Proszę mi o tym opowiedzieć. Czy to prawda, że groziła mu pani nożem?

Nikt poza mną nie mówił, że Tom mnie „zostawił”. Wszyscy używali określeń: „zaginał” albo „zniknął”, co wcale mi się nie podobało.

W myślach poprawiłam komisarza.

Powinnam była o wiele wcześniej powiedzieć o tym policji; nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam – przez to zakładali najgorsze. Teraz nareszcie miałam okazję.

– Tak, podniosłam nóż na Toma. Ale po pierwsze, to był nóż do masła, a po drugie, posłużył mi jako... rekwizyt, do podkreślenia słów. Siedzieliśmy przy stole w pubie i jedliśmy. W drugim ręku miałam widelec. Skierowałam ostrze noża w stronę Toma i owszem, podniosłam głos, ale gdybym miała wolną rękę, wykonałabym ten sam gest po prostu palcem. Nie wstałam z miejsca. Tom też nawet się nie poruszył. Nikt nie rzucił się na mnie i nie powalił na podłogę. Nikt nie wezwał policji. Właściciel pubu widział całą scenę i kiedy wychodziliśmy, nie wspominał o niej nawet słowem. To nie było nic poważnego. Mary jak zawsze mocno przesadziła.

– Ale osobą, od której się o tym dowiedziała, był Tom. Napisał do niej esemesa...

– W takim razie to on mocno przesadził. Palił elektronicznego papierosa, ludzie krzywo na niego patrzyli. Poprosiłam go, żeby go schował, ale nie chciał. Powiedział, że zna właściciela i że ten nie ma nic przeciwko. Ale poszło też o meble, które chciałam kupić. Tom stwierdził, że nas nie stać, mimo że lekką ręką wydawał pieniądze na swoją obsesję na punkcie monster trucków. Myślę, że był na mnie zły i wiedząc, jak bardzo Mary mnie nie cierpi, zdawał sobie sprawę, że wzmocni jej reakcję, jeśli trochę podkreśli wymowę kłótni w pubie.

– Po co miałyby to robić?

– Ponieważ... – Rozumiałam, do czego zmierza: po co Tom miałyby wyolbrzymiać sprzeczkę, skoro byliśmy taką zakochaną parą? – Pokłóciliśmy się. Przyznaję, że zdarza nam się to dosyć często. Tom zapewne był na mnie zły. Mary zawsze mnie nie znosiła, więc może po prostu miał ochotę ponarzekać na mnie, wie pan, żeby sobie ulżyć. Wszyscy czasem tak robimy, prawda? Popadamy w przesadę.

– Mówi pani, że kłótnia dotyczyła pieniędzy. Czy macie państwo problemy finansowe?

– Podobne jak większość małżeństw. Tom nie lubił wydawać na dom, za to chętnie inwestował w swój pojazd.

Czy komisarz szukał powodu, dla którego mogłabym zabić Toma? Liczyłam, że będzie po mojej stronie... Nie, on po prostu starał się nie mieć uprzedzeń. Nie znał mnie, Toma ani Mary, w swoim zawodzie stykał się

z najróżniejszymi typami ludzkimi i sytuacjami. Tyle że skupiając się na mnie, marnował czas, który mógł poświęcić na szukanie Toma.

– Komisarzu Reavley, niech pan posłucha. Czy naprawdę musi pan zadawać te wszystkie pytania? Nie może pan po prostu zacząć szukać Toma?

Zignorował mnie.

– Inwestował w pojazd? Ma pani na myśli Zwierzaka, prawda? Niewielu ludzi ma monster trucki. W jaki sposób Tom wszedł w posiadanie swojego wozu?

Wyjaśniłam, że zawsze był ich miłośnikiem. Kilka lat temu wraz z dwoma starymi znajomymi ze studiów – tymi samymi, którzy towarzyszyli Mary podczas brzemiennej w skutki wizyty w Kaskadzie w niedzielę wieczorem – zobaczył ogłoszenie, w którym pewien mechanik szukał chętnych do zainwestowania w budowę monster trucka. Cała czwórka złożyła się na Zwierzaka, który, gdy był już gotowy, zaczął jeździć po kraju i występować na pokazach. Z tego powodu Tom często wyjeżdżał na dzień albo dwa, poza tym spędzał dużo czasu w warsztacie. No i wydawał sporo naszych pieniędzy.

– Ale przecież te informacje nie pomogą go odnaleźć. Co możecie zrobić? Wie pan o esemesie, który od niego dostałam?

– Tak. Z nowego numeru. Przyjrzę się temu. Przede wszystkim będę potrzebował telefonu Toma. Podobno nie zabrał go ze sobą. Ma go pani?

Był na górze. Powiedziałam, że go przyniosę. Kiedy wstawałam, komisarz dodał:

– Poproszę również coś, czego Tom dotykał. Chcemy pobrać jego odciski palców i próbkę DNA. Obie te rzeczy powinny znajdować się na telefonie, ale przydałoby się coś, co da nam pewność. Na przykład jego szczoteczka do zębów.

– Nie mam jej. Była w torebce z przyborami toaletowymi, którą spakowałam do walizki. Tom zabrał ją, kiedy wślizgnął się nocą do chaty. Może być maszynka do golenia? Nie wziął jej. Nie golił się od wielu miesięcy, ma okropną brodę.

Zgodził się na maszynkę. Zaprowadziłam go na górę, do łazienki. Podniósł maszynkę dwoma palcami i umieścił ją w plastikowej torebce.

– Mogą być na niej moje odciski – zauważyłam.

– Pani odciski już mamy. Dostanę tę komórkę?

Była w sypialni. Wręczyłam mu ją, zachowując te same środki ostrożności co on w przypadku maszynki do golenia. Telefon powędrował do osobnej torebki.

– Pozwoli pani, że się rozejrzę? Być może znajdę jakąś wskazówkę co do tego, dokąd Tom mógł się udać. Widziałem, że macie państwo gabinet z komputerem.

– Tak, oboje z niego korzystamy. Przynajmniej dopóki nie dostanę swojej Shangri-La.

– Co to takiego?

– Chcę, żeby Tom zbudował mi niewielkie biuro na końcu ogrodu. Dzięki temu jedno nie będzie się plątało drugiemu pod nogami. – Zorientowałam się, że to ostatnie zdanie mogło źle zabrzmieć, i szybko się poprawiłam. – To znaczy, kiedy pracujemy. Korzystamy z tego samego komputera i będzie wygodniej, jeśli każde z nas będzie miało swoją przestrzeń.

Nie skomentował tego; nie wiedziałam, czy to dobrze, źle, czy nie ma to znaczenia. Wróciliśmy na dół, żeby mógł zacząć od salonu. Przysiadłam na kanapie. Rozejrzał się z grubsza po pomieszczeniu i przeszedł do kuchni. Usłyszałam szelest kartek przyczepionych do tablicy korkowej. Potem powiedział, że chciałby jeszcze zajrzeć na górę, i zapytał, czy mogłabym mu towarzyszyć.

W pełniącym funkcję gabinetu pokoju gościnnym komisarz usiadł za biurkiem i przesunął palcem po otwartym laptopie. Kiedy pojawiło się okienko do wpisania hasła, spojrzał na mnie wyczekująco; wpisałam je. Od razu zobaczył ikonkę domu i najechał na nią myszką.

– Czy to jest to, o czym myślę?

Jeśli chodziło mu o folder z materiałami agencji Toma, to tak. Otworzył dokument Worda i zobaczył listę adresów nieruchomości znajdujących się w ofercie firmy. Wyjaśniłam, że te pliki są jedynie przeniesioną na pendrive kopią zapasową z głównego komputera.

– Właśnie na tym mi zależało.

– W jaki sposób ten wykaz miałby... – zaczęłam zdezorientowana. – Ach, myśli pan, że Tom ukrył się w jednym z biur, do których ma klucze?

– Nie zaszkodzi sprawdzić. Zakładam, że w siedzibie agencji znajdę kopie kluczy do tych wszystkich obiektów?

– Tak.

Zwrócił uwagę na datę ostatniej edycji.

– To lista sprzed dwunastu dni. A więc nie obejmuje nieruchomości, które agencja wystawiła od tamtego czasu.

– W zasadzie powinna. Tom robi kopię zapasową za każdym razem, kiedy uzupełnia ofertę na stronie.

– Podejrzewam jednak, że z biurem nieruchomości jest trochę jak z komisem samochodowym. Wszystko, co lśniące i gotowe na sprzedaż, jest ometkowane i wystawione na froncie. Ale na tyłach zawsze stoją jakieś ukryte przed wzrokiem klientów brudne, czekające na swoją kolej auta.

Wzruszyłam ramionami.

– Chce pan powiedzieć, że agencja dysponuje nieruchomościami, które nie nadają się jeszcze do oglądania? Pewnie ma pan rację. Ale jeśli zależy panu na ich wykazie, będzie pan go musiał poszukać na głównym komputerze w biurze.

Reavley zamknął folder i otworzył pocztę. Pomyślałam, że myszkowanie zapewne trochę mu zajmie, dlatego zaproponowałam herbatę. Zgodził się.

Poszłam do kuchni. Nie spieszyłam się, dałam mu czas na przejrzenie maili. Sama zdążyłam już je przeczytać i wiedziałam, że nie zawierają żadnej jednoznacznej wskazówki co do miejsca pobytu Toma. Znałam hasło do poczty mojego męża, a on do mojej, dlatego nigdy nie wykorzystaby tego adresu do kontaktu z inną kobietą.

Ale kiedy zaniiosłam herbatę na górę, zobaczyłam na ekranie tło w letnią łąkę na Gmailu. Moje konto. Komisarz wczytywał się w moje maile.

– Mam tu wiadomość od Auto Tradera. Chodzi o wycenę bmw serii 3. To auto Toma, prawda? Dlaczego ta informacja trafiła na pani pocztę?

– Tom prosił mnie, żeby zrobiła wycenę.

– Z tego, co wiem, Tom bardzo lubi swoje bmw. Chce je sprzedać?

– Albo po prostu znać jego wartość. Samochód ma już pięć lat.

– Rozumiem. Ale bardzo je lubi, tak? Nie chciałby się go pozbywać?

– Może kiedyś. Trudno mi powiedzieć.

Myślałam, że będzie dalej drążył temat, ale nie. Przeniósł spojrzenie na laptopa.

– Chciałbym zabrać ten komputer do analizy.

– Nie znajdzie pan tu nic na temat jego kochanki. Był ostrożny. Komisarzu, niech pan posłucha... Nie mam Gmaila w telefonie, a Tom może napisać wiadomość. Poza tym często używam laptopa, prowadzę na nim lekcje przez internet, mam tu program do nagrywania... Korzystam z niego praktycznie codziennie.

Nie naciskał.

– W takim razie prześlę te kilka maili z pani konta oraz z konta pani męża na swój adres, dobrze? A także kopię listy nieruchomości. Żebym nie musiał siedzieć u pani cały dzień.

Zgodziłam się. Nie wydawało mi się, aby cokolwiek z tego, co mogłam przeoczyć albo uznać za nieistotne, miało znaczący wpływ na bieg sprawy. Zostawiłam komisarzowi herbatę i wróciłam na dół. Usiadłam na kanapie i zastanowiłam się, dokąd Tom mógł pójść.

Reavley dołączył do mnie kwadrans później. Pił herbatę, stojąc pośrodku salonu i przyglądając mi się.

– Chciałbym wstąpić do siedziby agencji po aktualną listę nieruchomości i żeby się rozejrzeć. Najchętniej jeszcze dziś, po godzinach pracy biura. Czy może pani tam ze mną pojechać?

Dobry pomysł. Tom mógł zostawić tam jakąś wiadomość, przedmiot, cokolwiek, co naprowadziłoby nas na jego miejsce pobytu. Co prawda wizyta w agencji oznaczała, że w końcu będę musiała powiedzieć prawdę Peterowi, ale może to i lepiej. Przyznanie się do tego, jak wygląda sytuacja, bije na głowę miesiąc wymyślania wymówek w imieniu Toma.

– Zadzwonię do jego współnika i uprzedzę go, że przyjedziemy. Biuro zamyka się o szóstej.

– Zatem jesteśmy umówieni.

Reavley podziękował mi za współpracę. Odprowadziłam go do drzwi. Zanim je otworzył, odwrócił się do mnie. Staliśmy w korytarzu, dosłownie pół kroku od siebie. Skojarzyło mi się to z codziennym rytuałem porannego wyprawiania Toma do pracy. Obaj byli mniej więcej tego samego wzrostu. Niewiele brakowało, a życzyłabym komisarzowi miłego dnia i poprosiła go, żeby wracając do domu, kupił jakiś smakołyk. Głupia ja.

– Muszę jeszcze wspomnieć o czymś, czego się dowiedziałem, zbierając informacje o pani i Tomie. Pół roku temu aresztowano panią za stosowanie przemocy domowej.

Znów pytająco uniósł brwi.

– Na pewno zna pan też przyczynę. Tom jest kawalarzem. Dla żartu pokruszył moje ostatnie dwie tabletki i wsypał je koledze do drinka. Na pewno wie pan również, co biorę. Fluoksetynę. Tak, jestem na antydepresantach. I tak, byłam wściekła na Toma i uderzyłam go na ulicy. Ale na tym się skończyło. Tom nawet później z tego żartował. Ale sąsiad wezwał policję.

– Wiem o tym. Nie sugeruję, że...

– Pan nie, ale jego przeklęta siostra owszem. Od dziesięciu dni nie biorę leków. Z winy Toma.

Wy tłumaczyłam, o co chodziło: poprosiłam Toma, żeby wysłał za mnie moją receptę powtarzaną, ale kiedy trzy dni później zgłosiłam się do przychodni, żeby odebrać podpisany formularz, odesłano mnie z kwitkiem. Tom przyznał, że zapomniał wysłać receptę i że ją zgubił. Załatwiłam sobie nową, ale był już czwartek, zbliżał się weekend, co oznaczało, że lekarstwo będzie gotowe dopiero w poniedziałek.

– Niedługo się po nie wybieram. To prawda, że miewam ostre epizody depresyjne. I że kiedy nie biorę leków, częściej kłócę się z Tomem. Ale żadna z tych rzeczy nie sprawiła, że postanowiłam zabić męża.

Komisarz przeprosił i wyszedł. Nie wiedziałam, czy mi uwierzył.

MARY

Kiedy jestem w sklepie, nagle dzwoni telefon. To współnik Toma. Uświadamiam sobie, że zupełnie zapomniałam się do niego odezwać i Tłusty Pete nadal czeka na wyjaśnienie, dlaczego Toma nie było dziś w pracy. A jednak nie – ktoś już zdążył mu szepnąć, że coś jest na rzeczy.

– Mary, słuchaj, właśnie się dowiedziałem, że Tom zostawił żonę i wybył. Co on odstawia? Gdzie on jest?

Czyli winnym całej sytuacji jest Tom? Ciekawe, kto podsunął Pete'owi taką myśl. Kusi mnie, żeby odpowiedzieć mu, że ta, od której wie o Tomie, zabiła mojego brata i zakopała ciało na odludziu albo zepchnęła je do wąwozu. Ale to sprowokuje rozmowę, na którą nie mam ochoty.

– To prawda. Dzwonimy po ludziach, szukamy informacji. Nie przejmuj się tym. Nie odzywał się do ciebie od ostatniego razu?

Niby jak: na seansie spirytystycznym? – dopowiadałam w myśli. Na razie jestem zmuszona kłamać – tak jak Lucy.

– Nie, ale gliny uważają inaczej.

– Co przez to rozumiesz?

To, że dobra dusza, która szepnęła mu o Tomie, zapytała, czy może przyjść do agencji po godzinach pracy i w towarzystwie komisarza, aby ten mógł przejrzeć pliki znajdujące się na firmowym komputerze.

– Podejrzewają, że w komputerze natrafią na wskazówkę co do miejsca pobytu Toma?

A to jędza! Zamiast zaplątać się w kłamstwach i skończyć w kajdankach, Lucy jakimś cudem przekonała policję, że można jej zaufać. Wiem, kogo

urobiła: Reavleya. Błysnęła gołą nóżką i sprawa załatwiona.

– Spokojnie, Pete, to rutynowe czynności. Szukają tropów. Przyjadę do biura.

– Nie ma potrzeby. Dam sobie radę z Lucy.

Chciałbyś, ty oślizły sukinsynu.

– Zatrzymaj ich do mojego przyjazdu.

– Mary, naprawdę nie trzeba...

– Będę za godzinę.

Rozłączam się, porzucam wózek z zakupami pośrodku alejki i wybiegam ze sklepu. Biuro zamyka się o szóstej, za niecałe czterdzieści minut. Muszę się pospieszyć, jeśli chcę powstrzymać Lucy przed owinięciem sobie komisarza wokół palca.

Tyle że najpierw muszę zatankować – co za utrapienie! Szybko uzupełniam paliwo w baku, ale potem utykam na końcu długiej kolejki, bo kasa fiskalna świruje. Wybiegam na zewnątrz, okrążam budynek i podchodzę do okienka nocnej obsługi. Zanim zdążę się odezwać, kasjerka pokazuje palcem na stojący w środku ogonek ludzi i ignoruje mnie. Ciskam prawem jazdy o odgradzającą nas szybę.

– Nie mam gotówki. Jutro przyjadę zapłacić. Niech pani spisze dane.

Zaczyna paplać, że przecież tak nie można, ale nie dbam o to. Pędzę do samochodu. Po chwili gnam już w kierunku centrum Sheffield, przeklinając dzień, w którym Lucy przyszła na ten świat.

LUCY

Peter, wspólnik Toma, był obleśnym, spasionym dwukrotnym rozwodnikiem, który nie ukrywał, że bardzo mu się podobam. Przywitał mnie w biurze agencji nieruchomości Packham/Smith takim uśmiechem, jakbym była zamówioną prostytutką.

Siedziba firmy mieściła się w centrum Sheffield przy East Parade, wąskiej, brukowanej uliczce pomiędzy szeregiem starych kamienic a katedrą. Sądziłam, że szukanie miejsca parkingowego w tej części miasta jak zwykle będzie drogą przez mękę, ale Reavley, nie przejmując się niczym, zatrzymał się przy Campo Lane na podwójnej żółtej tuż obok skrzyżowania z East Parade. Nie zostawił za szybą żadnej winiety ani identyfikatora wskazującego na to, że wóz należy do policji.

Biuro sąsiadowało z organizacją Children's Foot Trust, miało witrynę ulokowaną w głębokiej wnęcie i przeszklone drzwi wejściowe. Peter siedział za biurkiem, trzymając nogi na blacie. Sekretarki już nie było. Kiedy

podszedł nam otworzyć, zauważyłam, że zdążył wykorzystać pustą przestrzeń po Tomie i zwałił na jego biurko stos dokumentów.

Peter przywitał się z nami dokładnie tak, jak się spodziewałam. Wysokiemu komisarzowi z szacunkiem uścisnął dłoń, unikając kontaktu wzrokowego – bo trzykrotnie aresztowano go za wykroczenia drogowe i pozbawiono uprawnień – a mnie otaksował pożądlivym spojrzeniem.

Wpuścił nas i zaprowadził do biurka Toma. Na fotelu wisiała kurtka przeciwdeszczowa, którą mój mąż zawsze trzymał w firmie, a na podkładce pod myszkę stał pusty kubek po herbacie, zupełnie jakby Tom wyskoczył tylko na chwilę. Chciałabym, żeby tak było. Spróbowałam wyobrazić go sobie w tym miejscu, ale przeszkodziło mi wspomnienie z ostatniego razu, kiedy odwiedziłam go w pracy: mniej więcej osiem miesięcy wcześniej, kiedy jeszcze nie miał brody i był świeżo po pęknięciu nadgarstka – zapamiętałam go ogolonego i z gipsem na przedramieniu.

– Chce pan zabrać komputer? Wiadomo już coś?

– Nie, jeszcze nic. I tak, chciałbym go zabrać.

Komisarz pomógł Peterowi odłączyć wszystkie urządzenia zewnętrzne; przy okazji ponarzekali na poskręcane i zakurzone kable, niektóre nawet posklejane po tym, jak wieki temu Tomowi wylała się cola. Niemal z rozbawieniem przyglądałam się, jak próbują doprowadzić do ładu tę elektroniczną plątaninę.

– Co za cholerny kołtun – warknął zirytowany Reavley.

– Powiedział policjant rozwiązujący skomplikowane zagadki – skomentowałam i przejęłam inicjatywę. Nagle poczułam się lepiej. Dotarło do mnie, że w ostatnich dniach rozpaczliwie brakowało mi chwil radości. Powinnam się częściej uśmiechać. – Wystarczy odrobina cierpliwości i wytrwałości.

Przygotowawszy urządzenie do transportu, zostawiliśmy je na biurku i przez następne pół godziny Peter wprowadzał nas w szczegóły pracy Toma. Byłam zaintrygowana, ponieważ rzadko zaglądałam do firmy, dotąd raptem kilka, może kilkanaście razy, zwykle po to, by coś przynieść albo odebrać. Kiedy przeszliśmy na zaplecze, uświadomiłam sobie, że nigdy tam nie byłam.

Peter pokazał Reavleyowi szafę na dokumenty, w której wszyscy trzymali swoje rzeczy, ale komisarz nie znalazł w niej nic wartego większej uwagi. Policyjna intuicja kazała mu zajrzeć za ścienny terminarz i odkryć

firmowy sejf. Jego prośba o obejrzenie zawartości została odrzucona przez Petera.

– Wolałbym nie. Są w nim moje rzeczy osobiste. Proszę wybaczyć tekst jak z kryminalnej telenoweli, ale... proszę przyjść z nakazem, to otworzę.

Następnie Peter streścił komisarzowi historię firmy i odpowiedział przecząco na pytanie o niezadowolonych klientów. Reavley poprosił o dane Joanny, sekretarki, i wypytał Petera o jej związki z firmą, charakter i życie prywatne. Wyglądało to trochę tak, jakby podejrzewał, że Joanna może być kobietą, z którą Tom nawiązał romans, o który go podejrzewałam. Wspomniałam o tym, ale zaprzeczył.

Pech chciał, że zrobiłam to na tyle blisko Petera, że wszystko usłyszał. Uzmysłowiłam sobie, że popełniłam duży błąd. Peter milczał, dopóki nie zebrał się do wyjścia. Reavley wziął pod pachę nieporęczny komputer i skierował się do drzwi. Peter poprosił mnie na słówko. Reavley powiedział, że zaczeka w samochodzie. Zostałam więc sama z Peterem i nieuchronnym pytaniem.

– Jeśli wam się nie ułoży i będziesz chciała odpocząć od Toma, może skoczmy razem na jedne...

Nie pozwoliłam mu dokończyć.

– Tom niedługo wróci – ucięłam.

– No tak, wiem. Ale gdybyś, wiesz, potrzebowała rady albo czegoś.

Uśmiechnęłam się, podziękowałam i wyszłam.

Spodziewałam się tego po Peterze. Poznałam go dopiero w dniu swojego ślubu, kiedy w ostatniej chwili wskoczył na miejsce drużby Toma – wcześniej ustalony nieszczęśliwie uszkodził sobie kolano. Przez całą uroczystość Peter pożerał mnie wzrokiem i dosłownie godzinę po tym, jak Tom wsunął pierścionek z lśniącym diamentem na mój palec, zaczął się do mnie przystawiać. Tamtego dnia czułam się fatalnie, od rana bolał mnie brzuch i konieczność uśmiechania się i zabawiania gości była dla mnie prawdziwą mordęgą.

Nie powiedziałam Tomowi o zachowaniu Petera, nie chciałam psuć mu wieczoru. Po uroczystości, kiedy wszyscy wyszli zapozować do zdjęć, urwałam się, okrążyłam kościół, usiadłam na ławeczce na cmentarzu, żeby złapać trochę świeżego powietrza, a potem zwymiotowałam w krzakach. Wtedy pojawił się Peter. Udając, że mi pomaga, zaczął pieścić mnie po karku, mówiąc, że wyglądam bardzo seksownie. Serio? Seksownie? Zgięta

i rzygająca na trawę? Prędko się od niego uwolniłam i znalazłam sobie inne ustronne miejsce. O tym też nie powiedziałam Tomowi.

Ujrzałam Reavleya stojącego dwadzieścia metrów dalej, na końcu brukowanej uliczki. Rozmawiał z kimś ukrytym za rogiem budynku. Podeszłam bliżej i dopiero wtedy zobaczyłam z kim.

Mary.

Była zdyszana, jakby biegła na spotkanie z nami. Nie miałam pojęcia, skąd wiedziała, że tu jesteśmy, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, po co przyszła – żeby dopilnować, że nie zwiode komisarza moimi tak zwanymi kłamstwami.

– Chcę sprawdzić pliki pod kątem użytecznych informacji – mówił Reavley. Widocznie zapytała go, po co mu komputer.

Zatrzymałam się jakieś pięć metrów od nich. Kiedy mnie dostrzegła, powiedziała głośno i wyraźnie, tak bym usłyszała:

– Nie podoba mi się szperanie w plikach Toma, jego znajomościach i w ogóle. To nie ma sensu, bo przecież wiadomo, że Lucyferka go zabiła. Powinniście przeszukać chatę w Cullerton zamiast marnować czas na komputery.

Facet, który po drugiej stronie ulicy odpinał rower od stojaka, spojrzał na nas, nawet nie próbując ukryć zaciekawienia.

– Tylko ty tak myślisz – odparowałam. Nie podeszłam bliżej.

– Niedługo to się zmieni, bo wszyscy się dowiedzą, co zrobiłaś. Za tydzień o tej porze będziesz już za kratkami.

– Za tydzień o tej porze Tom będzie tu ze mną. I będziemy trzymali się za ręce.

– Ojej, napisał ci to w kolejnym urojonym esemesie z niewykrywalnego numeru?

– Jesteś zła, bo odezwał się do mnie, a nie do ciebie. Gdzie masz swojego esemesa?

Zamarłam ze strachu, bo Mary nagle ruszyła na mnie. Z szyderczym uśmiechem na ustach przeszła obok i skierowała się do biura; nie wątpię, że chciała wypytać Petera, o czym rozmawialiśmy. Albo wmówić mu, że moja wersja zdarzeń jest stekiem bzdur.

Reavley nie skomentował pojawienia się Mary i zignorował jej oskarżenia. Ale po tym, jak załadował komputer do bagażnika, wsiedliśmy i zapięliśmy pasy, zaznaczył:

– Może mi pani nie uwierzyć w kontekście tego, co właśnie powiedziała siostra pani męża, ale zaręczam, że zdecydowałem o tym już wcześniej. I nadal traktuję Toma jako osobę zaginioną.

Pokiwałam głową.

– Chciałbym pojechać z paroma swoimi ludźmi na przeszukanie domu w Cullerton, o ile nie ma pani nic przeciwko. Najchętniej jutro rano.

– Oczywiście, nie ma sprawy. Dobry pomysł. Tyle że miejscowa policja zdążyła już to zrobić.

– Zaledwie rzucili okiem. Zależy mi na rewizji z prawdziwego zdarzenia. Naturalnie nie wygląda to tak, jak można zobaczyć w serialach kryminalnych. – Uśmiechnął się. – Nie będziemy zrywali podłóg, odwracali szuflad do góry dnem ani nic z tych rzeczy. Kto wie, może nawet uda nam się odnaleźć pani obrączkę.

Odruchowo zerknęłam na palec. Rozmawiał z córką Carterów? Niemożliwe.

– Zauważyłem brak obrączki podczas poprzedniej wizyty – wyjaśnił, widząc moje zaskoczenie. – Wczoraj, kiedy rozmawiała pani z moimi kolegami w Cullerton, też jej pani nie miała.

– Tak, ma pan rację, została w chacie. Zdjęłam ją, bo byłam zła na Toma z powodu zdrady. Mam nadzieję, że uda wam się ją znaleźć. Dam panu klucz, kiedy dotrzemy do mnie.

– Właściwie to liczyłem, że wybierze się pani z nami. Mógłbym po panią przyjechać. Myślę, że powinna pani być przy tym obecna jako ta, która zna dom. Być może przypomni sobie pani, gdzie zostawiła obrączkę.

– W porządku – odparłam bez namysłu. To był naprawdę dobry pomysł. Skoro Tom zostawił mnie podczas wspólnego weekendu w Kaskadzie, to właśnie tam należało szukać wskazówek co do tego, dokąd się udał. Nie byłam tylko pewna, w jaki sposób mogłabym się przydać podczas rewizji. W niedzielę wieczorem, czekając samotnie na powrót Toma, nie zauważyłam nic niezwykłego. Inna sprawa, że w przeciwieństwie do komisarza nie miałam doświadczenia w szukaniu tropów.

W drodze do domu próbowałam się odprężyć, ale co chwila zerkałam na Reavleya, usiłując wywnioskować z jego miny i zachowania, co o mnie myśli: ufa mi czy mnie podejrzewa? Nalega, żebym z nim jutro pojechała, bo liczy na moją pomoc, czy chce mnie poddać obserwacji? Powiedział, że nie zakłada, że doszło do popełnienia przestępstwa, ale...

W przeciwieństwie do niego nie miałam doświadczenia w wykrywaniu kłamstwa.

MARY

Próbuję na różne sposoby, ale dziś wieczorem po prostu za nic nie mogę się rozluźnić. Tata zasnął w fotelu. Posprzątałam, poczytałam, znalazłam przepis na ciasto – nic z tego. Nic nie działa.

Siadam i zaczynam pisać do Richarda. Chciałabym mu o wszystkim opowiedzieć, ale drażni mnie samo to, że miałabym przenieść imię Lucy na papier. Poza tym Richard ma własne problemy i nie chcę, żeby dodatkowo martwił się moją sytuacją. Kładę się w wannie – w gorącej kąpielii smutki czasem wyparowują. Nie tym razem.

Setny raz wybieram numer, spod którego Tom rzekomo napisał esemesa do swojej żony zołzy, ale nadal odpowiada mi cisza. Reavley powiedział, że spróbują namierzyć telefon, co da się zrobić nawet przy wyłączonym aparacie, ale to trochę zajmie. Jeśli policjanci zdołają ustalić lokalizację, być może dowiemy się, gdzie znajdował się telefon w chwili wysłania wiadomości.

Wiem, że liczą na określenie miejsca pobytu mojego brata, ale są ślepi. Nawet gdyby Tomowi pozostał przed śmiercią jeden jedyny esemes, napisaliby go do mnie. Policji wydaje się, że skontaktowałby się raczej z Lucy, ale przecież nie wiedzą, jaka jest sytuacja. Płomienna miłość pomiędzy Tomem a Lucy już dawno wygasła; więzy krwi pomiędzy bratem i siostrą nigdy nie osłabną. Skoro Tom się do mnie nie odezwał, to znaczy, że nie odezwał się do nikogo. Bo nie może.

Wkrótce komisarz i reszta przejrzą na oczy. Wiem, że Lucy wysłała tego esemesa sama do siebie, i kiedy namierzenie wskaże jej cholerną sypialnię, policja nareszcie zyska niezbity dowód, że ta jędza od samego początku zwodziła wszystkich perfidnymi kłamstwami. Nie mogę się doczekać tej chwili.

Nie, dziś już nie zasnę. Wzuwam buty i idę się przejechać, mimo że jest prawie północ. Kiedy po raz pierwszy spotkałam się z Reavleyem, poprosił mnie, żebym opowiedziała mu, co Tom, Lucy i ja robiliśmy w ciągu ostatnich kilku tygodni. Postanawiam wykorzystać przejażdżkę do przypomnienia sobie wszystkiego, co przez przypadek mogłam pominąć, odpowiadając komisarzowi. Pokonuję ulice, skręcam, przecinam skrzyżowania, nie myśląc o tym, dokąd zmierzam – i jakimś sposobem docieram pod dom Toma, mimo że tego nie planowałam. Nie wiem, może

po prostu odruchowo pojechałam znaną trasą albo to podświadomość podjęła za mnie decyzję.

W każdym razie zatrzymuję się po drugiej stronie ulicy i gaszę silnik. Dokoła cisza i spokój. Dzielnica śpi. Dosłownie w kilku domach nadal palą się światła – między innymi w sypialni Toma.

Niektórzy mordercy to potwory, które nie potrafią ukryć swojej krwiożerczości. Inni – z pozoru zwykli ludzie. Nie chodzą zgarbieni i umazani krwią. Wyglądają jak ja – albo wy. Skrywają się pod maską normalności. I wiodą zupełnie zwyczajne życie na takiej ulicy jak na przykład ta. Zdejmują przebranie dopiero za zamkniętymi drzwiami. Patrząc w stronę okna w sypialni Toma, przyglądam się zasłonom, które Lucy zaciągnęła, żeby nic nie było widać z zewnątrz, i zastanawiam się, co kombinuje.

Co morderca robi nocą, gdy jest sam? Leży i modli się do Boga o przebaczenie? Rozmawia ze sobą w lustrze, myśli o sprawach do załatwienia albo o popełnionych błędach, a może ośmiela samego siebie do działania? Przemierza pokój tam i z powrotem, bojąc się, że w każdej chwili może usłyszeć pukanie do drzwi, po którym na długo trafi za kratki?

Przychodzi mi do głowy pewien pomysł. Wysiadam z samochodu, przecinam ulicę i skradam się do wejścia. Podnoszę klapkę nad szparą na listy i nasłuchuję. Nie, to bez sensu. Co spodziewam się usłyszeć – jak Lucy przyznaje się do wszystkiego sama przed sobą? Zaczynam więc walić pięścią w drzwi. Jak policja.

Kiedy się zorientuje, że to tylko ja, uspokoi się, ale podoba mi się myśl, że przez kilka długich sekund jej spanikowane serce będzie próbowało wyrwać się z piersi. Chcę, żeby otworzyła mi z boleścią wypisaną na twarzy. Niestety życzenie się nie spełnia. Pół minuty po tym, jak zaczęłam się dobijać, dzwoni mój telefon. Zerkam na wyświetlacz: SUKKUB; ciekawe, pod jakim epitetem zapisała mnie w pamięci swojego aparatu. Odbieram, ale nie odzywam się.

– Czego chcesz? – pyta Lucy.

Czy mordercy o zdemoralizowanych umysłach mają szósty zmysł, którym wyczuwają niebezpieczeństwo? Chyba że spodziewała się takiego podstępu z mojej strony? Najbardziej prawdopodobne, że po prostu przykleiła nos do okna w sypialni i zobaczyła samochód.

– Chcę, żebyś poszła siedzieć za zabicie mojego brata.

– On ode mnie odszedł, Mary. Zostawił mnie. A ponieważ był jedynym łącznikiem pomiędzy tobą a mną, to może byś wreszcie zniknęła z mojego życia? Co ty na to?

Ma zaspany głos. Czyżbym ją obudziła? Jest coś, czego nie uwzględniłam na liście: niektórzy mordercy nie żałują swoich czynów ani nie boją się konsekwencji, dlatego potrafią spać spokojnym snem. Doprowadza mnie to do szału.

– Nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. Będę cię nawiedzała. I udowodnię, że zabiłaś Toma.

– Jutro jadę z komisarzem na przeszukanie Kaskady. Niedługo sprawa się wyjaśni i będzie po wszystkim. Może wtedy w końcu zostawisz mnie w spokoju.

– Komisarz Aaron Reavley – mówię. Specjalnie używam jego imienia; niech do niej dotrze, że siedzę w tym tak samo głęboko jak ona. – Ucięłam sobie z nim długą pogawędkę. Tylko nie wbij sobie do głowy, że jest po twojej stronie. Po prostu szuka niezbitego dowodu twojej winy, a kiedy go znajdzie, od razu się o tym dowiesz, bo wyprowadzą cię stamtąd w kajdankach. Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć.

– I co wtedy zrobisz? Nie masz własnego życia. Miałaś tylko Toma, dlatego wiecznie wtrącałaś się do naszego małżeństwa. Czym się zajmiesz, kiedy mnie zamkną? Będziesz siedziała w domu i pisała do tego swojego faceta z celi śmierci?

Nędzna riposta. Znacznie lepiej kłamię, niż obraża.

– I kto to mówi? Ja przynajmniej mam przyjaciół, Lucy. Prawdziwych przyjaciół. Nie to, co ty. Wszyscy ludzie, z którymi się zadajesz, to znajomi Toma, prawda? Sama nikogo nie znasz. Wysłałaś do siebie kolejne esemesy z tego nowego numeru?

– Tom je wysłał, nie ja. Masz żal, że skontaktował się tylko ze mną.

– Musisz być bezdennie głupia, skoro myślisz, że ktokolwiek w to uwierzy. Albo jeśli sądzisz, że policja się nie dowie, że to ty jesteś autorką tych wiadomości. Pomyśl o tym. Miłych snów. Do zobaczenia jutro. I pojutrze. I przez tyle dni, ile będzie trzeba. Nie omieszkam pojawić się w sądzie, kiedy będą cię skazywać na dożywocie. Będę tą kobietą w tylnym rzędzie i z szerokim uśmiechem na twarzy.

Rozłączam się, zadowolona ze sposobu, w jaki zakończyłam rozmowę. Odchodząc, spodziewam się, że zobaczę Lucy obserwującą mnie z okna. Ale nie, nie ma jej. Nie wygląda również wtedy, kiedy wsiadam do

samochoodu i powoli ruszam. Odrobinę wytrąca mnie to z równowagi. Wydaje jej się, że jest taka cwana.

Zapowiedziałam, że jutro – a właściwie dziś – znów ją najdę, przede wszystkim po to, żeby ją nastraszyć, ale podsunęło mi to pewien pomysł. Jeżeli Lucy rzeczywiście wybiera się z Reavleyem do Kaskady, powinnam pojechać tam z nimi. Rewizji chaty będą zapewne towarzyszyły poszukiwania w najbliższej okolicy; chcę się do tego przyłączyć. Chcę, żeby ona widziała, jak to robię. I marzę o tym, aby osobiście znaleźć dowód, który ją pogrąży. Uniosę go wysoko, tak by wszyscy widzieli, i roześmieję się jej w twarz.

Wolałabym nie zasnąć, bo mogłabym się spóźnić, dlatego przyspieszam i obieram kierunek na autostradę. Pojadę tam od razu, dzięki temu będę gotowa i wypoczęta, kiedy wszyscy zjawią się na miejscu. Co zrobię, jeśli te kilka podrzędnych pensjonatów w Cullerton będzie zamknięte? Nic, po prostu prześpię się w aucie, żaden problem. Będę na nią czekała. Już widzę jej minę, kiedy jutro zajedzie przed Kaskadę i zobaczy tam mnie.

LUCY

Pojechaliśmy do Cullerton w czwórkę: ja, komisarz Reavley i dwóch oficerów z jego zespołu. Wczorajszy wieczór minął spokojnie, jeśli nie liczyć nieprzyjemnej wizyty siostry Toma, która nie mogła się powstrzymać, by kolejny raz nie spróbować mnie zastraszyć. Nie wyszłam do niej i trzymałam się z dala od okien, żeby nie narazić się na spojrzenia sąsiadów. Bałam się kolejnego snu o nieskończoności, dlatego zrezygnowałam ze spania i spędziłam sporo czasu w internecie. Po tym, jak Mary zasugerowała zażyłość z komisarzem, postanowiłam wygooglować Reavleya, o którym moja szwagierka mówiła czule „Aaron”.

Odnalezienie go w sieci było dziecinnie łatwe; w zeszłym miesiącu jego zespół rozwiązał sprawę morderstwa, w której przez siedem tygodni poszukiwano zaginionej kobiety. Wyglądało na to, że komisarz Reavley był szanowanym, zdolnym policjantem, mającym doświadczenie w odnajdywaniu zaginionych osób, które okazywały się martwe. To dobrze.

Uświadomiłam sobie, że Mary nie próbowała po prostu wyładować na mnie złości, twierdząc, że Reavley tylko udaje trzymanie mojej strony. Spec taki jak on przejmował sprawy jedynie wówczas, gdy istniała poważna obawa o zdrowie lub życie poszukiwanej osoby oraz gdy trzeba było wytropić przestępcę. Dzisiejszą wyprawę mógł zrzucić na zwykłego posterunkowego, ale nie zrobił tego.

Musiałam zaakceptować okropną prawdę: policja podejrzewała, że Tom padł ofiarą przestępstwa oraz że mogłam mieć w tym swój udział. Reavley sprawiał wrażenie pełnego zrozumienia dla mojej sytuacji, ale w rzeczywistości analizował moje zachowanie: czekał, aż pograżę się jakimś niefortunnym sformułowaniem, szukał dowodów, by móc mnie aresztować za morderstwo.

Moja obecność w chacie w trakcie przeszukania była ku temu doskonałą okazją.

Jechałam z komisarzem – jego ludzie podążali za nami drugim wozem – i byłam przerażona, ponieważ towarzyszyło mi dziwne uczucie: z jednej strony Reavley był grzecznym i poprawnie wyrażającym się miłym człowiekiem, a z drugiej – miałam wrażenie, jakbym znajdowała się pół metra od uzbrojonej bomby albo śpiącego lwa. Siedziałam jak na szpilkach, obawiając się, że w każdej chwili ten uprzejmy mężczyzna może zrzucić maskę i zniszczyć mi życie.

Zaczął zadawać pytania od razu, jak tylko ruszyliśmy, nawet nie czekając, aż oddalimy się spod mojego domu. Chciał poznać zwyczaje, upodobania i regularności w życiu Toma. Powiedział, że wiedza na temat zaginionego pomoże mu „zrozumieć, dokąd mógł się udać”. Używał lekkiego tonu, zależało mu na tym, żebym poczuła się swobodnie. Zrozumienie i współczucie, tak? Odpowiadałam mu z duszą na ramieniu i walącym sercem, bojąc się, że jedno niewłaściwe słowo może się dla mnie skończyć kajdankami.

Wkrótce padł pierwszy zarzut:

– Rozmawialiśmy z niektórymi spośród pani znajomych. Dowiedzieli się o zaginięciu Toma od innego znajomego, który w niedzielę wieczorem razem z Mary widział się z panią w Cullerton. Powiedzieli, że nie kontaktowała się pani z nimi. Nie wypytywała pani przyjaciół Toma o to, czy odezwał się do któregoś z nich. Z kolei pani twierdziła, że to zrobiła.

– Nic podobnego. Powiedziałam, że żadne z nich nie miało od niego wieści. Dzwonili do mnie tamtego wieczoru, dlatego wiedziałam, że zostali przez kogoś poinformowani o sytuacji. Komisarzu, ci wszyscy ludzie są raczej przyjaciółmi Toma niż moimi. Tom nie chce, żebym wiedziała, gdzie jest, inaczej skontaktowałby się ze mną. I założę się, że poinstruowano ich, aby milczeli przede mną na wypadek, gdyby się do nich odezwał. Dlatego nawet nie próbowałam.

Reavley postanowił zmienić temat.

– Przez pewien czas mieszkała pani w Niemczech, zgadza się?

Przyglądałam mu się z tego samego powodu, dla którego on obserwował drogę: żeby odpowiednio wcześniej dojrzeć niebezpieczeństwo i uniknąć go. Zanim zadał to pytanie, powiedział, że wiedza na temat żony zaginionego pomoże mu „zrozumieć, dlaczego odszedł”. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że tak naprawdę starał się ustalić, dlaczego zabiłam Toma.

– Mieszkała pani w Niemczech, tak?

Porzuciłam tę negatywną myśl, ale w mojej głowie natychmiast zrodziła się kolejna. Skoro Reavley rozmawiał z Mary, zapewne znał już jakąś wersję historii; wątpię, aby pasowała do tej, którą przedstawiłam Tomowi – ot, transmogryfikacja, jak by to podsumował mój mąż. Nie mogłam okłamać policjanta, dlatego Reavley usłyszał ode mnie tę samą opowieść co kiedyś Tom. Relacjonując swoje życie, spoglądałam za okno na obracające się na odległym wzgórzu turbiny wiatrowe i starałam się udawać, że nie jestem przesłuchiwana przez podejrzliwego komisarza.

Mniej więcej dwadzieścia pięć lat temu, tuż po szkole, otrzymałam propozycję odbycia stażu w Badenii-Wirtembergii. W ostatnim roku nauki byłam do tego stopnia niezdecydowana, co właściwie chcę robić w życiu – potrafiłam zachwycać się jakimś zawodem, by po tygodniu rzucić go dla innego – że moi rodzice wymyślili plan mający zmusić mnie w końcu do wybrania jakiejś ścieżki kariery. Jako menadżerowie restauracji mieli dużo kontaktów z branży i wykorzystali to, by załatwić mi zajęcie u swojego wieloletniego znajomego, który trochę wcześniej otworzył trzy lokale w Stuttgarcie. Mama stwierdziła, że bariera językowa i oddalenie od przyjaciół ze szkoły pomogą mi się skupić na pracy.

No więc pojechałam tam, zamieszkałam u znajomego rodziców i zaczęłam wykonywać obowiązki, które mi powierzył. Po pół roku tata przyznał, że chodziło nie tyle o to, żebym nauczyła się czegoś nowego, ile o wysłanie mnie do miejsca, w którym nie mogłam tak po prostu rzucić pracy. To była słuszna decyzja, bo przecież kto by zatrudnił nastolatkę z zagranicy, niemającą żadnych kwalifikacji i nawet nieznającą języka?

Zaczęłam spotykać się z Rolfem, jednym z pozostałych dwojga nastolatków pracujących w knajpie. Pod koniec mojego półtorarocznego stażu mieszkaliśmy już razem. Zrezygnowałam z restauracji i udzielałam lekcji angielskiego. Rolf pozostał na stanowisku, dostał awans i lepiej zarabiał. Wzięliśmy ślub. Optymistycznie patrzyliśmy w przyszłość. Rodzice byli zadowoleni.

Z czasem jednak nasze małżeństwo stawało się coraz bardziej toksyczne i pełne przemocy. Rolf pił, alkohol sprawiał, że puszczały mu hamulce. Po jednym wyjątkowo traumatycznym wydarzeniu, którego nie opisałam komisarzowi ze szczegółami i nie zrobię tego teraz, przeszłam załamanie nerwowe i wylądowałam w szpitalu.

Znienawidziłam męża, otoczenie i właściwie całe moje życie. Powoli zanikały wszelkie więzy łączące mnie z Niemcami, aż w końcu jedynym

powodem, dla którego jeszcze nie wyjechałam, była Leona, dziewczyna mniej więcej w moim wieku, zajmująca wraz ze swoim chłopakiem i matką mieszkanie nad nami. Poznałyśmy się po tym, jak Rolf wyrzucił mnie z domu i spędziłam większość wieczoru zwinięta w kłębek po drzwiach.

Leona znalazła mnie śpiącą na korytarzu i zaproponowała, żebym położyła się u niej na kanapie. Tak zaczęła się nasza przyjaźń. Leona cierpiała na porażenie poprzeczne w następstwie wypadku samochodowego i prawie nie ruszała się z domu; ja też w sumie rzadko wychodziłam i w rezultacie spędzałyśmy ze sobą wiele godzin każdego dnia. Farbowała i prostowała mi włosy. Woziłam ją dokoła bloku w starym wózku sklepowym, który ktoś zostawił przy śmietnikach. Pomagałam jej w angielskim, a ona szlifowała mój niemiecki.

A kiedy jej chłopak nagle uznał, że nie chce mieć więcej do czynienia z paraplegiczką, i rzucił ją, to zdarzenie jedynie wzmocniło naszą więź. Przekonywałam ją, że na świecie jest całe mnóstwo przystojnych, bogatych mężczyzn, dla których jej niepełnosprawność nie ma żadnego znaczenia; ona pocieszała mnie, że wkrótce trafię na faceta, którego nie będę musiała się bać.

Później dowiedziałam się, że znalazła mnie śpiącą na klatce schodowej nie dlatego, że – jak twierdziła – wybrała niewłaściwy przycisk w windzie. Słyszała kłótnie pomiędzy mną i Rolfem i nieraz zjeżdżała piętro niżej, żeby w razie czego być blisko. Jako jedyna odwiedzała mnie w szpitalu psychiatrycznym.

Krótko mówiąc, była moim skarbem, siostrzaną duszą, bezpieczną przystanią wtedy, kiedy najbardziej tego potrzebowałam. Ale pewnego dnia Leona i jej matka przeniosły się na drugi koniec miasta i w ten sposób pękła ostatnia nić łącząca mnie z Niemcami. Miesiąc później mieszkałam już z powrotem w Anglii. Właśnie wtedy poznałam Toma i niedługo, po przeprowadzeniu do końca rozwodu z Rolfem, wyszłam za niego za mąż.

Spojrzałam na komisarza, licząc, że uda mi się coś wyczytać z jego twarzy. Ale on tylko skinął głową, co mogło znaczyć cokolwiek. Odezwał się znowu dopiero kilka kilometrów dalej.

– Tęskni pani za tamtym życiem?

Zrównała się z nami ciężarówka, która najwyraźniej chciała nas wyprzedzić. Zielone pola ustąpiły brudnej czerwonej plandecie i wyszłam z łagodnego transu.

Rzecz w tym, że wstydziałam się swojego trwania w Niemczech; miałam tam męża, pracę i przyjaciółkę, a jednak nie umiałam tego określić inaczej. Mój umysł spowijał dojmujący mrok: to nie było „życie”, tylko właśnie „trwanie”. Życiem jest piękno, radość i cel ludzkiego doświadczenia – nie nazwałabym tak tego, co było moim udziałem. Te lata, gdy miałam dwadzieścia i trzydzieści parę lat, były dla mnie tak ponure, że w większości wymazałam je z pamięci. Nawet Tom niewiele o nich wiedział i zdawał sobie sprawę, że nie powinien pytać.

– Czy utrzymuje pani kontakt z byłym mężem?

Dosyć tego. Uderzyłam otwartą dłońią w deskę rozdzielczą. Sfrustrowanie samą sobą zepchnęło na dalszy plan strach przed komisarzem i przed tym, co mógł zrobić.

– Nie. To w żaden sposób nie pomoże nam w odnalezieniu mojego męża. Tamta historia wydarzyła się na długo, zanim Tom zagościł w moim życiu, i nie ma z nim nic wspólnego. Proszę o to więcej nie pytać.

Przez pewien czas jechaliśmy w milczeniu.

MARY

Pierwszą rzeczą, o której myślę po przebudzeniu, jest to, jak bardzo nienawidzę tej suki. Podobno mamy lato, ale za dziesięć szósta rano jest zimno jak w psiarni. Siedzę w samochodzie zaparkowanym przed pubem Serengeti i rozmasowuję obolały kark. Kiepsko się śpi ze zwiniętą kurtką pod głową. Zmarznięta i połamana przeklinam tę cholerną jędzę, chrapiącą pod ciepłą pościelą i rozwaloną na łóżku, które nareszcie ma całe dla siebie.

To nie wszystko. Wieczorem przed snem powiedziałam sobie, że powinnam się skupić na możliwościach zamiast na prawdopodobieństwach. Musiałam przekonać samą siebie, że Tom być może nadal żyje. Zrobiłam to, ponieważ zaczęłam się martwić, w jakim stanie będzie jego ciało po kilku dniach rozkładu w gorącym słońcu, w zimnej wodzie albo w pełnej robali ziemi. Musiałam stłumić w sobie przekonanie o jego śmierci, bo poczułam się lepiej, mogąc wyobrazić sobie, jak zaczyna nowe życie daleko stąd, tak jak twierdziła Lucy.

Ale to na nic. Pozytywne myśli o losie mojego brata sprawiły jedynie, że powrót do rzeczywistości przypominał zderzenie z ciężarówką. Dziś rano jest nawet jeszcze gorzej. Tom nie żyje, przez długie lata będę czuła ból po jego śmierci, a wszystko przez tę sukę.

Dzięki tej myśli ulatują ze mnie resztki snu i zapominam o zimnie i zdrętwiałym karku. Postanawiam, że zrobię to dziś. Zdemaskuję Lucy. Będę patrzyła, jak odwożą ją do aresztu. I uśmiechnę się po raz pierwszy od sama nie wiem jak dawna.

Z tylnego siedzenia samochodu mam częściowy widok na główną drogę. Pan Baker – właściciel sklepiku, otyły pięćdziesięcioparolatek, dawny mistrz kulturystyki w kategorii juniorów, choć zupełnie na to nie wygląda – otwiera lokal, wystawia na chodnik potykacz z rysunkiem lodowego rożka i obraca wiszącą w drzwiach tabliczkę z napisem „zamknięte”.

Zakładam pomietą kurtkę i wysiadam z auta. Za wcześniej na Lucy i policjantów, ale na wszelki wypadek szybko przechodzę na drugą stronę ulicy – to by dopiero było, gdyby nagle nadjechali i rozsmarowali mnie na przedniej szybie. Nawet ta z pozoru szalona myśl dodatkowo pogłębia moją nienawiść do Lucy, bo zaczynam się zastanawiać, jaką to trucizną moja bratowa wlewa komisarzowi do uszu podczas podróży z Sheffield.

Idę do sklepiku, kupuję paczkowaną kanapkę i ostatni karton soku jabłkowego. Od kiedy byłam tu po raz ostatni – nie wiem, że dwa lata temu? – pan Baker zainwestował w automat z gorącymi napojami. Biorę kawę na pobudzenie i herbatę dla smaku. Staję przy kasie. Właściciel chyba nie usłyszał dzwonka nad drzwiami, bo wychodzi z zaplecza dopiero, gdy zaczynam stukać monetą o ladę.

– Dzień dobry! Pani przejazdem czy w odwiedzinach? – odzywa się Baker, wtaczając się przez otwór drzwiowy, który ledwo jest w stanie go pomieścić. Wydaje się nieco zaskoczony, ponieważ jest za wcześnie na turystów. Pyta, czy w okolicy mieszka ktoś z rodziny. Mówię, że mój brat i jego żona wynajmują Kaskadę. Ożywia się.

– Widziałem policję. Słyszałem, że przyjechali, bo coś się stało.

Zatem wieść poszła w świat. Sądząc po jego pożądlwym spojrzeniu – a wiem, że nie chodzi mu o mnie, potarganą i nieumalowaną – łaknie plotek, pragnie znaleźć się w centrum uwagi, kiedy ludzie zaczną przychodzić do niego, żeby podzielił się z nimi wiedzą. Z chęcią mu w tym pomogę.

– Chodzi o mojego brata i jego żonę, Lucy. Pamięta pan ją?

Nie pamięta. Przypomina sobie dopiero, kiedy wymieniam nazwisko Toma i dodaję, że jest agentem nieruchomości. Baker kiedyś poprosił Toma o wycenę sklepiku, dlatego go kojarzy. I Lucy.

– Co to za sprawa z policją? Tylko niech mi pani nie mówi, że ktoś się włamał do Kaskady? Młody Badhen niedawno wyszedł z więzienia, to na pewno jego sprawka.

Nie znam żadnego Badhena. Szczęście dla niego i jego kreskówkowego przezwiska. Pod koniec dnia, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, nikt nie będzie miał głowy do wyczynów jakiegoś dzieciaka.

– Tom zaginał i policja myśli, że to Lucy go zabiła.

Bakerowi opada szczęka.

– Zabiła go w Kaskadzie? Żartuje pani.

– Chciałabym. Tom zniknął w niedzielę, a Lucy zachowuje się bardzo podejrzanie. Twierdzi, że odszedł od niej, po prostu ją zostawił, ale istnieją dowody, że zrobiła mu krzywdę. Dziś też przyjedzie policja.

– No proszę. Czyli co: nie ma ciała? Na ich miejscu przeszukałbym wawóz. Starą Grady, tę, która wyszła się przejść, odnaleźli dopiero po dwóch tygodniach. Coś jej się porobiło z głową, nie pamięta imion i w ogóle niczego.

Nie znam też żadnej starej Grady. Jaja sobie robi z tymi nazwiskami?

– Przyjadą technicy, nurkowie, psy tropiące i pewnie helikoptery. Będzie się sporo działo. Raczej nie zabraknie panu klientów na pączki.

Niemal skacze z radości.

– To znaczy, że Cullerton będzie sławne? Albo raczej okryje się niesławą... Zabiła jeszcze kogoś?

Och, mieszkańcy wioseczki byliby zachwyceni, gdyby się okazało, że grasuje u nich seryjny morderca. Baker wyobraża sobie, że będzie organizował zwiedzanie z przewodnikiem śladami morderstw, jak w Whitechapel tropem ulubionych miejsc Kuby Rozpruwacza.

– Tego jeszcze nie wiadomo. Niech pan wypatruje radiowozów i furgonetek techników.

Chce wiedzieć więcej, ale mówię mu, że muszę się jeszcze zorientować w kwestii urzędnika pozwalającego na badanie gruntu pod kątem obecności kości, i wychodzę. Zerkam przez szybę i widzę, że stoi z telefonem przy uchu, dzieląc się wieściami. Mam nadzieję, że powie komu trzeba, i zanim się obejrzę, w Cullerton będzie huczało od plotek.

Nie jestem jakoś szczególnie dumna z rozsiewania pogłosek o Lucy, ale cóż, zasłużyła sobie. Poza tym poprawiło mi to humor. Nie zamierzam puścić jej płazem losu, który zgotowała mojemu bratu, ale zdaję sobie

sprawę, że może trochę minąć, zanim policja w końcu ją aresztuje. Do tego czasu mogę uprzykrzyć jej życie na tyle, na ile zdołam.

Zaczęłam nastawiać Sheffield przeciwko niej, a teraz, począwszy od małej dywersji w sklepiku, dopilnuję, by również w Cullerton nie zaznała chwili spokoju. Ani tu, ani nigdzie indziej. Konsekwencje czynów, których się dopuściła, będą deptały jej po piętach, nawet jeśli ucieknie do Niemiec. Zadbam o to, żeby nigdzie nie czuła się bezpieczna, choćby miało mnie to kosztować ostatnie pieniądze. A jeżeli umknie na księżyc, będę ją dręczyła za pośrednictwem załogi międzynarodowej stacji kosmicznej. Jej nazwisko będzie jedynym, które zapamięta stara Grady.

Rozgrzewające myśli w ten chłodny poranek. Wsiadam do auta i wgryzam się w kanapkę.

12

LUCY

Zadzwoił mój telefon. Spojrzałam zaniepokojona na ekran.

– Coś, czego nie przewidziałam...

– Kto to? – spytał Reavley. Od kilku kilometrów sunęliśmy autostradą w milczeniu i komisarz prowadził jak na autopilocie. Na dźwięk dzwonka zaintrygowany wyprostował plecy.

– Oferta internetu szerokopasmowego.

Na twarzy Reavleya najpierw na krótko pojawiło się rozczarowanie, a potem konsternacja: skąd moje poruszenie zwykłym telemarketingiem? Zanim zdążył o to zapytać, odebrałam połączenie. Nie odezwałam się do słuchawki, ale ten, kto dzwonił, musiał wychwycić głos komisarza, który wybrał akurat ten moment, żeby pomachać pięścią i wycedzić „cholerni samobójcy” pod adresem pędzącego jak szalony motocyklisty.

Głos w słuchawce zapytał, czy ma przyjemność rozmawiać z Tomem Packhamem, i z miejsca zaproponował, żebyśmy mówili do siebie na ty; żyjemy przecież w epoce skracania dystansu.

– Nie. Przy telefonie Lucy Packham.

Głos spytał, czy mam internet szerokopasmowy i czy jestem z niego zadowolona.

– Nigdy nie mieliśmy żadnych problemów. Zawsze byliśmy z Tomem zadowoleni z tego, co mamy. Nasze połączenie zawsze było doskonałe.

Głos stwierdził arogancko, że oferta, którą może mi właśnie przedstawić, jest o wiele lepsza od tej, którą proponuje dotychczasowy dostawca usług. Zaczęłam się już irytować. Oczywiście rozumiałam, że ma swoją pracę i nie musi – nie może – wiedzieć, że właśnie zawalił się cały mój świat, ale czy ci ludzie naprawdę nie biorą pod uwagę, że telefony od nich mogą przypadać na trudne chwile? Przeżywałam tragedię, a ten ktoś nawet nie zapytał mnie o samopoczucie.

– Lepsza? Cha, cha. Chętnie się dowiem, pod jakim względem – rzuciłam nieco opryskliwie.

Głos powiedział, że firma, którą reprezentuje, ma do zaoferowania wiele bogatych pakietów i superplanów.

– O rety – odparłam, nie szczędząc sarkazmu. Nowe łącze szerokopasmowe było daleko na liście moich priorytetów, ale miałam ochotę wyładować się na kimś. – Opowiedz mi o swoich planach. Albo nie, przejdź od razu do sedna i zdradź, ile będzie mnie to wszystko kosztowało.

Od jak dawna korzystam z obecnego planu taryfowego?

– Och, długo. I zamierzam o wiele dłużej. – Masz z tym jakiś problem? – W tej chwili jestem zadowolona. Czemu więc miałabym cokolwiek zmieniać?

Ale to przecież taka świetna oferta. Głos marnował mój czas – a mi już się odechciało wyżywać.

– Naprawdę nie jestem zainteresowana.

Padła propozycja specjalnej, wyjątkowo atrakcyjnej umowy na DZIESIĘĆ LAT.

– Miałabym mieć... związane ręce przez dziesięć lat? Wolne żarty. Nie zgodzę się na tyle. W ogóle żadna umowa nie wchodzi w grę, bo mam już wszystko, czego chciałam. Żadna propozycja tego nie zmieni.

Mimo to głos upierał się, że byłabym zadowolona ze zmiany operatora.

– Wbij to sobie wreszcie do głowy. Nie jestem zainteresowana. Gdybym była albo gdyby Tom był, od razu byśmy powiedzieli, a nie zrobiliśmy tego. Nie dzwoń więcej.

Rozłączyłam się. Reavley czekał na wyjaśnienia.

– Moje życie jest na zakręcie – powiedziałam. – Od tej pory wszystko będzie wyglądało inaczej.

Pokiwał głową ze zrozumieniem.

Mimo to postanowiłam doprecyzować.

Moje życie z Tomem dobiegło końca, ale minie jeszcze trochę czasu, zanim ta informacja rozniesie się po całym naszym świecie, do którego zaliczała się również osoba z telefonu, a także bank obsługujący naszą hipotekę, poczta i tak dalej; ponadto niektórzy dalsi znajomi niemający pojęcia o tym, co się dzieje – wszystkim tym ludziom trzeba będzie uświadomić, że Tom i Lucy Packham nie są już razem.

Drogi kochającej się pary ostatecznie się rozdzieliły, każde ruszyło w swoją stronę, wydeptując własną ścieżkę przez życie. Z każdym powrotem do tego, co się stało, będzie mnie nawiedzało bolesne wspomnienie; każdy taki przypadek będzie jak rozdrapywanie starych ran.

Nie będę wtedy przyjemna, o czym zdążyła się przekonać osoba od szerokopasmowego internetu.

Komisarz podsumował moje wytłumaczenie kolejnym kiwnięciem głową, ale tym razem zrobił to bez przekonania. Przyjął moje słowa, ale nie uwierzył w nie. W jego geście zabrakło choćby grama współczucia.

Czułam, że nadal ma wątpliwości, czy na pewno nie zabiłam swojego męża.

MARY

Ostatni raz byłam w kościele w Cullerton na ślubie Toma i Lucy. Dziwne, bo kiedy próbuję wyobrazić sobie mojego brata z uśmiechem na twarzy, wracam myślami do tamtej uroczystości. Widzę swojego przystojnego, świeżo ochajtanego braciszka w smokingu, szczerzącego się jak głupi do sera. Dziś jednak nie kojarzę tamtego dnia ze świętem radości, którym miał być, ponieważ już na zawsze zapamiętam go jako pierwszy krok Toma na drodze wiodącej ku morderstwu.

Na tej samej ławeczce przed kościołem, na której teraz siedzę, mogłam uratować Tomowi życie. Tak jak powiedziałam komisarzowi, tamtego dnia Lucy była uosobieniem ponurości. Od rana musiała uśmiechać się do wszystkich, choć nie miała ochoty, w końcu nie wytrzymała i wymknęła się tutaj, na tę ławeczkę, żeby odetchnąć.

Ruszyłam w jej stronę, chcąc się z nią rozmówić. Zamierzałam powiedzieć jej, że znam powód, dla którego postanowiła wyjść za Toma: ponieważ czuje się zagubiona. Ale zamiast tego zatrzymałam się dwa metry za nią i w milczeniu przyglądałam się jej, nieszczęśliwej pannie młodej ukrywającej twarz w dłoniach. Podwinęła syreni ogon sukni i usiadła na nim; kawałek wysunął się spod niej, wpadł w przerwę pomiędzy siedziskiem a oparciem i wylądował na trawie. Wiele osób chwaliło jej urodę tamtego dnia, ale ja widziałam jedynie starzejącą się kobietę usiłującą nadać sobie młodzieńczy wygląd.

Jej wąska, blada szyja – miałam ogromną chęć objąć ją dłońmi i zmiażdżyć. Z łatwością mogłam to zrobić. Tak wiele by się wówczas zmieniło. Zapewne nadal tkwiłabym w ciupie, ale Lucy by zniknęła, a mój brat nie byłby trupem.

Nie udusiłam jej. Za to dałam upust małościowości: postawiłam stopę na trenie i wdeptałam go w ziemię. Usatysfakcjonowana odwróciłam się na pięcie i odeszłam. Lucy nawet się nie zorientowała, że tam byłam. Nie udusiłam jej – dlatego Tom nie żyje.

Z ławeczki mam widok na całą główną ulicę wioski, również na stojący na lekkim podwyższeniu Kwaint. W czasach, kiedy mieścił się tam pub, właściciele postawili Kaskadę jako ustronne gniazdko, do którego jedyny dojazd prowadził przecinającą las gruntową drogą. Dlatego nie ma szans, żebym przegapiła wstrętą gębę Lucy. Podobno właściciele pubu rozszarpały dzikie zwierzęta na safari. Lucy też zdecydowanie powinna się wybrać na taką wyprawę.

Jeszcze wcześniej, wszędzie pusto. Nie licząc mnie, jedyną osobą na cmentarzu jest kobieta mniej więcej w moim wieku, zatopiona w modlitwie przy nagrobku kilka metrów dalej. Drażni mnie, wolałabym być sama. Gdzie się podziewają wszystkie tygrysy, akurat kiedy są potrzebne?

Śmierć w paszczy tygrysa rozpałała wioskę przez miesiąc, może dwa, w każdym razie nie dłużej niż do kolejnego dorocznego wyścigu tacek albo innego dziwactwa, którym te kmioty wypełniają sobie czas. Ciekawa jestem, co pomyślą, kiedy się dowiedzą o złej wiedźmie, która zaciukała mężusia w domku letniskowym. Może uznają, że Kaskada jest nawiedzona, i odprawią egzorcyzmy? Jeśli tak się stanie, wszyscy będą o tym mówili – i nikogo nie będzie obchodziło, kto w tym roku wyhodował największą cukinię.

– Sporo śmierci wiąże się z tym miejscem – mówię na głos. Kobieta przy grobie łypie na mnie.

Śmierć. Przypomina mi się ostatnia poważna rozmowa z Tomem sam na sam, w sobotę wcześniej rano, przed jego wyjazdem do Cullerton. Wpadł do taty, żeby coś zabrać, i ojciec powiedział ni z tego, ni z owego, że chce, aby jego prochy rozsypano w Szkocji, gdzie się urodził. Wtedy po raz pierwszy w ogóle poruszył ten temat. Uświadomiliśmy sobie z Tomem, że musimy przygotować się na taką ewentualność.

Przez kilka minut rozważaliśmy różne opcje, dopóki nie przerwała nam jego cholerna żona. Zadzwoiła do Toma z pretensją, że przecież czeka na niego w samochodzie. Ochrzaniła go nawet po tym, jak wyjaśnił jej, o czym rozmawialiśmy. Tom podwinął ogon i wyszedł. Pojechali na rozkoszny weekend nad rzeką.

Kiedy teraz myślę o tamtym poranku, robi mi się smutno. I czuję bezsilną złość. Wtedy ostatni raz widziałam brata żywego i nie jest to miłe wspomnienie. Ostatnia mina Toma, którą zapamiętałam, wyrażała rozczarowanie. A ostatnie słowa, jakie do mnie wypowiedział, brzmiały: „Jej Zołzowatość nie lubi czekać”. Do diabła z taką pamiętką.

– To ona powinna umrzeć – mówię głośno. Słyszę karcące cmoknięcie. Modląca się kobieta ruga mnie spojrzeniem.

O zołzie mowa, a zołza tuż. Zza pubu Serengeti wytacza się samochód Reavleya, wiozący w swym wygodnym, ciepłym wnętrzu Jej Wysokość Lucy. Tuż za nim jedzie kolejne cywilne auto, prawdopodobnie z ludźmi z zespołu komisarza. I to wszystko. Dwa nieoznakowane wozy. Zero mundurowych, zero techników, żadnej furgonetki z psami tropiącymi. Jak to? Reavley zjawił się bez ekipy poszukiwawczej? Nie podoba mi się to. Nie wróży nic dobrego.

Samochód komisarza zatrzymuje się przed sklepikiem. Lucy wysiada i wchodzi do środka. Mogłam wziąć lornetkę. Chociaż nie, bo wtedy zobaczyłabym uśmiech na twarzy tej jędzy. Wraca po trzech minutach i nawet z odległości osiemdziesięciu metrów widzę, że nie jest zadowolona. To dobrze. Najwyraźniej opłacała się moja akcja sabotażowa u sklepikarza. Lucy jest wręcz wściekła, sądząc po tym, jak trzaska drzwiami; robi to tak głośno, że hałas dociera aż do mnie. Znakomicie.

– Źle ci, suko? Poczekaj, wkrótce będzie jeszcze gorzej.

Kobieta gromi mnie wzrokiem, pokazuje palcem i mamrocze coś o sprzątaniu po sobie. Chodzi jej o leżącą pod ławką pustą butelkę po soku jabłkowym, identyczną jak moja. Odwarkuję, że to nie ja naśmieciałam, i kobieta czmycha spłoszona.

Postanawiam odczekać pół godziny, zanim pójde się przywitać.

Dziesięć minut później zjawiają się dwa radiowozy z Lancashire, skręcają na ten sam parking przed Kwaintem i znikają między drzewami. Obserwuję drogę, mija pięć minut, ale nikt więcej nie nadjeżdża. Nie sprowadzili psów szkolonych do odnajdywania ludzkich szczątków ani techników, którzy przetrząsnęliby Kaskadę od góry do dołu i popakowali w woreczki wszystko, co wydałoby im się podejrzane. Naprawdę mi się to nie podoba.

Pora stawić czoło Lucy.

LUCY

Reavley milczał od kilkunastu minut. Odezwał się znowu dopiero parę kilometrów przed Cullerton. Z jego spojrzenia bił niepokój.

– Chciałbym, żeby wzięła pani dziś udział w konferencji prasowej.

Prawie odetchnęłam z ulgą. Policja organizowała konferencje prasowe wtedy, kiedy zależało jej na pomocy zwykłych obywateli. Propozycja Reavleya oznaczała, że nie podejrzewa mnie o zamordowanie Toma. Kiedy programy informacyjne pokażą twarz mojego męża, znacząco wzrośnie szansa na to, że zostanie przez kogoś zauważony. Tak bardzo pragnęłam go odzyskać. Otuchy dodawała mi również nadzieja na udowodnienie Mary, że wcale nie zabiłam jej brata. Wiem, może to małosłowne, ale nie mogłam się doczekać jej miny, kiedy Tom odnajdzie się cały i zdrowy. Wezmę go pod rękę i razem ją odwiedzimy.

Opanuj się, powiedziałam sobie. To przyjemne marzenie, ale nierealne. Tom mnie opuścił, dlatego pełne miłości ponowne spotkanie nie wchodzi w grę.

– Wszystko w porządku? – spytał Reavley. Musiałam odpłynąć na kilka sekund.

– Tak. Po prostu się denerwuję.

– To nie wygląda tak, jak się widzi w telewizji. Nie będzie pięćdziesięciorga dziennikarzy przerzucających się pytaniami, tylko jeden, w dodatku mój znajomy. Przyjedzie później. Przedstawi sprawę w miejscowych mediach.

– Miałam na myśli coś innego. Odchodząc ode mnie, Tom spowodował...

– wykonałam nieokreślony ruch dłonią – ...to wszystko. Denerwuję się myślą o chwili, w której znów go zobaczę. Mojego własnego od pięciu lat męża.

– Doskonale panią rozumiem. Czasem człowiek czuje się skrępowany nawet po drobnej sprzeczce, kiedy nie odszedł dalej niż do sąsiedniego pokoju. Na pewno jest pani na siłach, by wziąć udział w konferencji?

Potwierdziłam skinieniem głową.

– Obawiam się tylko, że nagłośnienie sprawy przez miejscowe media może nie wystarczyć. Jeśli Tom wyjechał na drugi koniec kraju, nie zobaczy tego ani on, ani osoby, które mogły go zapamiętać.

– Nie wolno nam zapominać, że pani mąż jest osobą dorosłą. Może jeździć, dokąd chce, i robić, co chce. Publikując w ogólnokrajowych mediach jego wizerunek jako osoby zaginionej, w poważnym stopniu naruszylibyśmy jego prawo do prywatności, na przykład gdyby chciał ułożyć sobie nowe życie. Dlatego potraktujemy tę historię jako swego rodzaju odświeżenie pamięci dla tych, którzy w niedzielę, a więc w dniu zaginięcia Toma, przebywali w okolicy. Proszę o tym myśleć jak o rekonstrukcji zdarzeń. Chciałbym, żeby ponownie przeszła się pani szlakiem przez las, tym razem z dziennikarzem. Być może ci, którzy widzieli was razem albo widzieli, dokąd poszedł Tom, coś sobie przypomną.

– Zgadzam się na wszystko. Bylebym odzyskała męża.

Lekko przeraziło mnie kłamstwo, które opuściło moje usta. Przecież w głębi duszy wiedziałam, że nie robię tego, by Tom do mnie wrócił; nasze małżeństwo dobiegło końca pod każdym względem z wyjątkiem formalnego. Powinnam była powiedzieć raczej: „Zgadzam się na wszystko. Byle tylko ludzie przestali myśleć, że zabiłam swojego męża”.

Kiedy mijaliśmy leżący tuż przy wjeździe do Cullerton pub Serengeti, poprosiłam komisarza, żeby stanął przy sklepiku, bo chcę kupić coś do picia. Posłał mi spojrzenie, jakby bał się, że spróbuję dać nogę, ale po chwili dotoczył się do krawężnika i zatrzymał.

– Wróci pani, prawda? – spytał niemal błagalnie, po czym wykonał zaskakujący gest: uniósł dłoń jak do przysięgi, a oczy ku niebu, i rzekł: – Czy przyrzeka pani uroczyście? – Popatrzyłam na niego podejrzliwie. – Proszę wybaczyć. Wiem, że Tom tak robił. Jego siostra mi powiedziała.

Rozdrażniona – choć właściwie nie wiadomo czym, bo to przecież oczywiste, że powinien porozmawiać ze wszystkimi osobami mogącymi mieć związek ze sprawą – podniosłam rękę i oznajmiłam niby uroczyście, mocno sarkastycznym tonem:

– Uroczyście przyrzekam, że nie ucieknę, aby ułożyć sobie nowe życie w Australii.

Odwróciłam się i odeszłam, nie czekając na jego reakcję.

Zabrzęczał dzwonek nad drzwiami, ale pan Baker nie wyszedł z zaplecza. Często tak robił; nie lubił czekać bezczynnie przy kasie, wolał, kiedy klienci

najpierw spokojnie mogli wybrać to, co chcieli kupić. Miejscowym zdarzało się płać panu Bakerowi figła: uderzali ponownie w dzwonek i chowali się, żeby właściciel pomyślał, że miał złodzieja, który właśnie wybiegł z łupem. Dla śmiechu wykręciłam ten numer w poniedziałek, gdy przyjechałam spotkać się z policją, i postanowiłam powtórzyć go teraz.

Po kilku sekundach usłyszałam znajome kroki. Potem cisza. Pan Baker rozglądał się po pustym sklepie.

– Jest tu kto?

Odczekałam jeszcze chwilę, aż zaklnie pod nosem, i dopiero wtedy wychyliłam się z końca alejki i pomachałam do niego. Poprzednim razem wydawał się zaskoczony, bo nie widział mnie, od kiedy Tom i ja wybraliśmy się do Kaskady w lutym. Teraz jednak mina pana Bakera wyrażała... obrzydzenie – to chyba najlepsze słowo.

– Przepraszam za ten numer. Chciałam tylko zażartować. – Podeszłam do regału z napojami i zobaczyłam, że nie ma soku jabłkowego. Zapytałam, czy nie znalazłby się na zapleczu.

– Nie dla pani.

Spojrzałam na niego, nie bardzo wiedząc, co sądzić o kąśliwym tonie jego głosu. Pomyślałam, że przypadkiem odpowiedział mi ostrzej, niżby chciał – może jest nie w sosie? – tyle że nadal wykrzywił usta w minie pełnej pogardy. Dotarło do mnie, że przyczyną jego zachowania nie jest mój niewinny dowcip.

– Duży dziś ruch?

– Zapowiada się, że będzie o wiele większy. Proszę się pospieszyć.

W poniedziałek był uśmiechnięty i wygadany, teraz – nieprzystępny i wręcz wrogo nastawiony. Uświadomiłam sobie, że wie o zniknięciu Toma. I o tym, co rzekomo zrobiłam swojemu mężowi. Bez sensu. Owszem, dwa dni temu była ze mną w Kaskadzie policja, ale wizyta okazała się stosunkowo krótka, poza tym nie rozmawialiśmy z nikim z mieszkańców Cullerton. W poniedziałek pan Baker nie miał pojęcia o całej sprawie. Skąd więc się dowiedział?

Wtedy mnie oświeciło.

– Proszę pozdrowić ode mnie Mary, jeśli znów tu zajrzy.

Prędko wyszłam ze sklepiku i zdałam relację Reavleyowi.

– Plotki żyją własnym życiem – stwierdził. – Nie możemy mieć pewności, że to Mary je roznosi.

– Myślę, że dowiemy się całkiem niedługo. Bo ona gdzieś tu jest. I jestem przekonana, że zamierza namieszać.

MARY

Na pieńku tuż za dziurą w ogrodzeniu na końcu parkingu siedzi umundurowany policjant, którego zadaniem jest prawdopodobnie zatrzymywanie każdego, kto próbowałby skorzystać z drogi prowadzącej do Kaskady. Ach, zatem świeżo upieczeni najlepsi przyjaciele Reavley i Lucy nie chcą, by ktokolwiek im przeszkadzał, kiedy będą się do siebie przymilać. Zauważam gliniarza na tyle wcześnie, by zdążyć wykręcić na parkingu. Widział mnie, ale niczego nie podejrzewa. Turystom przecież często się zdarza pomylić zjazd.

Zostawiam samochód trochę z boku, poza zasięgiem wzroku policjanta, i kieruję się na tył pubu. Jest tam wąskie przejście pomiędzy płotem a zamkniętym ogródkiem piwnym. Z trudem się mieszczę, mimo że jestem dosyć szczupła, brudzę sobie ubranie z przodu i z tyłu, do tego trochę bołą mnie piersi. Płaska jak deska Lucy nie miałaby tego problemu.

Droga dla samochodów ma w miarę łagodny spadek, bo jest dłuższa i kręta; biegnąca prosto w dół po zboczu ścieżka stanowi wyzwanie ze względu na swoją stromość. W zaroślach na górze pełno starych puszek po napojach, torebek po chipsach, a nawet niepotłuczonych półlitrowych butelek po piwie – pamiątka po licznych na przestrzeni lat pijanych idiotach, którzy bezmyślnie wyrzucali śmieci za płot. Gdyby nie wysokie, gęste drzewa, sprawny miotacz mógłby cisnąć butelką tak, że wylądowałaby na dachu Kaskady.

Wyłaniam się z lasu jakieś dwadzieścia metrów dalej, na wysokości obwiedzonego żwirowym obrzeżem otwartego ogrodu na tyłach Kaskady. Przy jednym z krzeseł ustawionych wokół paleniska pali papierosa zwrócony plecami do mnie policjant. Kiedy stawiam stopę na żwirze i ten nagle zaczyna chrzęścić, glina omal nie wyskakuje ze skóry.

– Skąd pani się tu wzięła? Wstęp wzbroniony.

– Aaron? – krzyczę, a potem jeszcze raz, głośniej. Funkcjonariusz rusza w moją stronę, blokując mi przejście. Po chwili w drzwiach od zaplecza staje Reavley, a w oknie w kuchni pojawia się Lucy. Dobrze, że nie jest goła.

Pierwszą reakcją komisarza na mój widok jest zdumienie, drugą – zadowolenie. Uśmiecha się, ale zamiast zaprosić mnie do domku, chwytając mnie za ramię i zaczyna prowadzić w przeciwnym kierunku. Zatrzymuje

się pod boczną ścianą budynku, bo głównego wejścia do Kaskady strzegą jego ludzie.

– Mary, nie powinno pani tu być. Lucy uprzedzała, że pani przyjedzie i będzie próbowała utrudniać.

– Przecież to nie miejsce zbrodni, prawda? Nie widzę taśmy policyjnej. To znaczy, że mogę chodzić, gdzie mi się podoba. Lucy nie chce mnie tutaj, żeby móc się do pana wdziękzyć.

– Nic podobnego. Nawet nie próbowała.

– Nie zaprzeczył pan, że to nie miejsce zbrodni. Dlaczego? Czemu nie ma taśmy i gdzie się podziewa ekipa poszukiwawcza? Powinniście zbierać dowody na to, że Tom został zabity w Kaskadzie. Dokoła powinno być pełno ludzi w białych kombinezonach, zdejmujących ze wszystkiego odciski palców. No i psów.

– Przeszukanie jest w toku. Widzimy rzeczy, których pani nie widzi. Nadal istnieje szansa, że Tom wyszedł stąd żywy i o własnych siłach, i nie zamierzamy wytaczać artylerii, dopóki nie natrafimy na jednoznaczny dowód, że doszło do przestępstwa. A już na pewno nie możemy aresztować Lucy na tym etapie.

Bierze głęboki oddech. Czekam – to jeszcze nie wszystko.

– Część mieszkańców Cullerton, w tym miejscowa policja, postanowiła na własną rękę przeczesać las i dolny bieg rzeki, szukając Toma lub jego śladów. To, że nie wrywamy desek z podłogi, nie oznacza, że siedzimy z założonymi rękami. Znajdziemy dowody, o ile istnieją. W tej chwili moi ludzie podejmują działania polegające na analizie zgromadzonych informacji.

Policyjny bełkot. Chce mnie spławić. Nie widzę tego, co oni? Wiem, że w tym kraju co roku ginie mnóstwo ludzi, ale niewielu z nich traci życie wskutek przestępstwa. Większość w końcu się odnajduje, cała i zdrowa. Niektórzy postanawiają się ulotnić, ponieważ chcą rozpocząć nowe życie – ich wola. Inni po odnalezieniu nie życzą sobie, by policja kogokolwiek informowała o ich miejscu pobytu.

Biorąc pod uwagę różnorodność niewinnych powodów, dla których dorosłym ludziom zdarza się zniknąć, policja rzeczywiście nie może angażować środków w poszukiwanie kogoś takiego, chyba że dysponuje niezbitym dowodem popełnienia zbrodni. Tom nie jest dzieckiem, które po szkole nie dotarło do domu. Widzę to, co oni.

Ale policjanci nie widzą tego, co ja: jadącego na czołówkę ze ścianą niestabilnego małżeństwa, za którego kierownicą siedzi niebezpieczna kobieta.

– Mówi pan, że gromadzicie informacje? Chyba trudno o lepsze ich źródło niż przyjaciele i rodzina? Tom jest moim bratem. Kto ma go znać, jeśli nie ja?

– Ma pani absolutną rację. I rzeczywiście chciałbym się czegoś od pani dowiedzieć: czy Tom ma testament?

Pytanie lekko zbija mnie z tropu.

– Tak, ma. Pomogłam mu go spisać, kiedy miał osiemnaście lat. Ma również konto w funduszu emerytalnym. Zanim pojawiła się Lucy i go omotała, zajmowałam się finansami Toma. Jestem wymieniona w jego testamencie, tak samo jak ona. Dziwię się zresztą, że nie kazała mu mnie usunąć. – Milknę na chwilę. – Aaronie, zadając mi to pytanie, przyznał pan, że potrzebuje mojej wiedzy. Proszę mi w końcu uwierzyć, że to, co mówiłam wcześniej i powtórzę jeszcze raz, jest prawdą: Tom nie wyjechałby bez słowa, nie kontaktując się z nikim, zwłaszcza ze mną. Przytrafiło mu się coś złego. Niechże to wreszcie do pana dotrze. Musi pan aresztować Lucy.

Uprzedzam kolejny główniany wykręt komisarza o braku dowodów i statystyce, zasypując go faktami świadczącymi przeciwko Lucy. Jest tego całkiem sporo. Pokaz monster trucków, na którym zabrakło Toma. Jej kłamstwa na temat miejsca pobytu Toma. Krew w umywalce. Bluzka, którą spaliła w palenisku. Insulina w koszu na śmieci. I jeszcze prawdziwa perła: rzekomy esemes z nowego numeru telefonu, który – jakże szczęśliwie dla niej się składa – jest stale wyłączony. Gdybym to ja prowadziła tę sprawę, w trymiga założyłabym jej kajdanki. To przecież oczywiste, że Tom nie żyje.

– Oczywiście – powtarzam.

– To nie takie proste – odpowiada. Nikt nas nie widzi, a jednak komisarz wciąż trzyma mnie za ramię; już nie ściska, prawie nie czuję jego dłoni. Robi to bardziej dla dodania mi otuchy niż ze względów bezpieczeństwa. – Musimy udowodnić przestępstwo ponad wszelką wątpliwość.

– Powiedział mi pan, jak to się robi. „Dowód życia”. Czy Tom korzystał ze swoich kont bankowych?

– Nie, ale morderstwo, w którym nie odnaleziono zwłok, trudno udowodnić, ponieważ...

– Wiem, czytałam o tym. Zasada mówiąca, że „bez zwłok nie ma morderstwa”, podobno ma swoje źródło w sprawie z Gloucestershire z tysiąc sześćset sześćdziesiątego roku. Niejaki Wiliam Harrison zaginął, po pewnym czasie natrafiono na jego zakrwawione ubranie, natomiast ciała nie odnaleziono. Jego służący, John Perry, twierdził, że zabójstwa dokonali matka i brat Harrisona, ale oboje nie przyznawali się do winy. W końcu powieszono całą trójkę pomimo tego, że trupa ofiary nie udało się odszukać. Dwa lata później Harrison powrócił cały i zdrowy do rodzinnej miejscowości. Okazało się, że został uprowadzony i wzięty w niewolę do innego kraju.

– Cieszę się, że zadała pani sobie trud, aby się tego dowiedzieć, ale...

– Ale to się działo setki lat temu i ówcześni ludzie nie dysponowali nowoczesną techniką. Czy Tom był aktywny na Facebooku po tym, jak zniknął? Czy zgłosił się do swojego lekarza po insulinę? Czy zadzwonił do ukochanej siostry? Czy korzystał z jakichkolwiek elektronicznych formularzy albo z banku? A krew? A kłamstwa Lucy? A to, że Tom nie wyjechałby tak po prostu?

Komisarz nie podnosi głosu. Jedyłą oznaką tego, że coraz bardziej się mną irytuje, jest mocniejszy uścisk jego dłoni na moim ramieniu.

– Mary, niech pani weźmie pod uwagę, że przysięgli nie mają wiedzy na temat Lucy, Toma i historii ich związku. Dysponują jedynie dowodami, które muszą być jednoznaczne, aby mogli podjąć dobrą decyzję. Weźmy na przykład krew. Lucy powiedziała, że Tom skaleczył się w palec i krwi rzeczywiście nie było dużo. Czy pani zdaniem jest niemożliwe, żeby pochodziła z rany na palcu?

Niemożliwe? Muszę przyznać, że nie.

– To, co Tom robił albo czego nie robił wcześniej, również o niczym nie świadczy. Nie ma znaczenia, że nigdy dotąd nie zniknął bez słowa, nie opuszczał pokazów monster trucków, nie wyjeżdżał, nie informując o tym siostry albo znajomych. Wszystko to mogło się wydarzyć, nawet wszystko naraz. Niemożliwe?

Nie wiem, co odpowiedzieć.

– A kłamstwa Lucy?

– Żadne z nich nie stanowi dowodu ponad wszelką wątpliwość, że zabiła męża. Musi pani wziąć pod uwagę fakt, że jest pani nieobiektywna i nie dostrzega dowodów uniewinniających.

Patrzę na niego zdumiona.

– Pana zdaniem jestem tak zaślepiona nienawiścią do niej i do tego stopnia przekonana, że zabiła Toma, że nie dostrzegam jej niewinności?

– Niestety trochę tak to wygląda. Bardzo szybko chwytą się pani wszystkiego, co mogłoby dowodzić winy Lucy. Nie dopuszcza pani do siebie myśli, że Tom rzeczywiście mógł ją po prostu zostawić. Czy to dlatego nie rozeznała się pani wśród znajomych brata, czy któryś z nich go widział?

– Słucham?

– Kontaktowała się pani z osobami z kręgu przyjaciół Toma, ale wyłącznie po to, żeby przedstawiać Lucy w niekorzystnym świetle. Nikogo pani nie zapytała o to, czy Tom się z nimi kontaktował.

– Nie było sensu. Przecież Lucy pozbyła się zakrwawionego trupa Toma. Aaronie, niech się pan skupi na tym, co najważniejsze. A Lucy? Czy ona zapytała kogokolwiek, czy Tom się odzywał? – Jego spojrzenie jest dla mnie wystarczającą odpowiedzią. – No właśnie. A dlaczego tego nie zrobiła? Bo wiedziała, że każdy powie: nie. Zakrwawiony trup, komisarzu.

Wpatruje się we mnie wzrokiem, który zaczyna mnie fascynować. Spodziewam się, że za chwilę usłyszę wiadomość wielkiej wagi.

– Powiedziała mi, że jej zdaniem Tom miał romans.

Jego słowa sprowadzają mnie na ziemię. To nic doniosłego, tylko kolejny głodny kawałek Lucy.

– Wykluczone. Tom ją kocha. Bez przerwy o niej mówi. Kupuje jej prezenty. Lucy znowu kłamie.

– Ale czy może być pani tego taka pewna? Romanse zwykle utrzymuje się w tajemnicy.

Oswabdam ramię z uścisku. Drażni mnie to zaślepienie.

– To nie w jego stylu. Myśli pan, że mając na pieńku z Lucy, zrugałabym Toma za zdradzanie jej? Mój brat wiedział, że gdyby przyznał się przede mną do romansu, rzuciłabym wszystko i odprasowała mu koszulę na następną schadzku z kochanką. Na pewno by mi powiedział. Ale nie zrobił tego, ponieważ nie było żadnego romansu. Lucy łyże. Kim według niej miałyby być ta tajemnicza kobieta?

– Lucy nie wie. Nie dysponuje dowodami. Nie znalazła żadnych obciążających esemesów ani maili. Nie ma nic oprócz przeczucia.

– Sprytnie. Wie, że nikt by jej nie uwierzył, że Tom ją zwyczajnie zostawił, więc wymyśliła sobie powód.

– Niemniej jest to trop, który musimy zbadać.

– Szkoda waszego czasu. Znałam Toma i znam ją. O wiele lepiej niż pan i policja. Dla mnie wszystko jest jasne jak słońce.

– Tak. Jest pani przekonana ponad wszelką wątpliwość.

– Wkrótce pan też przestanie wierzyć jej na słowo i zrozumie to, co mówiłam od samego początku. Chyba nie traktuje pan poważnie tej historii o tajemniczej kochance?

Reavley robi krok do tyłu, rozgląda się, czy nikt nas nie słyszy, i mówi:

– Nie wiem, co o tym myśleć. Mam obowiązek postępować według zasad. Muszę traktować podejrzliwie wszystko, co przemawia na jej obronę, ale moje zadanie polega także na podawaniu w wątpliwość wszystkiego, co wskazywałoby na nią jako morderczynię.

Znów czekam, bo czuję, że nastąpi ciąg dalszy.

– Rozmawiałem z nią wczoraj u niej w domu i kilka rzeczy mnie zaniepokoiło. Jej uścisk dłoni był bardzo słaby, do tego unikała mojego wzroku, co moim zdaniem zawsze jest wymowne. Nie spodobało jej się, kiedy zapytałem, czy mogę się rozejrzeć. Nie była również zachwycona, kiedy usłyszała, że chcę dokonać przeszukania w Kaskadzie. Zgodziła się po długim wahaniu. Opowiedziała mi o aresztowaniu za napaść, ale zrobiła to z wyraźną niechęcią. No i odmówiła wydania mi komputera Toma.

– Po co był panu jego komputer?

– Chciałem przejrzeć folder z usuniętymi wiadomościami na pocztę, historię przeglądarki i tym podobne. W takich miejscach często można natrafić na świeże tropy. Analiza zawartości komputera to standardowa procedura. Przez cały ten czas Lucy zachowywała się dziwnie i muszę przyznać, że nie daje mi to spokoju. Tyle że moje odczucia nie mają znaczenia. Liczą się dowody. A w tej chwili praktycznie nic nie przemawia za tym, że Tom nie żyje. Nie wiemy nawet, z jakich powodów mogło dojść do takiej sytuacji.

Chodzi mu o brak dowodów na to, że Tom i Lucy się poróżnili? Chyba nie mówi tego serio?

– A kłótnia dzień przed zaginięciem Toma? Lucy groziła mu nożem...

– Lucy twierdzi, że to nie było nic poważnego – wchodzi mi w słowo komisarz. – Jedli kolację, trzymała nóż i widelec.

– Aaronie, w esemesie do mnie Tom napisał, że jest wariatką i że groziła mu nożem – dodaję to, co chciałam powiedzieć, zanim mi przerwał. – Obejrzyjcie nagranie z monitoringu i wszystko stanie się jasne. To nie było spokojne małżeństwo. Lucy wiele razy się na nim wyżywała albo

próbowała wyżywać, ale Tom zwykle umiał się przed nią obronić po prostu dlatego, że był od niej silniejszy. Tym razem go dopadła. Wie pan, że zamierza sprzedać jego samochód?

– Skąd pani o tym wie?

– Powiedział mi, że wspomniała o tym. Musicie odszukać to auto. Ale... skąd pan wie?

– Znalazłem wiadomość na jej poczcie. Lucy twierdzi, że Tom poprosił ją, by zamówiła wycenę bmw.

Niewiele brakuje, bym wybuchnęła śmiechem.

– Tom przymierzał się do montażu zabezpieczenia biometrycznego, takiego zamka z czytnikiem linii papilarnych. Proszę sprawdzić jego maile, jeśli pan mi nie wierzy. Na pewno nie zamierzał sprzedać samochodu, bo obiecał, że odda mi go, kiedy kupi sobie nowy. – Milknę i po chwili dociera do mnie prawda. – Lucy będzie chciała upłynnić auto, skoro Tom już nie żyje. Ukryła je gdzieś, dopóki sprawa nie przycichnie. Mój Boże, ona to zaplanowała. A wy tego nie widzicie. Czego potrzeba, żeby pan uwierzył w to, co wiem od samego początku? Lucy ma się przyznać do wszystkiego? Przecież nawet nie zapytał jej pan, czy go zabiła.

– Jak tylko to zrobię, natychmiast się przede mną zamknę i wynajmie adwokata. Muszę się zachowywać tak, jakbym przyjmował za pewnik większość tego, co mówi. – Ucichł na chwilę. – Ale ma pani dobre wyczucie czasu. Lada moment spodziewam się dziennikarza, który z nią porozmawia. Chcemy puścić tę historię w lokalnych mediach, licząc, że może ktoś z miejscowych widział Toma. Na moją prośbę dziennikarz zada Lucy to najważniejsze pytanie, a potem nasz specjalista od behawiorystyki przeanalizuje nagranie.

Czemu dopiero teraz mi o tym mówi? Dziennikarz zapyta Lucy przed kamerami o to, czy zabiła mojego brata, i wtedy spadnie maska z jej twarzy, a tysiące widzów ujrzą bezwzględną morderczynię, jaką jest Lucy. Coś pięknego.

LUCY

Przejdźcie szlakiem przez las, którym wybrałam się z Tomem, wymagało ode mnie, dziennikarza i jego kamerzysty, komisarza Reavleya i dwóch umundurowanych policjantów pokonania strumienia Low Man przez przerzuconą nad wodospadem kładkę. Ruszyłam pierwsza, czując się znacznie pewniej, niż kiedy byłam tu z Tomem, ponieważ brak opadów od weekendu sprawił, że woda płynęła spokojnym, niegroźnym nurtem. Gdyby ktoś wpadł do strumienia, prąd nie porwałby go i nie cisnął w dół wodospadu. Szybko zostawiliśmy przeszkodę za sobą.

Dziennikarz był szczupłym, lekko licząc, siedemdziesięcioletnim mężczyzną, czego, przyznam, zupełnie się nie spodziewałam. Odniosłam wrażenie, że mam do czynienia z długoletnią podporą programu informacyjnego Calendar, której przyjaźnie sięgają czasów, gdy ITV Yorkshire nazywała się jeszcze Yorkshire Television. Oglądałam ten program nie raz i zawsze zarówno on, jak i prowadzący wydawali mi się nastawieni dosyć życzliwie do zapraszanych gości, dlatego nie oczekiwałam maglowania w stylu Jeremy'ego Paxmana. Martwiłam się, że Reavley może zechcieć wystawić mnie na grad trudnych pytań po to, by móc obserwować moje reakcje.

Kiedy znaleźliśmy się w lesie, dziennikarz zaczął wywrzaskiwać polecenia jak sierżant podczas musztry i wtedy po raz pierwszy tknęło mnie, że chyba popełniłam błąd, zgadzając się na wywiad dla telewizji.

Pokazał kamerzyście, gdzie dokładnie ma się ustawić, i uprzedził, żeby się „przypadkiem, cholera, nie potknął”, po czym poinstruował Reavleya i policjantów, aby zachowali odpowiedni odstęp: „nie mniej niż dwa i pół metra za nami i co najmniej metr do boku”. I w końcu, kiedy stanęłam przy nim, złapał mnie za ramię i przyciągnął bliżej siebie. Mimo że przez korony drzew przebijały promienie słońca, na szlaku panował półmrok i kamerzysta musiał włączyć lampę zamontowaną nad obiektywem.

Kiedy potwierdził, że kadr wygląda dobrze i nie ma w nim policjantów, dziennikarz zaczął rozpląwać się w uśmiechu. Powiedział, że będziemy szli

powoli i zatrzymamy się kilka razy, żeby stanąć twarzą w twarz na potrzeby ujęć znad ramienia. Byłam zdenerwowana i chciało mi się wymiotować.

Początek wyglądał tak, jak mi obiecano. Dziennikarz poprosił, żebym opowiedziała o tym, jak ostatni raz widziałam męża.

– Zatem szliście państwo tuż obok siebie, tak jak my teraz, ot, szczęśliwe małżeństwo, które wybrało się na letnią przechadzkę. I co się wtedy stało?

Mając przed sobą posuwającego się tyłem kamerzystę i wlokących się za naszymi plecami policjantów, kolejny raz powtórzyłam historię mojego i Toma niedzielnego poranka, tym razem na potrzeby widzów. Powiedziano mi, żebym nie wspominała o kłótni, więc w sumie nie za bardzo miałam o czym mówić. Nie sprostowałam, że wcale nie szliśmy obok siebie, tylko w odstępie, przy czym ja człapałam sporo z tyłu niczym przykładowa wiktoriańska żona. Pomięłam również informację o korzeniu, o który się potknęłam, i że musiałam wstać o własnych siłach. Przemilczałam obelgę Toma, że nawet nie potrafię normalnie chodzić.

Widzowie Calendar mieli się nigdy nie dowiedzieć, że mąż kazał mi pójść za sobą, o ile zdołam nadażyć, i ruszył przodem, ćmiąc elektronicznego papierosa, a ja dokuśtykałam do domu, gdy tylko stało się dla mnie jasne, że Tom nie zawróci gnębiony wyrzutami sumienia.

Zamiast tego poznali fikcyjną historyjkę, która go wybieliła. Zraniłam się w kostkę i próbowałam przekonać Toma, żeby poszedł dalej beze mnie. Odparł, że nie ma mowy, ponieważ nie powinniśmy się rozdzielać. Powiedziałam, że nie chcę psuć mu planów. Nalegał – stwierdził, że pomoże mi wrócić do domu i opatrzy stopę. Nalegałam – idź, dokończ tę wyprawę, na której tak ci zależało.

Ciąg dalszy, a więc właściwie już końcówkę opowieści, zrelacjonowałam zgodnie z prawdą:

– Wtedy zniknął za tamtym zakrętem i więcej go nie zobaczyłam.

Kamerzysta odwrócił się, by uchwycić miejsce, które wskazałam palcem, tak jakby spodziewał się ujrzeć tam Toma.

Dziennikarz zatrzymał się i oznajmił, że tutaj zrobimy pierwsze ujęcie znad ramienia. Stałam twarzą do niego – był niższy ode mnie – i starałam się nie zerkać w obiektyw kamery, którą pomocnik starszego pana trzymał dosłownie tuż nad jego ramieniem, tak by było widać moje oblicze i reakcje.

I wtedy się wszystko posypało.

– Przyjechaliście do Cullerton osobno, prawda? Kiedy następnego ranka opuszczała pani domek, samochód Toma nadal stał na swoim miejscu? Zostawiła pani jego rzeczy i ubrania na wypadek, gdyby wrócił? – Lekko poluzował krawat.

Byłam trochę zaskoczona, bo przed nagraniem przejrzeliśmy pytania i akurat tego nie było na liście. Poza tym o samochodzie i walizce opowiedziałam tylko policji. Czując na sobie oko kamery, nie miałam śmiałości spojrzeć na tego papłą Reavleya. Nieco zdenerwowana założyłam ręce na piersi i objęłam się, jakby było mi zimno, ale był to w gruncie rzeczy jedynie gest pocieszenia. Pokiwałam głową w odpowiedzi.

Widzowie nie mogli zobaczyć twarzy dziennikarza i tylko ja wychwyciłam jego nieufne spojrzenie.

– W Cullerton znajduje się pub o nazwie Serengeti – powiedział. – Tak się składa, że jego zewnętrzny monitoring obejmuje jedyną drogę wyjazdową z miejscowości. Pani auto wyjechało z Cullerton osiemnaście minut po ósmej rano. Ale co ciekawe, kamery zarejestrowały również samochód Toma. Opuścił wioskę o siódmej czterdzieści sześć. A więc przed panią. Stąd wniosek, że kiedy ruszała pani sprzed domku, bmw Toma już tam nie było.

Byłam wstrząśnięta i nie potrafiłam tego ukryć. Rzuciłam Reavleyowi gniewne spojrzenie.

– Nie powiedział mi pan, że policja znalazła nagranie z monitoringu. Czyli Tom wrócił do chaty tuż po tym, jak ją opuściłam?

Rozpaczliwie domagałam się odpowiedzi, bo to było ważne. Skoro Tom wrócił tam wcześniej, oznaczało to, że chciał mnie złapać, zanim wyjadę. Czy mój wyjazd go rozgniewał? O to chodziło? Tom przyszedł się pogodzić, a kiedy zobaczył, że mnie nie ma, pomyślał, że widocznie nie zależy mi na nim, i w rezultacie postanowił zniknąć z mojego życia? Dlaczego tak zareagował? Przecież mógł po prostu wrócić do domu.

Reavley nie miał okazji rozwiać moich wątpliwości, ponieważ dziennikarz zażądał odpowiedzi na swoje pytanie. Miałam ochotę uderzyć go w twarz.

– Zanim wyjechałam z Cullerton, zatrzymałam się przy sklepie i trochę tam posiedziałam. Ruszyłam spod domku około siódmej.

– Siódma to chyba trochę za wcześnie na zakupy? O tej porze wszystkie sklepy są jeszcze zamknięte.

– Nie, nie. Nie weszłam do sklepu. Siedziałam w samochodzie. Zastanawiałam się. Tom musiał wrócić do domku dosłownie tuż po mnie, a potem wyjechał z wioski przede mną. Widocznie nie zauważył mojego auta przed sklepem.

– Policja sprawdziła nagrania ze wszystkich kamer. Nie ma ich znowu aż tak wiele, Cullerton to w końcu mała miejscowość. Na szczęście monitoring obejmuje otoczenie kilku sklepów i niestety nie potwierdza, że się pani zatrzymała.

Pomyślałam, że chce mnie zaskoczyć, uważnie dobierając słowa. To, że na żadnym nagraniu nie widać, jak się zatrzymuję pod sklepem, nie oznacza automatycznie, że uchwyciono mnie, jak po ruszeniu spod Kaskady od razu kieruję się poza Cullerton. Tylko winny dałby się złapać na ten prosty trik.

– A jednak się zatrzymałam. Zaparkowałam pod pralnią chemiczną, mniej więcej w połowie drogi między sklepem z pamiątkami a pubem Serengeti. Zrobiłam to, bo zastanawiałam się, jak postąpić: wrócić do domu czy cofnąć się do chaty? Tom musiał przejechać tuż obok mnie. Teraz żałuję, że nie wybrałam innego rozwiązania.

– Miała pani na bluzce krew Toma, prawda? Następnie spaliła pani tę bluzkę, żeby policja nie mogła zbadać śladów.

Przeraziłam się nie na żarty.

– Nie zrobiłam tego w tym celu. Bluzka była zniszczona, więc się jej pozbyłam. – Strzelałam wzrokiem to na prawo, to na lewo, jak widzę na meczu tenisowym. Graczami byli wstrętny dziennikarz i komisarz, który który zamiast po prostu przekazać temu pierwszemu informacje, zastawił na mnie pułapkę.

Chciałam odwrócić się i odejść, ale dziennikarz złapał mnie za rękę.

– Pani Packham, proszę odpowiedzieć na pytania. Dlaczego numer telefonu na kartę, z którego pani mąż rzekomo wysłał do pani esemesa, aktywowano dopiero w poniedziałek rano, i to w Sheffield?

Byłam w szoku. Reavley namierzył telefon i nie powiedział mi o tym.

– I dlaczego nadano tę wiadomość w pobliżu pani domu?

Zakręciło mi się w głowie. Jak to: w pobliżu domu? Ale to by oznaczało, że...

– Tom był w domu? Mój Boże. Musiał być... przerażony. Tak bardzo, że nie odważył się wejść i...

– Chce pani powiedzieć, że mąż przyjechał pod dom, ale nie wszedł do środka, ponieważ nie chciał się z panią widzieć, i stamtąd wysłał do pani esemesa? Czy według pani to brzmi wiarygodnie?

Nie umiałam znaleźć odpowiednich słów i nawet nie chciałam. Uwolniłam się od niego i szybkim krokiem ruszyłam przed siebie. Zorientowałam się, że idę w niewłaściwym kierunku, zagłębiając się w las, ale było już za późno, żeby się zatrzymać. Wolałam wrócić do auta okreśną drogą, niż przejść obok oskarżycieli. Poza tym, o czym nagle sobie przypomniałam, nie przyjechałam tutaj własnym samochodem; jeśli wrócę do Kaskady, będę musiała zabrać się do Sheffield razem z Reavleyem, a to ostatnia rzecz, na jaką teraz miałam ochotę.

– Co robiło częściowo zużyte opakowanie insuliny w koszu na śmieci? – zapytał dziennikarz, idąc za mną. Gonił mnie razem z kamerzystą. Policjanci zostali na miejscu. – Nic nie wskazuje na istnienie innej kobiety – odezwał się głośniejszy dziennikarz.

Odeszłam od nich na kilka kroków i popełniłam błąd, który polegał na oderwaniu wzroku od ścieżki i obejrzeniu się za siebie. Zahaczyłam stopą o wystający korzeń, kto wie, czy nie ten sam, o który potknęłam się, kiedy byłam z Tomem. Tym razem tylko się zachwiałam, ale przez to, że straciłam równowagę, mimowolnie skręciłam w krzaki. Przynajmniej ten dureń nie pójdzie za mną, pomyślałam – bo będzie mu szkoda drogich butów.

I rzeczywiście nie poszedł. Stojąc na szlaku, pod okiem kamery i trójki zaintrygowanych policjantów, dziennikarz wyciągnął przed siebie mikrofon jak piosenkarz chcący zachęcić publiczność do wspólnego śpiewu i wykrzyczał ostatnie pytanie. Przeszyło mnie, jakby wbił mi w plecy włócznię, dosłownie zatoczyłam się jak pod ciosem i osunęłam się na kolana. Wsparłam się dłonią na wystającym z ziemi ostrym kamieniu, żeby nie upaść na twarz.

Zignorowałam przeszywający ból i pognałam przed siebie. Łzy spływały mi po policzkach. Usłyszałam głos Reavleya, wołał moje imię. Był wyraźnie zdenerwowany – czyżby tym, że nikczemny plan nie poszedł do końca po jego myśli? Pędziłam dalej, przez krzaki, w dół zbocza, ku wąwozowi. Miałam chęć przefrunąć nad przepaścią, by położyć temu wszystkiemu kres.

MARY

„Proszę trzymać się od tego z daleka”. Zabrzmiało mało precyzyjnie, przynajmniej w moim odczuciu. Mówiąc „to”, Reavley miał na myśli rozmowę dziennikarza z Lucy, natomiast „z daleka” zinterpretowałam jako „z grubsza trzydzieści metrów”.

Postanawiam przejść na drugą stronę strumienia poza zasięgiem wzroku pozostałych, co oznacza konieczność zagłębienia się w las. Po pokonaniu mniej więcej piętnastu metrów od polany, Low Man spływa w dół i niedługo potem skręca w prawo, wpadając do wąwozu. Tutaj miejscami zalicza ostry spadek, na niektórych odcinkach tocząc swoje wody po stopniach przypominających schody.

Przekraczanie go na wysokości zakrętu jest złym pomysłem z powodu stromych, śliskich brzegów, w dodatku tonących w półmroku pod gęstym baldachimem z koron drzew. A jednak decyduję się to zrobić, ponieważ do rosnącego po drugiej stronie drzewa przymocowano koniec siatki ogrodzeniowej, wzdłuż której zamierzam się udać. Ale nie tylko dlatego: siatka była dawniej przyczepiona do betonowego słupka, który obluzował się i przewrócił do strumienia; teraz leży w wodzie pod takim kątem, że tworzy coś w rodzaju grobli przez połowę dwuipółmetrowego koryta.

Tom mówił, że Lucy boi się tędy chodzić, dlatego korzystają z kładki nad wodospadem. To tylko wzmacnia moją determinację – nie chcę być takim strachajłem jak ona. Udaje mi się bez problemu. Znalezienie się na płaskim terenie na drugim brzegu strumienia zajmuje mi raptem kilka sekund.

Ruszam wzdłuż biegnącego na całej długości krawędzi wąwozu ogrodzenia, postawionego po to, żeby żaden idiota nie zleciał nocą w przepaść. Tom opowiadał, że ludzie pokradli betonowe słupki, i rzeczywiście, idąc niewyraźną ścieżką, co rusz widzę drucianą siatkę leżącą po prostu na krzakach albo wręcz wiszącą nad rozpadliną jak metalowy jęzor – ponieważ ktoś zwędził podtrzymujący ją słupek.

W pewnym momencie muszę wejść nieco wyżej, zbaczając ze szlaku, bo nad krawędzią ciągnie się co najmniej dwudziestometrowy odcinek bez żadnego zabezpieczenia. Trochę to przerażające. Przedzieram się przez zarośla, aż w końcu znajduję płaski pniak i siadam na nim. Czekam na Lucy.

Widziałam wiele programów telewizyjnych z udziałem ludzi udających rozpacz – płaczących i błagających o powrót bliskich, których sami zabili. Przeważnie robią to, aby wszystkich zmylić, ale są wśród tych kanałii również osoby autentycznie pragnące znaleźć się w centrum

zainteresowania. Podoba im się, że mogą odgrywać swoją rolę, w pełni ją kontrolując. Ciekawe, jaka będzie Lucy: okaże przerażenie i bierność czy z wypiętą piersią weźmie zainteresowanie mediów za dobrą monetę? Nie, pewnie zabraknie jej umiejętności. Przekonamy się.

Dla zabicia czasu rozważam różne scenariusze i zastanawiam się, który z nich najbardziej mi się podoba. Widzę Lucy jako skruszoną kobietę; pada na kolana pod gradem pytań dziennikarza i przyznaje się do wszystkiego, zalewając się łzami. Nieźle. Widzę wzburzoną Lucy; zrywa się do ucieczki, biegnie do lasu i dziennikarz ściga ją jak morderca niewinnej studentki w tanim horrorze. Jeszcze lepiej. Widzę Lucy prawie jak w scenie z pułkownikiem Jessupem w Ludziach honoru:

Czy wydała pani rozkaz „dociśnięcia” Toma?

Tak, cholera, zrobiłam to!

Doskonale. Oby tak to wyglądało. Niech Lucy straci głowę i panowanie nad sobą. Niech się pograży, zanim się zorientuje, co się stało.

Mija sporo czasu, może nawet godzina, zanim w końcu nadchodzą. Słyszę ich po drugiej stronie strumienia, mimo że dzieli mnie od nich dobre sto metrów. Widzę, jak wchodzą do lasu głównym szlakiem nieco wyżej na wzniesieniu. Reavley i dwóch mundurowych. Dziennikarz i facet z wielką kamerą, która wygląda jak relikwiarz z lat dziewięćdziesiątych. No i ona – ta suka.

Zatrzymują się prawie na tej samej wysokości co ja, jakieś trzydzieści metrów ode mnie. Dziennikarz wykrzykuje polecenia, a potem znów ruszają. Policjanci trzymają się z tyłu, dziennikarz i Lucy idą obok siebie, kamerzysta z przodu z wycelowanym obiektywem.

Nie słyszę, o czym rozmawiają. Skradam się jak złodziej, chowając się za krzakami. Dostosowuję się do ich tempa, nie odrywając wzroku od Lucy. Porusza ustami, co oznacza, że raczy dziennikarza swoimi wyćwiczonymi kłamstwami. Jezu, ale mam ochotę coś wrzasnąć, głośno zaprotestować. Zabawnie by to wyglądało w telewizji, gdyby nagle jakaś niewidoczna postać krzyknęła: „Przestań pieprzyć!” i poszłoby echo, a Lucy razem z pozostałymi nie wiedzieliby, skąd dobiega głos.

Znów się zatrzymują. Dziennikarz i Lucy stają naprzeciwko siebie, kamerzysta filmuje zza pleców dziennikarza, żeby uchwycić w zbliżeniu reakcje Lucy. Dostrzegam oko obiektywu i mam wrażenie, jakby kamera była potajemnie skierowana na mnie. To jest ten moment. Reavley powiedział, że poprosi dziennikarza o zadanie Lucy trudnych pytań –

w gruncie rzeczy zawołanych oskarżeń – i po mowie ciała starszego pana poznaję, że przeszedł do ataku.

Żałuję, że nie zajęłam pozycji gdzieś wyżej – wtedy nie miałabym widoku na plecy Lucy, tylko na jej szpetną gębę. Nic straconego, zobaczę ją dziś w telewizji.

Sądziłam, że Lucy będzie odgrywała zrozpaczoną, błagającą widzów o pomoc żonę, ale jestem miło rozczarowana. Postawa Lucy sugeruje, że bynajmniej nie podoba jej się to, w czym bierze udział, co jednak nie przeszkadza jej zachowywać się w arogancki sposób. Nie wciela się w skruszoną kobietę. Dziennikarz zadaje pytanie i poprawia krawat. W odpowiedzi Lucy wyzywająco zakłada ręce na piersi.

Nie chce tego robić, ale nie boi się go. Żadna kobieta, która znalazła w sobie dość siły, by zabić faceta wielkiego jak Tom, nie będzie się obawiała dziennikarskiego magła. Oby tylko dała się ponieść złości i odstłoniła przed widzami.

Lucy cofa się o krok i zaczyna odchodzić. A więc nie, nie jest pułkownikiem Jessupem. Dziennikarz chwyta ją za rękę. Ciekawe, o co ją właśnie oskarżył. Domyślam się, że ma to związek z plamami krwi na bluzce. Albo nie, z rzekomą wiadomością od Toma. Mam ochotę podkraść się bliżej. Chcę poczuć bijące od niej zakłopotanie, tę trzeszczącą jak przewody wysokiego napięcia konsternację.

Uwalnia się od dziennikarza i szybkim krokiem idzie przed siebie, zagłębiając się w las. Zatem jest studentką z taniego horroru. Dziennikarz rusza za nią razem z kamerzystą, krzyczy coś do niej, ale udaje mi się wychwycić zaledwie jedno słowo: „insulina”. Ach, zupełnie o niej zapomniałam. Potem pyta o coś jeszcze i tym razem dolatuje do mnie tylko: „kobieta”. Czyżby domagał się wyjaśnienia bredni o romansie Toma?

Widzę, jak Lucy potyka się i traci równowagę, a w następnej chwili zbacza ze szlaku. Ogarnia mnie strach, że zmierza w moją stronę; jak by to wyglądało w telewizji, gdyby nagle okazało się, że stoję tu i się przyglądam? Ale nie, nagle zmienia kierunek i maszeruje w dół z boczka po mojej lewej. Widzę jej zboląłą minę i nachodzi mnie myśl, że Lucy może zechcieć rzucić się z urwiska i rozbić się na skałach kilkadziesiąt metrów niżej. Czy będę miała tyle szczęścia?

Dziennikarz i kamerzysta niestety rezygnują z przedzierania się przez splątane zarośla. Dziennikarz wystawia przed siebie mikrofon i odzywa się tak donośnym głosem, że słyszę wyraźnie każde słowo:

– Niedawno podniosła pani kwotę ubezpieczenia na życie pani męża z pięciuset tysięcy na milion funtów. Czy dlatego Tom nie żyje, pani Packham? Czy zabiła pani męża, żeby uzyskać pieniądze z polisy?

Piękne. Lucy ten spektakl podoba się oczywiście dużo mniej niż mnie. Policji chodziło o uchwycenie jej reakcji na oskarżenie, ale nic z tego, Lucy jest odwrócona plecami do kamery. Za to ja, będąc dosłownie dziesięć metrów od niej, mogę się pochwalić obrazem w jakości Ultra HD.

Zaciskając ze złością usta, Lucy próbuje kopnąć coś na ziemi, nie wiem, może wiewiórkę, ale udaje jej się jedynie poślizgnąć i wylądować na czworakach. Kiedy się podnosi, widzę, że ma zakrwawioną dłoń. Dociera do niewyraźnej ścieżki, na której się znajduję, nie więcej niż trzy metry ode mnie, po czym porzuca ją i zaczyna biec wzdłuż zniszczonej siatki. Jakimś cudem nie zauważyła mnie. Zerkam na policjantów i dziennikarza, ale żaden z nich nie kwapi się do tego, by ją ścigać. Jakże miło z ich strony, że postanowili pozwolić jej się oddalić i wziąć w garść.

Ja nie będę taka przyjemna.

Podążam za nią, trzymając się zarośli, by nie zostać zauważoną. Przez to nie mogę się przemieszczać tak szybko, jak bym chciała, i zaczynam zostawać coraz bardziej z tyłu. Trochę ją doganiam, kiedy dociera do miejsca, w którym z powodu brakującego słupka siatka odgina się w prawo w poprzek szlaku, zmuszając ją do prześlizgnięcia się pod spodem. Kawalek dalej Lucy ogląda się za siebie, chcąc się upewnić, że jest sama. Nie jest, ale skupia się na głównej trasie, nie zwracając uwagi na boczne ścieżki, więc nie wie o tym. Mam szczęście. Rusza dalej, tym razem wolniej, bo głupia krowa myśli, że zgubiła pogoń.

Później, dochodząc do punktu, w którym dwa betonowe słupki stoją nieruszone, za to z jakiegoś powodu brakuje rozciągniętej pomiędzy nimi siatki, Lucy zatrzymuje się. Podchodzi do krawędzi, staje dosłownie pół kroku od niej i spogląda w przepaść. Wiem, co teraz czuje: myśli, że niebezpieczeństwo na razie minęło i że ból ustał. Nie skoczy.

Myli się co do niebezpieczeństwa.

Wdrapuję się nieco wyżej, przedzierając się przez krzaki, tak by nie dojrzała mnie kątem oka. Nie słyszy, że się zbliżam, jest zbyt skupiona na tym, co widzi. Jestem półtora metra za nią. To niezwykle, że nadal nie wyczuwa mojej obecności. W lesie panuje cisza.

Zastanawiam się, czy zrobiła ten przystanek tylko dla kojącego widoku, czy może wraca myślami do zdarzenia, które odmieniło życie nas obu? Czy

Tom stał nad przepaścią, tak jak ona teraz, i wpatrywał się w dal jak urzeczony? I czy ona stała w tym samym miejscu co ja teraz i wpatrywała się w niego wzrokiem pełnym nienawiści, tak jak ja wpatruję się w nią?

– Tutaj to się wydarzyło? – odzywam się. Odwraca się gwałtownie. Jest zdębiała. – Tutaj go zepchnęłaś? Jeśli spojrzę w dół, zobaczę jego ciało?

LUCY

Gdzieś tam, w jednym z miasteczek rozsianych po rozciągającej się przede mną krainie, kobieta taka jak ja dostawała awans, wygrywała zawody albo kochała się z mężczyzną. Świat był piękny.

Nie. Gdzieś tam kobieta taka jak ja dostawała wypowiedzenie, łamała kości w wypadku na rowerze albo padała ofiarą gwałtu. Świat był koszmarem.

Zdarzało się, że olśniewające widoki zamiast poprawiać, jeszcze bardziej psuły mi humor. Wyobrażałam sobie ludzi mieszkających we wszystkich tych miejscach, śmiejących się i kochających, i myślałam o tym, co złe w moim życiu. Zazdrościłam im. Natomiast gdy byłam w kiepskim nastroju, odwrotnie: skupiałam się na ponurych aspektach świata, na ludziach, których dręczyły długi, ból i rozpacz, i wtedy uświadamiałam sobie, że w porównaniu z ich niedolą moje problemy są naprawdę nieistotne.

Dziś ten mechanizm nie zadziałał. Bo i nie mógł. Nigdy jeszcze nie upadłam tak nisko, nawet w Niemczech, kiedy bywałam workiem treningowym dla pijanego potwora. Dla wielu kobiet rozpad małżeństwa jest jak cios nożem prosto w brzuch. Kiedy mąż zostawia cię bez słowa, czujesz się, jakby obracał ostrze tkwiące w ranie. Kiedy okazuje się, że odszedł od ciebie do innej kobiety, masz wrażenie, jakby sypał sól na ranę. Dodaj do tego podejrzenie, że go zamordowałaś. Chyba trudno się dziwić, że nie wyobrażałam sobie, bym kiedykolwiek zdołała wydostać się z tej otchłani rozpaczy. Była jak nieprzemijający, rwący ból w moim wnętrzu.

Nieoczekiwanie dołączył do niego nowy, pochodzący z zewnątrz, gdy czyjaś dłoń chwyciła mnie za włosy i mocno szarpnęła do tyłu.

– Tutaj to się wydarzyło, ty suko?

Mary. Jakimś sposobem znalazła się tutaj, za mną, a ja nie byłam w stanie się odwrócić ani nawet poruszyć, bo trzymała mój krótki kucyk w garści. Próbując się cofnąć, rozpaczliwie szurałam nogami, posyłając piach i kamienie w przepaść, ale nie dawałam rady, ponieważ Mary napięła

swe drobne ciało tak, że przywodziło na myśl betonowy słupek, na który bezskutecznie napierałam.

– Tutaj go zepchnęłaś? Jeśli spojrzę w dół, zobaczę jego ciało?

– Puszczaj! – krzyknęłam, szamocząc się. Popchnęła mnie tak, że znalazłam się tuż nad krawędzią. Komunikat był jasny: nie walcz, bo polecisz w dół. Jeśli miałam jakiegokolwiek wątpliwości, czy naprawdę sądziła, że zabiłam jej brata, właśnie się ich pozbyłam.

– Jeżeli cię zrzucę, wylądujesz obok trupa Toma?

MARY

– Przekonajmy się! – wrzeszczy do mnie Lucy, szczerząc się, jakby opętał ją zły duch.

Dzieli nas od siebie półtora metra, które Lucy pokonuje w pół sekundy. Doskakuje do mnie, łapie za kołnierz bluzki i obraca mną tak błyskawicznie, że prawie potykam się o własne nogi. W następnej chwili jest już za mną, nadal trzyma mój kołnierz w garści, a drugą chwytając mnie za włosy na czubku głowy. Nagle znajduję się pół kroku od krawędzi urwiska. Owca

Próbuję się wycofać, ale Lucy jest ode mnie większa i silniejsza, przywiera do moich pleców, uniemożliwiając mi ucieczkę. Przede mną tylko jedna droga: w dół.

Pochyla górną część mojego ciała do przodu i nie jestem w stanie jej przeszkodzić. Moja głowa wisi nad przepaścią, wbijam wzrok w wąską nitkę strumienia i poszarpane skały. Lucy nie musiałaby mnie popychać, wystarczyłoby, gdyby mnie puściła.

– I co, widzisz go? – syczy. – Leży połamany i martwy?

– Zostaw mnie, wariatko – krzyczę. Młóczę powietrze rękami, usiłując złapać się któregoś z betonowych słupków, aż w końcu mi się to udaje. Ale tylko na sekundę. Lucy przenosi uchwyt z kołnierza na uczeptioną słupka dłoń i wbija w nią paznokcie. Chcę spróbować jeszcze raz, ale zanim cokolwiek zrobię, Lucy szarpie mną w prawo, przesuwając mnie w martwy punkt, i moje palce mijają się z celem.

– Na to liczysz, prawda? Że ujrzysz go tam, na dole, i wtedy spełnią się twoje marzenia. Przyjrzyj się dobrze, a na pewno go zobaczysz.

Choć panikuję, raptem uzmysławiam sobie, że Lucy właśnie przyznała się do zabicia mojego brata. Tyle że zamiast spodziewanej ulgi czuję jedynie potworny strach. Przyznała się, bo wie, że nikomu nie powiem.

Nikomui nie powiem, bo zrzuci mnie z urwiska.

– Proszę, nie rób tego...

16

LUCY

– Nie rób tego, proszę...

Odpowiedzią Mary na moją pełną przerażenia błagalną prośbę był rehot bezdusznej wariatki. Wiedząc, że słowa mnie nie uratują i że nie mogę liczyć na jej litość, szarpnęłam ręką do tyłu, rozpaczliwie usiłując wyswobodzić kucyk. Udało mi się wbić paznokcie w wierzchnią stronę dłoni Mary.

Wrzasnęła z bólu i puściła moje włosy.

– Ty pieprzona zołzo! – ryknęła. Obracając się, natarłam na nią, odepchnęłam ją od siebie i puściłam się biegiem przez zarośla. Ruszyłam z boczem pod górę. Miałam dłuższe nogi i wiedziałam, że na równym terenie zdołam jej uciec; musiałam tylko dotrzeć z powrotem na szlak, zanim mnie dopadnie.

– Wracaj tu, cholerna morderczyni – syknęła niemal tuż za moimi plecami. Była zdecydowanie za blisko. Oddychałam szybko, nierówno i tak głośno, że nawet nie słyszałam jej kroków.

Wypadłam na szlak i prawie od razu wyłapałam wzywające mnie głosy. Dolatywały z kierunku, w którym znajdowała się Kaskada i pięciu zdumionych mężczyzn. Najbezpieczniej byłoby pobiec w tamtą stronę, ale choć byłam przerażona, nadal czułam złość na Reavleya i uważałam, że to on odpowiada za wypadki tego okropnego dnia. Dlatego podjęłam decyzję w ułamku sekundy, kierując się emocjami. Uznałam, że muszę oddalić się od chaty, a to oznaczało konieczność zagłębienia się w las.

Kiedy w końcu odzyskałam trzeźwość umysłu, postanowiłam, że dotrę do pubu Fox and Hound, wezwę taksówkę i czym prędzej opuszczę ten koszmar.

MARY

Lucy śmieje się niskim, zimnym głosem i podcina mi nogę, tak że osuwam się na kolana. Kiedy już myślę, że nadszedł mój koniec, Lucy nagle mnie puszcza. Gramolę się do słupka i obejmuję go obiema rękami, zdając sobie sprawę, że to moja jedyna szansa.

Ucieka. Widzę, jak przedziera się przez krzaki, wspinając się po zboczu w stronę szlaku. Reavley musiał ją dostrzec, bo słyszę, że woła ją po imieniu. Z miejsca, w którym się znajduję, komisarz i pozostali są dla mnie niewidoczni.

– Tym razem ci się poszczęściło! – krzyczy Lucy ze szlaku. Macha do mnie, a potem zrywa się do biegu, tyle że nie zmierza w kierunku Reavleya, lecz w przeciwnym, głębiej w las. Potwór odszedł, ale nie łudzę się, że nigdy więcej go nie zobaczę. Jak tylko opowiem Reavleyowi, że jędrza próbowała mnie zabić, na pewno szybko ją zwinie. Chciałabym przy tym być. Kiedy następny raz się spotkamy, między nami będą kraty.

Teraz moja kolej, żeby stąd prysnąć. Pędzę pod górę

i, będąc już na szlaku, mniej więcej sto metrów na prawo dostrzegam policjantów i dziennikarza z kamerzystą. Mogłabym dopaść ich w piętnaście sekund, w pół godziny dotrzeć do domu i jeszcze przed lunchem zajechać pod dom Toma, żeby popatrzeć, jak wyprowadzają Lucy w kajdankach. Waham się.

Emocje trochę opadają i pomysł doprowadzenia do aresztowania Lucy za próbę zamordowania mnie nie wydaje mi się już tak dobry. Jeśli opowiem Reavleyowi, co tu się wydarzyło, może uznać, że kręcę. Przecież kazał mi trzymać się od tego z daleka. Uprzedził o obawach Lucy, że będę usiłowała namieszać. Wszyscy widzieli, jak czmycha niczym cklive dziewczę, a teraz co: stoję tu zamiast niej i policja ma uwierzyć, że zwiewając we łzach, Lucy znalazła czas na to, by o mało nie zrzucić mnie z urwiska?

Nie, muszę zmienić plan. Ruszam niby od niechcienia w kierunku pięciu mężczyzn, a kiedy mnie zauważają i pokazują sobie palcami, macham do nich. Mam nadzieję, że wypada to przekonująco. Widząc mnie, Reavley wymienia kilka słów z pozostałymi i samotnie wychodzi mi na spotkanie. Powoli, stopniowo się uspokajam, za to komisarz jest wzburzony.

– Mary, cholera, co pani tu robi? Widziała pani Lucy?

Wciąż jestem w szoku po tym, jak zajrzałam śmierci w oczy, ale uśmiecham się.

– Chciałam się rozejrzeć. Pomyślałam, że kiedy Tom szedł tędy z Lucy, mogło mu coś, nie wiem... wypaść. Tak, widziałam ją. Byłam tam, na dole, nad brzegiem urwiska, i zobaczyłam biegnącą Lucy. Dokąd jej się tak spieszyło?

– Co się pani stało w rękę?

Zerkam. Wierzchnia strona mojej dłoni krwawi tam, gdzie Lucy wbiła swoje szpony. Mam ochotę powiedzieć mu całą prawdę, bo rana stanowi dowód tego, że Lucy całkowicie straciła kontrolę nad sobą. Ale nie, jednak milczę, bo to przecież żaden dowód, prawda? Bąkam coś o wyjątkowo ciernistym krzewie; Reavley przyjmuje moje wyjaśnienia.

– A skoro mowa o dłoniach – dodaję – to czy zwrócił pan uwagę, że Lucy nie ma obrączki na palcu?

– Owszem, zauważyłem. Mówi, że zostawiła ją w domku. Ale to teraz nieistotne.

– Znaleźliście ją podczas rewizji? Na pewno nie. Zdaje pan sobie sprawę, że Lucy się jej pozbyła, prawda?

– Rzeczywiście, nie znaleźliśmy. Ale jeśli Lucy jest przekonana, że Tom ma romans, mogła po prostu...

– Bzdura – przerywam mu. – Ona wie, że Tom nie żyje, dlatego pozbyła się obrączki. Bo przecież nie będzie żoną trupa. Wyrzuciła ją i tyle. – Reavley nie odpowiada, ale widzę, że też nie kupuje tego, co mówię. Albo może nie chce przyznać, że również jemu kwestia obrączki wydaje się podejrzana. Zmieniam temat. – Czy dziennikarz oskarżył Lucy o zamordowanie Toma, tak jak pan zapowiadał? Jak zareagowała?

Wiem, że to zrobił, bo słyszałam fragmenty ich rozmowy. Na szczęście Reavley postanawia uraczyć mnie prawdą.

– Tak, zapytał ją, czy zabiła Toma, tylko niestety nie zdążył twarzą w twarz. Chwilę wcześniej rozszłościł ją i postanowiła się oddalić. Wołałem za nią, żeby zawróciła, ale nie posłuchała mnie. Oby się nie domyśliła, że to ukartowałem.

Słyszałam również pytanie o ubezpieczenie na życie. Zastanawiałam się nad tym, to była po prostu kolejna pożywka dla mojej nienawiści do Lucy, ale może się okazać, że ma istotne znaczenie dla sprawy. Jeśli wykituję, pieniądze z mojej polisy trafią do taty. Jeśli umrze Tom, środki z jego ubezpieczenia powędrują do Lucy. Reavley pewnie o tym nie wspomni, dlatego postanawiam zrobić to za niego.

– Byłam akurat blisko, kiedy padło pytanie o ubezpieczenie na życie...

– Podkraśla się pani, prawda? Mary, przecież prosiłem, żeby...

– Niech pan posłucha – wchodzę mu w słowo. – Dziennikarz powiedział, że Lucy podniosła kwotę ubezpieczenia. Co to oznacza? Chodziło o pieniądze? Błagam, proszę zaprzeczyć.

Milczy przez chwilę. Pewnie zastanawia się, czy w ogóle odpowiedzieć na moje pytanie.

– Aaronie, proszę tego przede mną nie ukrywać. Wcześniej chciał pan wiedzieć, czy Tom spisał testament, a teraz przygląda się pan jego polisie na życie. Lucy jest jedyną spadkobierczynią i pełnomocnikiem finansowym Toma, sprawuje pełną kontrolę nad jego pieniędzmi. Zwiększyła sumę ubezpieczenia, prawda? Bez jego zgody.

– Tak. Kilka tygodni temu. Ale zanim założymy, że Lucy zaplanowała zamordowanie męża dla pieniędzy, powiedzmy sobie wyraźnie, bardzo wyraźnie, pani Packham, że jak dotąd nie znaleźliśmy nic, żadnego dowodu mogącego niezbicie świadczyć o śmierci Toma. Poza tym w świetle prawa pieniądze z polisy i tak nie mogłyby przypaść sprawcy ewentualnego zabójstwa. W takich przypadkach obowiązuje zasada konfiskaty. Innymi słowy, nie da się wzbogacić na zabiciu drugiej osoby dla pieniędzy z jej ubezpieczenia na życie.

– To niczego nie wyklucza. Wiele razy słyszałam o ludziach, którzy mordowali, bo myśleli, że dostaną forszę z polisy. Może po prostu nie wiedziała o tej zasadzie?

– Przypuszczam, że знаła warunki. Ubezpieczyciel nie wypłaci mordercy pieniędzy ubezpieczonego.

– Może nie przeczytała tego, co było napisane drobnym drukiem? Wiedziała albo nie wiedziała. To żaden dowód, że nie...

Milknę, bo nagle coś do mnie dociera. W komisarzy gotuje się na myśl, że Lucy zabiła Toma dla pieniędzy – a jednak poprosił dziennikarza, żeby zapytał ją o polisę. Dlaczego? Może bagatelizowanie tego motywu nie służy obronie Lucy, tylko... mnie. Przed prawdą.

– Tak naprawdę wcale pan w to nie wątpi. Mam rację?

Próbuje sprawiać wrażenie, jakby nie wiedział, co mam na myśli, ale jest już za późno.

– Aaronie, pan coś wie. O co chodzi?

W końcu ustępuje; jeszcze chwila i nie zawahałabym się wycisnąć to z niego siłą.

– Tom zagiął. Jeżeli nie znajdziemy dowodu na to, że nadal żyje, po pewnym czasie zostanie uznany za zmarłego. Wobec braku zwłok, miejsca i narzędzia zbrodni i jakiegokolwiek dowodu na to, że doszło do użycia przemocy, istnieje duże prawdopodobieństwo, że Lucy uniknie kary za

morderstwo. Wtedy nic już nie przeszkodzi jej w odebraniu środków z polisy Toma.

Czuję, że to jeszcze nie wszystko. Nie odzywam się, tylko chwytam go obiema dłońmi za rękę w błagalnym geście.

– Przejrzałem pocztę Lucy. Jest sporo maili od towarzystwa ubezpieczeniowego. Znalazłem potwierdzenie dyspozycji zwiększenia kwoty polisy, którą wydano prawdopodobnie telefonicznie albo listownie. Myślę, że Tom nie widział tej wiadomości, ponieważ nie znajdowała się w folderze „Polisa”, tylko w koszu. Została skasowana.

LUCY

Kiedy wchodziłam do domu, dzwonił telefon, ale nie zdążyłam go odebrać. Wcześniej wyłączyłam komórkę i teraz – podejrzewając, kto próbował się ze mną skontaktować – sprawdziłam nieodebrane połączenia. Trzy, wszystkie od Reavleya. Dobrze, i tak chciałam z nim porozmawiać. Trzęsłam się tak bardzo, że za pierwszym razem nie trafiłam w „wybierz ponownie”.

– Lucy? Wszystko w porządku? Nie odbierała pani. Gdzie się pani podziewa?

Liczyłam, że czas na refleksję, który będę miała w taksówce podczas powrotu do domu, złagodzi moje nastawienie do Reavleya – bo przecież był policjantem i po prostu wykonywał swoje obowiązki – ale stało się dokładnie odwrotnie. Przeanalizowałam poranne wydarzenia w Cullerton i poczułam, jak znów buzuje we mnie gniew. Fakt, że podejrzewał mnie o morderstwo, to jedno; bardziej oburzał mnie sposób, w jaki postanowił mi to zakomunikować. Obiecywałam sobie, że po tym telefonie już więcej się do niego nie odezwę, chyba że mnie aresztuje, ale nagle zapragnęłam wyładować na nim swoją wściekłość.

– W lesie była cholerna siostrzyczka Toma. Wiedział pan o tym? Na pewno to pan ją tam sprowadził, tak jak tego dziennikarzynę, żeby mnie oskarżył o zabicie męża. Zastawiłeś na mnie pułapkę, ty kanalio.

Czekałam na jego reakcję, chociaż miałam ochotę rzucić słuchawką. Ale on nie odpowiadał. Zanim odezwałam się po chwili, część tej pełnej złości energii zdążyła już ze mnie ulecieć.

– Komisarzu, naprawdę nie wiem, co się dzieje. To znaczy wiem: myśli pan, że zabiłam Toma. Zamordowałam go i pozbyłam się ciała. Tak pan uważa.

Nadal nic nie mówił. Jego milczenie znów podziałało na mnie uspokajająco, bo pozwolił mi się wyżyć. Uświadomiłam sobie, że nie zadałam mu żadnego pytania.

– Proszę mnie po prostu aresztować. Albo powiedzieć, że według pana Tom mnie zostawił. Muszę wiedzieć, na czym stoję, mam dosyć tego mętlika w głowie.

– Moim zadaniem jest dotarcie do prawdy. Podszedłem do tej sprawy jak do każdej innej, to znaczy z zerową wiedzą na temat zamieszanych w nią osób. Gdybym naprawdę uważał, że jest pani morderczynią, już dawno siedziałyby pani w celi.

– Ale też nie powiedział pan, że mi wierzy. I ma pan wątpliwości co do moich słów. Sądzi pan, że zmyśliłam tego esemesa od Toma, prawda? Że sama go sobie wysłałam, tak jak twierdzi Mary?

– Po prostu zbieram informacje. Nie wierzę z automatu we wszystko, co do mnie dociera. Słucham jedynie dowodów. Nie jestem po pani stronie ani też nie jestem po stronie Mary. Jeśli powie pani, że wypadła reszka, a ona, że orzełek, pójdę i sam sprawdzę. Chce pani usłyszeć prawdę? Nie wiem, czy zabiła pani męża, czy nie. Mówię szczerze.

Szczerze? Raczej wymijająco. Zapytałam go wprost, czy uważa, że jestem winna, a on uchylił się od odpowiedzi. Ale kwestia tego, czy podejrzewał mnie o morderstwo, paradoksalnie nie była w tej chwili najważniejsza. Zaczęłam chodzić po pokoju.

– Pańska szczerłość miała zrobić na mnie wrażenie? Nie udało się, komisarzu. Doprowadził mnie pan do szału tym, jak pan to rozegrał. Myśli pan, że skłamałam na temat samochodu Toma, mówiąc, że stał pod domkiem, kiedy odjeżdżałam stamtąd w poniedziałek rano, bo dysponuje pan nagraniem z monitoringu, na którym widać, jak bmw opuszcza Cullerton, zanim ja to zrobiłam? W porządku, rozumiem, tyle że wolałabym to usłyszeć, nie wiem, na komisariacie. Tak samo oskarżenie o sfałszowanie esemesa. Ale nie, musiał pan mnie zwabić w pułapkę przed kamerami.

– Przykro mi z powodu okoliczności, w jakich padły te pytania. Nie spodziewałem się tego.

– Ale największą złość budzi we mnie to, że zarówno pan, jak i wszyscy pozostali, łącznie z tym dziennikarzem, macie klapki na oczach. Wbiliście sobie do głów, że jestem winna, i nie dostrzegacie tego, co najistotniejsze. Nadal pan nie rozumie? Przede mną, po mnie, co za różnica? Dwa samochody, komisarzu. Na nagraniu z monitoringu widać, jak opuszcza wioskę. A więc wyjechał z Cullerton żywy.

– Monitoring to na razie wszystko, czym dysponujemy. Nie wiemy, kto prowadził ani dokąd...

Czyżbym się przesłyszała?

– Jak to nie wiecie, kto prowadził? Kto, jeśli nie Tom? Właśnie pan pokazał, że myśli o mnie jak najgorzej. I jeszcze te bzdury o dowodach, szukaniu prawdy i monecie. Założę się, że gdybym powiedziała, że wypadła reszka, i rzeczywiście by tak było, pan i tak by nie uwierzył.

W słuchawce zaległa cisza. Komisarz odezwał się dopiero po dłuższej chwili, lekko chropawym głosem, w którym wyczułam tłumioną złość.

– Tablice wozu Toma przepuściliśmy przez ASRNR, to znaczy Automatyczny System Rozpoznawania Numerów Rejestracyjnych. System jest zintegrowany z policyjnymi bazami danych, dzięki czemu możemy śledzić pojazdy na terenie całej Wielkiej Brytanii. Co ważne, możemy to robić nawet wstecz. Licząc od niedzieli, kiedy zamontowany w pubie monitoring uchwycił bmw Toma na drodze wyjazdowej z Cullerton, ASRNR nie zarejestrował tego auta w żadnym innym punkcie. Nasza sieć obejmuje tysiące kamer, ale żadna z nich nie widziała tego bmw. Samochód Toma najprawdopodobniej nie oddalił się zbyt daleko od Cullerton i na pewno nie poruszał się głównymi trasami.

Kolejne zawołane oskarżenie. Miałam tego dosyć.

– Komisarzu, przeszukaliście mój dom i chatę. Nie życzę sobie, żebyście tu wracali. Zebraliście wystarczająco dużo materiałów, by dalej dać sobie radę beze mnie. Jeśli coś jeszcze pana zastanawia, pańska serdeczna przyjaciółka Mary z pewnością chętnie podzieli się z panem wszelkimi informacjami na mój i Toma temat. Następnym razem, zanim zapuka pan do moich drzwi, proszę przygotować dowód na to, że Tom żyje, albo mieć pod ręką kajdanki w moim rozmiarze. Żegnam.

Rozłączyłam się i nagle przeszedł mnie dreszcz. Poczułam, że muszę natychmiast usiąść, i niewiele myśląc, zrobiłam to na podłodze. Nie żałowałam, że ochrzaniłam Reavleya, bo zasłużył na naganę, ale chyba niepotrzebnie rzuciłam tę groźbę w ostatnim zdaniu. Jeśli pozwoli, by emocje wzięły w nim górę, tak jak we mnie, gotów rzeczywiście zjawić się tu z kajdankami. Nie mogłam pozbyć się wrażenia, że lada moment usłyszę, jak hamuje pod moją bramą.

Obawa przed aresztowaniem w żaden sposób mi nie pomoże. Wiedziałam, że jeśli będę o tym myśleć i bez przerwy się tym przejmować,

szybko zamienię się we wrak człowieka. Musiałam spróbować wziąć się w garść.

Po kilku minutach poczułam, że jestem w stanie wrócić do jako takiej normalności. Zjadłam banana, żeby zaspokoić głód, i otworzyłam kuchenne drzwi, chcąc wpuścić Zuzu. Nie przyszła. Spędziła na dworze całą noc i nie tknęła karmy, którą wysypałam na schodku. Oby tylko nie postanowiła wyruszyć na poszukiwanie Toma.

Przypomniała mi się stara historia o Hachikō, lojalnym psie rasy akita, który codziennie czekał przy stacji metra na powrót swojego pana. Po tym, jak jego pan zmarł w pracy, Hachikō nieprzerwanie przez prawie dziesięć lat każdego dnia o tej samej porze siadał pod stacją i wypatrywał właściciela.

Co to w ogóle za myśli? Może kąpiel pomogłaby mi pozbyć się całego tego napięcia. W pierwszej chwili chciałam zostawić uchylone drzwi dla Zuzu, ale zrezygnowałam, bo przyszła mi do głowy kolejna niemądra refleksja: a jeśli policja to wykorzysta, żeby zakraść się do domu i aresztować mnie, kiedy będę w wannie? Ogarnij się, Lucy.

Mocząc się w gorącej wodzie, zauważyłam zaschniętą krew przy skórcie na palcu. Pewnie pozostałość po tym, jak wbiłam paznokcie w dłoń Mary, żeby puściła moje włosy. Prędko wyszorowałam dłonie na wypadek, gdyby policja miała się zjawić w ciągu najbliższych kilku minut; gdyby Reavley zobaczył krew, pomyślałby, że należała do Toma. Wyobraziłam sobie, jak oskarża mnie o przeniesienie ukrytych zwłok po ucieczce przed dziennikarzem.

Od jednej głupiej myśli do drugiej: starałam się przekonać wszystkich, że Tom mnie zostawił, oni zaś uparcie próbowali udowodnić, że go zabiłam, i przez cały ten czas nikt nie wziął pod uwagę trzeciej możliwości: że mój mąż miał wypadek w gęstym, przypominającym labirynt, pełnym zdradliwych rozpadlin lesie pod Cullerton, w którym zginął na miejscu albo został poważnie ranny i nie może się ruszyć. Nagle oczami wyobraźni ujrzałam wzywającego pomocy, rozpaczliwie usiłującego wypełznąć ze skalnej dziury Toma.

Chciałam wyskoczyć z wanny i popędzić z powrotem do Cullerton. Zagłębić się w lesie i wąwozie, przeczesać każdy zakątek jednego i drugiego, wołając Toma w nadziei, że usłyszę jego cichy jęk. Zamiast tego zsunęłam się głębiej pod wodę, a po moich policzkach spłynęły łzy.

Później, kiedy suszyłam włosy i wpatrywałam się nieobecnym wzrokiem w swoje odbicie w lustrze, dostałam esemesa od Reavleya, w którym poinformował mnie, że ze względu na nagły charakter sprawy wywiad ze mną postanowiono wyemitować w programie Calendar jeszcze tego samego dnia o osiemnastej.

Ta wiadomość okazała się niczym magiczne lekarstwo na moje przygnębienie. W mgnieniu oka – i tak po prostu – odzyskałam chęć działania. Od początku dnia tak bardzo przejmowałam się tym, co myślą o mnie inni, że zupełnie nie zważałam na zdanie jedynej osoby, na której opinii mi zależało: mnie samej. Przecież wiedziałam, co naprawdę przytrafiło się Tomowi. Nie leżał martwy w żadnej rozpadlinie i nie został zamordowany przez swoją żonę. Porzucił dotychczasowe życie i rodzinę, aby zacząć od początku – z nową kobietą.

Zdecydowałam, że nie pozwolę, by podejrzliwi idioci wytrącili mnie z równowagi. Nie poddam się ich wpływowi. Jeśli Tom obejrzy ten program, uświadomi sobie, jak bardzo namieszał swoim głupim zachowaniem, i skontaktuje się z kimś. Ze mną, z Mary, z Reavleyem, to bez znaczenia. Kiedy stanie się jasne, że żyje i jest cały i zdrowy, będę mogła ruszyć dalej z własnym życiem. I jeszcze zatriumfuję.

Pół godziny przed programem nalałam sobie wina i usiadłam przed telewizorem. Powróciło zdenerwowanie. Zaczęłam odliczać minuty. Gdy na ekranie pojawiła się czołówka Calendar, wlewałam w siebie już trzeci kieliszek i miałam dreszcze.

MARY

Kiedy wracam do domu, tata śpi w salonie przed serwisem informacyjnym na Sky News. Dla zabicia czasu i żeby oderwać myśli od wiadomego tematu, postanawiam zrobić porządek w szopie z narzędziami. Otwieram drzwi i nagle atakują mnie grabie; musiały stać pod dziwnym kątem. Łapię je i moje spojrzenie pada na wciśnięte palcami wskazującymi w oko haczyka rękawice ogrodowe.

Od Toma. Dom jest pełny przedmiotów, które mój brat kupił dla taty, ale z jakiegoś powodu tym, co mnie w końcu rozkleja, są właśnie te niepozorne rękawice. Może dlatego, że ostatni raz używał ich zeszłego lata i od tamtej pory ogród zdziczał; przypomina o upływającym czasie. O nieuchronności zmiany. Wracam z rękawicami do salonu, siadam i wypłakuję sobie oczy.

Tata budzi się, widzi, że płaczę, ale patrzy na mnie takim wzrokiem, jakby nie wiedział, co ma robić. Pokazuję na telewizor, w którym prezenter przekazuje smutne, przygnębiające wiadomości, i dopiero wtedy dociera to do taty. Zasypia pół minuty później. Szlocham jeszcze długo po zakończeniu programu.

Powodem, dla którego płaczę, jest nowe zmartwienie: ustawa o bezprawnym pozbawieniu człowieka życia (i odzyskaniu szczątków), nad którą w tej chwili trwają prace w parlamencie. Nowe prawo ma być wymierzone w tych morderców, którzy odmawiają ujawnienia miejsca porzucenia zwłok. Pomysłodawcy ustawy, kierując się dobrem rodzin ofiar i rozumiejąc ogrom bólu towarzyszący niewiedzy – bez ciała Toma nawet nie mogę urządzić mu pogrzebu, na jaki zasłużył – proponują, żeby w przypadku braku współpracy ze strony sprawcy nie miał on możliwości ubiegania się o zwolnienie warunkowe. Nigdy. Jeśli parlament zatwierdzi nowe przepisy, Lucy do końca swojego żalosego, niewiele wartego życia będzie opróżniała kubły w pierdlu.

Obecnie instancje orzekające w sprawach o zwolnienie warunkowe oczywiście biorą pod uwagę taką czy inną postawę sprawcy i jeśli ten wypiera się popełnionej zbrodni i nie chce wskazać, gdzie ukrył ciało, wówczas raczej nie może się spodziewać, że prędko opuści mury więzienia. Ale właśnie: raczej. Bo to nic pewnego. Dopóki nowe prawo nie wejdzie w życie, istnieje ryzyko, że pewnego dnia kara Lucy zostanie skrócona. Moja pożałuj Boże bratowa wróci do domu jak gdyby nigdy nic, a ciało Toma na zawsze pozostanie nieodnalezione.

Policja będzie szukała mojego brata jeszcze przez pewien czas po tym, jak za Lucy zamkną się drzwi celi, ale przecież nie potrwa to wiecznie. Przetrzęsą doliny, lasy i porzucone budynki w okręgu Chorley, lecz z każdym bezowocnym dniem nadzieje na odkrycie jego zwłok będą malały i ekipy będą przeczesywały okolicę coraz mniej starannie. Wraz z koniecznością poszerzenia obszaru poszukiwań akcja będzie prowadzona coraz wolniej. Będą mijały długie dni – następnie tygodnie – pomiędzy kolejnymi zrywami.

Potem któregoś dnia jakiś sukinkot za biurkiem zacznie narzekać na koszty i kwękać o budżecie, a w końcu poszukiwania ustaną. Może raz w roku wypłynie jakiś trop i wtedy znów chwycą za łopaty. Ale jeśli policja nigdy go nie odnajdzie, najbliżsi i wszyscy, którym Tom był drogi, nie będą mogli liczyć na zamknięcie tego bolesnego rozdziału.

„Zamknięcie”. Dla mnie to słowo brzmi jak żart. Oczywiście przyzwyczaję się do faktu, że Toma już nie ma i że nie mogę z nim porozmawiać, zadzwonić do niego, ale jak mogę myśleć o jakimkolwiek „zamknięciu” tego etapu w naszym życiu? Nie zapomnę o Tomie ani nie przestanę za nim tęsknić. Z czasem jego koledzy wrócą do swoich spraw. Biorąc pod uwagę wszystkie przygotowania i szum towarzyszący najpierw procesowi, a potem pogrzebowi, o morderstwie Toma z pewnością jeszcze przez jakiś czas będzie głośno, ale kiedy martwe ciało znajdzie się w ziemi, a drugie, żywe, za kratkami, znajomi Toma skupią się na własnych losach. Coraz rzadziej będą wracali do niego myślami, w końcu wcale albo jedynie przy okazji jego urodzin czy kiedy o nim wspomnę.

Za to Lucy bez wątpienia doczeka się swojego „zamknięcia”. Przywyknie do życia w więzieniu, zakoleguje się z tą czy tamtą osadzoną, znajdzie sobie nowe hobby i za dziesięć lat będzie zrosnięta ze światem za kratami – i zadowolona z tego. Może nawet szczęśliwa. Minie parę lat i pewnego dnia jacyś urzędnicy zdecydują, że odpokutowała za swój czyn, dostała nauczkę, droga wolna. Nawet nie chcę o tym myśleć. Lucy na wolności przekonana, że jej wybaczone, ja – wciąż usiłująca odnaleźć ciało Toma. Dwadzieścia lat dla niej, dla mnie – dożywocie.

I chociaż brzmi okropnie, to jednak najlepszy z możliwych scenariuszy. Wiem, że Reavley nadal ma wątpliwości, czy w ogóle doszło do pozbawienia życia. Lucy nie byłaby pierwszą morderczynią, która odeszła we własnym łóżku, stara i szczęśliwa, a los Toma na zawsze pozostałby zagadką.

O osiemnastej, kiedy zaczyna się Calendar, przenoszę się na górę, do sypialni ojca, w której stoi drugi telewizor. Biorę sobie kieliszek wina, żeby okrasić przyjemne chwile, gdy ta suka będzie się wiła w oku kamery.

Prowadząca rozpoczyna od prośby o pomoc w ustaleniu miejsca pobytu zaginionego, po czym zapowiada materiał przygotowany przez dziennikarza od Reavleya. Na dzień dobry ujęcie Cullerton mniej więcej z wysokości pubu Serengeti i głos lektora, który wyjaśnia, że znajdujemy się w sielskiej wiosce w Lancashire, gdzie Tom Packham spędzał weekend ze swoją żoną w chwili zaginięcia.

Na ekranie pojawia się zdjęcie Toma i Lucy z wesela: stoją uśmiechnięci przed tortem, oboje trzymając nóż. Następnie dziennikarz, idąc niespiesznym krokiem od chaty w stronę kamery, wtajemnicza nas w szczegóły. W kolejnym ujęciu rozmawia z Lucy na szlaku w lesie.

Pochyliłam się, żeby lepiej widzieć, wpatruję się w jej twarz. Poci się ze strachu.

Nagle przecieram oczy ze zdumienia. Kiedy kamerzysta ustawia się za plecami dziennikarza, żeby zrobić zbliżenie na oblicze Lucy, dostrzegam czający się między drzewami niewielki, niewyraźny ciemny kształt. Szczegóły są zamazane, ale wiem, że ten kształt to ja chowająca się w krzakach. Wybucham śmiechem; słowo daję, że nie spodziewałam się po sobie akurat takiej reakcji na ten program.

Nie spodziewałam się również tego, co następuje potem: stojący samotnie na tle Kaskady dziennikarz zwraca się do widzów z prośbą o pomoc – czy byliście państwo w okolicy w niedzielę rano? Czy zauważyliście coś nietypowego? Po chwili pojawia się numer policyjnej linii specjalnej i... to wszystko.

Jak to? Gdzie sceny, w których Lucy załamuje się pod ciężarem oskarżeń? Policja nie zgodziła się na emisję najpikantniejszych kasków, bo nie zarzuca się czyjejs żonie morderstwa, jednocześnie apelując o pomoc w odnalezieniu jej męża? Wycięli najlepsze fragmenty rozmowy, bo w programie zabrakłoby czasu na inne materiały? A może ta suka ma romans z kimś z ITV Yorkshire?

Jestem tak wściekła, że ciskam kieliszkiem w telewizor; większość wina i tak trafia na zasłony. Ten wywiad miał być punktem zwrotnym. Występ Lucy przed kamerami miał skłonić tych, którzy ją znają, do wyjawienia prawdy o niej: że wcale nie jest taka święta. W mediach społecznościowych miała wybuchnąć burza, ludzie mieli oskarżać Lucy o zabicie Toma. Policja byłaby zmuszona w końcu zacząć traktować sprawę mojego brata jak morderstwo, a nie zaginięcie. Wreszcie atakowana ze wszystkich stron Lucy załamałaby się i przyznała, że odebrała Tomowi życie.

Zamiast tego ukazano ją jako przygnębianą żonę, na którą spadnie deszcz współczucia.

Spokojnie, mówię sobie. To tylko drobna komplikacja. Jeszcze nie wszystko stracone. Ludzie dowiedzą się o podłości Lucy. Prawda wyjdzie na jaw. Jeśli nie za sprawą policji ani dziennikarzy, to... nie mam wyjścia, muszę sama o to zadbać.

LUCY

W końcu zamiast jednego kieliszka wypiałam całą butelkę wina, ale nie po to, by utopić w nim smutki. Przeciwnie: miałam co świętować. Dziennikarz, który nie miał dla mnie litości w Cullerton, najwyraźniej zmienił zdanie, gdy przyszło do montowania materiału. Chyba że to policja albo przełożeni zmusili go do dokonania cięć w ostatecznej wersji reportażu.

Do emisji nie trafiło nic, co świadczyłoby przeciwko mnie, żadne – przyznaję – budzące wątpliwości okoliczności związane z moją rolą w zniknięciu Toma. Nie zostało w żaden sposób zasugerowane, że mogłam go skrzywdzić. Nie padły żadne podchwytliwe pytania ani podstępne oskarżenia. Nie pokazano, jak uciekam przed kamerą. I co najlepsze, na końcu zamieszczono prośbę do wszystkich osób mogących znać miejsce pobytu Toma o to, by zgłaszały się na policję. A więc przynajmniej niektórzy wierzyli, że Tom naprawdę mnie opuścił.

Podeszłam do okna w sypialni i wyjrzałam spomiędzy zasłon, ciekawa wpływu reportażu na moją okolicę. Przez pół godziny klęczałam z nosem w szybie i bolącymi plecami, przyglądając się, co zrobią sąsiedzi.

Zjawilo się miłe małżeństwo z zawiniętym w ozdobny papier prezentem – co uznałam za bardzo dobry znak – ale nie otworzyłam im. Nie zrobiłam wyjątku również dla starszej pani z talerzem naleśników. Ani dla kolejnych dwóch osób, z których jedna krzyknęła do mnie przez szczelinę na listy, żebym nie wahała się przyjść do niej, jeśli będę miała ochotę porozmawiać. Wyglądało na to, że dzięki programowi zdobyłam przynajmniej kilkoro fanów.

Ale nie wszyscy odebrali materiał w Calendar w taki sam sposób. Kiedy później wyszłam wynieść do kosza butelkę po winie, mężczyzna, który kilka domów dalej uzupełniał olej w samochodzie, przerwał tę czynność i zaczął się na mnie gapić. Pomachałam do niego, ale nie odpowiedział. Po prostu stał i się patrzył. Inne twarze w oknach znikwały, gdy zwracałam wzrok w ich stronę. Materiał nie ukazał mnie w złym świetle, ale dla

zapałonego widza telewizyjnych magazynów kryminalnych zaginięcie męża zawsze będzie wyglądało podejrzanie.

Tyle że tak naprawdę przyczyną wcale nie były programy. Musiałam przestać się oszukiwać. Kilka dni wcześniej Mary wydzierła się pod moim domem, przyjechała policja, a pół roku temu aresztowano mnie za napaść na Toma. Przez to już nigdy miałam nie być całkowicie wolna od podejrzeń, przynajmniej w tej okolicy. Niewykluczone, że będę musiała się przeprowadzić. Zacząć od nowa. Albo – jak mawiała moja matka – wrócić na „start”.

Nie przygnębiała mnie myśl o zmianie miejsca zamieszkania, bo wiedziałam, że ten dom i ta ulica już zawsze będą mi się kojarzyły z Tomem i każdy dzień będzie jak kolejny kamyczek wrzucony do ogródka mojej depresji.

– Chyba że wypełniesz spod kamienia, pod którym się schowałeś, ty draniu. – Ciągle zapominałam, że koszmar się skończy, jak tylko mój mąż zjawi się cały i zdrowy. Prędzej czy później to zrobi. Nie może się wiecznie ukrywać.

Po zachodzie słońca, mniej więcej o dwudziestą pierwszą, znów usłyszałam pukanie do drzwi. Szybko zerknęłam za okno i zobaczyłam mężczyznę w płaszczu i garniturze. Rozpoznałam w nim jednego z policjantów, z którymi Reavley i ja pojechaliśmy tego ranka do chaty w Cullerton.

Policjant miał mi do przekazania pewne informacje. Pokazał również zdjęcia.

Od razu przeszedł do rzeczy, nawet zanim zajęliśmy miejsca w fotelach w salonie.

– Sądzimy, że znaleźliśmy plecak Toma.

Usiadłam i objęłam się rękami. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że funkcjonariusz oczekuje, bym zapytała o to, gdzie dokonano odkrycia.

Natrafiono na plecak pomiędzy dwoma głazami w Low Man, kilkaset metrów w dół strumienia, głęboko w wąwozie. Policjant wyciągnął tablet i pokazał zdjęcie. Przedstawiało obraz z brzegu. Zobaczyłam niewielki przedmiot zaczepiony o dwa wystające ze spienionej wody spore kamienie, ale z tej odległości nie sposób było się domyślić, czym jest ta rzecz.

Przesunął palcem i ukazała się kolejna fotografia. Ten sam kąt, ale powiększony widok. Teraz wyraźnie można było dostrzec pasek plecaka,

który zaklinował się w szczelinie pomiędzy głazami; pozostała część znajdowała się pod wodą. Na trzecim zdjęciu widniał już wyciągnięty plecak; spoczywał na kawałku folii rozłożonej na porośniętym trawą brzegu.

Nie potrafiłam odczytać wyrazu twarzy policjanta. W każdym razie na pewno nie wyglądał na zasmuconego faktem, że musiał przynieść mi złe wiadomości.

– Chciałbym, żeby przyjrzała się pani tym przedmiotom i zidentyfikowała plecak męża.

Zaczął przewijać zdjęcia. Na pierwszym było widać otwarty plecak z częściowo ukazaną zawartością. Od razu rozpoznałam rzeczy Toma. Zobaczyłam złożone spodnie dresowe, butelkę na wodę w zewnętrznej kieszeni, elektronicznego papierosa w niewielkiej siatkowej kieszonce w środku, zwinięte zapasowe skarpety.

Kolejne fotografie ukazywały wszystko to wyłożone na folii i w zbliżeniu w wysokiej rozdzielczości. Spodnie miały różowawą plamę od wybielacza na wysokości paska. Skarpety to te czerwone mechate, które dostał od Mary. Elektroniczny papieros był czarny ze zdjęciem monster trucka i podpisem: „Zwierzak”.

– Tak, to rzeczy Toma – potwierdziłam. – Tom nigdzie się nie rusza bez elektronicznego papierosa. Pamiętam, że palił go, czekając, aż wdrapię się na pomost nad strumieniem. Nie wiem, dlaczego postanowił pozbyć się plecaka.

Policjant pokiwał głową ze współczuciem, ale w następnej chwili powrócił do trybu służbisty.

– Czy wie pani, w jaki sposób plecak znalazł się w strumieniu? Wygląda na to, że spłynął z prądem i zaczepił się o skały. Tymczasem mówiła pani, że przeszliście z mężem na drugi brzeg Low Man i udaliście się szlakiem przez las.

– Widocznie stoczył się ze zbocza.

– Nie rozumiem.

– Od głównego szlaku odchodzą liczne odnogi, niektóre prowadzą w dół, ku wąwozowi.

– Ale przecież jest ogrodzenie...

– Miejscami brakuje siatki. Plecak mógł się stoczyć za krawędź urwiska. Albo Tom mógł nim rzucić tak daleko, w końcu jest dużym, silnym mężczyzną.

Policjant wyświetlił jeszcze jedno zdjęcie: zbliżenie jednego z pasków plecaka. Z wyraźnie widoczną czerwoną plamą na materiale. Opadła mi szczęka.

Wiedziałam, że to krew.

Funkcjonariusz nawet na moment nie oderwał ode mnie wzroku.

– Krew. Zaszła i nie zmyła się, ponieważ pasek znajdował się nad powierzchnią wody. Zbadamy ją. Czy wie pani, jak tam trafiła, o ile należała do Toma?

Współczucie musiało być udawane. Pytanie było niemal jawnym oskarżeniem i tylko w niewielkim stopniu wyrażało ciekawość.

– Reavley kazał panu to zrobić?

– Słucham?

– Miał pan udawać, że jest po mojej stronie, a potem zbić mnie z tropu oskarżeniem? Ten sam schemat co z dziennikarzem. Kolejna pułapka. Waszym zdaniem krew dowodzi tego, że Tom nie żyje, prawda? Ignorujecie oczywisty fakt, że Tom wyjechał z Cullerton własnym samochodem. I że przysłał mi esemesa spod naszego domu dzień po tym, jak odszedł ode mnie.

– Pani Packham, jestem tu tylko po to, żeby zebrać informacje na temat...

– To samo mówił Reavley. – Wstałam. Zrobił krok do tyłu. – Przecież powiedziałam policji, że Tom skaleczył się o kran. Widocznie pobrudził plecak, kiedy go zakładał. Nie wiem, czy mi wierzycie, czy nie, ale proszę przyznać: czy ktokolwiek z was naprawdę szuka mojego męża? A może wszyscy jedynie kombinujecie, jak mnie dorwać?

Jego odpowiedź zaskoczyła mnie szczerością.

– Nadal go szukamy. Ale jeśli Tom miał na sobie ten plecak, kiedy wpadł do strumienia, a tego przecież nie wiemy, prąd mógł go znieść dosyć daleko. Niewykluczone, że jego ciało znajduje się gdzieś pod wodą. Na razie to wszystko, co mogę pani powiedzieć.

Wybuchnęłam śmiechem podszytym frustracją. Nie zdołałam się opanować. Policjant ściągnął brwi.

– Tu nie ma się z czego śmiać, pani...

– Przeciwnie, panie władzo. To, jak zupełnie lekceważycie wszystko, co wam mówię, jest śmiechu warte. Wydaje wam się, że plecak w wodzie stanowi potwierdzenie waszych przypuszczeń, że zabiłam męża. Moim zdaniem Tom wyrzucił plecak, bo go nie potrzebował. U swojej kochanki

miał przecież ubrania, zapasowy papieros i inne rzeczy. Powiedziałam to pańskiemu szefowi, powiem również panu: nie zabiłam męża, a jeśli uważacie, że to zrobiłam, aresztujcie mnie. Do tego czasu, albo dopóki nie odnajdziecie go w innym domu z inną rodziną, dajcie mi święty spokój. Żegnam.

Nie czekając na jego reakcję, przeszłam obok niego i pobiegłam na górę. Usiadłam na łóżku i nasłuchiwałam. Pół minuty później doleciał do mnie odgłos zamykanych drzwi. Stałam w oknie i patrzyłam, jak policjant odjeżdża spod mojego domu. Zauważyłam, że sąsiedzi też się przyglądają. Miałam ochotę wystawić głowę i krzyknąć do nich: „Kiedy Tom w końcu się tu pokaże, naprawdę go zabiję – i dopiero wtedy będziecie mieli na co patrzeć!”.

MARY

Kiwam głową na tak.

– Lucy też każecie przyjechać?

– Nie. Wystarczy, jeśli rozpozna te przedmioty na zdjęciach. Wysłałem do niej swojego człowieka.

Przyjechałam na komendę w Woodseats. Reavley wyszedł po mnie na parking. Kiedy zadzwonił z prośbą o identyfikację znalezionej w strumieniu plecaka, który zdaniem policji należał do Toma, wskoczyłam do samochodu i pędziłam, ile fabryka dała. Chciałam zobaczyć minę Lucy, to wystudiowane zdumienie, kiedy podsuną jej plecak. Szkoda, że się tu nie spotkamy.

– Jak zareagowała?

Idziemy do budynku. Niebo szybko ciemnieje. Uświadamiam sobie, jak bardzo jestem zmęczona. Już dawno żaden dzień nie wydawał się trwać tak długo.

– Policjant, który z nią rozmawiał, zauważył w jej postawie jakąś... niespójność – mówi Reavley. – Odniosł wrażenie, że nie wiedziała o plecaku w strumieniu.

Wiem, że czytałabym w niej znacznie lepiej niż oni. Bo ją po prostu znam. Chodzą przy niej na palcach, jakby mieli klapki na oczach.

– Wiadomo coś nowego o bmw Toma? – pytam.

W tej samej rozmowie, w której poprosił mnie o przyjazd, komisarz wyjaśnił mi zawłóści ASRNR i sprecyzował, co oznacza, że samochód mojego brata nie został oznaczony: nie przemieszczał się głównymi

drogami, i to od pewnego czasu. Zatem Tom najpierw zostawił telefon, a potem jeszcze porzucił swoje ukochane bmw?

Jedno i drugie zupełnie nie w jego stylu. Mimo to policja nic z tym nie robi. Co musi się wydarzyć, żeby ci ludzie wreszcie ruszyli tyłki i przyskrzynili Lucy? Ma się zameldować na komendzie z odciętą głową Toma w pudle?

W milczeniu, zaciskając zęby ze złości, idę za Reavleyem do pomieszczenia, w którym na stole ułożono rzeczy Toma w plastikowych torebkach. Od razu widzę, że to bez wątpienia przedmioty należące do mojego brata. Jego plecak, spodnie, butelka, papieros z wizerunkiem Zwierzaka.

– Tak – potwierdzam. I dodaję, nie szczędząc podtekstów: – Te znalezione przez was w strumieniu rzeczy to przedmioty należące do Toma, do których był przywiązany i których za nic by nie wyrzucił.

– W porządku? – pyta Reavley i kładzie mi dłoń na ramieniu, ale robię krok do przodu i dłoń się zsuwa. Zbliżam się do stołu, przyglądam się plecakowi. Dostrzegam plamę krwi na pasku. Przechodzi mnie dreszcz. Nie, komisarzu Reavley, nie jest w porządku, choć nie z powodów, o których pan myśli. Setki ludzi wchodzą do tego pomieszczenia i wybuchają płaczem na widok wyłożonych jak na pchlim targu rzeczy osobistych ich zaginionych bliskich. Ja nie. Nie jestem zaskoczona ani wstrząśnięta. Od początku wiedziałam, że Tom nie żyje.

– Domyślam się, że Lucy opowiedziała wam jakąś bzdurną historyjkę o tym, w jaki sposób te rzeczy znalazły się w strumieniu?

Relacjonuje mi jej wersję zdarzeń – Tom miałby wrzucić plecak do wody po tym, jak odszedł – ale jest przy tym wyraźnie zdeprimowany. To zrozumiałe.

– Niemniej to niczego nie dowodzi – zaznacza. – Nadal brakuje nam podstaw, by ją aresztować albo przynajmniej zmienić charakter naszych działań z poszukiwań osoby zaginionej na śledztwo w sprawie morderstwa. To tylko część układanki.

Układanki? Oczywiście prędzej czy później chcę zobaczyć pełny obraz tego, co się wydarzyło pomiędzy Tomem i Lucy w niedzielny poranek, ale w tej chwili nie interesuje mnie jak i dlaczego. Zależy mi wyłącznie na tym, żeby do policji w końcu dotarło, że mój brat nie żyje, a osobą odpowiedzialną za ten stan rzeczy jest jego żona. Dopiero wtedy naprawdę wezmą się do roboty i nawet jeśli ostatecznie nie uda im się zebrać

dowodów przeciwko Lucy, to przynajmniej bardziej się przyłożą do szukania zwłok Toma.

Zamartwianie się, nadzieja wbrew wszystkiemu, wahania nastroju – wszystko to powoli mnie wykańcza. Czuję ciężar kilku ostatnich dni pełnych smutku. Muszę stąd wyjść, zaczerpnąć świeżego powietrza. Chcę mi się spać. To był długi, okropny dzień.

– Wracam do domu – mówię. – Jestem zmęczona.

– W takiej sytuacji nie powinna pani prowadzić.

Nie zamierzam się sprzeczać. Reavley prosi młodego policjanta, żeby mnie odwiózł. Droga upływa nam w milczeniu i obojgu nam to nie przeszkadza. Dopiero kiedy zatrzymujemy się obok radiowozu, który ma go zabrać z powrotem na komendę, policjant podejmuje próbę poprawienia mi nastroju:

– To wymaga czasu, ale w końcu rozgryziemy tę sprawę. Jeśli żona Toma go zabiła, na pewno spotka ją kara. Proszę mi wierzyć.

Jak mogę uwierzyć komuś, kto użył słowa „jeśli”?

LUCY

Dowodem na rozbieżność opinii na mój temat były dwa liściki, które znalazłam pod drzwiami. Ich autorzy zaczekali do zmroku i dopiero wtedy przemknęli niezauważeni pod moimi oknami, żeby zostawić kilka słów od siebie. Jedną wiadomość nabazgrano na kawałku kartoniku z pudełka z płatkami śniadaniowymi, a drugą napisano równymi literami na perfumowanym papierze. Zapewne domyślacie się, która zawierała jaką treść.

Biedactwo. Pani mąż na pewno wkrótce wróci. Założę się, że po prostu baluje z kolegami. Wszystkiego dobrego. Niech się pani trzyma.

Wiem, jak często się kłóciłaś z mężem. I wiem, że porzuciłaś jego zwłoki w lesie. Posadzą cię za to na dwadzieścia lat. Spotka cię sprawiedliwość, bo jesteś morderczynią.

Wyjrzałam przez okno w sypialni, licząc, że uda mi się dojrzeć osoby, które zostawiły te liściki, ale na pustej ulicy panowała cisza i spokój. Było po dwudziestej drugiej. Odczekałam jeszcze kilka minut. Przez ten czas zauważyłam tylko garstkę ludzi zajętych tym albo owym; żaden z nich nie zwracał uwagi na mój dom ani też nie sprawiał wrażenia, jakby celowo go ignorował. Przyszło mi do głowy, żeby poszperać po okolicznych śmietnikach w poszukiwaniu pociętego pudełka po płatkach, ale uznałam, że to bez sensu. Przecież nawet jeśli znajdę sprawcę, i tak nie zapukam do

jego drzwi. Pomijam fakt, jak dziwnie by to wyglądało, gdyby ktoś mnie nakrył na grzebaniu w śmieciach w środku nocy.

Odkryłam, że media społecznościowe podchwyciły temat. Miałam konto na Facebooku i mniej więcej setkę znajomych, ale korzystałam z niego wyłącznie do myszkowania. Czułam się, jakbym czytała fragmenty cudzych pamiętników. Nie zaglądałam tam zbyt często, może raz w tygodniu, i od wielu miesięcy niczego nie publikowałam ani nie komentowałam żadnych postów, nawet śmiesznośtek, które wrzucał Tom. Niemniej tego ranka postanowiłam sprawdzić, jak Facebook zareagował na materiał w Calendar.

Przejrzałam wiadomości, szukałam obelg i oskarżeń, które owszem, zdarzały się, ale ogólnie wydzźwięk był pozytywny. Co innego we wpisach na profilu Toma.

Pośród głosów zatroskanych przyjaciół i znajomych wyrażających nadzieję, że Tom wkrótce się odnajdzie, i namawiających go, żeby dał znak życia, nie brakowało negatywnych komentarzy.

Właściciel pubu Serengeti w Cullerton pisał o „kłótni” pomiędzy mną a Tomem w sobotę wieczorem. Dwóch kolegów Toma, współwłaścicielei Zwierzaka, wspomniało o swojej wizycie w Kaskadzie w niedzielny wieczór; to, że Tom zniknął bez słowa, było dla nich co najmniej dziwne – tak samo określili moje zachowanie, kiedy Mary wypytywała mnie o swojego brata. Przyjaciele Toma, z którymi nigdy nawet nie miałam kontaktu, wypisywali rzeczy w rodzaju: okropnie go traktowała; zasługiwał na kogoś lepszego niż ta wariatka; wszystko przez nią.

Wyglądało na to, że dosyć często rozmawiał ze znajomymi na mój temat i raczej nie wypowiadał się o mnie zbyt pochlebnie. Z początku nie wiedziałam, co o tym myśleć. Potem doszłam do wniosku, że do diabła z nimi – to jego przyjaciele, nie moi.

Nie zdziwiło mnie, że Mary nieznużenie odpowiadała na wiele spośród tych postów i komentarzy i oczywiście nie zostawiała na mnie suchej nitki. Unikała przy tym nazywania mnie wprost morderczynią, ale chyba tylko dlatego, żeby Facebook nie zablokował jej konta. Słowa, którymi najmocniej mnie zraniła, brzmiały następująco:

Ta kobieta nie umie angażować się w związki. Rodzice wysłali ją za granicę, nie ma żadnych przyjaciół, a teraz jeszcze Tom. Nawet kotka z nią nie wytrzymała.

Co za suka. Jak można być taką jędzą? Jak można pisać takie rzeczy i jeszcze dodawać uśmieszek na końcu?

Owszem, nie utrzymywałam kontaktu z rodziną. Skłamałam, gdy powiedziałam Reavleyowi, że widuję się z mamą i tatą raz do roku. W Niemczech, kiedy depresja i przemoc, która ją pogłębiała, stały się nie do wytrzymania, uciekłam od tamtego życia, nie mówiąc o niczym rodzicom.

Byli dla mnie bardzo surowi i zależało im, żebym do czegoś doszła w życiu. Na pomysł wysłania mnie do Niemiec wpadła matka, ale oboje wkładali sporo wysiłku w planowanie mojej przyszłości. Tymczasem nagle wróciłam do Anglii bez pracy i męża. Zawiodłam. Mogłam odegrać córkę marnotrawną, ale brakowało mi odwagi. Ukryłam przed nimi fakt powrotu. Zamieszkałam znów w kraju, a oni nawet o tym nie wiedzieli. Zresztą, wtedy już nie rozmawiałam z nimi od dobrych czterech, pięciu lat, dlatego nie było to jakoś szczególnie trudne.

W końcu, kiedy już znalazłam pracę i nowego męża, zadzwoniłam i poinformowałam ich, jak wyglądają sprawy.

Od tamtej pory minęło już ładnych parę lat i przez ten czas nie kontaktowaliśmy się ze sobą. Chyba pogodzili się z tym, że wyjechałam z Niemiec, i zrozumieli, dlaczego to zrobiłam. Tyle że nie powiedziałam im całej prawdy. Przemilczałam problem przemocy ze strony Rolfa i stwierdziłam, że nasze małżeństwo zwyczajnie się wypaliło. Okłamałam ich lata temu, ale wciąż mi to doskwierało; nadal czułam się, jakbym ich zdradziła i przyniosła wstyd rodzinie.

Dlatego te zjadliwe dwie linijki, to pełne zgryźliwości podsumowanie mojego życia w oparciu o fragmenty prawdy, które odsłoniłam przed Tomem, dotknęło mnie bardziej, niż Mary mogło się wydawać.

Potem nagle odkryłam coś, co dało mi odrobinę radości w tym ponurym czasie. Otóż pewien szczegół w materiale wyemitowanym w programie Calendar zwrócił uwagę widzów obdarzonych sokolim wzrokiem i zapoczątkował nowy trend w internecie. Wyglądało na to, że do północno-wschodniej Anglii zawitał sam Wielka Stopa.

Kiedy wpisałam w wyszukiwarce hasztag, który ktoś wymyślił: #WielkaStopaLancashire, trafiłam na posty z całego kraju, w większości w żaden sposób niezwiązane ze mną, Tomem ani żadną znaną mi osobą. Zaczęłam przeglądać dziesiątki zrzutów ekranu z serwisów informacyjnych, wiele z zaznaczonym kółeczkiem Wielką Stopą i odpowiednim podpisem; niemal na wszystkich – poza tymi, które wykadrowano w powiększeniu – widniała moja twarz. Cóż się okazało? Kiedy rozmawiałam

z dziennikarzem, w lesie za moimi plecami czaiła się między drzewami jakaś ciemna, wyglądem przypominająca człowieka postać.

Mary dopadła mnie krótko po tym, jak uciekłam ekipie telewizyjnej, dlatego wiedziałam, że musiała kręcić się gdzieś w pobliżu, ale na widok tych zdjęć doznałam szoku. Obserwowała nas od samego początku, podążała za nami, przemykając od drzewa do drzewa jak kot na polowaniu. W innych okolicznościach zapewne podziałałoby mi to na nerwy, ale teraz? Mary była Wielką Stopą. Miałam nadzieję, że już wie o trendzie, który zapoczątkowała jej ziarnista, przyczajona postać, i ze wstydu zapada się pod ziemię.

Niestety radość nie trwała długo. Wśród wiadomości z kondolencjami, oskarżeniami, propozycjami pomocy i tysiącami żartów z Wielkiej Stopy nie było żadnej od Toma. Zgodziłam się na wywiad po to, by skłonić męża do nawiązania kontaktu, ale jak na razie moja strategia nie dawała zamierzonego efektu. Dlaczego się nie odzywał? Zadawałam sobie to pytanie setki razy.

Może po prostu nie widział reportażu ani też nie oglądał go nikt z jego otoczenia. Nie chciało mi się w to wierzyć. Policja była w kontakcie z jego przyjaciółmi i znajomymi; przyjaciele i znajomi kontaktowali się z rodziną; rodzina na pewno pytała o niego na własną rękę. Nie było takiej możliwości, żeby w tym skomunikowanym na wszelkie sposoby świecie Tom nie miał pojęcia, że jego nagłe zaginięcie wywołało poruszenie. Mimo to nie odezwał się do żadnej ze znanych mu osób. Dlaczego?

Policja i grupa miejscowych z Cullerton przeszukali chatę i okoliczne lasy, rozpytywali o Toma w pubach, sklepach i innych miejscach – bez rezultatu. Nikt nie widział Toma i mnie razem. Nikt nie widział Toma samego w lesie ani poza nim. Dlaczego?

Rozwazałam nawet scenariusz, w którym Tom postanowił mnie ukarać i ukrył się przed światem ze świadomością, że policja może zacząć podejrzewać mnie o zamordowanie męża. I że wróci, kiedy mu się znudzi. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie wyciął wszystkim numeru i nie przygląda się naszym bezowocnym poszukiwaniom, rechocząc pod nosem. Wzięłam pod uwagę możliwość, że zaszył się gdzieś na odludziu ze swoją nową kobietą i nie śledzi wiadomości; może kochanka jest osobą publiczną i miałyby dużo do stracenia, gdyby romans wyszedł na jaw?

Nie miało znaczenia, który scenariusz był prawdziwy – w każdym Tom w końcu powracał cały i zdrowy. Potrzebowałam tego, nie tylko po to, aby

uniknąć aresztowania za morderstwo. Potrzebowałam tego dla własnego zdrowia psychicznego. Ponieważ nawet mi, jedynej osobie znającej całą prawdę, z coraz większym trudem przychodziło ignorowanie myśli, że... że Tom być może rzeczywiście nie żyje.

Czy coś mu się stało po tym, jak w poniedziałek wysłał mi esemesa? Miał wypadek w jakimś odludnym miejscu? Ktoś go zamordował? Na przykład kochanka albo jej zazdrosny mąż lub chłopak? Albo rywal z zawodów monster trucków? Kiedy byliśmy w siedzibie agencji Toma, Reavley zapytał o niezadowolonych klientów – może Tom nadepnął komuś na odcisk?

Przez cały czas, kiedy te przypadkowe, pozbawione jakichkolwiek podstaw i przyprawiające o migrenę myśli krążyły mi po głowie, w roztargnieniu przewijałam wiadomości na Facebooku, niespecjalnie zwracając na nie uwagę. Dopóki nie wyświetliło mi się pewne nazwisko.

Fischer. Wiadomość zawierała jedynie numer telefonu i polecenie: „Zadzwoń”. Na zdjęciu profilowym widniała ładna kobieta w średnim wieku na tle zalanej słońcem plaży. Łzy napłynęły mi do oczu.

Przez kilka minut siedziałam z telefonem w ręku, numerem dawnej przyjaciółki na ekranie i palcem nad zielonym przyciskiem ze słuchawką. Ale nie umiałam się zebrać. W końcu odpowiedziałam na wiadomość podaniem własnego numeru. Uznałam, że tak będzie mi łatwiej.

Oddzwoniła niemal natychmiast. Odebrałam drżącą dłonią.

– To jakiś przekręt na ubezpieczenie? – odezwała się. – Polisa jest pierwszą rzeczą, jaką sprawdza policja, więc wątpię. Wyobrażam sobie, że jest wiele żon i wielu mężów, którzy nie są winni morderstwa, a jednak idą do więzienia tylko dlatego, że można zgarnąć ładną sumkę. Powiedz: czy ten twój mąż sobie zasłużył? I czy forsa poleci na moje konto, kiedy będziesz odsiadywała wyrok?

Roześmiała się na znak, że żartuje. W następnych słowach wyjaśniła, o co jej chodziło:

– Pomyślałam, że zacznę od tego, co najbardziej krępujące, żebyśmy potem nie musiały skakać wokół tematu. Mamy sporo do nadrobienia, więc mów, opowiadaj, co się wydarzyło.

Zanim zaczęłam, wybuchnęłam płaczem. W Niemczech rozkleiłam się przed Leoną, kiedy już miałam wchodzić na pokład samolotu. Dziś, po tylu latach, ponownie uraczyłam moją dawną przyjaciółkę łzami.

MARY

Wielka Stopa. Jakie to denerwujące.

Po podwózce do domu odczekałam kilka minut i poszłam do otwartego do późna punktu ksero zrobić kilka kolorowych odbitek. Potem zamierzałam się przebrać i ruszyć w miasto – w pierwszej kolejności na ulicę, przy której mieszkała Lucy.

Ale kiedy wracam, słyszę głos taty. Woła mnie z góry. Znajduję go w łazience. Leży na podłodze obolały i mokry.

Od razu widzę, że zsikał się w spodnie. Okazuje się, że spieszył się do toalety na piętrze, ale stanął krzywo i się przewrócił. Musiał ulżyć sobie na podłogę, bo nie był w stanie się podnieść. Nie pierwszy raz znajduję go w takim stanie. I nie pierwszy raz uznał, że jakimś cudem akurat dziś ma więcej krzepy niż wczoraj. Nie lubi sikać do butelki, która specjalnie po to stoi przy fotelu.

Ja też niczego się nie nauczyłam. Poprzednio próbowałam dźwignąć go z podłogi i nie dałam rady – a jednak znów usiłuję to zrobić. Tata ma chude ręce i nogi, ale za to duży brzuch i sporo waży. Nie potrafię nawet podnieść go do pozycji siedzącej. Wyobrażam sobie, jak długo musiało mu zająć wdrapanie się po schodach.

– Tom pomoże – mówi, zaciskając zęby z bólu. Ma dziwnie wykrzywioną stopę; pewnie złamał nogę w kostce.

– Tom jest daleko, tato. Nie może przyjechać. Wezwę karetkę.

Rzeczywiście, Tom wiele razy pomagał mi się podnieść po upadku, przebierał go w czyste ubranie, sadzał z powrotem w fotelu. Ale już nigdy więcej tego nie robi. Teraz to ja muszę siedzieć z tatą, wachać jego cuchnące siki i czekać, aż dotrze karetka. Kolejny powód, by jeszcze bardziej nienawidzić Lucy. Złość wypiera zmęczenie tym dniem.

Pozwalają mi się z nim zabrać. W drodze na pogotowie dzwonię do Reavleya, ale nie odbiera. Sadzają tatę na wózku i wiozą go na oddział ratunkowy. Pomimo późnej pory jest tu cała masa ludzi, ale na szczęście udaje się znaleźć wolne miejsce, a nawet dwa obok siebie. Mam ze sobą torebkę i skserowane kartki. Wyjmuję jedną z nich i kładę ją na niezajętym krześle. Jakiś młody byczek z pięścią owiniętą zakrwawionym krawatem długo przygląda się kartce, ale nic nie mówi. Może nie umie czytać?

Komisarz przysłała mi wiadomość, tyle że niewiele z niej wynika. Przeprasza, że nie odbiera, ale nie może teraz rozmawiać. Jeśli dzwoniłam zapytać, czy wiadomo coś nowego, to niestety nie. Postępowanie jest

w toku. Odezwie się. Innymi słowy: nie przymierza się do aresztowania Lucy.

– Tato, muszę na chwilę wyskoczyć. A ty siedź tu i czekaj.

– Mary, nie zostawiaj mnie samego. Dokąd idziesz?

– Mam ważną sprawę. Przyjmą cię najwcześniej za dwie, dwie i pół godziny. Do tego czasu zdążę wrócić. Mogę iść? – dodaje, wstając.

Tata mówi, że tak, w porządku. Całuję go w policzek i wychodzę. Parę osób, które pewnie słyszało naszą rozmowę, posyła mi gromiące spojrzenia; odwzajemniam je z nawiązką. Nie wiedzą, jakie mamy problemy, i nie powinni się wtrącać.

Przebiegam na drugą stronę ulicy, kierując się w stronę ciemnego parkingu, i jestem już za szlabanem, kiedy uprzytamniam sobie, że nie przyjechałam tu swoim samochodem. Wina Lucy, wszystko mi się miesza od tego stresu. Wsiadam do pierwszej z brzegu taksówki na postoju.

– Dokąd? – pyta kierowca.

– Do domu Toma – rzucam odruchowo. Co za idiotyczny błąd. Lucy naprawdę namąciła mi w głowie.

LUCY

Spędziłam z Leoną godzinę na telefonie. Opowiedziałam jej o swoim życiu od powrotu do Anglii. Jako jedyna wiedziała wszystko na temat mojego pobytu w Niemczech i zawsze podnosiła mnie na duchu myśl, że mogę się jej wyzalić.

Chyba wyczuła, że tym razem też tego potrzebuję, bo nie pozwoliła mi mówić o najprzyjemniejszych chwilach z Tomem, tylko uparła się, że chce wysłuchać o tym, co najgorsze. Chętnie spełniłam tę prośbę. Być może nieco wyolbrzymiłam niektóre aspekty, zwłaszcza niemal nieistniejącą więź z rodzicami, ale wyłącznie dlatego, że bardzo mi zależało na jej współczuciu. Potem przyszła kolej na nią.

Po wyjeździe ze Stuttgartu Leona razem z matką zajęła się wyrobem ceramiki i odniosła całkiem spory sukces w tej branży. Jej dawny chłopak próbował się z nią kontaktować, ale Leona go unikała. Zresztą w ogóle zrezygnowała z mężczyzn. Podczas urlopu na Hawajach poznała bogatą dziewczynę, która później została jej narzeczoną, a w zeszłą niedzielę – żoną. Leona już od sześciu lat mieszkała w Honolulu.

Cieszyłam się z jej szczęścia, ale moja radość była podszyta smutkiem: podczas gdy jedno małżeństwo kwitło, drugie więdło.

Ciekawiło mnie, w jaki sposób dowiedziała się, że Tom mnie zostawił. Program nadawany w środkowej Anglii z pewnością nie docierał aż na Hawaje. Leona powiedziała, że ma wielu przyjaciół wśród osób uprawiających surfing na Hawajach, między innymi kogoś, kto mieszka w Norfolk, a tam już można obejrzyć Calendar. No dobrze, ale skąd...

– Ta osoba skojarzyła cię ze zdjęcia, bo kiedyś pokazywałam jej twojego Facebooka.

– Mojego Facebooka?

– Od czasu do czasu sprawdzałam, co u ciebie słychać.

Oczy mi się zaszklily. Sama nigdy jej nie szukałam w mediach społecznościowych. Nagle poczułam się, jakbym była zupełnie bez serca.

– Dlaczego się ze mną nie skontaktowałaś?

– Wydawałaś się szczęśliwa, Luce. A ja byłam częścią tamtych najgorszych lat.

Rozpłakałam się, bo rozumiałam, co miała na myśli. Wyjechałam z Niemiec, żeby uciec od wszystkiego. Leona myślała, że odzywając się do mnie po latach, obudzi nieprzyjemne wspomnienia, dawne lęki i ponury nastrój, który nie opuszczał mnie w ostatnich miesiącach za granicą. A jednak tkwiła w tym wszystkim bolesna ironia.

Wyjazd i pobyt za granicą, który trwał ponad połowę mojego ówczesnego życia, pozbawił mnie wszystkich dawnych przyjaźni. Po powrocie byłam zupełnie sama, nikogo nie znałam. Wiele razy pragnęłam utrzymać kontakt z Leoną, ale ostatecznie nigdy do niej nie zadzwoniłam ani nie napisałam, ponieważ Leona tak jak ja rozpoczęła nowe życie i sądziłam, że nie będzie chciała się obarczać przygnębieniem i rozgoryczeniem dziewczyny, do której zbliżyła się w zupełnie innych okolicznościach. Jakże się myliłam.

Powinnam była wiedzieć, że siostrzane dusze, nawet gdy się rozstają, nadal nimi pozostają. Żałuję, że nie dzwoniłam. Żałuję, że nie zamieszkałyśmy obok siebie. Powiedziałam jej to.

– Mi też jest głupio, że dopiero teraz się z tobą kontaktuję, Luce. Ale nadrobimy stracony czas, kiedy się spotkamy. Myślę, że wkrótce.

– Bardzo bym chciała.

Chcąc, żebym się odprężyła, Leona zmieniła temat na plotki ze świata gwiazd. Podziałało. Mimo że była już prawie północ, poczułam, jak wstępuje we mnie nowa energia. Przełączyłam telefon na głośnik i nie przerywając rozmowy, zabrałam się do sprzątania kuchni. Wykonywałam płynne, niemal taneczne ruchy i nie pamiętałam, kiedy ostatnio było mi tak dobrze. Dotarło do mnie, że od dawna – o wiele za długo – nie rozmawiałam z przyjaciółką, tak zwyczajnie, o wszystkim i o niczym.

– Mam pieniądze, Luce – powiedziała Leona, kiedy na chwilę przestałyśmy się śmiać. Tylko ona mnie tak nazywała. – Dlatego zapraszam cię do siebie, na Hawaje. Ja stawiam. Oczywiście kiedy już uporasz się z problemami.

– Sama nie wiem. To daleko i...

– Przestań chrzanić. Zapomniałaś, z kim rozmawiasz?

Zaczęłam płakać, bo nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo nie doceniłam przyjaźni na całe życie. W głębi duszy zdawałam sobie sprawę, dlaczego po powrocie do Anglii z nikim nie udało mi się stworzyć tak silnej

więzi. Bałam się rozmawiać o przeszłości, bałam się być oceniana przez jej pryzmat, bałam się, że nie zasługuję na miłość – wszystko to świadczyło o poczuciu własnej wartości zniszczonym przez przemoc psychiczną. Leona wiedziała o mojej obawie, że coś mogło się zmienić między nami i że odwiedziny u niej w obcym kraju mogą się okazać złym pomysłem.

– Dobrze. Kiedyś cię odwiedzę.

– Nie wykręcaj się. Bądź konkretna. Bądź pewna siebie. Chcę cię tu widzieć za tydzień, względnie za tydzień z hakiem.

– W porządku. Na pewno. – Zamilkłam na chwilę. – Przepraszam cię za to, Leono. Przepraszam, że nie okazałam się tak szczęśliwa, jak obiecywałam.

Leona stwierdziła przytomnie, że gdyby nie ta tragedia, być może nigdy byśmy się do siebie nie odezwały.

– Poza tym szczęście nie jest niczym stałym. Założę się, że gdybym cię o to zapytała dowolnego innego dnia z tych wszystkich, które minęły od tamtej pory, powiedziałaabyś, że spełniłaś obietnicę. Obiecuj to jeszcze raz. Śmiało.

Gdy się rozstawałyśmy, powiedziałam Leonie, że kiedy następny raz będziemy miały okazję porozmawiać, będę szczęśliwą osobą. Złożyłam obietnicę. Teraz chciała, żebym to powtórzyła.

– Nie mogę. Ponieważ chciałabym móc rozmawiać z tobą codziennie, a moje problemy z pewnością nie rozwiążą się zbyt szybko. Więc może tak: obiecuję ci, że kiedy znów się zobaczymy, będę inną kobietą. Silną i szczęśliwą. A nie tamtą przygnębianą oferumą, którą znałaś.

– Oto transmutacja, którą chciałabym zobaczyć. Umowa stoi. Zakładamy się o paczkę żelków.

Roześmiałam się, bo przypomniały mi się nasze rozmowy w pokoju Leony. Leżałyśmy na jej łóżku i wrzucałyśmy sobie nawzajem żelki do ust. Moja najlepsza przyjaciółka, o której opowiedziałam Tomowi tyle co nic. Wydumany rzeczownik na „t”, którego użyła zamiast zwykłej „przemiany”, skierował moje myśli ku Tomowi. Tom uwielbiał popisywać się słownictwem. Zupełnie bez sensu zaczęłam się zastanawiać, jak by się dogadali.

Leona uznała, że biorąc pod uwagę późną godzinę, chyba powinnyśmy już zakończyć tę pierwszą rozmowę po latach. Wiedziałam, że wybrała ten pełen radosnego upojenia moment celowo – i poczułam, że kocham ją za to

jeszcze bardziej. Nagle spodobał mi się pomysł oderwania się od wszystkiego i spędzenia miłego tygodnia albo dwóch na Hawajach.

Ale wkrótce po tym, jak się rozłączyła, znowu spochmurniałam i posmutniałam, jakbym dopasowywała się do nastroju panującego w domu. Ani wspomnienia, ani wybieganie myślami w przyszłość do urlopu na Hawajach nie spowodowały, że moje problemy przestały istnieć. Wróciły, i to z pełną mocą. Rozmawiając z Leoną, zignorowałam cztery inne połączenia na komórkę plus dwa na numer stacjonarny, a także pukanie do drzwi. Wiedziałam, że to nie koniec. Nadal byłam nakręcona i doszłam do wniosku, że nie mam co liczyć na sen.

Próbowałam czytać książkę na telefonie, ale coś nie dawało mi spokoju, uniemożliwiając skupienie się na treści.

Leona zaproponowała, żebyśmy zaczęły od tego, co „najbardziej krępujące”, ale tak naprawdę wcale nie rozmawiałyśmy o wydarzeniach, które miały miejsce od niedzieli. Leona wiedziała o Tomie i naszym wspólnym życiu, o jasnych i ciemnych stronach małżeństwa, ale w kwestii zniknięcia mojego męża i roli, jaką według policji odegrałam w jego zaginięciu, polegała na krążących w mediach społecznościowych plotkach. Uznałam, że obraz sytuacji będzie niepełny bez mojego punktu widzenia. Wpisałam numer Leony. Odebrała przed drugim dzwonkiem, jakby spodziewała się, że oddzwonię.

Zanim zaczęłam opowiadać, rozległo się pukanie do drzwi. Tym razem ktoś nie czekał, aż otworzę, tylko nachylił się do szczeliny na listy i odezwał się donośnym męskim głosem, że jest dziennikarzem miejscowej gazety. Chciał ze mną porozmawiać. Powinnam się zgodzić, ponieważ opinia publiczna ma prawo wiedzieć.

Jego słowa, a zwłaszcza ten ostatni argument, tak mnie rozsierdziły, że podbiegłam do drzwi i otworzyłam je szarpnięciem. Miałam gdzieś, czy sąsiedzi z naprzeciwka obserwują mnie zza zaciągniętych zasłon.

Zobaczyłam przystojnego młodego mężczyznę pod krawatem. Czyżby przysłano go tu w nadziei, że widok ślicznej buźki skłoni mnie do zwierzeń?

– Ludzie nie mają prawa wtrącać się w moje prywatne sprawy, a pan nie ma prawa nachodzić mnie w domu. Wynocha.

Zrobił minę, jakby spodobał mu się mój wybuch złości. Byłam pewna, że zacytują moje „wynocha” na pierwszej stronie, i to wielkimi literami.

– Porozmawiałaby pani ze mną, gdyby nie była pani winna śmierci męża.

– Właśnie rozmawiam. Mówię panu, żeby pan zjeżdżał.

Pokazał ulotkę, którą trzymał w ręku. Opadła mi szczęka. Zdumiona wyrwałam mu kartkę.

– To pańska sprawka?

– Nie, nie moja. Te ulotki są wszędzie.

Zerknęłam za niego, na oświetloną blaskiem latarni ulicę, i zobaczyłam kobietę z naprzeciwka. Stała na ganku i przyglądała mi się, trzymając w ręku kartkę. Nieco dalej ktoś okleił ulotkami słup. Dobry Boże.

Przeniosłam spojrzenie na tę, którą miałam przed sobą. Widniało na niej moje zdjęcie podpisane: „MORDERCZYNI”. A niżej moje nazwisko i tekst: „JEŻELI SŁYSZAŁAŚ/EŚ O ZAGINIĘCIU TOMA PACKHAMA Z SHEFFIELD, TO WIEDZ, ŻE NIE WYJECHAŁ ANI NIE UCIEKŁ, TYLKO ZABIŁA GO TA KOBIETA. JEGO ŻONA”.

Gdybym nie widziała tego na własne oczy, w życiu bym nie uwierzyła. Ale to była prawda. Nawet przez chwilę nie miałam wątpliwości, że pomysł ulotki zrodził się w głowie Mary. Jej wojna ze mną właśnie wkroczyła w kolejną fazę.

– Co pani na to powie? Jak pani to skomentuje dla naszych czytelników?

– Niech się pan odwali. Proszę porozmawiać z siostrą mojego męża. Ma romans ze skazań...

Urwałam, bo nagle uświadomiłam sobie, że o mały włos popełniłabym duży błąd. Mary bez wahania skorzystałaby z okazji, żeby zmasakrować mnie w prasie.

– Ze skazańcem? Ma pani jej adres?

– Niech pan już sobie idzie.

Usłyszałam trzaski w telefonie, który nadal trzymałam w dłoni. Leona coś mówiła. Zupełnie o niej zapomniałam. Przyłożyłam aparat do ucha.

– Daj mi go, Luce. Daj mi pogadać z tym sukinsynem.

Przekazałam telefon dziennikarzowi. Słuchał bez słowa. Potem oddał mi go z zakłopotaniem, w milczeniu odwrócił się na pięcie i odszedł. Jeszcze raz rozejrzałam się po ulicy. Wielu osobom późna godzina nie przeszkodziła w wyjściu przed drzwi albo przyklejeniu nosów do szyb. Ku uciesze sąsiadów podarłam ulotkę na kawałki i rzuciłam je w powietrze; niestety wiatr zniweczył mój gest – porwał je i cisnął mi nimi w twarz.

Zamknęłam drzwi z trzaskiem i szybkim krokiem wróciłam do salonu. W ciszy domu usłyszałam dolatujący z głośniczka telefonu cienki głos Leony.

– Przepraszam cię, Leono. Wybacz, zadzwonię później. Daj mi trochę czasu, a powiem ci całą prawdę. – Rozłączyłam się, zanim zdążyła odpowiedzieć. Wiedziałam, że zaczeka na mnie.

Mary. Na pewno była bardzo dumna ze swojej kampanii oszczerstw. Byłam gotowa się założyć, że smacznie spała z uśmiechem na ustach, wymyślając przez sen, w jaki sposób jeszcze bardziej mnie pogiębić. Zdawałam sobie sprawę, że w takim stanie nie zasnę. Poszłam założyć buty. Zamierzałam rozładować nieco napięcia przejażdżką bez celu po okolicy.

Po powrocie nadal nie mogłam zmrużyć oka. Usiadłam przed telewizorem i spróbowałam skupić się na programie. Nagle zabrzączał telefon. Powiadomienie o nowej wiadomości. Znowu nieznaną numer. Ale tym razem nadawcą nie był żaden troll ani życzliwa osoba...

...tylko Tom.

MARY

Kiedy wracam do szpitala krótko przed północą, nie zastaję taty w poczekalni. Sądziłam, że o tej porze nadal tu będzie. Kobieta w okienku informuje mnie, że lekarz go obejrzał i odesłał do domu, ponieważ kostka okazała się jedynie skręcona. Podobno odwieźli go karetką. Kobieta pyta, dlaczego z nim nie czekałam. „Nie twój cholerny interes”, mam ochotę odpowiedzieć.

Tata siedzi w swoim fotelu i – jak rzadko kiedy – jest w paskudnym nastroju. Na dzień dobry oznajmia, że taksówka kosztowała go trzy razy więcej niż normalnie, bo kierowca musiał mu pomóc doczłapać się do drzwi, a na dodatek gnojek ukradł mu zegarek.

– Tato, wróciłeś karetką. Powiedzieli mi.

– To gdzie mój zegarek?

– Już go nie masz. – Historię o taksówce słyszałam wiele razy. Wydarzyła się w pewny pijacki halloweenowy wieczór w Fife. W latach sześćdziesiątych, na długo zanim poznał moją matkę.

– Tom ci powie. Gdzie on jest? W Norze?

Chodzi mu o domek na drzewie na skraju dawnej działki rodziców. Jako dziecko Tom ukrywał się w nim przede mną, kiedy zepsuł coś mojego, gdy byłam w pracy. Zdarzało się to dosyć często, bo lubił myszkować w moim pokoju. Zawsze zaczynałam poszukiwania od domku na drzewie, a mimo to Tom zawsze się w nim chował. Te czasy już dawno minęły. Tacie wszystko się miesza, pewnie dlatego, że długo nie spał.

– Nie, sprawdziłam, nie ma go w Norze.

– To gdzie jest? A ty dokąd poszłaś?

Gdyby zaczęła naciskać, powiedziałabym mu tu i teraz, że Tom nie żyje i że poszłam pod dom jego morderczyni, żeby wszyscy sąsiedzi dowiedzieli się, kto tam mieszka. Ale tata włącza telewizor i zapomina o mnie.

Na szczęście szybko zasypia. Też chciałabym pójść spać, ale wciąż mnie nosi. Nakrywam ojca kocem i znów wychodzę z domu. Korci mnie, żeby zobaczyć skutki moich poczynań.

Pomimo późnej pory przed domem Lucy zebrał się spory tłumek. Zostawiam samochód przy ulicy i przeciskam się do przodu, uważając, żeby nie dostać widłami, szpadlami, kijami baseballowymi i nożami, którymi niektórzy wymachują. Z tyłu panuje względny spokój, większość to zwykli gapie, ale im bliżej domu, tym ludzie stają się coraz bardziej wzburzeni i głośno wykrzykują swoją nienawiść do Lucy. Lecą kamienie, pękają szyby w oknach. Ktoś wrzeszczy: „Do ataku!” i masa ciał naciera na budynek, wlewa się do środka jak woda, która pokonała tamę. Coś pięknego.

Motłoch wyciąga Lucy za nogi. Odbieram stojącej obok mnie kobiecie butelkę z benzyną, podpalam ją i wrzucam przez okno w sypialni. Po chwili bucha ogień i płomienie zaczynają strzelać ku nocnemu niebu, a tłum wyje z radości.

Lucy drze się jak opętana – miód na moje uszy. Ludzka fala płynie w stronę najbliższej latarni. Ściskając w dłoni linę, docieram do Lucy i zawiązuję pętlę na jej delikatnej szyi. Drugi koniec przerzucam przez wygiętą rurę na końcu słupa, zachęcana powszechnym aplauzem zaczynam podciągać tę zwyrodniałą sukę i...

Kogo próbuję oszukać? Skręcam w ulicę, przy której mieszka Lucy, i widzę dokładnie to, czego się obawiałam: pusto. Żadnych wideł, żadnych koktajli Mołotowa. Nocna cisza i spokój. Typowa przedmiejska uliczka późną porą. Moja akcja z ulotkami trafiła w próżnię, wywołała co najwyżej parę złośliwych komentarzy za zamkniętymi drzwiami.

Przejeżdżam obok domu Toma. Wszystkie zasłony są zaciągnięte. Ulotka, którą przyczepiłam do bramy Lucy, nadal tam wisi, podobnie jak te, którymi okleiłam latarnię. Kilka kolejnych wala się po ulicy. Trochę dziwne, bo przecież żadnych nie rozrzucałam; pozostałe po prostu wsunęłam przez szczeliny na listy. Może niektórzy poczuli potrzebę dołączenia do mojej kampanii, ale zbyt niechlujnie przymocowali kartki do

bram i furtek? Nie, tylko sobie wmawiam. Próbowałam otworzyć tym ludziom oczy, a oni w odpowiedzi wyrzucili ulotki na ulicę. Widziałam kiedyś, jak samolot ciągnął za sobą wielki transparent z życzeniami urodzinowymi; gdyby wcześniej przyszło mi to do głowy...

Kawałek dalej mężczyzna w średnim wieku, z zaczeską i szarpiącym za smycz psem, stoi przed latarnią i patrzy na ulotkę. Podjeżdżam do niego i opuszczam szybę.

– Czytał pan?

Mężczyzna mruży oczy w słabym świetle i przygląda mi się przez dłuższą chwilę; w tym czasie jego pies usiłuje władować mi się do samochodu.

– Znam panią. Pani jest jego siostrą, nie? Pani to rozkleiła? W wiadomościach mówili, że zaginał.

– Mylili się. Nie powiedzieli całej prawdy. Mój brat nie żyje.

Zerwał ulotkę ze słupa.

– Kto twierdzi, że ona go zabiła? Przecież nawet jej nie aresztowali.

– Wiem, że to zrobiła. Policja zbiera dowody.

– Bzdury pani opowiada. Gdyby była winna, już by siedziała w areszcie.

Przedziera ulotkę na pół, mnie ją w dłoni i wkłada do kieszeni. Opuszcza krąg światła rzucanego przez latarnię. Nie komentuję tego; zdaję sobie sprawę, że niektórzy będą dopingowali Lucy. Odprowadzam mężczyznę wzrokiem, a potem przyklejam na słupie kolejną ulotkę.

Zawracam. Przejeżdżając obok domu Toma, z całej siły naciskam klakson – żeby Lucy musiała wstać i zobaczyć, co się dzieje.

Po powrocie idę od razu do swojego pokoju. Ten dzień był tak intensywny, że o tej porze powinnam wyglądać jak zombie. Jeszcze parę godzin temu mogłam zasnąć na stojąco, ale teraz mój umysł kolejny raz przerabia wszystko, co się wydarzyło. Założę się, że ta jędza śpi jak suseł. Ja nie jestem w stanie. Dochodzę do wniosku, że może trochę się rozładuję, jeśli napiszę kolejny list do Richarda.

Kiedy zaczynaliśmy ze sobą korespondować, unikałam narzekania na drobne, mało znaczące uciążliwości, ponieważ uznałam, że moje problemy bledną w porównaniu z jego sytuacją. Wybierałam miłe, pogodne tematy, bo przecież faceci w obskurnych celach potrzebują historii podnoszących na duchu, prawda? Być może, ale nie Richard. Uwielbia czytać o ciekącym soku jabłkowym w lodówce albo zgubionym w aucie kolczyku, ponieważ dla niego takie rzeczy, okruchy zwykłego, normalnego życia, są jak opowieści z obcej planety.

Lubi, kiedy jestem wnerwiona, ale nie nieszczęśliwa. Dlatego dziś postanawiam wspomnieć na przykład o talerzu, który wypadł z koszyka i prawie uniemożliwił mi otwarcie zmywarki. Unikam wszystkiego, co związane z Lucy i Tomem, a nie jest to łatwe.

Już po drugiej. Kiedy tak siedzę i piszę, nagle dzwoni telefon.

Lucy.

Odbieram jak zwykle: naciskam zieloną słuchawkę, ale nie odzywam się.

– Tom przysłał mi kolejnego esemesa. – Jest wyraźnie przejęta. Niezła z niej aktorka. – On żyje, tak jak wam wszystkim mówiłam. Mary, słyszysz mnie? Prześlę ci tę wiadomość.

Otwieram usta, żeby ją objechać, ale rozłącza się. Wpatruję się w ekran telefonu. Czekam. Po kilku sekundach przychodzi esemes.

Widziałem cię w tv przestań mnie szukać bo nie wracam ale to w sumie zabawne że wszyscy myślą że mnie zabiłaś piszę z nowego numeru żeby nie można było mnie znaleźć przemieszczam się więc możesz powiedzieć glinom żeby mnie nie szukały tam gdzie namierzą bo to i tak nic nie da.

Brak błędów ortograficznych, ale też brak interpunkcji. Tak jak ja Tom lubi mówić o policji „gliny”. Cholera, rzeczywiście wygląda jak wiadomość od niego. Ale skoro ja o tym wiem, to Lucy też. Kolejna ściema. Muszę być naprawdę wykończona, bo nawet się nie wściekam. Nie mam chęci do walki. Kiedy kilka sekund później Lucy znowu dzwoni, moja reakcja zaskakuje nawet mnie samą.

Zrywam z tradycją i odzywam się jako pierwsza.

– Potrzebuję go, Lucy. Chcę go pochować. Gdzie on jest?

Z początku wydaje się zdezorientowana, bo odpowiada:

– Nie wiem. Nie przeczytałaś esemesa? – Potem orientuje się, co powiedziałam. – Nie wierzysz, że to on, prawda? Mary, to był Tom! Już powiedziałam policji, niedługo tu będą. Tom żyje, Mary.

Telefon ciąży mi w dłoni. Głowa ciąży mi na karku. Z trudem układam słowa w zdania. Mam wrażenie, jakby dopiero teraz wszystko do mnie docierało. Czuję się całkowicie wyzuta z energii.

– Nie, Lucy, on nie żyje – mówię beznamiętnie, mechanicznie, bez śladu złości. – Przecież wiesz. Policja szuka jego samochodu. Nie uchwyciły go żadne kamery poza Cullerton. Po prostu przyznaj to.

Milczy. Zapewne skonsternowana tym, że wymyśliła taką misterną intrygę i wszystko na nic.

– Lucy, proszę cię. Chcę ruszyć z miejsca. Mogę się pogodzić z tym, że Tom nie żyje, ale jego ciało musi się odnaleźć. Żeby mógł zostać pochowany. Gdzie je ukryłaś? Ojciec za nim tęskni...

Odzywa się, ale lepiej, żeby dalej milczała, skoro z jej ust znów wylewają się kłamstwa.

– Nie, on żyje. Nie wiem, jak mam was przekonać. Przysłał mi esemesa. Mogą go namierzyć. Nic mu nie zrobiłam. Uciekł ode mnie. Od nas wszystkich.

Tyle gróźb, tyle oczywistych dowodów – wszystko na nic. Lucy wypaliła mnie do szczętu, czuję się słaba i wiem, że została mi już tylko jedna broń w arsenale. Obrzydliwa i okrutna ostatnia deska ratunku. Ale nie mam wyboru.

Zsuwam się z fotela i padam na kolana. Jednym trafiam w długopis, który spadł na podłogę, ale nawet nie zauważam bólu – jest jak kropla w morzu mojego cierpienia. Ściskam telefon obiema dłońmi. Płaczę. I błagam. Wzywam ją, by okazała choć trochę serca, zakończyła tę mękę i zwróciła mi ciało brata.

Niestety, moje łzy, podobnie jak jej kłamstwa, są niczym więcej jak stratą czasu.

– On żyje, Mary – krzyczy do słuchawki. W przypiływie złości rzucam aparatem o ścianę. Rozlega się trzask i odpada kawałek obudowy. Telefon ląduje na wykładzinie. Nie spotkał go jednak tak marny koniec jak Toma. Z kąta dolatuje metaliczny głos Lucy, która wydziera się, powtarzając jak zdarta płyta: – Nie zabiłam go, on żyje. Nie zabiłam go, on żyje. Nie...

20

LUCY

Zanim zadzwoniłam do Mary, wysłałam esemesa do komisarza. Nie odpisał ani nie oddzwonił – założyłam, że z powodu późnej godziny – ale dosłownie dziewięć minut później, z zegarkiem w ręku, usłyszałam, jak przed moim domem zatrzymuje się samochód. Podeszłam do okna w sypialni i zobaczyłam dwa auta: radiowóz i drugie, nieoznakowane. Reavley.

Rozłączyłam się po nieudanej rozmowie z Mary. Byłam zapłakana. Prędko wytarłam łzy, podbiegłam do drzwi i otworzyłam je, trzymając w dłoni telefon, żeby pokazać Reavleyowi wiadomość od Toma. Nieważne, że byłam boso i w piżamie.

Tyle że to nie był Reavley. Zaaferowana nie zorientowałam się, że samochód należy do kogoś innego – i nie od razu dotarło do mnie, że wizyta policji w środku nocy nie wróży niczego dobrego. Nie znałam ani umundurowanych funkcjonariuszy, ani czarnoskórej policjantki ubranej po cywilnemu, która wysiadła z samochodu. Zamarłam w progu. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Dziewięć minut – za krótko, żeby Reavley odebrał wiadomość, wyznaczył kogoś do sprawdzenia moich rewelacji i żeby ta osoba dotarła tutaj. Do czego byli jej potrzebni mundurowi?

Uświadomiłam sobie, że nie zjawili się u mnie na rozkaz Reavleya. Byli już w drodze, kiedy do niego pisałam.

– Gdzie Aaron? – spytałam. Użyłam imienia komisarza, żeby zasugerować poufałość.

Otworzyli furtkę i weszli. Kobieta prowadziła. Była młodsza ode mnie, zastanawiałam się, jaki ma stopień; rozwiała moje wątpliwości, kiedy sięgnęła do kieszeni, wyjęła legitymację i przedstawiła się. Sierżant policji. Czyżby Reavley był zajęty, a ta kobieta po prostu miała nocną służbę?

– Lucy Packham?

– Tak. Gdzie Aaron? Dostał mojego esemesa?

– Czy możemy wejść do środka?

Nawet się nie odwróciłam, po prostu wycofałam się tyłem do salonu. Troje policjantów poszło za mną. Milczałam. Miałam okropne przeczucie.

– Lucy Packham – zaczęła sierżant. – Aresztuję panią pod zarzutem morderstwa Thomasa Packhama dokonanego prawdopodobnie w niedzielę szesnastego czerwca...

Oniemiała opadłam na fotel. Ledwo docierało do mnie pouczenie. Niemal niezauważalnie pokiwałam głową w odpowiedzi na pytanie o to, czy rozumiem, dlaczego zostaję aresztowana, i pokręciłam nią, kiedy sierżant pokazała kajdanki i zapytała, czy będą konieczne.

Sięgnęłam po telefon, żeby zadzwonić do Leony, chociaż nie za bardzo wiedziałam, w jakim celu. Czego od niej oczekiwałam? Że zrobi to samo co z dziennikarzem i zrugą policjantów, aż sobie pójdą? Sierżant poprosiła, żebym oddała jej komórkę. Posłuchałam.

Potem kazała mi się ubrać. Poszła ze mną na górę i zaczekała, aż znajdę odpowiednie ciuchy. Wydawała się tak chłodna i wręcz mechaniczna w swoim zachowaniu, że nie śmiałam się odezwać, nie mówiąc już o dopytywaniu o komisarza. Włożyłam płócienne spodnie, sweter i buty do biegania – rzeczy, w których miało być mi ciepło i wygodnie; w których mogłam spać na twardym łóżku w celi. Czy to się działo naprawdę?

Po wyjściu zamknęłam drzwi na klucz. Sierżant mi go odebrała. Szłam do auta z pochyloną głową. Posadzili mnie z tyłu. Dopiero tam, w tej ochronnej bańce, odważyłam się rozejrzeć. Twarze w oknach. Od kilku dni dawałam sąsiadom mnóstwo okazji i tematów do plotek. Pomyślałam wtedy, że już nigdy więcej nie pokażę się na tej ulicy.

Usłyszałam, że zbliża się kolejny pojazd, i na chwilę odżyła we mnie nadzieja. Ale kiedy zatrzymał się kilkanaście metrów dalej, znów uszło ze mnie powietrze. To nie Reavley. Nie przyjechał powiedzieć swoim kolegom, że popełniają poważny błąd.

Nie. To Mary.

Odwróciłam oczy, ale nie zamknęłam uszu.

– Zasłużyłaś sobie, ty suko!

Zachowywałam się tak, jakby nie istniała, nawet kiedy rozległ się głuchy odgłos, jakby natarła na auto niczym rozjeżdżony byk.

– Obyś zgniła w więzieniu za zamordowanie mojego brata. Twoje życie się skończyło.

Dobrze, że mnie aresztowano. Telefon do Mary sprawił, że do końca postradała zmysły, chociaż kiedy błagała przez słuchawkę, brzmiała tak

żałośnie... Różne rzeczy mogły się wydarzyć, gdyby zdążyła dotrzeć do mnie przed policją. Wyważyłaby drzwi i spróbowała całkiem dosłownie wydusić ze mnie odpowiedzi, których się domagała?

Siedziałam ze zwieszoną głową i zaciskałam powieki. Usłyszałam szamotaninę. Mary wrzasnęła, żeby ją puścić. Policja usiłowała ją uspokoić i w końcu chyba się udało. W każdym razie kiedy otworzyłam oczy, radiowóz toczył się ulicą za autem sierżant. Obejrzałam się i zobaczyłam światła samochodu. Mary jechała za nami.

W myślach powtarzałam jej ostatnie słowa. Miała rację, całkowitą rację. Moje życie się skończyło.

MARY

Przez chwilę jadę za glinami, ale w pewnym momencie staję na poboczu. Ten idiotyczny pościg nie ma sensu. Po co to robię, w dodatku o takiej porze? Lucy została aresztowana – przecież o to mi chodziło. Nie ma potrzeby dodatkowo nękać jej na komendzie, zresztą pewnie i tak nie zostałabym wpuszczona. Lucy wpadła w tryby maszyny sprawiedliwości, co oznacza, że mogę już odpuścić.

Ta myśl rodzi kolejną: przyszłość. Co dalej? Nie zastanawiałam się nad tym, ale teraz mój umysł uparcie domaga się odpowiedzi. Muszę naprawić swoje życie, zrobić w nim generalny remont.

Wolałabym nie oddawać taty do domu opieki, ale obawiam się, że najwyższa pora to zrobić. Od dawna marzyłam o przeprowadzce do Ameryki, tylko dotąd uniemożliwiała mi to konieczność zajmowania się tatą i pilnowania Toma. Teraz obie przeszkody znikną. Nic mnie tu nie trzyma, poza tatą, ale myślę, że nie pozostało mu już wiele czasu, zresztą nawet jeśli będzie żył długo, to i tak nie będę w stanie sama go doglądać.

Po powrocie do domu znajduję kolejny dowód na to, że tata traci kontakt z rzeczywistością. Jakimś cudem, w jednym z zagadkowych przebłysków uporczywości i wytrzymałości, udało mu się pod moją nieobecność wydostać na zewnątrz. Najpierw biegnę na górę zajrzeć do łazienki, potem sprawdzam w jego pokoju – mój jest zawsze zamknięty na klucz – i stamtąd dostrzegam przez okno, że nad wejściem do szopy świeci się lampa uruchamiana przez czujnik ruchu.

I rzeczywiście znajduję go tam, skąpany w blasku ogrodowego reflektora stoi pośród chwastów przerastających kamienie ułożone w ozdobne kompozycje. Tom miał się nimi zająć, miał oczyścić tę część podwórza, ale już nigdy tego nie robi – z powodu swojej cholernej żony.

Idę do taty. Siada na kuchennym krześle, którego musiał używać jak balkonika, żeby dostać się aż tak daleko. Jak mu się to udało ze skreconą kostką? Zauważa mnie.

– Gdzie drzewa? – woła. – Kto je ściął?

Czuję ukłucie w sercu. Wiem, co ma na myśli. Wszystko musiało mu się pomieszać. Uznał, że jest w starym miejscu, i poszedł szukać Toma w domku na drzewie. Kiedy do niego docieram, kłębi się we mnie tyle różnych emocji, przede wszystkim złość i rozpacz, że mówię to, co jeszcze przez jakiś czas zamierzałam przed nim zataić.

Lampa gaśnie, na sekundę pogrążając świat w ciemności, i znów się zapala, gdy wchodzę w pole czujnika.

– Tom nie żyje, tato. Zabiła go jego żona. Pamiętasz Lucy, prawda? Hotel Zacisze? Pójdzie do więzienia. Już nigdy więcej nie zobaczysz jego ani jej. Przykro mi.

– Tom? Co ty mówisz? Kiedy? Jak?

Siedzi tyłem do światła, ale i tak widzę, jak jego oczy zachodzą mgłą. Nie myślę o tacie jak o kimś, kto popadł w obłąd i ma przebłyski trzeźwości umysłu albo odwrotnie. Przypomina raczej wahadło, które wychyla się raz w jedną, raz w drugą stronę, żaden stan nie jest normą, żaden „okresem” ani „etapem”. Złe wiadomości nie sprawiają, że traci zmysły – ani nie rozpraszają ciemności w jego głowie; wszystko zależy od tego, w której jest fazie. Mój wybuch był niepotrzebny, głupi, podyktowany niecierpliwością, ale tata dryfuje dziś po nieprzeniknionych odmętach swojego umysłu.

– Przez pewien czas nie zobaczysz jego ani jej – powtarzam w nieco zmienionej formie. – Tom musiał wyjechać służbowo.

Robi minę pełną konsternacji. Usiłuje zrozumieć, co właśnie powiedziałam, ale wciąż pamięta moje poprzednie słowa. W końcu kiwa głową.

– Ciężka praca. Ja też na długo zostawiałem waszą matkę.

Nie jestem przekonana, czy rzeczywiście tak było, ale potwierdzam skinieniem głową. Źle się czuję z tym, że najpierw wyznałam mu prawdę, a potem wycofałam się z tego. Nie powinnam tak igrać z jego umysłem.

– Tato, późno już. Chodź, pomogę ci wrócić do domu. Muszę z tobą o czymś porozmawiać.

Jego stan od dawna jest kością niezgody pomiędzy mną a Tomem. Brat uważa, że tata cierpi na demencję i potrzebuje profesjonalnej opieki; ja zawsze byłam temu przeciwna. Według Lucy to dowodzi, że los ojca jest mi

obojętny. Myli się. Boję się diagnozy, bo wolę myśleć, że tata nie ma żadnej osłabiającej, wyniszczającej choroby, tylko... przejściowe fazy czegoś na kształt pomrocności. Po ślubie Toma zabrakło kogoś w moim życiu; gdybym się dowiedziała, że przypadłość ojca to otępienie, przestałabym czuć, że mam przy sobie osobę, której na mnie zależy i która jest moim prawdziwym przyjacielem.

Teraz muszę się z tym pogodzić. Nie mam wyjścia. Bo moje życie się zmieniło.

Biorę go pod rękę, pomagam wstać.

– A krzesło? – mówi. – Dobrze, że jesteś, Mary. Nie jestem już taki zwawny jak dawniej.

Chcę mu opowiedzieć o swoich planach umieszczenia go w domu opieki i wyjazdu za granicę, dlatego jego słowa tylko pogłębiają moje poczucie winy.

21

LUCY

– Gdzie komisarz Reavley?

– Zajęty – padła odpowiedź.

Reavley jeszcze się nie zjawił, ale złożyłam to na karb późnej godziny. „Obsłużono” mnie krótko przed trzecią w nocy. Zrobiono mi zdjęcia, zdjęto odciski palców i pobrano włos z głowy jako źródło DNA. Poproszono mnie również o próbkę moczu i zgodę na pobranie próbki krwi, ale akurat tego mogłam odmówić, więc to zrobiłam. Przeszukano mnie i odebrano mi telefon.

Zapytano mnie także, czy w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przyjmowałam narkotyki oraz czy mam skłonność do autoagresji.

Usłyszałam, że mogę wskazać osobę, która zostanie powiadomiona o moim aresztowaniu. Myślałam, że pozwolą mi zadzwonić, ale, jak się okazało, miała po prostu zostać wysłana automatyczna wiadomość. Jediną osobą, która przyszła mi do głowy, była Leona, ale nie zdołałaby mi pomóc i tylko by się denerwowała. Z rodzicami nie rozmawiałam od wielu lat i gdybym chciała przerwać milczenie, to na pewno nie w tak żenujących okolicznościach. Wiedziałam, że nikt inny nie przejmie się moim losem.

– Proszę powiadomić komisarza Reavleya – zdecydowałam. Prosiłam szczerze, ale sierżant spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby chciała powiedzieć: „Wydaje ci się, że jesteś taka cwana?”.

– Komisarz Reavley wie, że pani tu jest. To on upoważnił nas do dokonania aresztowania.

To był dla mnie szok.

Zamknęli mnie w celi o gładkich, białych ścianach, pustych, jeśli nie liczyć kilku napisów (w tym jednego na suficie), z których dowiedziałam się, że jeśli cokolwiek zniszczę, zostanę pociągnięta do odpowiedzialności, że w razie potrzeby mogę skorzystać z pomocy psychologa od uzależnień i że piątego lutego dwa tysiące dziewiętnastego „Baz tu był”.

Położyłam się na łóżku przymocowanym do ściany – wyglądało jak półka – i zamknęłam oczy, ale nawet nie próbowałam zasnąć. W głowie huczało

mi od myśli, poza tym w którejś z sąsiednich cel ktoś kopał w drzwi i rzucał mięsem pod adresem policjantów.

O dziwo, sen jednak przyszedł – zapewne spowodowany znużeniem wydarzeniami długiego dnia – i nie był o nieskończoności; w niedużej kamiennej celi trudno odlecieć w bezkresną przestrzeń. Przydałaby mi się taka sypialnia w domu.

Obudziłam się około siódmej pełna determinacji. Minął wstrząs wywołany niespodziewanym nocnym aresztowaniem. Zaczął się nowy dzień, czułam się stosunkowo wypoczęta pomimo tego, że przespałam niewiele godzin. Wiedziałam, że będę miała okazję przedstawić swoją historię i odeprzeć zarzuty.

Przestałam się bać pójścia do więzienia, ale byłam rozdrażniona, że policja przez pomyłkę aresztowała mnie, niewinną kobietę. Naskoczyłam na pierwszą osobę, która się u mnie zjawiała, i sama się zdziwiłam ferworem, z jakim to zrobiłam.

– Gdzie Reavley? Chcę się zobaczyć z tym kłamcą. – Koniec z „Aaronem”. Komisarz zwodził mnie od samego początku. Postawił sobie za cel udowodnienie, że jestem morderczynią.

– Zajęty.

– Pewnie wrabianiem kolejnej naiwnej. Kiedy mnie przesłuchacie?

– Cierpliwości.

– Dawno ją straciłam. Chcę dostać śniadanie, a potem domagam się przesłuchania.

Dostałam ohydne, podgrzane w mikrofalówce gotowe danie w białej miseczce oraz propozycję skorzystania z porady prawnej. Komenda zatrudniała obrońcę z urzędu, podobno bezstronnego, ale miałam co do tego wątpliwości.

– Skoro ten wasz obrońca tu pracuje, pewnie jesteście w dobrej komitywie. Kserujecie sobie tyłki na świątecznych imprezach i poklepujecie się po plecach. Nie, wolę kogoś innego.

– Będziemy musieli się skontaktować z centralną bazą adwokatów. To trochę potrwa i wydłuży oczekiwanie na przesłuchanie.

Oglądałam wystarczająco dużo paradokumentów o pracy policji, by wiedzieć, że nie mogą mnie przesłuchać bez prawnika, chyba że w grę wchodzi poważne przestępstwo, takie jak morderstwo, ale wtedy muszą mieć zgodę przełożonego. Której najwyraźniej nie mieli. Zapytali, czy życzę sobie obrońcę, co oznaczało, że mogę odmówić.

– Więc nie czekajmy. Zgadzam się na przesłuchanie bez obecności prawnika.

Policjant wyglądał na usatysfakcjonowanego moją odpowiedzią. Wiedziałam, że zazwyczaj detektywi nie lubią ingerencji adwokatów podczas rozmów z podejrzanymi i na pewno woleliby tego uniknąć. Nie miałam nic do ukrycia, obrońca nie był mi potrzebny. Policjant powiedział, że musi „zamienić słowo” z sierżant, która mnie aresztowała.

Kiedy wyszedł, położyłam się na łóżku, wsunęłam dłonie pod głowę i wbiłam spojrzenie w napis na suficie: „MYŚL POZYTYWNE”. Przypomniało mi się, że Tom lubił umieszczać takie motywacyjne hasła nad naszym łóżkiem – żebyśmy zawsze zaczynali dzień z dobrym nastawieniem. Myślałam pozytywnie. Byłam przekonana, że już niedługo, jeszcze tego samego dnia, prawda wyjdzie na jaw i zostaną oczyszczona z wszelkich zarzutów.

Zamknęłam oczy i uśmiechnęłam się.

MARY

W czwartkowy poranek budzę się o piątej świeża i z nową energią. Pół godziny później mknę autostradą wiedziona pewnym postanowieniem. W Kaskadzie znajduje się mnóstwo dekoracji, bibelotów i innych drobiazgów należących do mojego brata, mimo że nie był jedynym, który ją wynajmował. Odwiedzałam to miejsce tylko wtedy, kiedy zatrzymywali się w nim Tom i... ona... dlatego zawsze czułam się tam jak w ich drugim domu. Uznałam, że muszę opróżnić Kaskadę ze wszystkich rzeczy Toma.

Nie wiem, może to sposób na odsunięcie Lucy od naszej rodziny. Albo po prostu chciałam się czymś zająć w oczekiwaniu na wieści od komisarza. Wyjazd wprawia mnie w dobry nastrój i pozwala mi myśleć, że robię coś sensownego.

Kiedy przekręcam klucz i otwieram drzwi do chaty, natychmiast opanowuje mnie poczucie całkowitej pustki. Nigdy wcześniej nie byłam w Kaskadzie bez lokatorów, ale nie o to chodzi. Coś jest nie tak. Przypomina mi się wizyta na zamku York i miejsce, gdzie wykonywano wyroki śmierci. Ten specyficzny chłód, którego latem w budynku nie powinno być.

Nagle uświadamiam sobie, że nie mogę opuścić rodzinnego miasta. Zamierzałam to zrobić, gdy będzie po wszystkim – kiedy ciało Toma zostanie złożone w grobie, a ta, która go zabiła, będzie gwałcona pod prysznicem. Tom mówił kiedyś o „nowym początku” i właśnie to miałam

na myśli: zacząć od nowa gdzieś daleko od kraju, w którym się wychowałam. Tam, gdzie nic nie przywoływałoby złych wspomnień. Tam, gdzie nic nie kojarzyłoby mi się z tym koszmarnym okresem w moim życiu.

Ale teraz już wiem, że nie wyjadę. Porządek, regularność i to, co znane, zapewniają mi komfort psychiczny, którego tak bardzo potrzebuję.

Mam tu swoje życie, jakiegokolwiek by było, i nie mogę go tak po prostu porzucić. Nie mogę uciec od bólu. Podłe, egoistyczne, obłąkane uczynki tej suki nie sprawią, że schowam głowę w piasek gdzieś na drugim końcu świata. A jeśli jest mi niezbędna pewnego rodzaju terapia ekspozycyjna na mój niepokój, to przecież właśnie ten dom, punkt zerowy mojego cierpienia, jest miejscem, którego nie wolno mi unikać.

Wyobrażanie sobie, co mogło się tu wydarzyć w zeszły weekend, jest dla mnie prawdziwym koszmarem. Nie wydaje mi się, żeby Lucy zabiła Toma w chacie, ale ta krew na jej bluzce i w umywalce... Trudno pozbyć się wrażenia, że coś musiało się tu stać. Dostaję gęsiej skórki, czuję się, jakby ściany Kaskady zamykały mnie w potrzasku, a jednak brnę dalej. Idę na górę do łazienki.

Pomieszczenie jest czyste, niemal sterylne. Lucy się przyłożyła i bardzo dokładnie usunęła ślady. Tom nie skaleczył się o kran, to jasne, ale moim zdaniem nie zabiła go w łazience; wystarczyło spojrzeć na ilość krwi. Co się wydarzyło?

Zacięła go czymś ostrym, a potem wybiegli na dwór i tam rozegrał się tragiczny finał? Uderzyła go w głowę czymś ciężkim, ale tak, że nie stracił zupełnie przytomności, a potem zaciągnęła go na zewnątrz, do przygotowanego grobu w lesie albo nad strumień?

Dom jest tak czysty, a okolica tak malownicza, że każda teoria, która przychodzi mi do głowy, wydaje się naciągana. Morderstwo pasuje do tych pocztówkowych okoliczności przyrody jak pięść do nosa. Ale przecież musiało się tu wydarzyć coś, co utorowało drogę złu. Muszę się dowiedzieć, co, jak i dlaczego.

W sypialni zatrzymuję się przy szerokim łóżku i zastanawiam się, co poszło nie tak. Owszem, nie lubię Lucy, ale przez dłuższy czas Tom był z nią szczęśliwy. Spali w tym łóżku, kochali się w nim i nikt nie mógł wtedy przypuszczać, jak bez sensu to się skończy.

Słyszę chrzęst opon na drodze prowadzącej do domu. Spomiędzy drzew wyłania się radiowóz i zatrzymuje się obok mojego auta, po chwili dołącza do niego drugi, nieoznakowany. Moje spojrzenie wędruje ku zjazdowi

z parkingu przed Kwaintem. Widzę białą furgonetkę techników i kolejny radiowóz.

Kładę się na łóżku po lewej stronie – tam, gdzie zawsze spał Tom – wyciągam telefon i dzwonię do Reavleya. Odbiera natychmiast.

– Dziękuję, Aaronie. Dziękuję. Przyznała się?

Nie pyta, za co te podziękowania.

– Mary, proszę wybaczyć, ale nie mogę w tej chwili rozmawiać. Jeszcze jej nie przesłuchaliśmy, ale dziś rano planujemy przeszukać dom w Sheffield i chatę w Cullerton. Odezwę się później.

– Cieszę się, że traktuje pan to poważnie. Jeszcze raz dziękuję. Postaram się nie plątać pod nogami.

– Słucham? Co pani ma na myśli? Cokolwiek pani zaplanowała, proszę tego nie robić. Proszę trzymać się z daleka zarówno od domu, jak i od chaty. Muszę już kończyć. Porozmawiamy później.

Rozłączam się i wybucham śmiechem.

Głosy policjantów mieszają się z trzaskiem zamykanych drzwi. I tak nie wymknę się niezauważona, więc po prostu nigdzie się nie ruszam. Spoglądam na sufit, do którego mój brat przyczepił tabliczkę z hasłem: „GWIAZDA PORANKA”. Jego patent na rozpoczynanie dnia z pozytywnym nastawieniem. Zastanawiam się, czy wpatrywał się w ten napis w niedzielę rano – czy spodziewał się, że to będzie piękny dzień, i nawet nie przypuszczał, że zostało mu już tylko kilka godzin życia.

Ciekawe, Tomowi na niewiele się zdało, ale mnie to hasło napawa optymizmem, zwłaszcza przy narastającym wtórze rozmów mundurowych i techników.

Czeka mnie jeszcze mnóstwo ciężkich chwil, choćby formalności związane z pogrzebem Toma i zeznania na procesie Lucyferki, ale czuję, że nareszcie widać światełko w tunelu. Podła Lucy znajduje się w areszcie. Śledczy zaczynają rozkładać jej żałosne życie na czynniki pierwsze. Jeszcze dziś prawda wyjdzie na jaw i Lucy usłyszy zarzut morderstwa. Potem będzie już z górki.

Zamykam oczy i uśmiecham się.

LUCY

Przesłuchano mnie dopiero wczesnym popołudniem. Reavley wciąż się nie zjawił, nie było go również w pokoju przesłuchań. Miało wziąć mnie na spytki dwoje nieznanych mi policjantów. Nagle zaczęłam się denerwować, mimo że nie miałam nic do ukrycia.

Na jednym krześle siedział siwowłosy mężczyzna w średnim wieku, który wyglądał, jakby od dawna nie czerpał przyjemności ze swojego zajęcia. Zapewne słyszał już wszelkie możliwe łgarstwa i miał wystarczająco dużo doświadczenia, by umieć bezbłędnie je wychwycić. Drugie krzesło zajmowała kobieta o spojrzeniu, które wydało mi się wyjątkowo bystre. Pomyślałam, że mam przed sobą dobrze wykształconą policjantkę, polegającą w pracy na rozmaitych „-logiach” ułatwiających wykrycie kłamcy. Była młodsza ode mnie, co mi się nie spodobało.

Przedstawili się, po czym kobieta wyjaśniła w szczegółach powód zatrzymania i zapytała, co mam do powiedzenia na ten temat. Mechaniczny ton. Karierowiczka. Bez dzieci. Bez konta na Netfliksie. Bawiłam się w detektywa.

– Nie zabiłam męża – odparłam. – Odszedł ode mnie.

Skomentowała, że właściwie nic za tym nie przemawia. Tom, kochający syn, kuzyn, brat, współnik w interesach i dobry przyjaciel, od niedzieli nie skontaktował się z żadnym członkiem swojej rodziny, żadnym przyjacielem ani znajomym. Tom, aktywny użytkownik mediów społecznościowych, od soboty wieczór nie zamieścił żadnego nowego postu ani komentarza. Tom, posiadacz dwóch rachunków bankowych, nie dokonał żadnych transakcji. Tom, członek społeczeństwa, nie był widziany w żadnym miejscu.

– Przesłał mi dwie wiadomości.

Policjantka robot uśmiechnęła się pod nosem i od razu wiedziałam, że weszłam na minę. Podsunęła mi kartkę z wydrukowanymi esemesami; niektóre, całkiem liczne, były zakreślane – to wiadomości Toma do mnie. Pokazała kilka innych, w tym tę okropną z sobotniego wieczoru, kiedy jedliśmy kolację w pubie w Cullerton:

Jezu po co się zeniłem z tą wariatką groziła mi nożem

– Wyjaśniłam to komisarzowi Reavleyowi – podkreśliłam. Musiałam napić się wody, bo okropnie zaschło mi w gardle. – Gdzie on jest?

– Komisarz Reavley koordynuje przeszukanie pani domu w Sheffield oraz chaty w Cullerton. Znamy wyjaśnienia, których mu pani udzieliła. A co pani powie na te wiadomości?

Wskazała kolejną, a potem następną. Przejrzeliśmy esemesy z ostatnich sześciu miesięcy. Trzy z nich były skierowane do mnie i ewidentnie świadczyły o pogłębiających się kłopotach małżeńskich. Ale bardziej zaniepokoiły mnie trzy inne.

Do współnika z agencji:

Zastąpię cię jutro muszę się wyrwać z domu od tej wariatki zatrzymaj lokal przy sunshine road może się tam wprowadzę cha

Do znajomego:

Nie biorę ze sobą Lucy znowu ma tę swoją fazę

I do Mary:

Znowu się kłócimy jeśli się jutro nie odezwę znaczy że musisz mnie wykopać z ogrodu za domem

Byłam wstrząśnięta. Powiedziałam, że nasze małżeństwo było trochę niestabilne, owszem, jak wiele innych związków, ale nic ponadto, i że czasem się denerwowałam i złościłam, ale z całą pewnością nie byłam wybuchową maniaczką, na jaką najwyraźniej kreował mnie Tom.

Policjanci nie odpowiedzieli. Kobieta wyjęła kolejną kartkę, tym razem z mailami. Poprosiła, żebym wytłumaczyła, dlaczego odwołałam urlop w Paryżu, który planowaliśmy na październik, mimo że oznaczało to utratę zaliczki.

– Tom powiedział, że jednak nie będzie mógł wziąć wtedy wolnego. Poprosił mnie, żebym wszystko odwołała i obiecał, że niedługo zarezerwujemy inną miejscówkę. Ale to Paryż, prawda? Miasto zakochanych. Małżeństwa w kryzysie nie jeżdżą w takie miejsca.

Znów brak reakcji. Kolejna sprawa: dlaczego napisałam do miejscowego ośrodka sportu i rekreacji z wnioskiem o anulowanie stałego zlecenia opłaty za basen Toma? Obie te rzeczy zrobiłam w sobotę przed jego zaginięciem.

– O to też mnie poprosił. Mówił, że znudził go basen.

Dlaczego zleciłam wycenę auta Toma i dowiadywałam się, jak wystawić je na sprzedaż przez stronę Auto Trader, mimo że pomiędzy jednym

mailem – tym o wycenę – a drugim – tym o ogłoszenie – Tom przedłużył opłatę za swój samochód na cały kolejny rok?

– Poprosił mnie. Byłam zdziwiona, że chce się pozbyć auta. Nic nie wspominał o podatku.

Dlaczego skontaktowałam się z towarzystwem ubezpieczeniowym prowadzącym fundusz emerytalny Toma i dopytywałam o możliwość wcześniejszej wypłaty gotówki? Wyjaśniłam, że Tom chciał, żebym zlikwidowała jego konto przed upływem okresu wyznaczonego w umowie, ponieważ był przekonany, że przed pięćdziesiątką odniesie wielki sukces w branży nieruchomości, zostanie milionerem i nie będzie potrzebował dodatkowych pieniędzy. Dalsze wpłacanie na fundusz było według niego równoznaczne z przyznaniem się do porażki w realizacji marzeń.

Oponowałam, ale Tom się uparł. Uczynił mnie swoim pełnomocnikiem finansowym, ale pod pewnymi warunkami. Ostatecznie towarzystwo powołało się na klauzulę uniemożliwiającą Tomowi podjęcie środków przed ukończeniem pięćdziesiątego piątego roku życia.

– Zatem to wszystko: odwołany urlop, próba sprzedaży samochodu i likwidacji planu emerytalnego, nie wynikało z państwa problemów finansowych? – upewniła się policjantka. – Rozmawialiśmy z panem Peterem Smithem, współwłaścicielem agencji nieruchomości Packham/Smith. Firma nieźle się rozwija, ale przed kilkoma laty Tom wymógł na wspólniku podpisanie umowy, w myśl której żaden z nich nie może pozbyć się swoich udziałów, chyba że zrobią to obaj jednocześnie przez stronę trzecią. Zdaniem pana Smitha Tom postąpił tak, żeby uniemożliwić pani dostęp do tych pieniędzy.

– Słucham? Nieprawda. Dlaczego miałabym chcieć, żeby sprzedał firmę?

– Z powodu Shangri-La. Mówi pani coś ta nazwa? Według pana Smitha oczekiwała pani od Toma, że zbuduje jej duże biuro na końcu ogrodu. Podobno bardzo pani nalegała.

– Rzeczywiście tak było. Ale nie prosiłam go, żeby sprzedawał firmę. A już na pewno nie tak często, aby musiał zawierać jakąś głupią umowę ze wspólnikiem. Mylicie się. Peter też się myli.

Kolejne dokumenty. Policjantka pokazała mi kopię polisy na życie na nazwisko Toma, a także napisany przeze mnie na komputerze list z prośbą o podniesienie kwoty ubezpieczenia oraz potwierdzenie zmiany od towarzystwa, zarówno w formie papierowej, jak i na mailu.

– To było terminowe ubezpieczenie na życie ze stałą składką, która wynosiła pięćdziesiąt osiem funtów miesięcznie. Polisa opiewała na pięćset tysięcy funtów. Zwiększyła pani składkę o dwadzieścia siedem funtów, co pozwoliło podnieść sumę wypłaty w razie śmierci Toma do miliona funtów. Milion. To naprawdę dużo pieniędzy. Brak dodatkowych beneficjentów. Tylko jeden. Pani.

Nawet ja czułam, że moje odpowiedzi brzmią podejrzenie, ale przecież mówiłam samą prawdę.

– Miałam pełnomocnictwo, czuwałam nad naszymi finansami, więc tak, przyznaję, zwiększyłam kwotę polisy. Ale pomysł nie był mój, tylko Toma. Poprosił mnie o to.

– Wygląda na to, że mąż miał do pani wiele prośb w krótkim czasie, w dodatku wszystkie tuż przed swoim zaginięciem. – Znów to okropne słowo: „zaginięcie”. – Poprosił również o to, żeby skasowała pani tę wiadomość? Znaleźliśmy ją w folderze „kosz”.

– Nie przypominam sobie. Jeśli ją usunęłam, musiałam zrobić to przez nieuwagę.

– Tom spisał testament. Znaleźliśmy kopię w sejfie w pracy. Wie pani, komu pozostawił majątek?

Nie spodobał mi się sposób, w jaki zadała to pytanie. Zabrzmiało podchwytliwie. Jakby nie kierowała nią policyjna dociekliwość. Czułam, że jeszcze mniej spodoba mi się to, co za chwilę usłyszę.

– Tak – odparłam. – Podzielił go na trzy części, pomiędzy mnie, Mary i swoich rodziców.

Następna kartka. Testament Toma. Oczywiście. Wiedziałam, że ostatni raz zmieniał go przed dwoma laty – usunął wtedy nazwisko swojej matki po jej śmierci. Wersja, którą położyła przede mną policjantka, różniła się jednak od tej, którą zapamiętałam. Była sprzed zaledwie miesiąca i nie uwzględniała ani ojca Toma, ani jego siostry.

Widniałam w testamencie jako jedyna spadkobierczyni.

Pokręciłam głową.

– Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, że zmienił testament...

Policjantka wpatrywała się we mnie tak, jakby chciała skruszyć mnie siłą swojego wzroku. Skutecznie.

– Dysponujemy zeznaniem pana Smitha. Umożliwił nam dostęp do sejfu. Powiedział, że mniej więcej miesiąc temu pani mąż wspomniał o zamiarze

zmiany testamentu. Tom mówił, że była pani niezadowolona z brzmienia ostatniej woli męża i kazała mu ją zmienić.

– Nie, niemożliwe. Nie miałam o tym pojęcia.

– Poleciała pani mężowi usunąć jego siostrę i ojca z testamentu i pozostawić panią jako jedyną spadkobierczynię. Tom zobowiązał pana Smitha do milczenia. Zabronił mu komukolwiek mówić o zarządzonej przez panią zmianie.

Szok to mało powiedziane. Miałam wrażenie, że za chwilę usmaży mi się mózg. Czy to możliwe, że wszystko to się wydarzyło, a ja niczego nie pamiętałam? Naprawdę wydałam Tomowi takie polecenie? Przetarłam twarz obiema dłońmi.

– Widzę, że na pani palcu nadal brakuje obrączki. Nie znaleźliśmy jej w chacie. Dlaczego w ogóle ją pani zdjęła?

– Do sprzątanía. W umywalce i na podłodze była krew. Nie chciałam, żeby srebro się poplamilo.

– Nie założyła pani gumowych rękawiczek?

– Nie pomyślałam. Po prostu zabrałam się do sprzątanía. Położyłam obrączkę na parapecie. To znaczy, tak mi się wydaje, że właśnie tam.

Pokazała mi wydruk, ale nie zawiesiłam na nim wzroku na dłużej niż pół sekundy.

– Nie znaleźliśmy jej w tamtym miejscu. Wróćmy do wiadomości. Konkretnie do tej, którą rzekomo otrzymała pani od męża. Tu jest napisane, że wysłano ją o pierwszej pięćdziesiąt siedem tej nocy.

– Nie, nie zamierzam tego słuchać – powiedziałam stanowczo. – Wiem, do czego to zmierza. Myślicie, że zabiłam Toma dla pieniędzy, prawda?

– Jesteśmy otwarci, ale może wyjaśni nam pani, dlaczego uważa, że właśnie tak myślimy?

Stara jak świat technika odpowiadania pytaniem na pytanie. Nie miałam ochoty spierać się osobno ze wszystkim, co mówiła, nie miałam na to siły. Chciałam, żeby przesłuchanie wreszcie się skończyło, i najszybszym sposobem na to było oddanie całej inicjatywy policjantom. Dlatego milczałam.

Starszy policjant położył na stole dużą plastikową torebkę, w której zwykle przechowuje się dowody rzeczowe. Znajdowały się w niej cztery aparaty na kartę, które kupiłam poprzedniego wieczoru po to, by spróbować skontaktować się z Tomem. Wrzuciłam je do samochodu i tam

zostały. Kobieta zapytała, do czego potrzebowałam telefonów, których nie można wykryć.

– Nie kupiłam ich dlatego, że są niewykrywalne. Tom zna mój numer i założyłam, że nie zechce odebrać, kiedy zobaczy go na wyświetlaczu. Pomyślałam, że będę miała większe szanse, jeśli zadzwonię do niego z nieznanego numeru. Wzięłam więcej na wypadek, gdyby mnie zablokował.

– Ale dlaczego udała się pani po nie aż do Bradford?

Wiedziałam, że odpowiedź wzbudzi jedynie drwinę, ale trudno, taka była prawda i nie mogłam jej ukrywać.

– Chciałam się przejechać. Żeby się rozluźnić. Pomysł z telefonami przyszedł mi do głowy, kiedy już byłam w samochodzie. – Nagle coś mnie tknęło. – Skąd wiecie, że kupiłam je w Bradford?

Mieli paragon.

– Ponieważ znajdowała się pani pod obserwacją. Nasi ludzie pojechali za panią i widzieli, jak weszła pani do sklepu całodobowego i tam nabyła cztery telefony. Za gotówkę. Przepraszam, nie cztery...

Pokazała mi paragon ze stemplem „KOPIA”; musieli im go wydać w sklepie. Postukała palcem tam, gdzie było napisane: „sztuk 5”.

– Wykorzystałam jeden na próbę dodzwonienia się do Toma. Tak jak mówiłam, chciałam, żeby to było połączenie z nieznanego mu numeru. Zrobiłam to po tym, jak w nocy przysłał mi esemesa.

– W takim razie gdzie jest ten niewykrywalny aparat numer pięć?

Znowu to słowo.

– Wykorzystałam go. Tom skojarzyłby numer. Więc go wyrzuciłam.

– Wyrzuciła pani? A gdyby Tom próbował skontaktować się z tym numerem?

– Oprócz tego napisałam do niego esemesa. Domyśliłby się, że powinien odpowiedzieć na mój właściwy numer.

Świdrując mnie jawnie wrogim spojrzeniem, policjantka położyła na stole wydruk połączeń i esemesów, a obok umieściła paragon.

– Proszę spojrzeć. Tutaj jest wiadomość z nowego telefonu Toma, wysłana o pierwszej pięćdziesiąt siedem. A tutaj miejsce, z którego tego dokonano.

Bradford.

Przesunęła palcem po godzinie transakcji na paragonie.

– Kupiła pani te aparaty o pierwszej czterdzieści dziewięć.

– Tak. Nie mogłam spać.

– Lucy, musi to pani jakoś wytłumaczyć. Pojechała pani do Bradford i tam kupiła nowe, niewykrywalne telefony. Dziwnym zbiegiem okoliczności zaledwie osiem minut później dostała pani wiadomość od Toma. To nam daje dwa dziwne zbiegi okoliczności.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, co miała na myśli. Nadawca pierwszego esemesa znajdował się w pobliżu mojego domu; drugi wysłano z tego samego miejsca, w którym akurat przebywałam. Nie, to nie mógł być przypadek. Serce zaczęło mi mocniej bić.

– Mój Boże. On... on mnie obserwuje. Tom mnie obserwuje. Mam rację? Policjantka pokręciła głową.

– Nie. Mamy inną teorię. Naszym zdaniem po tym, jak wykryliśmy, że pierwszą rzekomą wiadomość od pani męża nadano w bezpośredniej bliskości pani domu, postanowiła pani wykazać się sprytem i uznała, że następny esemes zostanie wysłany z bardziej oddalonego miejsca. Wybór padł na Bradford. Ale nie wiedziała pani, że ma ogon. Proszę powiedzieć, gdzie jest piąty aparat.

Zwiesiłam głowę.

– To absurdalne. Według was Tom nie przysłał mi żadnych wiadomości? Absurd. – To wszystko, co byłam w stanie wydusić.

– Na komendzie obowiązuje kilka niepisanych zasad. Jedna z nich brzmi tak, że jeżeli ktoś koniecznie chce skorzystać z toalety od razu po tym, jak go przywieziemy, dobrze by było potem sprawdzić tę toaletę. Bo można znaleźć ukryte fanty.

Starszy policjant nie miał zbyt wiele do roboty, ale swoje zadanie wykonywał z odpowiednią dozą dramatyzmu. Powoli położył na stole drugą plastikową torebkę. Zawierała telefon.

Policjantka podniosła ją i machnęła mi nią przed twarzą.

– Znaleziony w spłuczce. Niewykrywalny aparat numer pięć. Nowy, kupiony w nocy w Bradford. Wykorzystany tylko jeden raz. Do wysłania esemesa na pani numer.

Zamilkła. Czekwała na moją reakcję. Nie byłam w stanie znieść tej ciszy i tych ich spojrzeń i w końcu pękłam.

– Tak, wysłałam te wiadomości sama do siebie. Bo wszyscy myślą, że zabiłam Toma. Wiem, to było głupie. Chciałam, żeby ludzie przestali mnie oskarżać. Bo przecież Tom żyje, odszedł ode mnie i zamieszkał z jakąś nową kobietą i teraz śmieje się ze mnie. Wkrótce go znajdziecie i wtedy się

przekonacie, że od samego początku mówiłam prawdę. Nie zabiłam mojego męża. Nie chcę odpowiadać na więcej pytań.

– Jeszcze tylko jedno. Co pani na to?

Tym razem w ruch poszedł odtwarzacz. Powiedzieli, że puszczą mi nagranie znalezione na komputerze, który Reavley zabrał z naszego gabinetu. Nie wiedziałam, o co im chodzi, i kiedy usłyszałam własny głos mówiący: „Halloa! Unten dort!”, ani trochę nie rozjaśniło mi to w głowie. Oczywiście od razu rozpoznałam nagranie sprzed kilku dni. Zamiast wyrecytować niemieckie tłumaczenie Dróżnika Dickensa, zaczęłam błagać Toma o powrót do domu: „Bitte nach Hause kommen, Tom”. Doskonale pamiętałam.

A przynajmniej tak mi się wydawało.

– Zur Hölle mit dir, Tom, du Bastard...

Słuchałam zdumiona słów, których w ogóle sobie nie przypomiinałam. Tak, to był mój głos, ale przecież nie mówiłam tego.

Policjantka dobrze się przygotowała.

– Do diabła z tobą, Tom, ty sukinsynu – zaczęła z pamięci. – Zasłużyłeś na wszystko, co cię spotkało. Gnij w piekle. Gnij do końca czasu za to, co mi uczyniłeś.

Musiałam złapać się blatu, żeby nie stracić równowagi. Pokój nagle się zakołysał.

– Pani Packham, ludzie, którzy uciekają, żeby zacząć nowe życie, nie gniją w piekle. Robią to tylko martwi. Chyba jest pani świadoma, że pora skończyć z tymi kłamstwami. Proszę mówić prawdę. Całą prawdę. Chcę usłyszeć pani wersję tego, co się wydarzyło. Proszę opowiedzieć o tym, co pani zrobiła i o czym pani myślała. Wszystko.

Pokój przestał się kiwać. Odzyskałam jasność umysłu. Miałam przed sobą tylko jedną drogę – tę, którą wcale nie miałam ochoty iść, od kiedy zaczął się ten koszmar.

– Od czego mam zacząć?

– A od czego zwykle się zaczyna, pani Packham? Od początku.

Cofnęłam się myślami do momentu, w którym po raz pierwszy poczułam, że całe moje życie może się zawalić. „Pani wersję”, powiedziała policjantka. Pewna osoba poda moją opowieść w wątpliwość, to oczywiste.

– Poznacie dwie wersje tej historii. Musicie jednak wiedzieć, że Mary kłamie. Dlatego nie wierzcie jej, nie wierzcie w ani jedno słowo. Tylko

moja opowieść jest prawdziwa. A wszystko zaczęło się od perfidnego oskarżenia...

MARY

Policja nareszcie robi to, co powinna robić od samego początku. Piękny widok. Technicy wyprosilili mnie z Kaskady i są teraz w środku, przetrząsają budynek, szukając śladów. Policjanci chodzą od drzwi do drzwi, poszukują świadków i nagrań z monitoringu. W następnej kolejności przeczeszą las i przecinające go strumienie.

Media dowiedziały się o akcji na Zadupiu i najechały Cullerton z zastępami kamer, ślicznych reporterek i anten satelitarnych. Populacja sennej wioski zwiększyła się co najmniej dwukrotnie. Poszukiwania ciała Toma i dowodów popełnienia morderstwa rozkręcają się. Jestem autentycznie wzruszona. Podobno policja chce wykorzystać drony wyposażone w kamery termowizyjne; słyszałam, że te cacka kosztują pięćdziesiąt tysięcy sztuka. Nareszcie traktują sprawę Toma z powagą, na którą zasługuje.

Nieco wcześniej właściciel pubu Serengeti, znajomy mojego brata, zorganizował własną ekipę poszukiwawczą. Na parkingu przed Kwaintem zjawilo się kilkanaścioro mieszkańców Cullerton i zgłosiło chęć pomocy, ale policja odparła, że nie ma mowy. Na to miejscowi postanowili objechać teren i wejść do lasu z drugiej strony.

Akurat byłam na parkingu, kiedy się zebrali. Usłyszałam, jak się naradzają, i zapytałam, czy mogę dołączyć. Jasne, pewnie. Jakaś kobieta przyprowadziła psa, żeby wywęszył trop, ale nie potrafi nakłonić go do współpracy. Jeden z mężczyzn przyszedł z własnym dronem, który jednak nie chce latać prosto i trzeba go skalibrować. Pozostali sprawiają wrażenie, jakby wybrali się na ploteczki albo po prostu skorzystali z okazji do wyrwania się z domu na godzinę czy dwie. Tworzymy zupełnie amatorską zbieraninę, jak to oddolne ekipy poszukiwawcze, ale cóż, zawsze to kilkanaście par oczu więcej rozglądających się za moim bratem.

Trzy auta z pięciorgiem pasażerów każde zatrzymują się przed Fox and Hound. Wsiadamy i kierujemy się do lasu. Nie słyszę żadnych głosów z przodu, co oznacza, że oficjalna ekipa nie zdążyła dotrzeć zbyt daleko. Plan zakłada, że spotkamy się z nimi mniej więcej w połowie drogi, czy im się to będzie podobało, czy nie. Jechałam w jednym samochodzie ze starszym, żylastym mężczyzną w wysłużonych džinsach i grubej koszuli. Bez przerwy czułam na sobie jego spojrzenie. Teraz, kiedy rozeszliśmy się

po lesie, też mam wrażenie, że mi się przygląda. Na wszelki wypadek – gdyby przyszło mu do głowy mnie zaczepić – staram się trzymać blisko kobiet.

Ale po kilku minutach to jego gapienie się zaczyna działać mi na nerwy i naprawdę mocno mnie krępować. Nie wiem, może czegoś chce. Postanawiam dać mu szansę i zostaję trochę z tyłu. W końcu nie jesteśmy tu sami, a zresztą nawet gdybyśmy byli, wątpię, żeby ten stary piernik spróbował złapać mnie za cycek.

Dziadek korzysta z okazji i zbliża się do mnie. Nie robi tego w bezpośredni sposób, raczej powoli przesuwa się w moją stronę, jakby chciał wpaść na mnie – ojej! – przypadkiem. Jego zachowanie coraz bardziej mnie stresuje, więc przystaję i wbijam w niego wzrok. Kiedy dociera do niego, że jestem gotowa porozmawiać, odpuszcza sobie podchody, trochę przyspiesza i zatrzymuje się metr, półtora ode mnie.

– John Regan. Jestem ogrodnikiem.

Uświadamiam sobie, że go kojarzę. Tom o nim wspominał. Tutejsi pomogli jego umierającej żonie, dawno, w latach osiemdziesiątych, i od tamtej pory John odwdzięcza się ludziom, wykonując różne drobne prace w ogrodach. W dodatku robi to po kryjomu, pod osłoną nocy: wyrывa chwasty, naprawia ciekące dachy szop i tym podobne. Z początku jego działaniom towarzyszyły niemądre plotki o siłach nadprzyrodzonych – dopóki nie przyłapano Johna na gorącym uczynku. Jest znany w Cullerton jako, powiedzmy, miejscowy cudak, ale nie robi nic gorszego, nie składa kurcząt w ofierze, nic z tych rzeczy; jest miły i lubiany, dlatego ludziom nie przeszkadzają jego dziwactwa.

– Gapi się pan na mnie. Chce pan czegoś ode mnie?

– Oglądałem wiadomości. Pani brat... jego żona. Muszę pani o czymś powiedzieć. Widziałem, że przyjeżdżała policja, ale ja tam się nie wtrącam. Nie miałem pojęcia, dopóki nie zobaczyłem w telewizorze.

Jak większość. John przebiera nogami, rozgląda się trochę nerwowo, czy aby nikt nas nie podsłuchuje. Czyżby naprawdę chciał mi wyjawic jakąś tajemnicę? Chodzi o Toma? Podchodzę do niego i łapię go za rękę.

– Niech pan mówi. Wie pan coś na temat Lucyferki?

– Kogo? Nie...

– Lucy, wrednej żony mojego męża. Wie pan coś?

– Pani Packham... samochód... e... samochód pani brata... Nie chcę mieć kłopotów. Nic nie wiedziałem. No więc ten samochód. Ona mi

zapłaciła...

Milknie i robi zakłopotaną minę, jakby nie był pewien, czy chce dalej mówić. Wspomniał o zaginionym aucie Toma, musi być jakiś ciąg dalszy. Dosłownie potrząsam nim. Co? No co?

– Ona mi zapłaciła, żebym...

Opowiada, a ja słucham go w osłupieniu. Potem przeprasza, jakby to wszystko była jego wina, ale nie zwracam na niego uwagi. Odpycham go i wyciągam telefon. Jestem tak zdenerwowana i wściekła, że z trudem wybieram numer. John przygląda mi się z bezpiecznej odległości. Skręciłabym mu kark, gdyby znajdował się bliżej.

– Mary, czy pani nadal... – zaczyna na dzień dobry Reavley.

– Ogrodnik porzucił samochód Toma – wchodzę mu w słowo. – Lucy powiedziała mu, że wyjeżdżają, ale boją się wandalii... urlop, wandalie, więc odprowadził i...

– Co takiego? Jeszcze raz, tylko powoli.

Słusznie. Nakręciłam się, ledwo mogę złapać oddech i mówię nieskładnie.

– Lucy powiedziała ogrodnikowi, że ona i Tom wyjeżdżają na urlop i że nie chcą zostawiać samochodu przed domem ani pod Kaskadą. Tom go nie zabrał. Zrobił to ogrodnik. Lucy zapłaciła mu za ukrycie auta... i za milczenie.

LUCY

Bez decyzji o przedłużeniu aresztu mogłam spędzić w celi najwyżej dwadzieścia cztery godziny. Po upływie tego czasu policja musiała postawić mi zarzuty – albo puścić mnie do domu. Formalnie zatrzymano mnie około wpół do trzeciej w nocy, a więc pozostało jeszcze osiem godzin, kiedy dowiedziałam się, że zostanę zwolniona za poręczeniem.

Po przesłuchaniu poprosiłam o obrońcę z urzędu. Prawnik zadzwonił do mnie przed godziną. Poinformował, że zgodnie z niedawno wprowadzonym prawem policja ma dwadzieścia osiem dni na przeprowadzenie śledztwa. Po tym czasie warunki poręczenia wygasają. Powiedział, że policja prawdopodobnie zechce obejść to ograniczenie i zwolnić mnie, ale na zasadzie, że będę „objęta dochodzeniem”.

Dobra wiadomość była taka, że mogłabym wrócić do domu bez konieczności ponownego stawienia się na komendzie wyznaczonego dnia; zła – że oznaczało to życie w stanie zawieszenia. W przypadku pierwszego rozwiązania – z poręczeniem – z góry wiedziałabym, kiedy najpóźniej policja może postawić mi zarzuty lub uwolnić od nich; jeśli chodzi o drugie, nie znałabym dnia ani godziny. Funkcjonariusze mogli zapukać do drzwi albo wezwać mnie na komendę w dowolnym momencie: za kilka dni, tygodni, a nawet miesięcy. Przez cały ten czas dręczyłaby mnie niepewność, ponieważ nie wiedziałabym, na jakim etapie jest śledztwo.

To musi być przerażające uczucie: starasz się żyć normalnie i zajmujesz się swoimi sprawami, wiedząc, że sztab ludzi pracuje nad tym, aby posłać cię za kratki. Do tego dochodziły standardowe obostrzenia związane ze zwolnieniem za poręczeniem; dotyczyły na przykład tego, z kim nie wolno mi było się kontaktować – choćby z Mary (jedyna łyżka miodu w tej całej beczce dziegciu).

Poręczenie to dobry znak, powiedział prawnik. Po moim aresztowaniu policja przeszukała dom w Sheffield, druga ekipa udała się rano do Cullerton. Niemniej nie postawiono mi żadnych zarzutów, co mogło oznaczać, że technicy nie znaleźli żadnych obciążających dowodów.

Analiza mojego telefonu i laptopa również nie przyniosła oczekiwanych rezultatów.

W końcu przestało mi zależeć na czymkolwiek, chciałam po prostu nareszcie opuścić komendę. Kiedy wyprowadzano mnie do zwolnienia, szłam różnym krokiem. Szybko się to zmieniło.

Sierżant odebrała przy mnie telefon i po chwili usłyszałam, że będę musiała jeszcze trochę poczekać. Wracając do celi, powłóczyłam nogami. Dosłownie kilka chwil po tym, jak ponownie zamknęły się za mną drzwi, zjawił się wreszcie ten, o którego wypytywałam cały dzień.

– Nie wiem, czy jeszcze chcę pana widzieć.

– Nie przyszedłem na pani prośbę – odparł, stojąc w drzwiach. Z jego postawy i tonu wywnioskowałam, że nie zamierza niczego wyjaśniać ani mnie przeproszać. Czułam, że tylko mnie dobije. – Uznałem, że poinformuję panią osobiście. Odnaleźliśmy bmw Toma.

Odwróciłam wzrok i wbiłam go w pustą ścianę. Wiedziałam, że komisarz zamilkł, bo chciał zobaczyć moją reakcję. Nie dam mu tej satysfakcji.

– Znajdowało się niecały kilometr od Kaskady. Stało pod plandeką na końcu parkingu pod hinduską restauracją Naga w Abbey Village. Z Cullerton można się tam dostać bocznymi drogami, dlatego nasz system nie wychwycił wozu. Zgadnie pani, jak wpadliśmy na trop?

Nie musiałam. Dosyć kłamstw.

– John Regan. Miejscowa złota rączka.

– Wie pani, co znaleźliśmy w bagażniku?

Oczywiście, że tak. Spojrzałam na niego.

– Walizkę pełną ubrań Toma. I moje dżinsy ze śladami jego krwi.

– Lucy Packham, nakładam na panią dalszy areszt...

Kradzież samochodu. Niby błaża rzecz w porównaniu z morderstwem, ale spowodowała wyzerowanie licznika zatrzymania. Na tym etapie było mi już wszystko jedno. To koniec. Wybuchnęłam płaczem, ale nie dlatego, że zostałam przyłapana. Załamalam się pod ciężarem poczucia winy, że wszystkich zwodziłam, kłamałam i okrywałam hańbą nazwisko Toma. Rozpłakałam się, ponieważ ulżyło mi, że już po wszystkim.

– Zabiłam go – powiedziałam, kiedy Reavley skończył recytować pouczenie. – Zabiłam mojego Toma.

CZĘŚĆ II

24

MARY

– Przyznała się. Przyznała się do zabicia Toma.

Telefon o mało nie wypada mi z ręki. Tata patrzy na mnie pytająco. Przenoszę się do kuchni.

– Naprawdę? Powiedziała, że go zabiła?

– Dosłownie przed kilkoma minutami. Wyznała wszystko – mówi Reavley.

Siadam na podłodze i z trudem powstrzymuję się przed rozpłakaniem w słuchawkę. Ogromny kamień spadł mi z serca. Kiedy się okazało, że w domu w Sheffield i w chacie w Cullerton nie znaleziono żadnych obciążających dowodów, nasza mnie obawa, że Lucy się upiecze. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak będzie wyglądało moje życie zaledwie kilka minut drogi od morderczyni mojego brata, śmiejącej się ze wszystkich, których wyprowadziła w pole.

Już nie muszę się martwić. Suka przyznała się do winy, a więc nie będzie długiego procesu; powędruje prosto za kratki. Doskonale.

– Dobrze się pani czuje? – pyta Reavley.

– Czyli miałam rację, że od początku używałam czasu przeszłego. – Dziwne spostrzeżenie, ale mój umysł też jest w dziwnym stanie.

– Tak. Przykro mi, że tak to się skończyło.

Mówię, że zaraz oddzwonię, i rozłączam się. Idę na górę, zamykam się w łazience, siadam na sedesie i beczę jak mała dziewczynka. Wyznanie Lucy stanowi gwarancję, że spotka ją zasłużona kara, ale jest również ostatnim gwoździem do trumny. Trumny Toma. Co prawda od początku miałam niemal stuprocentową pewność, ale właśnie: „niemal” – zawsze istniała szansa, że się pomyliłam i że Tom jednak żyje... gdzieś tam. To już nieaktualne. Tak bardzo bym chciała nie mieć racji.

Poświęcam kilka minut na zapanowanie nad sobą. Niech świadomość tego, co się stało, do mnie dotrze, niech chociaż zacznie docierać. Oddzwaniam do

Reavleya.

– Wszystko w porządku, proszę nie pytać. Dziękuję panu, komisarzu. Bez pana...

– Nie, bez pani nie zaszlibyśmy aż tak daleko. To pani rozgryzła sprawę, zanim nam się to udało. Gdyby pani odpuściła i nie naciskała na Lucy od samego początku, kto wie, ile czasu by minęło, zanim w ogóle zgłoszono by zaginięcie Toma.

Nie wiem, czy to stosowne pytanie, czy nie. Może nie powinnam go zadawać, a może to pierwsza rzecz, jaką chce wiedzieć każdy, kto stracił bliską osobę.

– Jak to zrobiła?

– Powiedziała, że uderzyła go w głowę kamieniem. Wpadł do strumienia. Według niej utonął.

Dotąd – bezskutecznie – starałam się nie myśleć o tym, jak to wyglądało. Przerabiałam wszystkie okropne scenariusze, ponieważ nie miałam się na czym oprzeć. Teraz oczami wyobraźni widzę, jak Lucy wymierza Tomowi cios kamieniem, i już wiem, że nigdy nie zapomnę tego obrazu. Gorsza jest myśl o tym, że utonął. Mam ochotę wbić tę kobietę – tego potwora – w ziemię; mam ochotę krzyczeć. Ale mówię tylko:

– Tata będzie wstrząśnięty. Jak my wszyscy. Dlaczego to zrobiła?

– Opowiedziała całą historię, łącznie z tym, jak zamierzała wszystkim wmówić, że Tom nadal żyje. Rzuciła pod pani adresem oskarżenia o nękanie, ale nie zamierza tego zgłaszać oficjalnie.

– Zaplanowała to?

– Nie. Podjęła decyzję pod wpływem impulsu. Przypadek. Powiedziała, że ją sprowokował. Wyjaśniła, że nie było żadnego romansu.

Nie podoba mi się to. Impuls? Przypadek?

– W jaki sposób ją sprowokował? To kłamstwo. Mówi, że nie zrobiła tego z premedytacją, bo liczy na niższy wyrok. Gdyby rzeczywiście tak było, nie udawałaby, że nic się nie stało, tylko od razu by się przyznała. Przecież to bzdura. Czy pan w to nie wierzy?

– Mary, powinna pani wiedzieć, że jej wyznanie skłoniło koronną służbę prokuratorską do zakwalifikowania czynu jako nieumyślnego spowodowania śmierci. Zażądała obrońcy z urzędu i opowiedziała o wszystkim dopiero, kiedy zgodziliśmy się na rodzaj zarzutu. Prokurator chciałby poznać pani zdanie. Lucy przyznała się do winy, nie będzie procesu, tylko wyrok i skierowanie na odbycie kary. Moim obowiązkiem jest przekazać pani tę informację i zapytać, co pani o tym sądzi.

Nie wiem, może jeśli podniosę krzyk, zdołam ich przekonać, żeby zmienili kwalifikację przestępstwa z nieumyślnego spowodowania śmierci na morderstwo. Wątpię, inaczej Reavley by o tym wspomniał. Bo Lucy dokładnie to zrobiła: zamordowała Toma. Ale nieważne, co będzie w papierach, istotne, żeby trafiła za kratki. Jeśli wystarczy do tego nieumyślne spowodowanie śmierci, to niech tak będzie.

– Jest mi to obojętne, pod warunkiem, że... Chwileczkę. Nie powiedział pan, w jaki sposób Tom ją sprowokował. Zapytałam, ale wykręcił się pan od odpowiedzi. Aaronie, co takiego według niej zrobił? Muszę wiedzieć.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Dlatego się przygotowałem. W zasadzie nie powinienem tego robić, ale... Mam kopię nagrania. Chyba będzie lepiej, jeśli usłyszy to pani z jej ust. Mogę przywieźć...

– Nie. Proszę puścić nagranie. Teraz. Przez telefon.

Nie oponuje. Wie, że nie wygra tej walki. Puszczą nagranie. Ściskam mocno aparat, czekając, aż usłyszę głos Lucy opowiadającej o tym, w jaki sposób pozbawiła życia mojego brata.

LUCY

– Tutaj, moja mała, nastąpi transmogryfikacja.

Zaciągnął się elektronicznym papierosem i nachylił się nade mną. Szłam na czworakach, kurczowo trzymając się metalowej kładki nad strumieniem Low Man. Spojrzałam na niego – a on dmuchnął mi dymem w twarz. Nagle oślepią, mocniej zacisnęłam dłonie na poręczy, bo bałam się, że zsunę się do wody. Ale zamiast ustabilizować swoją pozycję na mostku, zorientowałam się, że moje palce nieoczekiwanie tracą kontakt z jedyną rzeczą zapewniającą mi jako taką równowagę – i poleciałam do tyłu.

Wylądowałam na plecach z metalicznym hukiem, jakbym uderzyła w gong. Kładka zawibrowała. Dotarło do mnie, że kiedy nic nie widziałam z powodu dymu w oczach, Tom mnie popchnął. Poczułam pulsujący ból w ramieniu. Przewrócił mnie nogą.

Pochylił się nade mną i złapał mnie za spodnie.

– Zróbmy to tutaj.

– Nie.

Nie chciał słuchać. Próbowaliśmy blokować mu ręce, ale były szybsze i silniejsze od moich, przyczepione do tych szerokich barków, których nie miałam szans pokonać. Kochałam jego ramiona, uwielbiałam je przez osiem lat – ale nie teraz.

Rozpiął mi dzinsy i próbował ściągnąć je ze mnie, ale nie był w stanie, bo kolanami rozsunął mi nogi, żeby uklęknąć między nimi. Wykonał gwałtowny ruch do przodu, jedną ręką złapał mnie za krocze, a drugą ścisnął za gardło. Splunął mi w twarz i zlizął ślinę. Milczałam. Byłam jak sparaliżowana.

Potem chwycił mnie za kurtkę, szarpnął i próbował mnie obrócić. Przejechałam ramionami i głową po perforacji kładki, a w następnej chwili górna część mojego ciała powędrowała za krawędź. Wygięłam jedną rękę do tyłu, żeby się podeprzeć. Znalazłam oparcie w kamieniu. Płynąca wartkim nurtem woda rozbijała się o zanurzoną w niej dłoń i chlapała mi na twarz, na włosy, wlatywała do ust.

Byłam przekonana, że Tom chce mnie utopić. Nie chcąc do tego dopuścić, objęłam go nogami w pasie i mocno ścisnęłam, a wolną ręką chwyciłam się mostku. Wepchnęłam palce w perforację. Zdołałam utrzymać się w miejscu, ale byłam pozbawiona jakiegokolwiek obrony.

Wiedział o tym. Usiadł na piętach, przeczesał włosy dłonią i powiedział:
– Przekonajmy się, czy teraz zejda.

Poczułam piekący, zimny ból w zanurzonej dłoni i zdałam sobie sprawę, że mam tylko jedno wyjście. Z nogami nadal oplecionymi wokół Toma i jedną ręką uczepioną kładki, nagle wyszarpnęłam drugą rękę z wody. Zamierzyłam się na twarz Toma. Był zajęty moimi spodniami i tak skupiony na próbach rozerwania ich dalej tam, gdzie już udało mu się je rozpiąć, że niczego nie zauważył.

Kamień trafił go w lewą skroń. Tom poleciał do tyłu z nieco piskliwym jęknięciem. Jego ciężar przeważył i sprawił, że moje nogi nie wytrzymały. Puściłam go. Zobaczyłam, jak traci równowagę i zlatuje prosto do wodospadu.

Straciwszy z jednej strony balast w postaci jego ciała, a z drugiej podpórę, runęłam plecami do wody. Wylądowałam twardo barkiem na kamieniu. Gdybym nie była wciąż uczepiona kładki palcami, silny nurt porwałby mnie, rzucił pod mostkiem i poniósł dalej, w ślad za Tomem. Opuściłam nogi i podciągnęłam się.

– Tom! – wrzasnęłam. Wypatrywałam go w spienionych wodach strumienia. Przez chwilę widziałam jego plecak i tył głowy. Płynął twarzą do dołu. Szybki nurt unosił go coraz dalej ode mnie. Dosłownie po kilku sekundach minął miejsce, w którym drzewa rosną po obu stronach koryta tuż nad samą wodą, i zniknął mi z oczu.

Nie wiem, jak długo leżałam i go wzywałam. Musiało minąć sporo czasu, bo w pewnym momencie ochryłam. W końcu zmusiłam się do wstania. Miałam obolałe, spuchnięte palce tam, gdzie wbijała się w nie blacha kładki, i nie od razu udało mi się je wyjąć z perforacji. Zanim zczołgałam się z mostku, ześlizgnęłam się ze wzniesienia i, zataczając się, dotarłam do Kaskady, moje spodnie były już suche.

Usiadłam na stopniach przed drzwiami i dopiero wtedy uświadomiłam sobie, że nadal ściskam w dłoni kamień wielkości piłki do tenisa. Nie miałam siły, żeby go odrzucić, więc włożyłam go do donicy stojącej przy schodkach.

W domu zdjęłam naderwane dzinsy i zobaczyłam plamę po wewnętrznej stronie uda. Uznałam, że to krew Toma, musiała skapnąć z rany po uderzeniu. Włożyłam czyste spodnie. Bluzka, którą miałam pod kurtką, była sucha, więc jej nie zmieniłam; nie zauważyłam plamy na rękawie. Dręczyły mnie wyrzuty sumienia, ale nie tyle żałowałam tego, co zrobiłam Tomowi, ile zastanawiałam się, co powiem policji.

Jedynym właściwym rozwiązaniem było wyznanie całej prawdy, ale ta byłaby ze szkodą dla nas obojga. Tom nie żył, nic już nie mogło tego zmienić. Nie widziałam sensu w pogłębianiu tego cierpienia. Brzmi to okrutnie i bezdusznie, ale pomyślałam: wystarczy, że go pochowam, nie chcę, żeby mnie sądzono. Uważałam, że nie zasługiwałam na karę za taką, a nie inną reakcję na próbę gwałtu. Tom doprowadził mnie do ostateczności. Zareagowałam odruchowo. Co nie zmieniało faktu, że pozbawiłam go życia, i wiedziałam, że pójdę za to do więzienia. To będzie mój koniec.

Nie zamierzałam rezygnować z normalnego życia z powodu jednego głupiego błędu, pomyłki popełnionej pod wpływem chwili.

Dlatego postanowiłam, że kiedy policja odnajdzie ciało Toma, skłamię. Powiem, że poszliśmy na pieszą wyprawę, pokłóciliśmy się i zostawił mnie w lesie. Śledczy założą, że idąc samotnie, poślizgnął się, wpadł do strumienia, uderzył się w głowę i utonął.

Wiedziałam, że zaplamione dzinsy będą świadczyły przeciwko mnie, dlatego schowałam je do torby, żeby się ich pozbyć. Zdawałam sobie sprawę, że w tym momencie nie ma już odwrotu.

Mijały godziny i nic się nie działo. Nikt nie zapukał do drzwi. Sprawdziłam lokalne wiadomości w internecie, portale społecznościowe – ani słowa. Domyśliłam się, że ciało Toma się nie odnalazło. Istniało

prawdopodobieństwo, że silny prąd uniemożliwił mu wypłynięcie na powierzchnię albo że woda zniosła je na znaczną odległość i dopiero tam wyrzuciła na brzeg. Niewykluczone, że znalazłoby się dopiero za kilka, kilkanaście dni.

Albo nigdy.

Po południu usiadłam przy palenisku za budynkiem i zastanowiłam się nad sytuacją. Wieczorem Tom miał się stawić na pokazie monster trucków, żeby obejrzeć występ swojej maszyny; gdyby nie przyjechał, jego znajomi na pewno zaczęliby się zastanawiać, co się stało. Następnego dnia, to znaczy w poniedziałek, musiał wracać do pracy – kolejna nieobecność, która wzbudziłaby niepokój. Nadal martwiłam się, że jego ciało może zostać w każdej chwili – nawet tego samego wieczoru – wyrzucone na brzeg i odkryte. Musiałam wymyślić jakąś przekonującą historię. Zajęło mi to pół godziny.

Zdecydowałam, że jeżeli ciało Toma nie odnajdzie się jeszcze tego dnia, rano napiszę do niego fałszywy liścik z informacją, że wróciłam do domu. Kiedy zadzwoni któryś z jego znajomych z pytaniem, dlaczego Toma nie było na pokazie monster trucków, albo wspólnik będzie chciał wiedzieć, czemu mąż nie przyszedł do pracy, albo w ogóle ktokolwiek, łącznie z jego siostrą, powiem, że pokłóciliśmy się i Tom postanowił dłużej zostać w Kaskadzie.

Przyjechaliśmy każde swoim autem, więc moja historia o tym, że wróciłam sama do domu, miała ręce i nogi. W końcu ktoś postanowi odwiedzić go w Cullerton, ale zastanie pusty dom. Samochód nadal będzie stał przed chatą, w szafie nadal będą się znajdowały ubrania Toma. Zaczną się poszukiwania i prędzej czy później ciało zostanie odnalezione. Okropny wypadek. Będę musiała udawać wstrząśniętą i zrozpaczoną. Na razie nie czułam nic poza otępieniem.

To właśnie ono doprowadziło mnie do upadku.

Mary przyjechała wieczorem do Kaskady, ponieważ Tom nie odbierał telefonu. Od samego początku potraktowała moją opowieść z podejrzliwością, po części dlatego, że popełniłam błąd i zostawiłam ślady krwi Toma w łazience. Zagroziła, że powiadomi policję, przez co spanikowana zaczęłam sama sobie zaprzeczać, tak jak wtedy, kiedy powiedziałam, że przysłał mi esemesa, chociaż zostawił telefon w chacie. Płatałam się. Po tym, jak wyszła, sprawy potoczyły się jeszcze gorzej. Zamiast trzymać się planu, wymyśliłam nowy, kompletnie idiotyczny.

Wieczorem spakowałam rzeczy Toma do walizki. Szukałam insuliny, ale nie było jej w apteczce, więc uznałam, że miał ją w plecaku, mimo że przed wyjściem przyjął dawkę. Miałam wrażenie, jakby mój mózg nie nadążał za działaniami – jakbym była gapiem przyglądającym się poczynaniom innej osoby.

Wiedziałam, że muszę się pozbyć jego telefonu. Miałam udawać, że go zabrał, ale też zrobić tak, żeby nikt nie mógł się do niego dodzwonić – bo przecież Tom i tak by nie odebrał. Włożyłam go do mikrofalówki, w której zniszczyłam go w kilka sekund. Tom sam pokazał mi tę sztuczkę parę miesięcy wcześniej, kiedy to rozwalił mój aparat po tym, jak ochrzaniłam go za bałagan w salonie. Dla pewności usmażyłam kartę na patelni, a obudowę połamalam na kawałeczki. Bateria, karta i cała reszta wyładowały na dnie strumienia.

Spaliłam zakrwawioną bluzkę w palenisku.

Wiedziałam, że wczesnym rankiem miał się zjawić miejscowy ogrodnik do drobnych prac. Zaplanowałam, że zapłacę mu za odprowadzenie samochodu Toma i ukrycie go. Wyjaśniłam, że chcemy z Tomem wyjechać moim autem za granicę, a jego bmw przechować przez ten czas w jakimś bezpiecznym miejscu. Poprosiłam, żeby nie zaglądał do bagażnika; uprzedziłam, że jest tam kamera i będziemy wiedzieli, jeśli to zrobi. Kazałam mu zatrzymać kluczyki do momentu, gdy będą mi potrzebne.

Wszystko było gotowe. Kiedy znajomi przyjadą do Kaskady, nie znajdą tam ani Toma, ani jego rzeczy. Jak brzmiał mój nowy durny plan? Udawać, że Tom ma romans i uciekł ode mnie.

Wieczorem usiadłam na stopniach i zalałam się łzami. Płakałam do późnej nocy. Modliłam się, żeby się okazało, że Tom żyje. Na każdy szelest w lesie zrywałam się na nogi, myśląc, że to on – z trudem przedziera się przez zarośla, wiedziony rozpaczliwym pragnieniem powrotu do mnie.

Panika i złudna nadzieja zawładnęły mną do tego stopnia, że nie odrywałam wzroku od strumienia na wypadek, gdyby Tom próbował wspiąć się na brzeg. Wmawiałam sobie, że przeżył. Nie dbałam o to, że najprawdopodobniej poszedłby na policję i trafiłabym do więzienia za próbę zabójstwa. Chciałam, żeby nie był martwy – nawet za cenę własnej wolności.

Mijały godziny. Zdezorientowany Tom z zakrwawioną głową nie wyłonił się z lasu. Nie wygramolił się z wody. Rzeczywistość powoli wywazała drzwi mojego zaprzeczenia: mój mąż odszedł na zawsze.

Plan był koszmarnie zły. Rano dotarło to do mnie z całą mocą. Wstrząs wywołany śmiercią Toma i zawziętość, z jaką jego siostra miotała oskarżenia pod moim adresem, wytrąciły mnie z równowagi. Wiedziałam, że jeżeli Tom zostanie odnaleziony martwy w pobliżu chaty, ale jego samochodu i ubrań tu nie będzie, podejrzenie z pewnością padnie na mnie. Lepiej było wrócić do początkowej wersji i udawać, że Tom został w Kaskadzie.

Nawet teraz nie wiem, dlaczego tego nie zrobiłam. Ale stało się. Załadowałam walizkę Toma i moje pokrwawione džinsy do bagażnika bmw, zapłaciłam ogrodnikowi za odprowadzenie samochodu i pojechałam do domu.

Bezpośredni atak ze strony Mary, tak naprawdę pozbawiony podstaw, sprawił, że kiedy ponownie zjawiała się pod moimi drzwiami, tym razem w Sheffield, zareagowałam bez zastanowienia. Gdy zażądała, żebym ją wpuściła, bo chce się zobaczyć z Tomem, z jakiegoś powodu powiedziałam jej, że Tom leży chory. Powinnam była trzymać się historii o tym, że został w Kaskadzie. Wiedziałam jednak, że nie uwierzy w żadne moje słowo – i to zmusiło mnie do podjęcia kroków, których do dziś żałuję.

Udawałam, że Tom nadal żyje, ale teraz potrzebowałam dowodów. Nie miałam już jego starego telefonu, dlatego postanowiłam przekonać wszystkich, że kupił nowy aparat – i z niego napisał do mnie esemesa. Pierwszą wiadomość wysłałam po prostu z domu i to był błąd. Aby wysłać drugą, pojechałam aż do Bradford.

Te działania mogą sugerować, że zaplanowałam zabicie Toma, ale przysięgam, że tak nie było. Przyznaję, spowodowałam jego śmierć i próbowałam zatuszować ten fakt. Natomiast wszelkie dowody sugerujące, że robiłam to z premedytacją, są zwykłym zbiegiem okoliczności. Kiedy mówiłam, że Tom prosił mnie o zrobienie tej czy innej rzeczy, na przykład zamówienie wyceny samochodu, rezygnację z planu emerytalnego i tak dalej, nie kłamałam. Naprawdę tak było. Dotyczy to również zwiększenia kwoty jego polisy na życie. Absolutnie nie zabiłam Toma dla pieniędzy.

Wolałabym, żeby nadal żył.

MARY

W piątkowy deszczowy poranek jadę do sądu rozpoznawczego wysłuchać przyznania się Lucy do winy. Chcąc uniknąć całego tego zamieszania z zajmowaniem miejsc, rozkładaniem dokumentów i nie wiadomo czym, postanawiam wejść na salę kwadrans po wyznaczonym na dziewiątą terminie posiedzenia. Wszystko to, co wczoraj wieczorem usłyszałam od komisarza Reavleya, jeszcze nie do końca do mnie dotarło, o czym miałam się boleśnie przekonać.

Zostawiam samochód na parkingu pobliskiego Premier Inn i niespiesznym krokiem ruszam na Castle Street. Niedaleko wejścia do sądu znajduje się duży mural na szczytowej ścianie budynku. Składa się z trzydziestu tysięcy różnokolorowych cegieł tworzących wizerunek mężczyzny w szaliku i kasku. Kilka tygodni temu ktoś namazał na nim przekleństwa pod adresem górników i gazety błyskawicznie potępiły i zarazem wyśmiały wandalę, po części dlatego, że mural przedstawiał nie górnika, tylko hutnika.

Myślę o Lucy i o tym, jak zostanie osądzona. Mam nadzieję, że nikt nie zrozumie opacznie jej kręactw.

Kiedy ją aresztowano, wydawało mi się, że już nigdy nie wyjdzie na wolność. Wyrok za morderstwo oznacza karę dożywocia, ale okazuje się, że to nie wchodzi w rachubę. Prokuratura zgodziła się zmienić kwalifikację czynu, ponieważ dowody świadczące przeciwko Lucy są słabe.

Nie znaleziono ciała, a więc brak najważniejszego: materiału dowodowego z sekcji zwłok. Gdyby się nie przyznała albo zaprzeczyła, że zadała Tomowi cios, prokurator miałby naprawdę duży problem z udowodnieniem, że rzeczywiście zabiła mojego brata. Zresztą nawet gdyby zwłoki Toma się znalazły i miały ranę głowy spowodowaną uderzeniem kamieniem albo o kamień ze strumienia, obrońca Lucy przekonywałby, że rana powstała, kiedy Tom przypadkiem wpadł do wody. Za dużo zachodu i utrapienia, dlatego: nieumyślne spowodowanie śmierci.

Czyli właściwie policja uwierzyła sprawczyni na słowo, że wszystko wydarzyło się dokładnie tak, jak to opisała. Lucy nie zostanie zapamiętana jako morderczyni, chyba że nagle odnajdzie się ciało Toma i będzie nosiło na przykład liczne rany klute. Ta myśl sprawia, że mój krok staje się odrobinę mniej pewny.

Ale to jeszcze nie wszystko. Wyroki za nieumyślne spowodowanie śmierci bywają rozmaite, długość kary będzie zależała od sędziego, który podejmie decyzję w oparciu o „kluczowe elementy” sprawy. Wiele z nich niestety przemawia na korzyść tej przekłętej suki. Wprawdzie usiłowała ukryć prawdę, ale w końcu przyznała się i okazała skruchę. Te brednie, jakoby Tom próbował ją zgwałcić, dodają element prowokacji i obrony własnej. No i jeszcze to, że nie zginął od ciosu kamieniem, tylko utonął.

Świadczą o tym wyłącznie jej słowa – w które uwierzyli.

I wisienka na gorzkim torcie: od Reavleya dowiedziałam się o istnieniu czegoś takiego jak „oświadczenie o doznanej krzywdzie”. Powiedział – chcąc podnieść mnie na duchu – że pozwoli mi to w jakimś stopniu wpłynąć na opinię sędziego. Czyli jeśli zaleję się łzami i jękając się, opowiem, jaki to emocjonalny i psychologiczny koszmar Lucy zgotowała swoim podłym uczynkiem rodzinie i znajomym Toma, sędzia wlepi tej jędzy dodatkowych parę latek?

Wątpię. Lucy ma doświadczenie w wymuszaniu współczucia płaczem. Przed sędzią będzie mogła się popisać i udowodnić, jaka jest biegła w manipulacji emocjonalnej. Odmaluje Toma jako szatana w ludzkiej skórze i nie zdziwię się, jeśli wyniosą ją stamtąd w lektyce, a sąd zamiast skazać ją na karę więzienia, wystosuje wobec trupa akt oskarżenia o gwałt. Nie, nie napiszę oświadczenia, bo gotowa wykorzystać je w swoich machinacjach.

Oczywiście przemawia przeze mnie gorycz, ale chyba mam do tego prawo? Najniższa kara za nieumyślne spowodowanie śmierci wynosi – choć trudno w to uwierzyć – zaledwie dwa lata. Zdaniem Reavleya Lucy zapewne nie dostanie o wiele więcej. Uprzedził mnie nawet, że istnieje prawdopodobieństwo – niewielkie, ale jednak – że biorąc pod uwagę wszystkie czynniki przemawiające na jej korzyść, Lucy uda się uniknąć kary więzienia. Więc co: wyrok w zawieszeniu? Prace społeczne? Za zabicie mojego brata. To ma być sprawiedliwość? Jeśli tak się stanie, własnoręcznie pozbawię ją życia.

Bez względu na brzmienie orzeczenia, przynajmniej najbliższe dni suka spędzi za kratkami. Reavley powiedział, że wszystkie sprawy mają swój początek w sądzie rozpoznawczym, który z zasady nie może rozstrzygać w sprawach o morderstwo i od razu musi kierować je do sądu koronnego, nawet jeśli wie, że oskarżony zamierza przyznać się do winy. Podczas tak zwanego posiedzenia w celu wysłuchania przyznania się do winy i ustalenia sposobu dalszego prowadzenia sprawy sędziowie mogą: odczytać jej wyrok, pozostawić ją w areszcie śledczym do ogłoszenia wyroku albo postawić ją w stan oskarżenia, o ile nagle zechce się bronić przed zarzutami. Dzisiejsze posiedzenie służy jedynie potwierdzeniu, że sprawą musi się zająć sąd wyższej instancji, ponieważ jeśli chodzi o sprawy o zabójstwo, sądy rozpoznawcze również mają związane ręce. Zatem nawet jeśli Lucy ostatecznie miałoby się upiec, nie stanie się to wcześniej, niż kiedy jej sprawa trafi przed oblicze sądu koronnego, a więc za kilka tygodni, kto wie, może miesięcy. Cały ten czas spędzi w celi, czekając na decyzję. W porządku, lepsze to niż nic.

A kiedy będzie już wiadomo co i jak, Lucy ucierpi niezależnie od tego, jaki zapadnie wyrok. Przyznanie się do winy oznacza wyrok za nieumyślne spowodowanie śmierci. W papierach Lucy Packham oficjalnie będzie figurowała jako zabójczyni i ta łątka będzie się za nią ciągnęła wszędzie i zawsze. Nie poczuję, że wygrałam, i nie będę mogła powiedzieć, że sprawiedliwości stało się zadość, ale trudno, zadowolę się i tym.

Wpatrzona w mural robię krok do tyłu, lecz nagle coś wpada na mnie i prawie zwala z nóg.

– Jezu! – krzyczy jakaś kobieta.

Odwracam się i widzę wysoką czarnoskórą kobietę w garsonce. Klęka i zbiera dokumenty, które wysypały się z jej aktówki. W normalnych okolicznościach na pewno prezentuje się bardzo elegancko w takim stroju, ale teraz wykrzywia usta i dyszy jak wściekłe zwierzę, rozpaczliwie zgarniając kartki. Nikomu nie wadziłam i to ona na mnie wpadła, ale robi mi się jej żal.

– Pomogę pani – mówię i sekundę później klęczymy już obie. Wylewa z siebie potok przeprosin, aż orientuje się, że trochę zaczyna mnie to drażnić. Podaję jej dokumenty, które chowa do aktówki. Potem jeszcze wyciągam do niej rękę, żeby mogła wstać, bo ma tak wąską spódnicę, że chcąc choć trochę rozsunąć nogi, musiałaby zadrzeć ją wysoko. Zgubiła

jeden but. Leży pod ścianą. Podnoszę go i rozglądam się za brakującym obcasem.

– Niech pani da spokój, obcas odpadł już wcześniej. Strasznie się spieszę. Przepraszam, że na panią wpadłam.

Podaję jej but, kolejny raz powtarzam, że nic się nie stało, i pytam, czy jest prawniczką.

– Chętnie bym porozmawiała, proszę mi wierzyć, ale w tej chwili nie mogę pani pomóc. Proszę do mnie zadzwonić, dobrze?

– Nie, tak się tylko zastanawiałam, bo przecież sąd jest tuż...

Nie pozwala mi dokończyć. Wciska mi do ręki swoją wizytówkę i szybko się oddala, kuśtykając na bucie bez obcasa.

Zanim wizytówka wyląduje na dnie kieszeni, jakiś impuls każe mi się jej przyjrzeć. „Louisa Beckham, adwokat”. Nie mam zielonego pojęcia, czym się różni adwokat pracujący w sądzie od zwykłego, z kancelarii¹, ale wiem, że obaj znają prawo, to oczywiste. Niewykluczone, że pani adwokat będzie umiała mi pomóc.

Dociera do mnie, że nie mam nikogo, kto mógłby mi doradzić albo pomóc mi obronić moją pozycję w sądzie. I zdecydowanie będę potrzebowała kogoś w przyszłości, jeśli cholerna Lucyferka złoży apelację od wyroku albo zażąda autopsji zwłok mojego brata, o ile się odnajdą. Ma kogoś, kto potrafi czynić cuda na sali rozpraw – i ja też chcę. Chowam wizytówkę do torebki i ruszam do sądu.

Zatrzymuję się w połowie wysokiej kładki prowadzącej do budynku. Widzę, że Reavley czeka na mnie przy drzwiach, ale nie mogę się zmusić, by iść dalej. Na tle mdłej fasady paleta postaci. Na każdy elegancki garnitur obrońcy albo sędziego przypada sprany, znoszony dres. Przed wejściem stoją miejscowe oprychy i palą papierosy, czekając na wezwanie na salę sądową. Ci ludzie, wraz z szarym niebem i wyzutym z wszelkiej barwy deszczem, pozbawiają mnie resztek determinacji. Raptem uświadamiam sobie, że wcale nie mam ochoty tu być. Bo po co?

Wtedy zauważam Lucy.

Przechodzi przez podwójne drzwi. Towarzyszy jej mężczyzna w garniturze i pół kroku z tyłu trzech kolejnych, ubranych w zwykłe ciuchy. Ten obok niej jest najwyraźniej jej adwokatem, bo stara się ją osłaniać przed pozostałymi. To pewnie dziennikarze. Nie widzę kamer, ale trzech facetów z tyłu trzyma telefony w wyciągniętych rękach. Lucy i adwokat idą szybkim krokiem, próbując ich zgubić.

Nie rozumiem. Jest dopiero dwadzieścia po dziewiątej – czyżby posiedzenie już się skończyło? Chyba nie wypuszczono jej na wolność? Lucy jest ubrana w szarą garsonkę, wygląda elegancko, gotowa zrobić fałszywe wrażenie na sędzie. Ale wydaje się też niezadowolona, więc cokolwiek się wydarzyło, nie poszło po jej myśli. Widzę, jak wyciera oczy. Oboje zmierzają w moją stronę, ignorując pytania dziennikarzy. Schodzę z drogi, przywieram plecami do barierki. Co się dzieje?

Lucy wbija wzrok w ziemię, słucha swojego papugi i nie zauważa mnie... dopóki nie wypalę:

– A ty dokąd? Nie powiesz mi, że puścili cię wolno.

Posyła mi krótkie, pełne rozczarowania spojrzenie. Jej adwokat zajmuje pozycję pomiędzy mną a nią.

– Mary Packham? Nie wolno pani rozmawiać z moją klientką.

Szybko mnie mijają. Nie idę za nimi, ale też nie zamierzam odpuścić.

– Nie możesz po prostu pojechać do domu. Nie masz przyjaciół, sąsiedzi nie będą chcieli z tobą rozmawiać i nawet ta twoja durna robota polega na siedzeniu samej w pokoju i nagrywaniu filmików. Dokąd pójdziesz? Do kogo się zwrócisz? Nigdzie. I do nikogo.

– Proszę trzymać się z daleka od mojej klientki. Tak brzmi nakaz sądowy. Rozumie to pani? Proszę nie zbliżać się do niej i do jej domu.

Nakaz sądowy?

– Nawet ten kretyń nie jest po twojej stronie. Po prostu robi to, za co mu płacą.

Doprowadza mnie do szału tym, że nawet nie raczy się odwrócić. Mam ochotę rzucić się na nią z pięściami... co byłoby głupie, bo jest większa ode mnie. Skoro zdołała pokonać silnego mężczyznę, jakim był Tom, mnie starłaby na miazgę. Ale przynajmniej diabli by wzięli jej poręczenie.

Odprowadzam ich wzrokiem.

– Mary.

Przenoszę spojrzenie w kierunku budynku sądu. Reavley właśnie wyszedł i idzie w moją stronę.

– Jak to możliwe, że już po wszystkim? – pytam, kiedy dzieli go ode mnie jeszcze kilka kroków. – Co tam się wydarzyło?

Podchodzi do mnie i dopiero wtedy zaczyna wyjaśniać. Okazuje się, że sądy są skrupulatne w kwestii punktualności. Posiedzenie rozpoczęło się równo o dziewiątej i zakończyło osiem po. Lucy spędziła w sądzie osiem minut.

Zaczyna boleć mnie głowa.

– Ale dlaczego wyszła stąd wolna? Powinna czekać w areszcie, aż sprawa trafi do sądu koronnego. Sam pan mówił, że sądy rozpoznawcze nie mają nic do powiedzenia w sprawach o zabójstwo.

Sprawia wrażenie speszonego.

– To prawda. Ale sędzia zapytał ją, czy zamierza przyznać się do winy. Odpowiedziała, że tak. Na tym etapie sąd musi przekazać sprawę najszybciej, jak to możliwe. obrońcy, którą wyznaczył adwokat Lucy, przez lata zawarła sporo przydatnych znajomości, między innymi ze specjalizującym się w sprawach o morderstwo sędzią sądu hrabstwa. Wcześniej rano przesłała mu dokumenty, więc wszystko było przygotowane. Wiele razy widziałem taką niemal taśmową robotę w sądzie, ale po raz pierwszy spotkałem się z aż tak przyspieszonym trybem. Sędziowie na miejscu połączyli się z sędzią sądu hrabstwa za pomocą wideokonferencji i ten zwolnił Lucy za poręczeniem. Rach-ciach i załatwione. Adwokatka chyba spieszyła się na randkę, bo wyszła w takim pędzie, że zgubiła obcas. Przykro mi, Mary.

Chwileczkę. Zgubiła obcas? Czyli to ta baba załatwiła Lucy zwolnienie? Żałuję, że cofając się, nie wystawiłam łokcia, przynajmniej złamałabym jej nos. Oby następnym razem wpadła pod ciężarówkę. Czuję pieczenie na języku – że też ją przeprosiłam, nie wiedząc, co właśnie zrobiła z moim światem.

Cóż, jest tylko niewielkim trybikiem w maszynie, która wypuściła zabójczynię mojego brata na wolność.

– Ale dlaczego na to pozwolili? Przecież mówił pan, że tak się nie zdarza.

– Mówiłem, że prawdopodobieństwo jest niewielkie, ale istnieje. Proszę sobie przypomnieć. Sędziowie uznali, że nie będzie utrudniała postępowania. Nie wyjedzie z kraju ani nie będzie groziła świadkom. Poza tym nadal nie wiadomo na sto procent, że Tom nie żyje. Jej obrońcy użyła przekonujących argumentów.

Niewiarygodne.

– Przecież ona ma za sobą pobyt w szpitalu psychiatrycznym. Wiem, że mordercy rzadko wychodzą za poręczeniem, dlatego nie rozumiem, jak udało się to komuś, kto stanowi zagrożenie dla społeczeństwa.

– O ile mi wiadomo, sąd nie dysponował tą informacją. Uzyskanie dostępu do akt medycznych sprzed lat, w dodatku za granicą, to długi

i złożony proces. Tu nie było takiej potrzeby, skoro Lucy zamierza przyznać się do winy.

Nie dam się zwieść.

– Czysta polityka, prawda? Zaczęła mówić o gwałcie i nagle się okazuje, że nie można posłać za kratki kobiety, która przypadkowo zabiła napastnika.

Wydaje się jeszcze bardziej zażenowany, pewnie dlatego, że sam też jest tylko niczym więcej jak trybikiem w tym mechanizmie.

– Nie wiem. Liczy się to, że uzyskała zwolnienie za poręczeniem. Do tego mediom nie wolno ujawniać jej nazwiska ani wizerunku. Sama ma zakaz kontaktowania się z dziennikarzami. Nie może pojechać do Cullerton ani nawet wrócić do swojego domu, dopóki policja nie zakończy czynności. Musi trzymać się z daleka od pani i rodziny Toma.

Dlatego adwokat zabronił jej się zbliżać. Nie ma czego świętować. Nie mogę uwierzyć – dziś po raz ostatni miała liźnąć wolności, a tymczasem może nawet nie trafić za kratki. Media też sobie na niej nie użyją. Pojedzie do siebie i położy się spać w pustym łóżku, jak gdyby nigdy nic. Muszę przysiąc.

Ale jeszcze nie teraz. Powoli uczę się rozszyfrowywać miny Reavleya i wiem, kiedy chce powiedzieć coś ważnego. Coś, co prawdopodobnie mi się nie spodoba.

– O co chodzi? Niech pan mówi.

Opiera się łokciami o barierkę. Robię to samo. Stoimy, patrząc przed siebie, jak dwoje ludzi, którzy podziwiają piękny widok.

– Jest kilka niejasnych kwestii. Niektórzy ludzie z mojego zespołu mają wątpliwości. Przede wszystkim nadal nie udało się odnaleźć ciała.

Wczoraj powiedział, że strumień Low Man „to nie Kanał Sueski” i jest w nim sporo płycizn, na których wszystko, co większe i cięższe od łódki z papieru, zatrzymałoby się na kamieniach – tak jak plecak Toma. Ale ekipy poszukiwawcze przeczesaly koryto strumienia aż do drugiego końca wąwozu, tam gdzie wpada do rzeki Darwen, i nie natrafiły na żaden ślad. Pozostały do sprawdzenia głębsze odcinki, których zbadanie wymaga zaangażowania nurków, ale nikt nie wierzy, że akcja zakończy się sukcesem.

– Proszę nie zapominać, że teraz wody w korycie jest stosunkowo mało. Kiedy Tom zaginął, padał deszcz, strumień był wezbrany, nurt szybszy... – Irytuję się sama na siebie za te słowa, bo czuję się, jakbym stawała po

stronie Lucy. Nadal nie jestem przekonana, czy nie zakopała go w lesie. Krew w łazience w Kaskadzie upewniła mnie, że Tom nie zginął tak, jak ona to opisuje. Moim zdaniem kłamie, ponieważ prawda zniweczyłaby jej nadzieje na kwalifikację czynu jako nieumyślne spowodowanie śmierci i w rezultacie łagodniejszy wyrok.

– Niewykluczone – przyznaje Reavley po krótkim wahaniu. – W następnej kolejności oczywiście przeszukamy Darwen.

Nadal ma to spojrzenie. Wcale nie chodzi o rzekę, tylko o coś innego. Każe mu to wreszcie wykrztusić.

– Na komputerze firmowym Toma, który zabraliśmy z biura agencji, na jego firmowej skrzynce pocztowej znaleźliśmy potwierdzenie zamówienia złożonego na stronie firmy Banas. Firma ma swoją siedzibę w Indiach i produkuje urządzenie o nazwie Timesulin. To inteligentna nasadka na wstrzykiwacz, kosztuje około piętnaście funtów. Przesyłkę dostarczono do agencji dwa dni przed zaginięciem Toma. Wczoraj, gdy przesłuchiowano Lucy, przeszukaliśmy biuro, ale nie znaleźliśmy tego przedmiotu.

– Nie rozumiem. Czemu ta nasadka jest taka ważna?

– Ponieważ nie jest zwyczajna. Nakłada się ją na wstrzykiwacz po to, żeby śledziła częstotliwość podań insuliny i przypominała, ile czasu minęło od ostatniego razu. Nie wiedziałem, że Tom używał wstrzykiwacza.

Nareszcie pojmuję – i żałuję tego.

– Chce pan powiedzieć, że miał przy sobie wstrzykiwacz, a więc nie potrzebował buteleczki? Że sam umieścił ją w koszu w Kaskadzie? Dlaczego miałby to robić? Nie, nie pozbyłby się dobrej insuliny. Lucy ją wyrzuciła. Błagam, niech pan nie mówi, że wierzy w jej niewinność. Przecież jest tak wiele rzeczy, które świadczą przeciwko niej.

– Ot, zagadka.

Zaczyna kręcić mi się w głowie. Nie potrafię ukryć frustracji. Odsuwam się od niego.

– Nie, komisarzu, żadna zagadka. Nie możecie znaleźć ciała Toma, a teraz jeszcze podejrzewa pan, że Tom może mieć ukryty zapas insuliny. Myśli pan, że on żyje, prawda?

– Tego nie powiedziałem. Po prostu są pewne pytania, które pozostają bez odpowiedzi.

– Nie natrafiliście na nic, co mogłoby świadczyć, że Tom żyje. Nie macie żadnych śladów cyfrowych, jak pan to ujął. Poza tym Lucy się przyznała –

mówię tak głośno, prawie krzyczę, że kilka osób zerka w naszą stronę. Reavley robi zaniepokojoną minę, łapie mnie za łokieć i odciąga.

– Mój Boże. Niby gdzie teraz jest? Ukrywa się? Wierzy pan w tę bajeczkę Lucy, że Tom spłatał nam wszystkim jednego wielkiego figła? Siedzi w lesie w niewygodach, żeby móc się trochę pośmiać? A może zaszył się u tej swojej urojonej kochanki?

– Nie powiedziałem, że Tom żyje – odpowiada Reavley, ale dopiero, kiedy zatrzymujemy się na trawniku po zejściu z kładki prowadzącej do wejścia do sądu. – Gdybym tak uważał, nie zawracałbym sobie głowy doprowadzaniem jego żony na salę rozpraw. Ale muszę przyznać, że nie spodziewałem się po pani takiej reakcji na ewentualność, że Tom jednak nie umarł.

– To dlatego, że nie jestem głupia, Aaronie. Gdyby naprawdę istniała szansa, że mój brat nadal żyje, skakałabym z radości. Jak pan śmie mówić, że mi nie zależy? Wiem, że Tom jest martwy, i lepiej, żebyście wy też o tym pamiętali. – Wyszarpuję łokieć z jego uścisku. – Nie wierzę w ani jedno słowo tej wiedźmy. Nie było żadnej próby gwałtu i nie zabiła Toma „niechcący”. Przekonacie się, kiedy zobaczycie jego zwłoki. Jeśli nie będzie go w rzece, dajcie sobie spokój z teoriami spiskowymi i zaczniacie przekopywać las. Sprawdźcie, czy nie porąbała go na kawałki i nie spaliła w palenisku. Tylko go znajdźcie. Bo nie będzie pogrzebu bez ciała.

Trzęsę się ze złości. To zaczyna przypominać jakiś chory koszmar. Mam dosyć i nie chcę mieć z tym już nic wspólnego. Odchodzę, zostawiając go wśród konfetti z wizytówki tej szujowatej adwokatkę.

LUCY

Miałam zarezerwowany pokój w hotelu niedaleko centrum handlowego Meadowhall. Znajomy adwokat wpuszczał mnie do środka bocznym wejściem, jakbym należała do programu ochrony świadków. Byłam wolna, nie musiałam nawet przebywać w areszcie domowym, a mimo to czułam się jak więźniarka.

Pomimo nałożonego na media zakazu rozpowszechniania mojego nazwiska i wizerunku wiele osób kojarzyło mnie i to, co zrobiłam, z szumu, który do tej pory towarzyszył mojej sprawie. I wiele osób wołało nie oglądać mnie w swoim otoczeniu. Nie mogłam wrócić do domu, dopóki policja nie zakończy prac, ale i tak bym tego nie zrobiła. Nie zamierzałam nigdzie się ruszać.

Planowałam zaszyć się w hotelu na całe dziesięć dni, które dzieliło mnie od posiedzenia w sprawie mojego przyznania się do winy. Nie wybiegałam myślami dalej, bo było to dla mnie zbyt bolesne.

Nie mogłam się skupić na telewizji ani na książce, więc postanowiłam wypełnić czas tak jak zwykle wtedy, kiedy czułam się przygnębiona i zniechęcona. Zaczęłam sprzątać. Pokój był niemal nieskazitelnie czysty, dlatego zabrałam się do rzeczy, którymi żadna sprzątaczką nie zwracała sobie głowy. Zdrapałam osad z dna czajnika. Zdjęłam wszystko z łóżka, żeby móc od nowa je pościelić. Usunęłam kurz tam, gdzie ściany łączą się z sufitem. Wygrzebałam brud z rowków wokół przycisków na pilocie do telewizora.

Wiedziałam, że później zrobię to jeszcze raz. Miałam do zmarnowania dziesięć dni, zanim nadejdzie moment, w którym całe moje życie pójdzie na marne.

Ucieszyłam się, gdy w pewnej chwili znalazłam pod szafką nocną czyjś amulet. Prawdziwy żołądź, upieczony i pomalowany, na cienkim łańcuszku. Zamknęłam go w dłoni. Ciekawe, kto go zgubił. Potrzebowałam szczęścia, dlatego uznałam, że nie odniosę go na recepcję.

Sprzątanie nie służyło jedynie zajęciu myśli. Próbowалаm również odwlec konieczność wykonania trudnego telefonu. W końcu doszłam do wniosku, że czekaniem tylko pogarszam sprawę. Wzięłam aparat, oparłam się czołem o szybę i spoglądając na ostrzący sobie na mnie język świat, wpisałam numer z pamięci.

– Kto mówi? – odezwała się podejrzliwym tonem Leona.

No tak, przecież nie kojarzy tego numeru. Policja zarekwirowała mój aparat, adwokat załatwił mi tanie urządzenie na kartę, żeby móc się ze mną kontaktować. Kiedy Leona usłyszała mój głos, podejrzliwość ustąpiła zaniepokojeniu.

– Luce? Och, skarbie, wszystko w porządku? Próbowалаm się dodzwonić, ale...

– Policja zabrała mi telefon. Przepraszam.

– Wiem. Odebrali, wyobraź sobie. Nie chcieli powiedzieć, skąd mają telefon ani gdzie jesteś, ale próbowali wypytywać mnie o ciebie. Kazałam im spadać na drzewo. Aresztowali cię, prawda?

Wybuchnęłam płaczem. Leona w milczeniu czekała, aż się pozbieram. Zdawałam sobie sprawę, że pora wyznać jej prawdę. Z jakiegoś powodu łatwiej było mi to zrobić przez telefon.

Powiedziałam jej wszystko, niczego nie pomijając. Na koniec poprosiłam ją, żeby dała mi chwilę, rozłączyłam się i zadzwoniłam ponownie po dziesięciu minutach, kiedy wzięłam się w garść. W czasie mojej telefonicznej spowiedzi nie odezwała się słowem, a potem przerwałam połączenie, zanim zdążyła w jakikolwiek sposób zareagować. Teraz, wybierając jej numer, modliłam się, żeby się okazało, że nie usłyszała mojej płacziwej opowieści.

Gdyby tak było, zataiłabym ją przed nią. Nie miałam prawa obarczać jej swoimi problemami tak szybko po tym, jak odnowiliśmy naszą znajomość. I nie chciałam, żeby mnie znienawidziła. Była moją jedyną przyjaciółką.

Ale usłyszała – i nie osądzała mnie.

– Czy policja zna numer, z którego dzwonisz? – spytała.

– Nie, adwokat im go nie podał. Kontaktują się ze mną przez niego.

– To dobrze. Bo mogliby nagrywać rozmowy czy coś. Na wszelki wypadek: ej, palanty, zostawcie moją Luce w spokoju.

Zaśmiałam się, ale nie zabrzmiało to naturalnie.

– Zachowaj spokój i bądź w kontakcie z adwokatem – ciągnęła Leona. – Posłuchaj, nie chcę cię straszyć, ale zależy mi, żebyś nie była zaskoczona. Skoro policja nadal przeszukuje twój dom, to oznacza, że nieumyślne spowodowanie śmierci ich nie satysfakcjonuje.

– Nie rozumiem. Przecież przyjęli moją historię.

– Bo nie mają nic innego. Ale mają czas do następnego posiedzenia sądu.

– Na co?

– Na to, żeby coś znaleźć. Jakiś dowód, który pozwoli im oskarżyć cię o morderstwo.

Przeszedł mnie dreszcz. Zrobiliby to? Wbiliby mi nóż w plecy po tym, jak zawarliśmy układ?

– Skąd wiesz?

– Zaszachowałaś ich, a oni tego nie lubią. Są jak korporacja, zależy im na wynikach, na liczbach. Poczytałam trochę o brytyjskim prawie i prześledziłam kilka spraw.

Nie przypuszczałam, że Leona będzie śledzić, co się ze mną dzieje. Dowiedziała się, że niektórzy podejrzewają mnie o zamordowanie męża, i odtąd uważnie przypatrywała się rozwojowi wydarzeń. Na pewno już wiedziała o aresztowaniu, może nawet o mojej wizycie w sądzie, a jednak, pomimo wszystkich dowodów świadczących przeciwko mnie, nie

przyjmowała tego do wiadomości. Nie wątpiła w prawdziwość mojej wersji zdarzeń. Nagle zrobiło mi się głupio, że byłam wobec niej nielojalna.

– Przepraszam, że skłamałam, Leono. Powinłam była ci powiedzieć. Mogłam od początku mówić ci całą prawdę. Ale nie chciałam, żebyś mnie znienawidziła.

– Nie, nie, nie. – Wyobraziłam sobie, jak obiema rękami ściska telefon, a po jej policzkach płyną łzy. – Aby to się stało, musiałabyś zabić moją żonę, a nie swojego męża. Przykro mi, że Tom nie żyje, i współczuję jego rodzinie i przyjacielom, ale dla mnie najważniejsza jesteś ty. Zawsze będę po twojej stronie. Nie gniewam się, że mi nie powiedziałaś. Po prostu musiał nadejść odpowiedni moment. Posłuchaj, nie rozmawiajmy o tym teraz. Nie musisz się martwić. Przylecę do ciebie, już niedługo, i razem spędzimy miło czas, zobaczysz.

– Byłoby świetnie. – Naprawdę tego chciałam, ale nie wydawało mi się to możliwe, przynajmniej nie tak, jak przedstawiła to Leona. Nasze pierwsze spotkanie po latach najpewniej będzie miało miejsce w więzieniu, na widzeniu, z oddzielającą nas szybą i słuchającymi naszej rozmowy strażnikami. – Posiedzimy tu, w pokoju hotelowym, pooglądamy telewizję i pogadamy o niczym.

– Ale też trochę o czymś. Bo przecież będziesz musiała zeznawać w sądzie, prawda?

– Nie jestem pewna. Podczas ogłoszenia wyroku moja adwokatka ma wspomnieć o okolicznościach łagodzących. Chodzi chyba o to, że przedstawi mnie w takim świetle, żeby zdobyć jak największą przychylność sędziów i w rezultacie obniżyć karę.

– Doskonale. Moim zdaniem sama powinnaś wygłosić tę mowę w swojej obronie. Sędzia na pewno to kupi.

Wątpliwe. Nawet jeśli zrobię na sędzim wrażenie niewinnej i nawet jeśli zrozumie, że zostałam sprowokowana przez Toma, wszystko to straci znaczenie wobec oświadczenia o doznanej krzywdzie ze strony Mary, która stanie przed sądem i rozgromi mnie. Przedstawi Toma jako niewinną ofiarę Lucyferki i kiedy zakończy swoją tyradę, nie będzie na sali jednej osoby, która uważałaby, że nie stanowią zagrożenia dla społeczeństwa i nie trzeba mnie zamykać. Byłam gotowa się założyć, że nawet protokolant pomoże tłumowi zaciągnąć mnie na prowizoryczną szubienicę. Nie, szkoda czasu na oświadczenie, które zostanie w sposób żenujący przyćmione wystąpieniem Mary.

Nie powiedziałam tego Leonie. Zamiast tego zapewniłam ją, że postaram się najlepiej, jak umiem – żeby się nie martwiła.

Zamilkła. Wiedziałam, że powie coś przykrego.

– Zadzwońłam do twoich rodziców.

Wzięłam kilka głębszych oddechów.

– Skąd wiedziałaś? To znaczy, jak...

– Dowiedziałam się, gdzie ich znaleźć, i po prostu zadzwoniłam. Odbyliśmy długą rozmowę. Chcą, żebyś się do nich odezwała.

Nie wiedziałam, jak powinnam się czuć. Rodzice nigdy mnie nie szanowali i nie łudziłam się, że moja obecna niesława pomoże zniwelować dzielącą nas przepaść – wręcz przeciwnie. Chciałam zapytać, co wiedzą o sprawie, ale nie musiałam. Siostrzane dusze czytają sobie w myślach.

– Znają część historii – powiedziała Leona. – Słyszeli o sprawie z telewizji i wiedzą, że zostałam aresztowana. Policja skontaktowała się z nimi i wypytywała o ciebie, jakby szukała haków.

Tym razem nie miałam wątpliwości co do emocji. Byłam wściekła: szlag by trafił policję za to, że wciągnęła w to moich rodziców. I bałam się:

– Jakie jest ich nastawienie? No wiesz... do mnie?

Leona nie odpowiedziała.

– Słuchaj, muszę kończyć. Zadzwoń za dwie godziny, dobrze? O piątej. Wtedy porozmawiamy. Bądź pod telefonem. Równo o piątej.

Rozłączyła się, zanim zdążyłam się odezwać. Poczułam się jeszcze bardziej przygnębiona. Rodzice nie próbowali się ze mną kontaktować przez cały mój zjazd do piekła i już wiedziałam dlaczego. Gdyby kierowała nimi wielkoduszość, Leona powiedziałaby mi o tym; gdyby stwierdzili, że nie chcą mieć ze mną nic wspólnego, ponieważ przynoszę wstyd rodzinie – przemilczałaby to. Nie odpowiedziała na moje pytanie, a ja nie miałam w sobie woli, by ponownie wybrać jej numer.

Dwie godziny później przeżyłam ciężki szok. Kiedy punktualnie o piątej odezwał się dzwonek telefonu, wcisnęłam zieloną słuchawkę, ale nie usłyszałam głosu Leony.

– Cześć, Lucy – powiedziała mama.

26

MARY

Kiedy wracam z sądu, tata siedzi z fotelu i ogląda telewizję. Jak tylko otwieram drzwi, macha do mnie telefonem bezprzewodowym.

– Dzwonił jakiś dziennikarz. Mają plecak Toma od policji. Zgubił go? Musisz oddzwonić.

Wahadło taty znów wychyla się w stronę zaćmienia umysłu. To dobrze, chociaż brzmi źle. Jeśli dobrze go zrozumiałam, dziennikarz dowiedział się, że policja odnalazła plecak Toma, i próbował zasięgnąć języka bezpośrednio u rodziny. Dureń mógł nawet wygadać, że Tom nie żyje, ale do taty to nie dotarło.

Biorę telefon i idę do kuchni sprawdzić nieodebrane połączenia. Aparat zaczyna dzwonić mi w rękę. Na wyświetlaczu pojawia się nazwisko pani Johnson, wścibskiej sąsiadki. Wpisałam ją do pamięci w taki sposób, bo ma na imię Mary, co mnie oczywiście drażni. Dzwoni, żeby pożyczyć soli albo w innej sprawie. Wolę nie ryzykować. Odrzucam i blokuję numer.

Pierwsze na liście połączeń jest prawdopodobnie to, które tata odebrał. Oddzwoniam. Tak, to rzeczywiście durny reporter. Przedstawia się imieniem – Alan – i nazwą gazety, tak jakby mnie to obchodziło.

– Kontaktował się pan w sprawie mojego brata.

Muszę podać, o kogo konkretnie chodzi, tak jakby gość przez cały ranek nie zajmował się niczym poza obdzwanianiem rodzin zamordowanych mężczyzn. Wymieniam nazwisko Toma i ton dziennikarza od razu się zmienia. Przerywam mu, zanim zacznie zadawać pytania.

– Żona mojego brata była dziś w sądzie. Została zwolniona za poręczeniem. Podczas kolejnego posiedzenia przyzna się do nieumyślnego spowodowania śmierci. Nazywa się Lucy Packham. Zabiła Toma Packhama, zrobiła to w Cullerton w Lancashire. Niewykluczone, że zakopała zwłoki w lesie. Proszę więcej nie dzwonić.

Mnie zakaz kontaktu z mediami nie obowiązuje.

Sprawdzam wiadomości – bo pewnie ten pismak nie był jedynym, który się dobijał. Nagrała się niejaka Claire ze strony Savannah Crystal. Obiecuje,

że może odnaleźć mojego brata. Jasne. Otwieram stronę: to medium. Kontaktuje się z duchami i w ten sposób pomaga ludziom pogrążonym w żałobie. Oczywiście za odpowiednią opłatą.

Wybieram jej numer, a kiedy się zgłasza, mówię:

– Chce mi pani pomóc odnaleźć brata? To proszę darować sobie bajeczki o tym, że go pani wyczuwa, że jest w pobliżu wody i że cierpi, i przywieźć mi jego ciało na taczce. Wtedy pani zapłacę. Jeśli nie potrafi pani tego zrobić, to proszę, do ciężkiej cholery, więcej nie dzwonić na ten numer.

Wracam do taty. Przekłeta jasnowidzka i dziennikarzyna. A to dopiero jedno przedpołudnie. Udało mi się zdusić te próby w zarodku, ale mogę nie zdołać utrzymać tych pasożytów z dala od ojca. Musi usłyszeć prawdę ode mnie, zanim zobaczy w telewizji, co się stało.

Kładę telefon na podłokietniku jego fotela i klękam przed nim, żeby zasłonić mu ekran. Przesuwa się odrobinę; chce dalej oglądać. Nie wykluczam, że w tym stanie okropna wiadomość, którą mam mu do przekazania, nie dotrze do niego, nie wypali się w jego pamięci i jutro będę musiała to wszystko powtórzyć. I być może pojutrze i później.

Nie mam pojęcia, jak go na to przygotować. Dlatego ograniczam się do jednego krótkiego zdania:

– Tato, Tom nie żyje, Lucy go zabiła.

Jego reakcją jest szok. Jednym okiem wciąż śledząc to, co się dzieje w telewizji, chichocze i powtarza:

– Tom.

Wygląda na to, że dziś rano mgła spowijająca jego umysł jest wyjątkowo gęsta. Ale nie mogę się teraz wycofać.

– Tato, Tom nie żyje. Dlatego do ciebie nie przychodzi. Zabiła go jego żona Lucy. Ta, z którą oglądasz Hotel Zacisze. Uderzyła go w głowę. Rozumiesz?

– Jest w sklepie. Co mu się stało w głowę?

Biorę go za rękę. To się staje coraz bardziej bolesne.

– Uderzyła go. Dlatego nie żyje. Czy rozumiesz, co mówię?

– Nie pasuje mu ten nowy wygląd. Jest żywy? Zadzwoń do niego. – Sięga po telefon i podaje mi go. Odtrącam dłoń, chwytam go za podbródek i usiłuję odwrócić jego wzrok od telewizora, licząc, że to pomoże mu się skupić. Nagle dociera do mnie, że się przesłyszałam. Tata nie powiedział: „Jest żywy?”.

Spytał: „Jest na żywo?”.

Obracam głowę, spoglądam na ekran i wydaję stłumiony okrzyk zdumienia.

Tom.
LUCY

Podobnie jak było z Leoną po wielu latach braku kontaktu, szybko wyzbyłam się zdenerwowania, przełączyłam mamę na głośnik i zaczęłam z nią rozmawiać, jakby była moją najlepszą przyjaciółką, z którą widuję się praktycznie codziennie. I znów dosłownie miałam ochotę skakać z radości. Nerwy powróciły na chwilę, kiedy mama zawołała tatę do aparatu, ale zaraz się rozluźniłam. Zwykle w czasie rozmowy przez telefon wolę słuchać niż mówić, ale tym razem nie dałam się uciszyć.

Teoria, którą sobie ukułam, brzmiała tak, że podczas wcześniejszych, nielicznych rozmów przy okazji świąt albo urodzin starałam się dawać im do zrozumienia, że wiodę szczęśliwe życie, przez co czułam się niezręcznie, sprawiałam wrażenie skrytej i bałam się, że mnie zdemaskują. Teraz nie było mowy o takim wybiegu, nie mogłam powiedzieć ani zrobić już nic, co postawiłoby mnie w jeszcze gorszym świetle, przez co nie miałam nic do stracenia.

Oczywiście dostrzegałam ironię tego, że dotąd ukrywałam się przed rodzicami, ponieważ wstydziałam się swojego życia, a teraz proszę: przechodziłam najgorszy kryzys, jaki mógł mnie dotknąć – i w tym całym zamieszaniu odzyskałam więź z nimi. I było wspaniale.

Opowiedziałam im o Tomie, o pięknym domu, w którym mieszkałam, o swojej pracy nauczycielki niemieckiego i o wszystkim oprócz tego i poza tym. Natomiast omijałam temat niedawnych wydarzeń, jakby był dzikim zwierzem czekającym, kiedy będzie mógł się na mnie rzucić. Robiłam to podświadomie i jak tylko uzmysłowiłam sobie, że znów noszę maskę przy rodzicach, zamilkłam wpół słowa.

– Lucy? – zaniepokoiła się mama. – Co się stało?

– Zabiłam swojego męża, mamó. Zaatakował mnie. Uderzyłam go kamieniem, wpadł do strumienia i utonął. Proszę, powiedz coś.

– Wiemy od Leony – odpowiedział za nią tata. – Ale może sama byś nam o tym opowiedziała?

Dotarło do mnie, że wcześniej, kiedy Leona przerwała naszą rozmowę i obiecała, że oddzwoni o piątej, skontaktowała się z moimi rodzicami i przekazała im to, czego dowiedziała się ode mnie – czyli wszystko. Całą

prawdę. Sądzę, że musieli przeżyć szok: obca kobieta dzwoni i opowiada niestworzone rzeczy o ich córce. Mimo to...

Odezwali się do mnie.

Nie mogli wiedzieć, czy zabiłam Toma przypadkowo, czy z premedytacją. Nie mogli mieć pewności, zwłaszcza po lekturze zjadliwych komentarzy w mediach społecznościowych i jeśli choć przez sekundę posłuchali tego, co Mary miała do powiedzenia na mój temat. Równie dobrze mogłam być nieszczęsną ofiarą, jak i zimną jak lód morderczynią, ale...

Odezwali się do mnie.

Za chwilę miałam się przekonać, że to jeszcze nie koniec dziwnych zdarzeń tego dnia.

W czasie naszej rozmowy dostałam trzy powiadomienia o nieodebranych połączeniach. Za każdym razem dzwonił mój prawnik, a ja za każdym razem go ignorowałam. Powiedziałam sobie, że nic nie zepsuje mojego ponownego spotkania z rodzicami – nawet jeśli doszło do niego tylko na łączach, a nie na żywo – poza tym spodziewałam się, że wszelkie wieści, z jakimi dobija się adwokat, mogą być tylko złe.

Nie mogłam jednak zignorować walenia do drzwi.

Zerknęłam przez judasz i zobaczyłam mojego zziąjanego, spoconego prawnika. Przeprosiłam mamę, obiecałam, że zadzwonię później, i rozłączyłam się. Otworzyłam drzwi – o mało nie wpadł do środka.

– Oglądała pani wiadomości? – wydyszał, machając mi telefonem przed nosem. Chciał, żebym obejrzała nagranie. Wzięłam aparat i przysiadłam na łóżku. Zajął miejsce obok mnie. Wyglądał, jakby miał dostać zawału. Po chwili to samo można było powiedzieć o mnie.

Materiał z Nottinghamshire. Informacja o zaginionym mężczyźnie z Yorkshire, Tomie Packhamie. Policja uznała go za zmarłego i aresztowała bliską mu osobę pod zarzutem zabójstwa. Nie wymieniono mojego nazwiska, ale przecież łatwo można było się zorientować, o kim mowa. Nagle zaskoczenie: pewien miejscowy na spacerze z dziewczyną zauważył Toma. Miało to miejsce tego ranka, zaledwie kilka godzin temu, w Kimberley na północny zachód od Nottingham.

Na ekranie pojawiło się nagranie z telefonu komórkowego. Kadr wypełniło niewielkie rondo otoczone sklepami. Obraz zaczął podskakiwać – znak, że osoba trzymająca aparat przemieszczała się. Nastąpiło zbliżenie na sklep pod nazwą Vape World.

– Ten gość przy ladzie. Widziałem, jak tu wchodził – odezwał się czyjś męski głos; nie należał do dziennikarza, a więc musiał to być właściciel telefonu.

Autor nagrania stał przed witryną, za którą było widać wnętrze sklepu, ale słońce odbijające się w szybie znacznie utrudniało zajrzenie do środka. W centralnej części kadru można było dostrzec zarys sylwetki mężczyzny oraz postać sprzedawcy za ladą. Z lewej strony pojawiła się rudowłosa kobieta – przykleiła nos do okna i osłoniła dłonią oczy, żeby lepiej widzieć.

– Cofnij się, bo cię zauważy – powiedział właściciel telefonu. Złapał kobietę za ramię i zaczął ją odciągać.

– Idzie – powiedziała i uciekła z kadru.

– Schowaj się za mną.

Kamera pokazywała drzwi. Po chwili otworzyły się i ukazał się w nich mężczyzna, który stał przy ladzie. Wysoki, ubrany w brudny granatowy dres, gładko ogolony i zupełnie łysy. Postawił dwa kroki, zobaczył, że jest nagrywany, i zastygł.

– Mój Boże – bąknęłam. Czy to prawda?

Kiedy mężczyzna spojrzał w stronę aparatu, zrobiono stopklatkę, podzielono ekran na dwie części i pokazano obraz z telefonu w zestawieniu ze zdjęciem Toma z Facebooka sprzed dwóch lat; zrobił je sobie sam przed Crucible Theatre, kiedy wybrał się na mistrzostwa świata w snookerze. Wtedy nie miał jeszcze gęstej brody, a jego włosy były krótsze, dzięki czemu łatwiej było dostrzec podobieństwo pomiędzy nim a łysym mężczyzną z nagrania.

Nie wierzyłam własnym oczom. Nie mogłam oderwać wzroku od łysiego. Tom. Ale czy na pewno?

Nagranie ruszyło dalej. Mężczyzna przypominający Toma gwałtownym ruchem odwrócił się plecami do kamery – i właśnie to mnie przekonało. Nie był zaskoczony, tylko wyraźnie wystraszony. Wiedział, że został rozpoznany.

Łysy zaczął się oddalać szybkim krokiem. Nagrywający podążył za nim.

– To pan? – odezwał się mężczyzna z telefonem. – Hej, do pana mówię. Pan jest tym zaginionym z Yorkshire?

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko przyspieszył kroku. Właściciel aparatu musiał podbiec, przez co obraz znów zrobił się rozedrgany. Kobieta powiedziała, że lepiej dać sobie spokój i zadzwonić na policję, ale jej chłopak ją zignorował.

Łysy puścił się biegiem i skręcił w lewo na niewielki parking przed przychodnią Hama. Nagrywający był tuż za nim, ale nagle świat zawirował, stanął na głowie i ekran pociemniał. Usłyszałam wypikane przekleństwo. Mężczyźni wypadł telefon.

Kiedy go podniósł i wycelował obiektyw, zobaczyłam, jak łysy ucieka wzdłuż budynku przychodni i wskakuje na stojący pod ścianą kontener na śmieci.

– Hej, kolego, wszyscy cię szukają. Zatrzymaj się.

Łysy się nie zatrzymał. Wspiąwszy się na kontener, przeskoczył przez drewniany płot i zniknął. Nagrywający podbiegł do kontenera, ale nawet nie próbował na niego wchodzić. Zamiast tego wyciągnął rękę do góry. Mężczyzna przemknął obok placu zabaw i zniknął w zaroślach porastających łąkę. Autor filmiku odwrócił się i zaczął rozmawiać ze swoją dziewczyną – na tym nagraniu się urwało. W dalszej części programu podano szczegóły dotyczące Toma oraz poinformowano, co należy zrobić, gdyby się go zobaczyło.

Byłam w szoku. Adwokat uśmiechał się, ale nic nie mówił. Czekał, co powiem.

– To nie może być on.

– A jeśli? Wcale nie jest wykluczone, że żyje. Nie ma pani pewności, że go zabiła. Widziała pani tylko, jak wpada do wody. Ciało przecież nie odnaleziono. Myślę, że ogolona twarz i głowa to dobry znak. Tom próbuje zmienić swój wygląd. Wiele razy miałem do czynienia z klientami, którzy tak robili, kiedy się ukrywali albo bali się rozpoznania podczas konfrontacji na komendzie.

Nadal to do mnie nie docierało.

– Ale dlaczego?

– Być może podświadomie miała pani rację i Tom rzeczywiście chce się na pani zemścić. Policja już rozpoczęła poszukiwania w rejonie, w którym go widziano, co pozwala sądzić, że potraktowano to nagranie bardzo poważnie. Z naszego punktu to oczywiście dobrze, jeśli istnieje podejrzenie, że Tom żyje.

To mnie otrzeźwiło.

– Sąd będzie musiał umorzyć sprawę, prawda?

– W przepisach koronnej służby prokuratorskiej istnieje luka, w której mowa o tak zwanym zawieszeniu postępowania. Oznacza po prostu, że prokuratura wstrzymuje się od dalszych działań w związku ze sprawą. Nie

jest to zamknięcie sprawy, ponieważ zarzuty mogą zostać w każdej chwili przywrócone. Z całą pewnością możemy liczyć na zawieszenie, ponieważ policja będzie potrzebowała czasu na zbadanie nagrania. Nie dopuszczą do tego, żeby trafiła pani do więzienia, gdy istnieje prawdopodobieństwo, że Tom nie umarł. Zawieszenie postępowania wiąże się ze zniesieniem ograniczeń, zarówno tych nałożonych na panią, jak również, niestety, na media, które będą mogły publikować pani dane i wizerunek. Poza tym pani nazwisko nie zostanie oczyszczone.

Na razie nie przejmowałam się mediami. W przyszłości, kiedy moja twarz trafi do gazet – tak. Ale teraz – nie.

– Jeżeli znajdą zwłoki Toma, przyznam się do winy. Ale jeżeli on żyje... Nie chcę, żeby wyrok czał się na mnie jak zbir za rogiem. Co możemy zrobić?

– Poprosimy prokuraturę, żeby posłała panią za kratki – odparł adwokat, szczerząc zęby.

– Słucham?

Byłam tak zdenerwowana, że musiał mi to wytłumaczyć dwa razy. Sprawa zostanie zawieszona do czasu, aż policja zidentyfikuje mężczyznę z nagrania, ale zmusimy prokuraturę do wykonania ruchu poprzez zmianę mojego stanowiska. Oświadczę, że nie przyznaję się do winy, po czym wykorzystam przysługujące mi prawo do odwieszenia postępowania. Strona przeciwna zostanie pozbawiona pola manewru i będzie musiała wnieść oskarżenie, ale tym razem spotkamy się na procesie, którego wynik może się dla nich okazać zbyt niepewny i ryzykowny ze względu na prawdopodobieństwo, że Tom nie zginął.

Istniała więc szansa, że prokuratura nie zdoła przedstawić w czasie rozprawy żadnych dowodów. Oczami wyobraźni zobaczyłam oskarżyciela siedzącego beczynnie przy swoim stanowisku, niewzywającego żadnych świadków, niepokazującego żadnych materiałów dowodowych. Ale tak naprawdę sprawa zostałaby po prostu całkowicie umorzona. Zostałabym oficjalnie oczyszczona z wszelkich zarzutów. Sprawa zostałaby zamknięta.

Oczywiście wszystko mogło się wysypać. Gdyby odnaleziono zwłoki Toma albo nie udało się zidentyfikować łysego mężczyzny, albo do puli prokuratury trafiły nowe istotne dowody, wówczas dałoby się obejść zasadę zakazującą powtórnego pociągnięcia do odpowiedzialności za to samo przestępstwo i znów trafiłabym w sam środek koszmaru.

Później, po wyjściu adwokata, trafiłam w telewizji na ten sam materiał i jeszcze raz obejrzałam nagranie. Byłam pewna, że łysy mężczyzna to Tom. Opadająca linia ust. Sinawy kolor skóry na brodzie i policzkach, sugerujący niedawne golenie. Oraz coś, co wyglądało jak blizna na lewej skroni – dokładnie tam, gdzie uderzyłam go kamieniem. Poczulałam wzbierającą we mnie nienawiść.

Na odchodnym zaskoczyłam adwokata, mówiąc mu, że chcę pójść do sądu...

– Chce pani stanąć przed sądem?

...ale nie jako oskarżona.

– Chcę być przy tym, kiedy Tom będzie sądzony za to, co mi zrobił.

MARY

Odbieram w samochodzie dwa telefony. Pierwszy jest od taty, który spał, kiedy wychodziłam. Przełączam na głośniki w aucie.

– Przewróciłem się, Mary. Przewróciłem się w kuchni. Nie mogę wstać.

Czuję ból na myśl o tacie leżącym na podłodze w kuchni i usiłującym się podnieść, ale nie mogę teraz zawrócić. Wiem, że to okrutne.

– Tato, nie mogę teraz przyjechać, bo mam coś ważnego do załatwienia. Przysuń się do szafek, tam masz podnózek. Podeprzyj się na nim.

– Czemu telewizor nie działa?

– Nie możesz z niego korzystać, bo się zepsuł. Z powodu skoku napięcia. Zapomniałeś? Przysuń się do podnóżka i podeprzyj się, dobrze? Tato, pamiętasz, co mówiłam o Tomie? Policja uważa, że Tom być może nadal żyje. Mogą przyjechać do domu. Nie otwieraj im drzwi i nie odbieraj telefonu. Nie wierz w to, co powiedzą. Kłamią. To ja mówiłam prawdę.

– A co mi mówiłaś? O co chodzi? Kto żyje?

Tego właśnie się obawiałam. Po tym, jak tata zobaczył Toma w telewizji, powiedziałam, że to niemożliwe. To nie może być Tom. Mój brat nie żyje. Musiałam się upewnić, że tata mi wierzy, bo te brednie, jakoby gdzieś w Nottingham widziano jego syna, na dłuższą metę jedynie pogorszą sprawę, zwłaszcza przy zupełnie nieprzewidywalnej pamięci ojca.

Potwierdzenie tego miałam już po dziesięciu minutach, od kiedy przekonałam tatę, że Tom nie żyje; kiedy już się wyplakał i w jakimś tam stopniu pogodził z tym faktem. Telewizja ponownie nadała materiał o Tomie w Nottingham i ta informacja wyparła wszystko, co mu powiedziałam. Musiałam więc zacząć od nowa.

Ostatnia rzecz, której dziś potrzebowałam, to zamieszanie z tym, w którą wersję zdarzeń tata akurat wierzy, dlatego po prostu przecięłam kabel od telewizora i uprzedziłam ojca, żeby nikomu nie otwierał drzwi. Działający telefon stanowił pewne ryzyko, ale przecież nie mogłam zostawić go bez możliwości skontaktowania się ze mną.

– Tato, nic ci nie będzie. Podeprzyj się na podnóżku, wstań i pójdz się zdrzemnąć w fotelu. Zostaw telefon. Wrócę wieczorem.

– Znowu coś sobie zrobiłem w kostkę. Gdzie jesteś, Mary?

Przez chwilę zastanawiam się, czy jednak nie zawrócić. Ale nie. Nie mogę.

– Jestem za daleko, żeby zawrócić do domu. Postaram się naprawić telewizor, kiedy wrócę, dobrze? Przysuń się do podnóżka. Przepraszam cię, ale naprawdę nie mogę teraz przyjechać.

Drugi telefon jest od Reavleya.

– Widziała pani wiadomości? – pyta na dzień dobry.

Oby tylko raz. Czytałam również komentarze w serwisach informacyjnych i w mediach społecznościowych. Okazuje się, że wszyscy, którzy dotąd byli przekonani o śmierci Toma, z powodu tego durnego nagrania z łysolem z Nottingham nagle się rozmyślili. Nikt nie potrafi podać sensownego powodu, dla którego Tom miałby się ukrywać przed całym światem, przed swoim tatą i siostrą, przed kumplami, ale ludzie ignorują logikę, bo – uwaga! – mają dowód. Facet z Nottingham miał ogoloną głowę i uciekł, gdy go rozpoznano – dokładnie tak zachowuje się ktoś, kto udaje martwego. Krótka piłka.

Najgorsze, że na Lucy spływa fala współczucia. Niektórzy nawet nie mieli pojęcia, że Tom zaginał, ale teraz usłyszeli tę historię i oczywiście są po stronie Lucyferki. Większość jęczy o tym, jak to musi być jej ciężko: mąż ją zostawił, uciekł od niej, a ją oskarżono o zabicie go. Niektórzy posuwają się dalej: domagają się odszkodowania dla niej, tak jakby spędziła trzydzieści lat za kratkami. Żądają śledztwa w sprawie śledztwa i chcą, żeby poleciały głowy. Pewnie już szykują plakaty i transparenty.

Jakiś bloger napisał artykuł pod tytułem Dług społeczeństwa, w którym postuluje debilne w swoim zamyśle rozwiązanie: niech Lucy popełni dowolną liczbę przestępstw dowolnego rodzaju tak, by suma kar równała się wyrokowi za morderstwo – może zabić Toma, może dokonać trzech rabunków, może ukraść osiem samochodów i tak dalej. Doradza jej nawet, żeby wstrzymała się kilka lat na wypadek, gdyby w przyszłości pojawiły się ciekawsze okazje, zupełnie jakby oszczędzała punkty na karcie lojalnościowej.

Trochę zagubiłam się w myślach. Reavley musi przywołać mnie do rzeczywistości.

– Tak – bąkam. – Wiadomości. Łysoł. Widziałam. To nie Tom.

Naprawdę bardzo bym chciała, żeby to był mój brat, ale niestety nie mam aż tak bujnej wyobraźni. Wiem, że Tom nie żyje. Wiem, że jego zwłoki znajdują się w wąwozie albo w lesie. Jeżeli przeżył atak ze strony Lucy, a potem ogolił głowę i pozbył się brody, to oznacza, że pragnie ukryć się przed światem, chce, by wszyscy – tak jak mówiła Lucy – uwierzyli w jego śmierć. Nie miałoby to żadnego sensu, a więc – nie zrobił tego.

– Ale musi pani przyznać, że bardzo go przypomina – mówi komisarz. – I to do tego stopnia, że adwokat Lucy zamierza złożyć wniosek o zawieszenie sprawy do czasu zakończenia śledztwa. Sądzę, że im się uda. Proszę pamiętać, że nie dysponujemy żadnym konkretnym dowodem na to, że Tom nie żyje. Miejscowa policja udała się do sklepu z elektronicznymi papierosami w Kimberley, licząc, że uda się pobrać odciski palców, ale okazało się, że mężczyzna niczego nie dotykał. Zdjęto szczątkowe odciski z klamki w drzwiach wejściowych, ale nie zdołano dopasować ich do odcisków Toma. W sklepie nie ma monitoringu. Mamy nadzieję, że uda nam się dowiedzieć czegoś więcej i być może prześledzić drogę mężczyzny po tym, jak przeskoczył przez płot. Możliwe, że zgubił coś, co pomoże go zidentyfikować.

Wpatruję się w telefon, myśląc o tym, co znajduje się w jego pamięci. Milczę tak długo, że Reavley dopytuje, czy przypadkiem nie straciłam połączenia.

– Tak, widziałam cholerne wiadomości. I tak, jestem wściekła. Zostaliśmy sami, Aaronie. Już tylko my dwoje nadal wierzymy, że Tom leży zakopany gdzieś w lesie pod Cullerton.

Powiedziałam to, żeby wy badać jego reakcję. Odpowiedzią, na którą czekałam, jest cisza w słuchawce. Wyrzucam mu, że daje wiarę telewizyjnym sensacjom.

– Musimy to zbadać, Mary – mówi ostrożnie. – Zadzwoń tylko po to, żeby poinformować panią, jaki los może czekać Lucy...

– Nie musi pan. Domyślam się. Mięczaki z prokuratury wypuszczą ją, bo nie chcą wyjść na durniów. Ale nie wiedzą tego, co ja, Aaronie. Wiem, że mój brat nie żyje, ponieważ Lucy powiedziała mi o tym dużo wcześniej, niż wyznała to panu. W dodatku jest zadowolona z siebie.

– Słucham? Kiedy to pani powiedziała?

Muszę zatrzymać się na poboczu, żeby odzyskać panowanie nad oddechem i móc wydobyć z siebie słowa.

– Zadzwoiłam do niej tamtego dnia, kiedy jechała z panem do Kaskady. Nagrałam tę rozmowę. Pamięta pan, że odebrała telefon, prawda?

– Kiedy jechała ze mną? Nic podobnego. To znaczy, odebrała, ale dzwonił ktoś z ofertą internetu szerokopasmowego.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, co zaszło.

– Okłamała pana, Aaronie. To ja do niej zadzwoniłam, ale widocznie nie chciała, żeby pan wiedział. Praktycznie przyznała się do zabicia Toma. Nie mogła odpowiadać wprost, bo siedział pan obok. Usłyszałam w słuchawce, jak puszcza pan wiązanekę pod adresem „cholernych samobójców” na motorach. Pamięta pan?

Sądząc po jego milczeniu, nie pomyliłam się.

– Chcę dostać to nagranie – mówi z naciskiem. – Gdzie pani jest?

– Nie przyjadę do pana. Mam coś do załatwienia. Puszczę panu tę rozmowę.

Poprzednim razem siedziałam i w zdumieniu słuchałam nagrania z głosem Lucy, które to on puszczał. Teraz nasze role się odwróciły. Wybrałam plik na telefonie i nacisnęłam „play”.

Zabrzmiął sygnał wybierania numeru. Lucy odebrała. Odezwałam się jako pierwsza.

MARY: Jestem sprytniejsza od ciebie, ty suko. Zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

LUCY: Nie. Przy telefonie Lucy Packham.

MARY: Wiesz, że Tom od dawna cię nienawidził? Wasze małżeństwo było lipne.

LUCY: Nigdy nie mieliśmy żadnych problemów. Zawsze byliśmy z Tomem zadowoleni z tego, co mamy. Nasze połączenie zawsze było doskonałe.

MARY: Od początku mam cię na oku. Tom powiedział mi, jaka jesteś. Wiem wszystko. Jestem lepsza od ciebie.

LUCY: Lepsza? Cha cha. Chętnie się dowiem, pod jakim względem.

MARY: Teraz nie mam na to czasu, nie dla ciebie. Bo twój czas się kończy. Dopilnuję tego. I postaram się, żebyś za wszystko zapłaciła.

LUCY: O rety. Opowiedz mi o swoich planach. Albo nie, przejdź od razu do sedna i zdradź, ile będzie mnie to wszystko kosztowało.

MARY: Właśnie tyle: wszystko. Naprawdę nie rozumiesz, że zbliża się twój koniec? Jesteś kretynką. Myślałaś, że jak długo będziesz wszystkich zwodzić, że go nie zabiłaś? Jak długo chciałaś udawać, że mój brat jest

chory albo wyjechał, albo śpi, albo, nie wiem, bierze kąpiel? Tygodniami? Miesiącami?

LUCY: Och, długo. I zamierzam o wiele dłużej.

MARY: Ty suko. Zaczynj srać po gaciach, bo cię wykończę.

LUCY: W tej chwili jestem zadowolona. Czemu więc miałabym cokolwiek zmieniać?

MARY: Proponuję ci wyjście z sytuacji. To jednorazowa oferta.

LUCY: Naprawdę nie jestem zainteresowana.

MARY: Oddaj się w ręce policji. Powiesz, że to było nieumyślne spowodowanie śmierci, a ja stanę po twojej stronie. Dostaniesz najwyżej dziesięć lat.

LUCY: Miałabym mieć... związane ręce przez dziesięć lat? Wolne żarty. Nie zgodzę się na tyle. W ogóle żadna umowa nie wchodzi w grę, bo mam już wszystko, czego chciałam. Żadna propozycja tego nie zmieni.

MARY: Popełniasz błąd. Lepiej się zastanów, bo...

LUCY: Wbij to sobie wreszcie do głowy. Nie jestem zainteresowana. Gdybym była, albo gdyby Tom był, od razu byśmy powiedzieli, a nie zrobiliśmy tego. Nie dzwoń więcej.

Wyłączam nagranie.

– Nikomu nie pokazywałam tej rozmowy, bo stawia mnie w złym świetle. Raz, że grozę Lucy, a dwa, ludzie mogliby pomyśleć, że odpowiada tak, a nie inaczej, bo zraziłam ją do siebie. Ale przez ten cyrk z łysolem z Nottingham nie mogę już dłużej ukrywać nagrania.

– Rzeczywiście brzmi to jak nękanie, ale pani ton jest zrozumiały. Poza tym i tak nie będzie miał znaczenia, jeśli ostatecznie okaże się, że Lucy faktycznie zabiła swojego męża. Odpowiada tak, żeby panią rozzłościć, i jednocześnie ostrożnie dobiera słowa, żebym niczego się nie domyślił. To z pewnością nie działa na jej korzyść. Mary, niech mnie pani posłucha. Dwie rzeczy. Po pierwsze, proszę na razie zachować to nagranie dla siebie. Nie możemy go opublikować. Proszę go nikomu nie pokazywać. Czy może mi to pani obiecać?

Czy ja dobrze słyszę? Przyłapałam tę psycholkę bez maski, nawet Reavley zgodził się ze mną, że Lucy się odsłoniła.

– Jeszcze jakieś prośby, komisarzu?

– Chcę wiedzieć o wszystkich sytuacjach, w których miała pani jakikolwiek kontakt z Lucy po zagi...

– Przecież pan wie. Niczego przed panem nie ukryłam.

– Owszem, ale teraz potrzebuję tego oficjalnie. Mam na myśli podpisane zeznanie. Wydarzyły się przecież rzeczy, o których żadna z was mi nie powiedziała, jak na przykład ten telefon. Chcę, żeby pani przygotowała zaktualizowane zeznanie i żeby znalazło się w nim wszystko, o czym rozmawiała pani z Lucy. Każde słowo. Każda groźba. Chodzi mi o pani wersję zdarzeń. Może to pani dla mnie zrobić? Gdzie pani teraz jest?

– Tak, ale nie przyjadę na komendę. Mówiłam, że mam coś ważnego do załatwienia. Spokojnie, to nie ma związku z Lucy.

– Nie ma z nią związku? Uroczyście pani przyrzeka? – pyta z lekkim rozbawieniem; no proszę, pamięta, że wcześniej użyłam tego określenia. Nie ma go ze mną w aucie, ale nie szkodzi, i tak odpowiadam w taki sam sposób jak mój brat: przez podniesienie dłoni i zwrócenie oczu ku niebu ze słowami:

– Uroczyście przyrzekam, że nie jadę nękać Lucy.

– To dobrze. Jeśli chodzi o zeznanie, nie musi się pani fatygować na komendę. Mogę przysłać do pani kogoś, kto spisze...

– Nie, wolałabym nie czekać. Wie pan co? Nagram to na telefon. Zaraz się tym zajmę i od razu prześlę panu plik. Później przyjadę i podpiszę, co będzie trzeba, że to prawda, że to moje słowa i tak dalej. Proszę tylko powiedzieć, od czego mam zacząć.

Waha się przez chwilę, ale w końcu uznaje, że mój pomysł jest dobry i wykonalny.

– W porządku. Zlecę komuś spisanie tego, co pani nagra. Proszę zacząć od momentu, w którym uświadomiła pani sobie, że Tom zaginął. Od tego, co sprawiło, że pomyślała pani: „Coś jest nie tak”.

Rozłączam się i uruchamiam aplikację do rejestracji głosu. Jestem zła na to, jak starannie Reavley dobrał słowa. „Pani wersja zdarzeń”. Wychodzi, że rozmowa pomiędzy mną a Lucy, którą mu puściłam, ani trochę nie zaszkodziła jej wiarygodności, za to mojej – bardzo. Co za dzień. Czy może być jeszcze gorzej? Biorę głęboki oddech, włączam nagrywanie i zaczynam:

– Każde słowo, które wypluwa z siebie Lucy, jest kłamstwem. Weźcie jej łgarstwa i spalcie, a popiół zakopcie. Nie wierzcie jej: teraz, wtedy, nigdy. Usłyszycie ode mnie prawdę na temat tego, co zaszło; nie jedną z wersji zdarzeń, prawdę. A wszystko zaczęło się od okropnego przeczucia, że coś jest nie w porządku...

LUCY

W mediach społecznościowych sporo się działo wokół mnie i Toma. Nie wszyscy wierzyli, że mężczyzna na nagraniu to rzeczywiście Tom. Ci, którzy tak uważali, wzywali do uwolnienia mnie od zarzutów i wypłacenia mi odszkodowania. Ktoś nawet zasugerował, że powinnam zagrać samą siebie w filmie opowiadającym o moim życiu.

Pozytywnych komentarzy było sporo i właśnie na nich starałam się skupiać, ale skutecznie utrudniały mi to pozostałe, pełne jadu i zawiści. W jednym z najbardziej absurdalnych przeczytałam, że sama wszystko uknułam – zapłaciłam sobowtórowi Toma, żeby się „pokazał”, ponieważ chciałam uniknąć wyroku. Żywot najdziwniejszych teorii powinien być najkrótszy, bo przecież mało kto w nie wierzy, a jednak to one sprawiały najwięcej bólu.

Tłumaczyłam sobie, że tym, co skłania ludzi do tego rodzaju zachowań, jest pozorna anonimowość internetu, i że w kontakcie na żywo będzie to wyglądało zupełnie inaczej. Postanowiłam przekonać się o tym na własnej skórze. Wezwałam taksówkę i wyszłam z hotelu, żeby poczekać na nią na chodniku. Mijało mnie całe mnóstwo pieszych i kierowców i żadna z tych osób nie posyłała mi nienawistnych spojrzeń, nikt mnie nawet nie rozpoznawał. Nikt do mnie nie podszedł, nikt nie krzyknął.

Mój los był całym moim światem, rzecz jasna. Tkwiłam w nim głęboko i nie widziałam nic poza nim. Wyolbrzymiałam jego rozmiary i znaczenie. O sprawie Toma wcale nie mówił cały kraj; nie trafiła nawet na pierwsze strony miejscowych gazet. Podniesiona tym na duchu zamówiłam kurs do domu...

...który okazał się absolutnym epicentrum mojego świata i miejscem z zupełnie innej bajki niż reszta miasta. Kiedy taksówka skręciła na ulicę, przy której mieszkałam, i zaczęła się powoli toczyć, w oknach pojawiły się twarze sąsiadów. Z zaparkowanego nieopodal samochodu wysiadł jakiś mężczyzna. Nie był stąd, nie kojarzyłam go, ale on najwyraźniej znał mnie. Wyciągnął telefon – dziennikarz.

Sam dom nadal był miejscem przestępstwa. Przed bramą stał radiowóz i furgonetka techników. Moje auto gdzieś zniknęło; może odholowali je do policyjnego warsztatu, żeby rozebrać do gołej ramy w poszukiwaniu krwi i innych dowodów.

Powiedziałam kierowcy, żeby się nie zatrzymywał i zabrał mnie stąd. Było dla mnie jasne, że ani nie mogę, ani nawet nie chcę tu być; zresztą i tak byłam tu niemile widziana. Nie wiem, po co tu przyjechałam. Znowu

się zdenerwowałam. Taksówkarz zapytał, czy wszystko w porządku; nie miał na myśli policji. Uprzejmość czy nieświadomość – trudno powiedzieć. Ale byłam mu za to wdzięczna.

Czułam, że muszę się wyrwać z miasta. Tęskniłam za drzewami, polami, wiatrem na policzkach. Miałam ochotę jeździć bez celu, dla odświeżenia umysłu, po to tylko, by pobyć w świecie poza swoim życiem. Ale najpierw musiałam załatwić jeszcze jedną sprawę. Poprosiłam kierowcę, żeby wysadził mnie w jakimś spokojnym miejscu i zaczekał. Przeszłam kilka kroków, zatrzymałam się pod drzewem i wybrałam numer.

Napisałam do Leony esemesa z podziękowaniem, ale nie kontaktowałam się z nią od tamtego nieoczekiwanie przerwane połączenia przed rozmową z rodzicami. Bardzo chciałam do niej zadzwonić, niestety musiała poczekać.

Najpierw zamierzałam się odezwać do Mary.

Nabrałyśmy dziwnego zwyczaju: ta z nas, która odbierała telefon, w pierwszej chwili milczała i czekała, co powie druga. Nie spodziewałam się tego tym razem, bo dzwoniłam z nieznanego numeru, i miałam rację. Ale nie dlatego, że Mary nie wiedziała, że to ja – wręcz przeciwnie.

– Fałszywy alarm – oznajmiła.

Zatem nie wierzyła, że łysy mężczyzna z Nottingham to Tom. Nadal była przekonana o jego śmierci. Nie oczekiwałam, że po tym telefonie zostaniemy najlepszymi przyjaciółkami, ale jednak bardzo mocno się zdziwiłam.

– Mary, on żyje. Tak jak mówiłam od samego początku. Zostawił mnie. Przecież kto jak kto, ale akurat ty powinnaś wiedzieć, że mężczyzna z nagrania to nasz Tom.

– Rusz głową, Lucy. Tom miałby się ukrywać, wiedząc, że nigdy więcej nie zobaczy taty, mnie ani swoich przyjaciół. Że nie może wydawać pieniędzy. Nie może pracować. Nie może dać się zobaczyć.

Zapomniała wymienić mnie na tej liście.

– Rusz głową, Mary. Nie może się spotykać z tymi osobami ani w ogóle z kimkolwiek, jeżeli zależy mu, aby wszyscy sądzili, że nie żyje.

– Niby dlaczego miałyby to robić? – rzuciła pogardliwie, zupełnie jakbym wypaliła, że Tom przeprowadził się na księżyc.

– Bo chce, żeby obarczono mnie winą za jego zniknięcie.

– Gdyby żył, łatwo bym w to uwierzyła. Rozwaliłaś mu głowę kamieniem.

Skąd o tym wiedziała? Musiała poznać treść moich zeznań. Ale czy pełną?

– A wiesz, dlaczego to zrobiłam? – Nie byłam pewna, czy rzeczywiście odpowiedziałabym na to pytanie, gdyby zaczęła naciskać.

Na szczęście odpuściła.

– Aaron wie, o czym rozmawialiśmy, kiedy jechałaś z nim do Kaskady.

No jasne: dowiedziała się o moim zeznaniu od Reavleya. Z kolei komisarz poznał prawdziwą treść tamtej pełnej nienawiści rozmowy, kiedy udawałam, że zadzwonił ktoś w sprawie internetu szerokopasmowego. Na razie postanowiłam nie zastanawiać się nad tym, jakie to może mieć konsekwencje w przyszłości.

– Pamiętasz, jak kiedyś przypadkiem sypnęłam Tomowi solą w oczy?

– Nie jestem pewna, czy to było przypadkiem. Prawie stracił przez ciebie wzrok. Do czego zmierzasz?

– Właśnie do tego, Mary. Tom udawał, że oślepl. Przez cały dzień kazał mi wierzyć, że nie widzi. Pojechał do szpitala. Upierał się, żebym zadzwoniła do jego wspólnika i powiedziała, że odchodzi. Miałam mu kupić psa przewodnika. Robił to wszystko, by mnie ukarać.

Zarechotała do słuchawki. Wiedziałam, że zrozumiała, o co mi chodziło.

– Ty tępa suko. Przecież wiem, że Tom zadrwił sobie z ciebie po to, żebyś pożałowała, że sypnęłaś mu solą w oczy. Ale jeśli myślisz, że Tom udaje martwego, bo chce ci coś udowodnić, no to naprawdę jesteś durna. Jeżeli uważasz, że zniknąłby tak po prostu, pozwalając wszystkim się zamartwiać, wyłącznie dlatego, żeby dać ci nauczkę, to twój obłąd jest dużo groźniejszy, niż sądziłam.

Usłyszałam trzask zamykanych drzwi do samochodu, a potem szum wiatru. Następnie odgłos kroków na czymś metalowym. Brzmiało to zupełnie jak kładka nad strumieniem w pobliżu chaty. Wyobraziłam sobie, jak Mary wchodzi po stopniach. Milczała, ale zmienił się jej oddech. Narastała w niej wściekłość; doskonale ją rozumiałam – nadal wierzyła, że jej brat został zamordowany, a teraz jego zabójczynie próbowała się bronić w absurdalny i oburzający dla Mary sposób.

– Nienawidzę go za to...

– Już wcześniej go nienawidziłaś. Dlatego go zabiłaś. Dobrze, że jego kotka od ciebie uciekła, bo ją też byś wykończyła.

Nagle coś zaskoczyło. Zuzu uciekła, to prawda, ale nikomu o tym nie mówiłam. Nie wspomniałam o tym ani słowem, w żadnej sytuacji.

– Zabiłaś Zuzu – powiedziałam. – Nie mogłaś wiedzieć o jej zniknięciu, chyba że maczałaś w tym palce. Zuzu należała do Toma.

Rozłączyłam się, nie czekając na jej odpowiedź. Odezwałam się do niej z nadzieją, że uda mi się choć odrobinę załagodzić napięcie między nami, ale teraz przyrzekłam sobie, że Mary zapłaci mi za to.

Kiedy wracałam do taksówki, zadzwonił mój adwokat.

– Komisarz Reavley chciałby z panią porozmawiać. Nie jest zadowolony z faktu, że opuściła pani hotel.

– Mogę wychodzić, kiedy mam ochotę. Czego chce?

– Zgody na rozmowę. Powiedziałem mu, że ma pani nowy numer na kartę. Chce panią o coś zapytać.

– Niech dzwoni.

Adwokat przekazał komisarzowi namiary na mnie. Zawróciłam i znów zatrzymałam się pod drzewem. Zabrzęczał dzwonek; numer zastrzeżony. Reavley przeszedł od razu do rzeczy.

– Chcę usłyszeć prawdę, Lucy. Teraz, przez telefon. Wolałbym nie musieć doprowadzać pani na komendę.

– Nie jestem pewna, czy w ogóle pan by mógł. A jeśli tak, to pragnę pana poinformować, że wiem, że przekazał pan moje zeznanie Mary.

Zamilkł. Domyśliłam się, że zaczęła go gryźć perspektywa kłopotów, których mogłam mu narobić. Niepotrzebnie. Nie przepadałam za nim, ale był bystry i oddany swojej pracy. Nie zamierzałam osłabiać policji.

– Niech pan pyta, komisarzu.

Wiedziałam, co za chwilę nastąpi. Ludzie mówili o tym, sugerowali to, zastanawiali się nad tym, od kiedy wypłynęło przeklęte nagranie z łysym mężczyzną. Wielu wyrażało przekonanie, że jestem z nim w zмовie, i podawało rozmaite motywy, wśród których najczęściej powtarzał się stary dobry numer na polisę na życie. Nikt nie zdawał sobie sprawy – albo może po prostu zwyczajnie to ignorował – że zabójstwo posiadacza polisy przez beneficjenta – a przecież miałam się przyznać do zabicia Toma – wykluczało tego drugiego z jakiegokolwiek postępowania odszkodowawczego. Nie mogłam liczyć, że w ten sposób dostanę choć pensa. Byłam gotowa przyładować Reavleyowi z grubej rury.

– Czy dysponuje pani innymi telefonami na kartę? Wiemy o pięciu kupionych w Bradford oraz o tym, z którego obecnie pani korzysta. Ale czy są jakieś inne?

Zaskoczył mnie.

– Nie. Nie ma innych. Dlaczego pan o to pyta?

– Proszę odpowiedzieć zgodnie z prawdą, Lucy. Czy przyrzeka pani uroczyście?

Z jakiegoś powodu fakt, że Reavley użył powiedzenia mojego męża, rozzłościło mnie do tego stopnia, że po prostu się rozłączyłam.

Po chwili telefon znów zadzwonił. Numer zastrzeżony. Zamierzałam od teraz ignorować Reavleya, ale najpierw chciałam jeszcze raz go ochrzanić. Odebrałam i rzuciłam do słuchawki:

– Zmusiliście mnie do kupienia nowego aparatu, bo zabraliście mi stary. Nie, nie mam innych. Wiecie o wszystkich.

– Lucy? Co u ciebie? Pomijając to, że pójdziesz siedzieć.

O mało nie zemdlałam. To nie był Reavley, tylko głos, którego nigdy nie zapomnę i nigdy nie pomylę – o którym myślałam, że już nigdy więcej go nie usłyszę.

Tom.

CZEŚĆ III

TOM

Lucy. Oto ona po drugiej stronie drzwi. Moja dziewczyna, całkiem sama. Nie było sensu dłużej się ukrywać, bo i po co? Przejechała taki szmat drogi, ponieważ wiedziała. Ponieważ sprowadziłem ją tutaj. A jeśli gdzieś za nią czaił się pluton policji, trudno – i tak nie miałem jak uciec z tego biura na drugim piętrze, chyba że po skrzypiących schodach pożarowych, którymi właśnie weszła.

Otworzyłem wielkie metalowe drzwi, cofnąłem się o krok i wzruszyłem ramionami, jakbym chciał powiedzieć: „Znalazłaś mnie. Wygrałaś. Twój ruch”. Kiedy patrzyłem na nią przez judasz, była zła – teraz tylko drżały jej usta. Odwróciłem się i przeciąłem pustą przestrzeń biura, minąłem schowek, w którym znajdowały się jedynie moje ubrania, i wszedłem do mikroskopijnej kuchni z niewielkim blatem. Było na nim wszystko, czego potrzebowałem do przeżycia: czajnik, mikrofalówka, otwieracz do konserw, kubek, talerz, łyżka.

Był też tandetny składany stolik. Usiadłem przy nim plecami do drzwi i mojej żony. Czy zrobiłem to celowo, jakbym dawał jej przyzwolenie na uderzenie mnie? Na pewno sobie zasłużyłem. A potrafiła przywalić, cha, cha. Nie, nie uderzyła mnie. Usiadła na drugim krześle. Byłem zdenerwowany. Dziwne. Ile razy spałem z tą kobietą, kłóciłem się z nią, śmiałem się? No tak, ale nigdy wcześniej nie doprowadziłem do tego, że aresztowano ją za zabicie mnie.

Wbijają we mnie spojrzenie. Świdrowała mnie wzrokiem, przesywała na wylot. Jakby w twoim ogródku wylądowało UFO. Wpatrywałem się w blat stołu. Oto stoisz twarzą w twarz z osobą, której życie udało ci się zniszczyć. Czuję się też lekko speszony, bo miałem na sobie te same ciuchy co na nagraniu. Trudno, żeby było inaczej – na moją garderobę składały się raptem trzy pary dresów. Ale czym się właściwie przejmowałem? Że zrobię złe wrażenie? Że wydam się jej nieatrakcyjny?

Odezwała się dopiero wtedy, kiedy podniosłem głowę. Powoli, jak w filmie, budując odpowiednie napięcie. Albo może zwyczajnie po to, żeby

dłużej przyglądać się jej cyckom.

– Naprawdę chcesz, żebym zaczęła to z ciebie wyciągać.

Wzruszyłem ramionami.

– To długa historia. Pytania by pomogły. Ułatwiły.

– Tobie by pomogły. Bo niby dlaczego miałyby się liczyć moje dobro, prawda?

– Nie chciałem, żeby stała ci się krzywda.

Jeszcze chwila i splunie mi w twarz.

– Nie stałaby się, gdybym zasnęła, obudziła się za trzydzieści lat, we własnym łóżku, po odbyciu kary za morderstwo. Może potrafisz to sprawić? Cuda, widzę, wychodzą ci znakomicie.

Spoglądam jej w oczy. Dosyć cackania się.

– Byłem młody. Dorosłem. Wyrosłem z ciebie.

Uświadomiłem sobie, że tęskniłem za nią. I, co dziwne, pragnąłem jej. Właściwie to nie, nic w tym dziwnego. Wyglądała pociągająco, miała na sobie tę elegancką garsonkę, którą kupiłem jej specjalnie do pracy, do tych filmików o języku niemieckim, które nagrywa i wrzuca do internetu. Raz przez tydzień odmawiała mi seksu, bo zawstydziłem ją w sklepie. Kara za to, że zrobiłem z niej zniechęconą morderczynię na drodze za kratki? No, myślę, że co najmniej dwa tygodnie bez tych spraw.

Ale czy skłamałem, kiedy powiedziałem, że z niej wyrosłem? Nie. Jediną rzeczą, która sprawiała, że chciałem do niej wracać, było to najbardziej prymitywne, szaleńcze, samcze pożądanie.

Spodziewałem się, że mnie spoliczkuje. Albo że zadrzą jej usta. Zamiast tego wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze.

– Chyba się tego spodziewałam. Spędzałeś wiele wieczorów poza domem, pracowałeś do późna albo bawiłeś się samochodzikami. Dlatego postanowiłeś zrobić mnie w morderstwo? Bo oddaliliśmy się od siebie?

Pokręciłem głową.

– Wkrótce się dowiesz. Po prostu jeszcze nie teraz.

– Oczywiście – powiedziała. – Skoro to nie była przyczyna tego całego cyrku, to na pewno powód, dla którego miałeś gdzieś, co się ze mną stanie.

Pokiwałem głową.

– Ale czuję się z tym źle. To znaczy, gdybym znał inny sposób... Wiele razy myślałem o tym, żeby się wycofać.

– Wiele razy? Czyli planowałeś to od dawna. Stawiam, że co najmniej od siedmiu miesięcy. Od zeszłego listopada.

Szkoda, że nie popijałem wody ze szklanki – mógłbym wypluć ją zaskoczony, parsknąć jak aktorzy na filmach.

– Wygląda na to, że nadal coś nas łączy. Bo czytasz mi w myślach.

– Nie. W listopadzie powiedziałeś, że masz ochotę zapuścić brodę i włosy. Gdybym potrafiła czytać ci w myślach, przejrzałabym twój niecny plan i... nie wiem, coś bym zaradziła. Domyśliłabym się, dlaczego poprosiłeś, żebym zrezygnowała za ciebie z karty na basen i z planu emerytalnego, żebym wyceniła samochód i zrobiła te wszystkie rzeczy, które policja nazwała poszlakami. Żadna z nich oddzielnie nie ma większego znaczenia, ale gdy ułożyć je jedna obok drugiej i umieścić w kontekście...

– Dobrze się przygotowałeś. Ale nie nazwałabym mojego planu niecnym.

– Masz rację, przygotowałam się. Siedziałam sama w pustym pomieszczeniu i miałam mnóstwo czasu na rozmyślanie. A potem spędziłam wiele godzin w innym miejscu, na końcu korytarza, i tam porozmawiałam sobie z funkcjonariuszami policji w South Yorkshire. Skoro nie niecny, to może... podły, nikczemny, zły?

Miałem wrażenie, jakby jej oczy straciły część blasku. Przypomniałem sobie, co mi zrobiła kamieniem ze strumienia. Wiedziałem, że muszę uważać, żeby jej za bardzo nie rozjuszyć. Cisnęła mi się na usta właściwa odpowiedź, ale uciekłem się do zwykłego wzruszenia ramionami.

– Musiałeś pokazać wszystkim, że nasze małżeństwo się kruszy – powiedziała. – Kłótnia w pubie dzień przed twoim zniknięciem. Kłótnie na ulicy przez ostatnie kilka ładnych miesięcy. Te wylewane w esemesach do znajomych żale na moje rzekome niezrównoważenie. Te wiadomości, które pisałeś do siostry o tym, że niby ci grożą.

– To musiało wyglądać tak, jakbyś w każdej chwili mogła wpaść w szal.

– Policja potrzebowała jedynie dowodu, że przytrafiło się coś, co doprowadziło mnie do ostateczności. Antydepresanty. „Zapomniałeś” zrobić z moją receptą to, o co cię poprosiłam.

Miałem dosyć jej palącego spojrzenia. Wstałem i zaproponowałem herbatę. Oczywiście odmówiła; bardzo dobrze, bo miałem tylko jeden kubek. Co prawda chwilę przed jej przyjściem piłem, ale musiałem wstać od stołu, po prostu. Napełniłem czajnik wodą z butelki, bo w kranie nie było. Na szczęście był prąd. Sięgnięcie po kubek, zasypanie go herbatą i łyżeczką cukru, postanie przy czajniku, aż się zagotuje – wszystko to pozwoliło mi zyskać trochę czasu. Uspokoić nerwy.

Nawet na mnie nie patrzyła. Siedziała, spoglądając przed siebie, jakbym nadal siedział na krześle. Była jak zombie.

W ostatecznym rozrachunku oderwanie się od rozmowy i tak nic nie dało. Kiedy usiadłem, ponownie znalazłem się na linii jej płonącego wzroku. Było nawet gorzej niż wcześniej. Czy ona w ogóle mruga?

– Zapomniałem, o czym mówiliśmy.

– Moje antydepresanty?

Ach, no tak. Wypiłem łyk gównianej herbaty.

– Fakt, że od tygodnia albo dłużej nie brałaś leków, postawiłyby cię w złym świetle. Policja uznałaby, że masz skłonność do wybuchów agresji. Za to kupiłem ci dużą butelkę ginu. Na osłodę.

– Z której wypiąłam jedną czwartą przez tydzień, a potem całą resztę w jeden wieczór po tym, jak sfingowałeś swoją śmierć. Wyrzuciłeś insulinę do kosza. Wiedziałaś, że policja ją znajdzie. Zostawiłeś ślady krwi w łazience. Sprzedałeś mi idiotyczną historyjkę o tym, że skaleczyłeś się o kran, bo wiedziałaś, że opowiem ją policji i że zabrzmiałoby to bez sensu.

Uff, jednak mrugnęła. A więc nie jest cyborgiem, tylko Lucy z krwi i kości, wciąż moją żoną. Uszło ze mnie trochę napięcia.

– Krew na podłodze w łazience była dla policji, to prawda. Wiedziałem, że odkryją ją za pomocą luminolu, czy czego tam używają. Nie byłem pewien co do umywalki. No i ta historyjka. Nie da się skaleczyć o krany w Kaskadzie. Wiem, bo próbowałem. Zaciąłem się brzytwą. Skropiłem ci bluzkę, kiedy nie patrzyłaś. Podobno nie zauważyłaś plamki na rękawie?

Wyjęła chusteczkę, żeby przetrzeć oczy. Starła się panować nad emocjami. Poczułem, że trochę mi jej szkoda. Chyba. Nadal nie zapytała, dlaczego właściwie to zrobiłem. Ale jeszcze nie pora na wyjaśnienie.

– Moja kolej. Jak się domyśliłaś, że żyję?

Nasza rozmowa, kiedy do niej zadzwoniłem, była krótka. Powiedziałem, że żyję, co w sumie było głupie, bo przecież słyszała mój głos w słuchawce. Powiedziałem, że chcę się z nią zobaczyć. Podałem jej adres. Uprzedziłem, żeby nie kontaktowała się z policją, inaczej zniknę, zanim się zjawi, i żeby nie oddzwaniała, bo telefon i tak będzie wyłączony.

Zgodziła się przyjechać, ale poza tym właściwie się nie odezwała. Nie zrobiła nic, co pozwoliłoby mi sądzić, że jest zdumiona moim zmartwychwstaniem. Nie zadała żadnego pytania. Zostawiła je na potem. Potwierdziła, że przybędzie – i to wszystko. Koniec połączenia. Wtedy do

mnie dotarło: podejrzewała, że wcale nie umarłem. I to nie dlatego, że jakiś palant wypatrzył mnie w sklepie.

Znów przeszła w tryb cyborga.

– Przede wszystkim dzięki temu nagraniu z Nottingham. Ale ono tylko potwierdziło moje przypuszczenia. Popełniłeś błąd.

– Jaki błąd? – spytałem miłym, uprzejmym tonem, jakby naprawdę mnie to interesowało. Byłem gotowy przetrącić jej teorię, bo to nieprawda, nie popełniłem żadnego błędu.

– Schrzaniłeś sprawę elektronicznym papierosem. Znaleźli go w twoim plecaku. Tym, który miałeś na plecach, kiedy wskoczyłeś do strumienia.

Nie bardzo wiedziałem, do czego zmierza, ale postanowiłem chwilowo to zignorować. Wszystkie nasze ostatnie kłótnie były jedynie częścią planu, były udawane. Od tygodni nie złościłem się na żonę, nawet nie potrafiłem przypomnieć sobie ostatniej sprzeczki ani tego, co ją wywołało. Aż do teraz.

– Wcale nie wskoczyłem, Lucy. Zdzieliłaś mnie kamieniem.

– Bo próbowałaś mnie zgwałcić.

– Nic podobnego. Tylko udawałem. Żeby policja miała motyw. Miałaś strącić mnie z kładki tak, żebym zleciał z wodospadu.

Zaśmiała się pod nosem.

– Widocznie czytałam starą wersję scenariusza.

– Dałem ci szansę. Usiadłem na piętach, między twoimi nogami, i przeczesałem włosy palcami. Zrobiłem naprawdę długą przerwę. To miała być okazja dla ciebie. Wystarczyłoby, gdybyś mnie kopnęła, a spadłbym z mostku. Ale nie zrobiłaś tego. Pomyślałem, że wolisz nie patrzeć mi w oczy. Więc spróbowałem cię obrócić. Zrobiłem wszystko, co mogłem, żeby wywołać w tobie reakcję. I zareagowałaś, a jakże. Po prostu nie przewidziałem, że zdzielisz mnie kamieniem w głowę.

– No, to następnym razem, kiedy zaczniesz się dobierać do kobiety, zwłaszcza takiej, której odbija bez leków, bez jej zgody, już będziesz wiedział.

Lekko pochyliłem głowę. Tym gestem przyznałem jej rację.

– Chciałaś mnie zabić?

Po raz pierwszy dostrzegam niepokój w tych oczach plujących lawą jak wulkan. Cholera jasna, chciała mnie zabić. Wtedy – i pewnie nadal chce. Kiedy walnęła mnie kamieniem, zrobiła to z zamiarem pozbawienia mnie życia. Ale czy powinno mnie to dziwić?

Pytanie zawisło nad nią. Znów jej pożałowałem i odpuściłem. Zmieniłem temat, żeby wrócić do czegoś, co mnie męczyło.

– Powiedziałaś, że schrzałem sprawę elektronicznym papierosem. Co to był za błąd, twoim zdaniem?

– Zanim mnie zaatakowałaś, schowałaś go do kieszeni. Trupowi, który spłynął z prądem, jakimś sposobem udało się przełożyć urządzenie z kieszeni do plecaka.

– Cholera, nieźle. Nie powinienem był go wyjmować z plecaka, kiedy wychodziliśmy z Kaskady. Ale to nie błąd. Po prostu liczyłem, że nikt nie zauważy. Ja nie popełniam błędów.

Powinna być pod wrażeniem. I chociaż trochę zniechęcona. Nic z tego.

– A jednak. Twój telefon do mnie. Duuuży błąd.

Duuuży? Śmiem wątpić.

– Jesteś pewna, mała? Jednorazówka, wykorzystałem ją tylko raz, a potem usmażyłem w mikrofali. Pamiętam, że pokazałem ci tę sztuczkę.

Właściwie to nie była żadna sztuczka. Kilka miesięcy temu Lucy obsztorcowała mnie za to, że zaprosiłem paru kumpli na oglądanie pokazu monster trucków w telewizji i potem nie posprzątałem pustych puszek po piwie i misek po żarełku. Zebrała to wszystko i sama przeniosła do kuchni, na co wzięłam jej telefon i wsadziłam do mikrofali – ot, żeby zagrać jej na nosie. Chciałem, żeby upuściła śmieci na podłogę i pobiegła ratować aparat. Wtedy to ja mógłbym ponarzekać na jej bajzel.

Nie przewidziałem tylko tego, jak szybko kuchenka potrafi załatwić komórkę. Lucy nawet nie zdążyła podbiec. W chwili, w której wcisnąłem guzik, w komorze rozbłysło – i to tyle, jeśli chodzi o działający telefon. Zrobiło mi się głupio i nie chciałem się przyznać, że dałem ciała. Dlatego zachowywałem się tak, jakbym dał jej nauczki za zrzędenie. Nie ma się czym chwalić.

Poczułem, że moja duma została urażona – wtedy i teraz. Lucy wykrzywiła usta w chytrym uśmiechu i już wiedziałem, że to jeszcze nie koniec.

– Och, Tom. Nie chodzi mi o namierzenie telefonu, nic z tych rzeczy. Numer, na który do mnie zadzwoniłeś, był nowy. Nie powinieneś go znać. Znali go tylko adwokat, komisarz i moja rodzina. A także osoba, do której z niego zadzwoniłam. Chyba pora na odpowiedź na najważniejsze pytanie.

Zamilkłem. Zastanawiałem się, jak odpowiedzieć. Nagle wyczułem ruch za plecami. Otworzyły się drzwi. Tak, Lucy miała rację: czas poznać

prawdę.

– Czy to ten znak, na który się umówiliśmy? – odezwała się Mary, wchodząc do kuchni z Zuzu na rękach.

MARY

Puszczam kotkę Toma, która umyka pod stół. Lucy ją łapie, ale Zuzu pozwala tylko na krótkie pieszczoty. Wierci się, uwalnia i czmycha pod krzesło Toma. Tak jak każde stworzenie związane z moim bratem, tolerowała Lucy wyłącznie ze względu na niego. Ale koniec z tym.

– Ukradłaś mi kota – mówi Lucy, rzucając mi przelotne spojrzenie; ot, rejestruje moją obecność i znów wbija w Toma wzrok, w którym kłębi się nienawiść. Nie wyszła ani nie sprowadziła policji, dzięki czemu nadal mam szansę zmienić bieg rzeczy. Zwraca się do Toma: – Mogłeś mnie rzucić, mogłeś opuścić własnego ojca i przyjaciół, całe swoje życie, ale nie umiałeś rozstać się z kotem?

– To nie tak – pada z ust Toma. – Po prostu strasznie tu nudno.

W jej głowie konsternacja musi się mieszać ze wściekłością jak we wrzącym kotle, a mimo to Lucy stać na uśmiezek niedowierzania w reakcji na idiotyczną odpowiedź mojego brata.

– Chodzi o polisę na życie, prawda? Kto kogo namówił?

– Oboje to wymyśliliśmy. – Kładę dłoń na ramieniu Toma, który podnosi się i ustępuje mi miejsca. Siadam naprzeciw Lucy. Dziwnie się czuję, ale trudno, mam zadanie do wykonania. – Rozmawialiśmy o tym od dłuższego czasu. Wymienialiśmy się pomysłami. Aż w pewnym momencie zrodził się plan.

– Którego byłaś mózgiem.

– Nie mogłam oddać wszystkiego w ręce tego głupka – odpalam. – Mówiłam mu, żeby nie wyjmował papierosa z plecaka. To zresztą nie jedyny błąd, który popełnił. Udało mi się wykombinować, jak załatwić mu zapas insuliny. Sprytny ruch. Pełna konspiracja. Nie do namierzenia. A ten co? Kupuje na Amazonie jakieś elektroniczne urządzenie do wstrzykiwaczy i zamawia je do biura na swoje nazwisko.

– Ach, oczywiście. Insulina w koszu. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Piorunuję Toma wzrokiem.

– Uprzedzałam go, i to wiele razy, żeby nie robił tego na kładce nad wodospadem. Teraz towarzystwo ubezpieczeniowe będzie mogło się powołać na klauzulę o niebezpiecznej działalności.

– To nieważne. Równie dobrze mogłem skoczyć na spadochronie. Liczy się to, że próbowała rozwalić mi głowę kamieniem. I że wpadłem do wody.

– Ciekawe, czy bardzo się postarałeś. Nie wiem... nadal ją kochasz czy co?

Mówię to, żeby postawić go w niezręcznej sytuacji. Niech odpowie przy niej, chcę zobaczyć jej reakcję. Mój brat mnie jednak zaskakuje.

– To nie takie proste, Mary. Spędziliśmy ze sobą wiele lat. Nie zrozumiałabyś tego.

– Próbowała cię zabić, a potem tuszowała to bajeczką o tym, że od niej uciekłeś. Na pewno dobrze to sobie przemyślałeś? Powinna była cię opłakiwać niezależnie od tego, czy ciało się odnalazło, czy nie. I powinien był się odbyć pogrzeb. Ale nie, jej pasowało, że skończyłeś jako pokarm dla ryb.

Tom wzrusza ramionami; ten jego zwyczaj zaczyna działać mi na nerwy.

– Ale nawet pomimo błędów powinno było nam się udać – zwracam się do Lucy. – Gdyby tylko temu wioskowemu głupkowi nie zachciało się wycieczki do sklepu.

– Skończył mi się liquid... – jęczy Tom. – Gość, który mnie rozpoznał, mógł chociaż zaczekać, aż kupię chleb. Bo zostałem bez chleba, wiesz?

Uśmiecham się do Lucy.

– Widzisz, z czym mam do czynienia? Gdyby postawił na swoim, gliny znalazłyby pod łóżkiem coś naprawdę głupiego i cały plan trafiłby szlag. Ale głupota mojego brata i tak przysporzyła nam sporo kłopotów.

Odpowiada uśmiechem. To fałszywy gest, Lucy po prostu robi dobrą minę do mojej gry. W jej oczach widzę niepokój i gniew. Ale nie strach. Czyżby wydawało jej się, że w jakimś stopniu panuje na sytuacją? Wskazywałyby na to sarkazm, którym mnie raczy:

– Tom mógłby pójść na komendę i powiedzieć, że porwali go cyganie i zmusili do pracy w wesołym miasteczku.

Irytująca klacz.

– Ależ to jeszcze nie koniec.

– Nie, ale już niedługo – mówi nieco zagadkowo. Czy to groźba? – Teraz wszystko rozumiem. Tom znika, wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że go zabiłam. Zgodnie z prawem suma ubezpieczenia z jego polisy na życie nie może zostać mi wypłacona. Pieniądze trafią więc do osoby wskazanej w testamencie Toma. Ale tu kolejna rzecz: jestem wymieniona jako jedyna spadkobierczyni, ponieważ zarówno ty, jak i wasz ojciec już

nie figurujecie w ostatniej woli Toma. Wiem, że namówiłaś go do tego ruchu, ale zastanawiam się po co. Majątek Toma zostanie przecież rozdzielony decyzją sądu. Wszyscy, nawet najdalsi członkowie rodziny będą chcieli dostać kawałek tego tortu.

Powoli biję jej brawo.

– Widzę, że znasz przepisy. To się chwali. Usunięcie mojego nazwiska z testamentu było oczywiście częścią planu. Pierwszą rzeczą, na jaką gliny zwracają uwagę, kiedy ktoś zostaje zamordowany, jest to, kto po nim dziedziczy. Dlatego nie mogłam być jedyną spadkobierczynią. Musiałam znaleźć się jak najdalej od wszelkich pieniędzy, które mogły mi przypaść po śmierci Toma, żeby przypadkiem nikt nie podejrzewał, że miałam w jakikolwiek sposób skorzystać na jego zejściu. Najlepszym wyjściem było zdanie się na decyzję sądu. W kolejce do dziedziczenia rodzeństwo stoi tuż za małżonkiem. Jestem jego siostrą, mieszkam blisko niego, często się z nim widzę, opiekuję się jego ojcem. Żaden sąd nie przyzna spadku jakiemuś dalekiemu kuzynostwu. Dostanę połowę wszystkiego, łącznie z domem.

Tym razem to ona oklaskuje mnie. Bezczelne babsko.

– Dom. Nawet o tym nie pomyślałam. Niezły łup, trzeba przyznać. No dobrze, ale wszystko zależało od tego, czy zostanę skazana za zabicie Toma. A gdyby to nie nastąpiło? Nie zostawiliście policji żadnej jednoznacznej wskazówki co do losu Toma. Przy braku niezbitych dowodów na popełnienie przestępstwa sąd mógł uznać całe zdarzenie za nieszczęśliwy wypadek.

– Ale nie uznał.

– Racja. Czyli tak: idę do więzienia jako winna śmierci Toma, cały jego majątek, łącznie z moim domem, zostaje spieniężony, po czym forsa wędruje do ciebie. Tom musi się ukrywać do końca życia, ale na osłodę ma pół miliona.

Tom parska śmiechem i robi to w tak irytujący sposób, że mam ochotę rozkwasić mu gębę. Lucy nie zwraca na to uwagi.

– A więc znam wasz plan – stwierdza. – Wiem już, co wami kierowało. Brakuje tylko elementu, który, przyznam, najbardziej mnie intryguje. Jestem ciekawa, w jaki sposób Tomowi udało się trafić z wezbranego strumienia do starego, zaprzyjaźnionego biura.

Lucy wpatruje się we mnie, ale ja się odchyłam i spoglądając na Toma, mówię:

– Żona zadała ci pytanie. Nie każ jej czekać na odpowiedź.

TOM

Cios tej suki bolał jak cholera. Ale i tak mniej niż uderzenie kostką o goły beton. Wina Lucy. Bo przecież nie będę miał pretensji do kamienia.

Fakt, że kręciło mi się w głowie, mocno utrudnił ominięcie powalonego słupka od ogrodzenia tuż za krańcem polany. Kiedy było sucho, słupek wystawał z wody tak, że można było przejść po nim na drugą stronę, ale tego dnia znajdował się dobry metr pod powierzchnią. Sztuka polegała na przyciągnięciu kolan do piersi i po prostu przepłynięciu nad nim, co nie powinno być stanowić problemu – w końcu miałem pod kurtką kamizelkę ratunkową – pod warunkiem, że nie kręciłoby mi się w głowie. Nurt niósł mnie z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę, lekko licząc, i w niego przywaliłem. Cholerna Lucy.

Bez względu na to, jak bardzo wezbrał strumień, o przepłynięciu do wąwozu nie mogło być mowy. Miejscami jego dno przypominało strome schody – na najgorszym odcinku czas wyrzeźbił w nim dwadzieścia niewielkich wodospadów. Nie nadawał się nawet na łódkę, raczej na quada. Większość trasy musiałem się gramolić, co naprawdę nie było przyjemne. Dlaczego? Chyba każdy pamięta ice bucket challenge? No, to właśnie tak to wyglądało.

Na dole znajdowało się rozlewisko i przynajmniej mogłem przepłynąć kawałek kraulem, żeby nabrać prędkości, zanim znów dam się ponieść prądowi. Tam, gdzie perspektywy nie przesłaniały rosnące drzewa, roztaczał się wspaniały widok. Po prawej wysokie urwisko. Po lewej dwa okazałe wzgórza o długich, łagodnych zboczach. Niestety nie miałem czasu na podziwianie okoliczności przyrody. Dno wąwozu wyglądało jak tor przeszkód dla miłośników progów zwalniających – miejscami unosiłem się swobodnie na wodzie, a chwilami musiałem robić uniki, żeby nie trafić w wystające kamienie albo nie zaryć kolanem w ziemię.

Mniej więcej półtora kilometra dalej znajdowało się rozwidlenie, a tuż przed nim – punkt, który sobie upatrzyłem. W kępie niskich drzew i gęstych, wysokich zarośli. Specjalnie wybrałem tę lokalizację, żeby gliny

zastanawiały się, którądy poniosło moje zwłoki. Obie odnogi w końcu wpadały do rzeki Darwen, ale w odległości półtora, dwóch kilometrów od siebie, przez co ekipy musiałyby poświęcić dwa razy więcej czasu na poszukiwania. Celowałem w dwa ostre głązy, sterczące z dna strumienia jak stalagmity.

Na tym odcinku było stosunkowo głęboko, nurt płynął wartko, ale na szczęście miałem dobre oko – i mocne mięśnie. Zero problemu. W sam środek. Trafiłem dłońmi w kamienie i zatrzymałem się w miejscu. Postawiłem stopy na dnie półtora metra pod wodą i wyczułem przedmiot, który powinien się tam znajdować.

Umieściłem plecak tam, gdzie przewidywał plan, czyli pomiędzy skałami. Ładnie, ciasno wpasowany, częściowo zanurzony w strumieniu.

Był cały mokry, jeśli nie liczyć wąskiego, dziesięciocentymetrowego fragmentu na jednym z pasków, który zawczasu szczelnie owinąłem folią. Musiałem odrobinę zmodyfikować kolejny krok z powodu Lucy i jej przesadnej reakcji. Zdążyłem się już zorientować, że uderzyła mnie kamieniem, bo miałem krew na włosach. Przynajmniej nie musiałem ponownie otwierać rany na palcu. Po prostu pochyliłem głowę i wytarłem ją o suchy kawałek paska. Mała wskazówka dla glin. Odhaczone.

Niewiele brakowało, żebym zapomniał o elektronicznym papierosie. O dziwo, nadal działał, mimo że przez cały czas miałem go w kieszeni i był zanurzony. Ostatni buch i urządzenie powędrowało do plecaka jako dowód rzeczowy.

Zanurkowałem w lodowatej wodzie. Na dnie miałem ukryty drugi plecak. Dla pewności był obciążony dwoma sporymi kamieniami. Opróżniłem balast i dopiero wtedy dał się wyciągnąć na powierzchnię. Co się w nim znajdowało oprócz kamulców? Plastikowa, hermetycznie zamykana torba z moimi rzeczami. Dżinsy, koszulka z długim rękawem, czapeczka z daszkiem i ciemne okulary. No i nowy elektroniczny papieros.

Za to brakowało cholernych butów.

Przemoczone ciuchy i mokry plecak wsadziłem do dużej reklamówki i ruszyłem dalej. Miałem przed sobą wspinaczkę przez las, a potem wędrowkę przez płaską, otwartą przestrzeń rzadko uczęszczanym szlakiem, który biegł pomiędzy wzgórzami. Niektóre odcinki tonęły w błocie, zwłaszcza teraz, po obfitych deszczach. Było mi wszystko jedno, przecież i tak miałem jezioro w butach. Spokojny weekendowy spacer. Nie spotkałem nikogo na swojej drodze.

Za wzgórzami leżała wioska. Ostrożność nakazywała zejść ze szlaku i ominąć miejscowość przez las. Strasznie bolały mnie stopy. W końcu dotarłem do leśnej drogi i musiałem na chwilę opuścić schronienie drzew, żeby się rozejrzeć, bo się zgubiłem. Jest, kilkaset metrów na prawo. Wycofałem się między zarośla i poszedłem w tamtym kierunku.

Zatoczka, a w niej honda jazz, którą kupiłem dzień wcześniej za gotówkę. Odczekałem trochę, żeby się upewnić, że nikogo nie ma w pobliżu, i wskoczyłem na tylne siedzenie. Rzuciłem reklamówkę na podłogę.

– Nie podnoś się – powiedziała Mary.

– Zapomniałaś o butach.

– Nie zmieściłyby się do torby.

Zmieściłyby się, gdyby nie użyła aż dwóch kamieni do obciążenia plecaka. Ona była mózgiem, a ja podchodziłem do sprawy praktycznie. Nieważne. Ułożyłem się na tylnym siedzeniu. Znalazłem koc. No proszę. Może zostawił go poprzedni właściciel?

Odwróciła się, spojrzała na mnie i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Powiedz, że to na głowie to sprawka Lucy.

– No. Chyba walnęła mnie kamieniem.

– Doskonale. Czyli co, zacząłeś się do niej dobierać?

– Musiałem, nie?

Powiedziałem siostrze, że zdołam sprowokować Lucy samymi słowami, ale nie, Mary uparła się, że musimy mieć pewność, i to był jej pomysł, żebym udawał, że chcę zgwałcić własną żonę. Nie bardzo mi się to widziało, ale spieranie się z moją siostrą przypomina dietę – prędzej czy później człowiek daje za wygraną.

Jezu, dopiero teraz zastanowiłem się nad tym, co zrobiłem, i poczułem wstręt do samego siebie. Ale najważniejsze, że cel został osiągnięty. Poza tym Lucy walnęła mnie kamieniem. Nie byłem do końca przekonany, że Mary chodziło wyłącznie o pewność. Kiedy poznałem Lucy przy okazji oglądania mieszkania, wymieniliśmy się telefonami. Mary była przy tym, widziała, co robię. „Mam nadzieję, że nie zamierzasz do niej zadzwonić – powiedziała, jak tylko wyszliśmy. – Jest dla ciebie za stara. Nie podoba mi się”. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek z ust Mary padły jakieś miłe słowa pod adresem Lucy.

Przyglądając się ranie na mojej głowie, siostra uśmiechała się promiennie.

– Wspaniale. Coś pięknego. Ona chyba naprawdę próbowała cię zabić. Tak na serio. Najlepiej, gdyby od razu zadzwoniła po gliny i przyznała się, że ukatrupiła mężusia. Mielibyśmy ubaw.

– Najchętniej ubawiłbym się w śpiworze, wiesz? Przy gorącej zupie.

– Zostawiłeś ślady krwi w umywalce?

– Tak, zrobiłem wszystko.

– Insulinę w koszu?

– Przecież mówię, że wszystko. Uspokój się.

– Żadnego wapna, piły ani grubych worków na śmieci w spizarni?

– Nie-e. Ty tu jesteś szefową.

Zmierzyła mnie wzrokiem.

– I nie zostawiłeś zakrwawionego noża pod cholernym łóżkiem?

– Mówiłem, żebyś się uspokoiła. Zrobiłem wszystko, jak trzeba.

– Dobra, leż. Przykryj się kocem. Jedziemy.

Włączyła silnik i ruszyliśmy. Tocząc się wyboistymi leśnymi drogami, powoli opuszczaliśmy zadupie. Chciała, żebym opowiedział jej, jak wyglądał mój poranek. Przerywała mi pytaniami, drążyła, chcąc poznać szczegóły: co powiedziałem, co powiedziała Lucy, gdzie staliśmy, co robiliśmy przed wyjściem z Kaskady. Ponownie spytała, czy zostawiłem insulinę i ślady krwi. I kolejny raz zażądała potwierdzenia, że nie podrzuciłem zakrwawionego noża ani zestawu do pozbywania się zwłok. Mimo to wciąż nie była przekonana.

– Nie spałeś z nią, prawda?

Wyraźnie mi tego zabroniła, i to wiele razy: żadnego seksu przez kilka dni przed dniem zero.

– Nie.

– Na pewno? Przymilałeś się do niej wczoraj.

Tylko nie przeleć jej w sobotę wieczorem, stanowczo podkreśliła.

– Nie. Przecież mówię. Znam plan.

– A ja znam was, facetów. Czyli nie obudziłeś się dzisiaj ze sterczącym fiutem? Nie stanął ci na widok jej nagiego ciała i nie pomyślałeś sobie, że przecież jeden mały numer nie zaszkodzi?

I absolutnie, pod żadnym pozorem nie dmuchaj się z nią w niedzielę rano. Ubzdurała sobie, że gliny się o tym dowiedzą – niby jakim cudem? – i nie uwierzą w historię Mary o rozpadającym się małżeństwie.

– Nie. I jako moja siostra bądź łaskawa nie wspominać o moim sterczącym fiucie, okej? W ogóle nie ma gadania o fiucie.

Nawet się nie uśmiechnęła, tylko dalej ciągnęła przesłuchanie. Tym razem zaczęła pytać o przyszłość. Sprawdziła, czy pamiętam, co mi wolno, a czego nie wolno jako truposzowi zamkniętemu w starym biurze.

Też mi przyszłość. Czułem się jak zbieg. Koniec ze spotkaniami z kumplami. Koniec z pokazami monster trucków, chociaż akurat to dałoby się jakoś załatwić: tłumy, anonimowość, te sprawy. Może maska? Koniec z seksem, acz Mary napomknęła o możliwości zamówienia prostytutki. Musiałem odmówić. Bo przecież nie powiem siostrze, żeby mi sprowadziła dziwkę, nawet jeśli sama to zaproponowała. Wytrzymam miesiąc i zobaczymy, jak będzie.

– Czuję McDonalda.

– Zapomnij.

– Przy okienku na zewnątrz nie ma kamer.

– Chcesz się założyć? Ile stawiasz? Milion funtów? Leż i nie wychylaj się. Później zjemy. Wróćmy do planu. Co zrobisz, jeśli ktoś zacznie się dobijać do biura w środku nocy?

Dłużącą się jak tydzień godzinę później zjechaliśmy z autostrady i znów skręcaliśmy to tu, to tam. Kiedy pokonaliśmy krawężnik i koła zaczęły się toczyć po trawie, wiedziałem, że jesteśmy na miejscu. Mary zatrzymała samochód i zgasiła silnik.

Usiadłem. Uliczka była ślepa, ukryta przed wzrokiem ciekawskich. Po jednej stronie stała wysoka tylna ściana jakiejś wytwórni żywności, a po drugiej długi szereg dwupiętrowych budynków przerobionych na obiekty biurowe i usługowe. Wszyscy dawni mieszkańcy wynieśli się stąd, kiedy poszła plotka, że zakwaterowano tu pedofila.

Większą część skrajnego segmentu zajmował gabinet dentystyczny – działał, ale w niedzielę był zamknięty. Właściciel kupił tylko parter i pierwsze piętro, przestrzeń na samej górze stała pusta i była do wynajęcia. Zaparkowaliśmy na trawniku pod ścianą szczytową, ponieważ jedyna droga na drugie piętro wiodła po spiralnych schodach pożarowych, które prowadziły do metalowych drzwi. Kiedy szukałem miejscówki, musiałem wyłamać zamek, dlatego teraz drzwi trzymały się na zwykły rzep.

Schody pożarowe były śmiertelną pułapką. Kiedy się po nich wspinaliśmy, chwiały się i dudniły, a z otworów, w których niepewnie tkwiły mocujące je śruby, sypał się ceglany pył. Celowo ich nie naprawiałem; w takim stanie odstraszały potencjalnych najemców.

– Przekonajmy się, czy ktoś upadł na tyle nisko, by urządzić sobie nowy dom w tym dole kloacznym.

Mary nie rozbawił mój żart.

Droga była wolna, ale zaczekaliśmy w aucie, aż to Mary zdecyduje, że droga jest wolna. Kazała mi założyć czapkę i okulary i okutać się kocem. Oczywiście przez to wyglądałem jeszcze bardziej podejrzanie. Ktoś mógł pomyśleć, że wraca stary pedofil.

Trzy pomieszczenia. Nazwijmy je pokojami. Biuro, kuchnia, schowek. Brak łazienki – ta znajdowała się na dole, dokąd nie wolno mi było chodzić. Kiedy zacząłem jęczeć o tym, jak mam mieszkać w takich warunkach, Mary rozgadała się o swoim fagasie z celi śmierci. „Richard nie narzeka. Richard spędza całe dni w zamknięciu. Richard musi jeść gówniane żarcie”. No, fajnie. Ale Richard nie musi srać do reklamówki.

Przy okazji poprzedniej wizyty w tym miejscu – oficjalnie, w garniturze – przywiozłem trochę zapasów, a także mikrofalę, czajnik i śpiwór. Mary też dodała co nieco. Postawiłem na podłodze dwie wypchane torby, które przytachałem z bagażnika. Zobaczyłem na wierzchu pudełko z maszynką do włosów.

– Myślałem, że chcesz mnie przefarbować na blond?

– Nie – odparła siostra i na tym zakończyła się dyskusja.

Kazała mi usiąść i zabrała się do roboty. Wzięła gołą maszynkę, bez żadnej nakładki, przyłożyła ostrze do czubka mojej głowy i przesunęła w stronę czoła. Włosy spadły mi na kolana, a w ślad za nimi powędrowała maszynka.

– To na wypadek, gdybyś próbował to zrobić po swojemu – oznajmiła Mary. – Dokończ. I nie zapomnij o brodzie.

Wymacałem wygoloną ścieżkę. Naga skóra. No super. Czyli ma być na łyso. Przystąpiłem do dzieła. Kilka razy przejechałem po ranie z boku głowy. Pozbywszy się włosów, przyjrzałem się obrażeniom. Cholerna Lucy nieźle mnie urządziła. Później pożegnałem się z brodą, ale bez żalu; kiedy rosła, bez przerwy skubałem ją tak, że piekły mnie policzki.

Poświęciliśmy pół godziny na przegadanie planu kolejny, sam już nie wiem który raz, a potem Mary pojechała do domu. Musiała być u siebie, kiedy gruchną wieści, na wypadek, gdyby gliny miały ją odwiedzić.

– Miłego siedzenia na kanapie przed telewizorkiem – rzuciłem za nią.

Do kontaktu służyły nam dwa telefony na kartę. Ona kupiła swój w sklepie kilka miesięcy wcześniej. Ja zamówiłem na Amazonie;

posłużyłem się nazwiskiem i kontem bankowym taty, żeby uniknąć podejrzeń. Wybrałem binatone m250 – idealny aparat dla osób w wieku ojca: wielkie przyciski, brak bajerów, dzwoni, wysyła esemesy i tyle. Mary uparła się, że telefon nie może mieć dostępu do internetu; powiedziała, że mi nie wierzy, kiedy zapewniłem ją, że nie będę wchodził na Facebooka, żeby obserwować poruszenie, które niewątpliwie wywoła moja śmierć. Bała się, że schrzanię cały plan.

Więc tak. Zero Google'a, zero telewizji, zero radia. Puzzle, książki, szkielet oraz rzecz, która mnie naprawdę zirytowała, bo nie wiedziałem, czy to żart, czy durna próba sprawienia mi przyjemności: monster truck. Resorak. Tak, to na pewno pomoże mi wypełnić pustkę.

Popołudnie ciągnęło się w nieskończoność. Richard mógł gadać z kumplem spod celi albo z klawiszem. Ja miałem puzzle. Pod wieczór, kiedy jacyś debile na motorach urządzili sobie wyścigi pod budynkiem, zacząłem się niecierpliwić. Dziś był pokaz monster trucków, występował Zwierzak, ale nie mogłem tam być, nie mogłem tego zobaczyć. Trzeba było poczekać do jutra rana z całą akcją. Ciągnąłem z elektronicznego papierosa tak mocno, że rozboleło mnie gardło. Wyszedłbym na chwilę na słońce. Co się może stać?

Nie wyszedłem. Dokończyłem puzzle. Zjadłem dwa banany. Zadzwoiła Mary.

– Nadal cisza. Na mediach społecznościowych też nic.

Nikt z moich znajomych nie wrzucił do sieci żadnej informacji o mnie. Ale skoro nikt nie próbował się ze mną skontaktować na telefon, który zostawiłem w chacie, to przecież nie miał podstaw, by cokolwiek podejrzewać, prawda? Spędzałem miły weekend w towarzystwie żony.

Naszym wspólnym znajomym był właściciel pubu Serengeti, ale jego ostatni post sprzed godziny dotyczył koncertu w przyszłą sobotę. Biorąc pod uwagę to, jakim cieszył się posłuchem w wiosce, a także lokalizację pubu, na pewno nie ominęłyby go informacje o policji w Kaskadzie.

– To jeszcze niczego nie przesądza. Radiowóz mógł śmignąć obok pubu w dwie, trzy sekundy, a właściciel nie mieszka od frontu...

Sąsiedzi w Sheffield też milczeli. Czyli policja nie pojawiła się również pod naszym domem.

– Nie wydaje mi się, żeby opuściła Cullerton beze mnie. Pewnie czeka, bo chce się przekonać, czy wrócę żywy.

– Niby po co miałyby to robić? Naćpałeś się czy co? Jesteś pewien, że próbowałeś ją zgwałcić?

– Tak. Przecież widziałas ranę po tym, jak mnie walnęła. Minęło dopiero siedem godzin z hakiem. Nie sądzę, żeby poszła od razu na policję. Na pewno siedzi i czeka na mój powrót.

Na stronach policji hrabstw South Yorkshire i Lancashire również nic. Mary znalazła wykaz osób zaginionych, ale nie było w nim mojego nazwiska.

– A próbowałaś w zakładce „poszukiwani”?

Nie uznała tego za zabawne. Zaczęła się głośno zastanawiać, co Lucy kombinuje.

– Mam nadzieję, że nie popełniła samobójstwa z rozpaczy po stracie męża.

Ten żarcik też jej nie rozbawił.

– Zostań tam, gdzie jesteś – powiedziała po namyśle. – Mówię poważnie. Absolutnie nigdzie się nie ruszaj. Muszę się spotkać z twoimi kumplami od Zwierzaka.

– Co zamierzasz?

– Nie podoba mi się to. Coś jest nie tak. Pojadę...

MARY

– ...do Kaskady i zorientuję się w sytuacji. Liczyłam, że znajdę cię gdzieś nad strumieniem, zalewającą się łzami, dzwoniącą na numer alarmowy... – mówię. – Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy otworzyłaś drzwi i okazało się, że wcale nie jesteś zapłakana. Przeciwnie: sprawiałaś wrażenie spokojnej i opanowanej i miałaś gotową historyjkę o tym, że Tom po prostu nie wrócił ze spaceru. O mało szczęka mi nie opadła. Myślałaś, że go zabiłaś tym kamieniem, ale zamiast zwijać się z poczucia winy i zeznawać na komendzie, wymyśliłaś bajeczkę, która miała ci służyć za przykrywkę. Mówiłam sobie: nie, to niemożliwe. Ta kobieta, jego żona, jego morderczyni, będzie teraz udawała, że Tom żyje? Jak długo? Latami? Upiorne. Tom usiłuje upozorować swoją śmierć, a ty myślisz, że go zabiłaś... i próbujesz to zatuszować. Żadnemu pisarzowi nie uszłoby na sucho coś tak naciąganego. Kunsztowna robota, jak to określił Tom.

Lucy sprawia wrażenie lekko speszonej. Niepotrzebnie. Naprawdę niewiele brakowało, żeby wyszła z tego obronną ręką.

– W niedzielę zaczęłam się zastanawiać, czy rzeczywiście wierzysz w swoją wersję zdarzeń. Tom nie umarł, kiedy po twoim ciosie wpadł do

wody. Może sądziłaś, że wydostał się na brzeg i nie wracał, bo, jak sama mówiłaś, był na ciebie wściekły i po prostu nie chciał cię widzieć. Ale następnego dnia, gdy zniknął jego samochód, przejrzałam twój plan. Pozbyłaś się auta, bo wiedziałaś, że Tom nie żyje. Muszę przyznać, że byłam pod wrażeniem twojego opanowania, siły i hartu ducha, zwłaszcza tego, jak się zachowywałaś przed policją. Tyle że przez pozbycie się wozu oddałaś pojedynkę walkowerem. A już w ogóle to, że nie zrobiłaś tego sama, było twoim największym błędem i dla mnie wisienką na torcie. Sprawiałaś wrażenie, jakbyś była wtajemniczona w nasz plan... i ulepszała go.

Przerywam, żeby dopuścić Lucy do głosu. Niech poczuje się zagubiona i zrozpaczona, zanim przypuszczę atak. Wstaje i podchodzi do Toma. Mój brat spina się, jakby spodziewał się ciosu, ale jestem spokojna. Z nas dwojga to ja jestem ważniejszym graczem i to ja zasługuję na gniew Lucy.

Jasne, że nie chciała go uderzyć. Wrywa mu kubek, opróżnia zawartość do zlewu i nalewa sobie wody. Zaszło jej w gardle. To dobrze. Siada.

– Dlaczego nie zapytacie, czemu nie grałam roli, którą dla mnie napisaliście? Czemu nie zadzwoniłam na policję i nie powiedziałam, że zdarzył się wypadek?

Nie muszę pytać, bo widzę, że sama chce wyjaśnić. Nie odzywam się. Czekam.

– Nie mogłam pójść do więzienia – oznajmia i nagle jej oblicze zachodzi złością. – Mówisz, że byłam silna? Nie masz pojęcia, co się we mnie działo. Kiedy ten sukinsyn zniknął, odchodziłam od zmysłów, czułam się tak źle, jak jeszcze nigdy, nawet gorzej niż w Niemczech, gdy byłam bita przez męża. Bez przerwy płakałam. Na przesłuchaniu powiedziałam, że wykąpałam się, zjadłam, poćwiczyłam, obejrzałam telewizję, ale to wszystko kłamstwa. Nie zrobiłam żadnej z tych rzeczy. Nie miałam ochoty ani siły. Gdyby zamknęli mnie w więzieniu, zabiłabym się. A przecież pragnęłam żyć. Mam przyjaciółkę i rodziców. Może nie jesteśmy ze sobą jakoś szczególnie blisko, ale poczuliby się skrzywdzeni, gdybym trafiła za kratki. Wolałam im tego oszczędzić. Stałam się wrakiem człowieka i wy mi to uczyniliście, kanalie.

Nie odzywam się, Tom też nie. Żadna reakcja nie wydaje mi się odpowiednia. To znaczy, boję się, że powiem coś, co zabrzmie bezczelnie i zniweczy moje szanse na naprawienie tego, co jest nie w porządku. Lucy milknie i po chwili bierze się w garść.

– Kunsztowna robota, mówisz? Mimo to moje działania powodowały, że wpadaliście w panikę. Mogłam namieszać w waszym misternym planie, więc musieliście coś zrobić. Poszłaś prosto na górę. Znalazłaś insulinę w koszu. Ni z tego, ni z owego powiedziałaś policji, że Tom mnie kochał. Teraz rozumiem, dlaczego tak uparcie trzymałaś się wersji o śmierci Toma. Ale tak się zastanawiam... Czy równie szybko założyłabyś moją winę, gdybyś nie miała żadnego planu? Moim zdaniem tak.

– Wierz mi, te słowa o miłości Toma do ciebie z trudem przeszły mi przez gardło. Ale musieliśmy przekonać policję, że wasze małżeństwo było samą słodyczą, inaczej mogliby uwierzyć, że Tom zwyczajnie od ciebie odszedł. Przyznaję, że kiedy się zorientowałam, że będziesz ukrywała zabójstwo, trochę spanikowałam i uznałam, że lepiej przyspieszyć bieg wydarzeń. W przeciwnym razie Tom pozostawałby w zawieszeniu przez wiele tygodni. Wypłata pieniędzy przesunęłaby się w czasie. A ty wywinęłabyś się bajeczką o tym, że cię zostawił. Nie mogłam sobie pozwolić na takie ryzyko. Co się tyczy twojego pytania... Moim zdaniem nie. Wiedziałam, że Tom się odkochuje. – Zerkam na niego. – A raczej odkochiwał.

– Czyli ty też popełniasz błędy – mówi Lucy.

– Nie popełniam błędów. Jeśli nie liczyć nieudanego przedstawienia z rozpytywaniem znajomych Toma o to, czy się do nich odezwał. Ale i tak byłam kryta.

– Wydaje ci się, że pomyślałaś o wszystkim. Być może, ale twój plan nie obejmował tego, co tu teraz robimy. Masz spory problem. Dlatego mnie tu sprowadziłaś.

Otworzyła mi furtkę. Korzystam z niej ochoczo.

– Możesz nam pomóc poradzić sobie z tym problemem. Dostałabyś za to połowę sumy. Dobrze ponad pięćset tysięcy funtów. Mogłabyś zacząć nowe życie. Już raz to zrobiłaś.

Śmieje się.

– Co proponujesz? Miałabym dalej udawać przed policją, że zabiłam Toma? Chwileczkę, a gdybym potraktowała wyrok jak pracę na etacie? Pięćset tysięcy za, powiedzmy, pięć lat. Sto tysięcy rocznie. Sam naczelnik więzienia pewnie tyle nie zarabia. Byłabym najlepiej zarabiającą więźniarką. Brzmi świetnie. Przyklaskuję twojemu planowi.

Wcale nie przyklaskuje. Patrzy na mnie, jakbym była tępym zwierzęciem cyrkowym, pokazującym sztuczki dla jej przyjemności. Muszę zachować

spokój.

– Wspomniałaś o niezbitych dowodach – mówię. – Nie bez powodu zdecydowałam, że ślady świadczące o twojej winie nie będą jednoznaczne. Ten idiota, którego masz za męża, chciał podrzucić zakrwawiony nóż, worek wapna i foliowe worki na śmieci. Wyobrażasz sobie? Nie mogliśmy tego zrobić, ponieważ od razu byś się zorientowała, że ktoś próbuje cię zrobić. To by wszystko zmieniło. Musiałaś trwać w przekonaniu, że spowodowałaś śmierć Toma. Dowody musiały być poszlakowe. Chodziło o coś, co osobno będzie wyglądało niewinnie, za to zestawione razem rzuci na ciebie niekorzystne światło.

– Masz na myśli również obrączkę? Ukradłaś ją, prawda? Żeby policja odniosła wrażenie, jakbym od początku wiedziała, że na zawsze uwalniam się od Toma.

Kręcę głową.

– Nie. Naprawdę byłam przekonana, że ją wyrzuciłaś. Jeśli nie, to masz zagadkę. W każdym razie plan zakładał, że przez te wszystkie zbiegi okoliczności zaczniesz się uważać za ofiarę prawa Murphy’ego. Obyś tylko nie pomyślała, że cię wrabiamy. To, czy dowody zebrane do kupy wystarczyłyby do tego, żeby cię skazać, nie miało znaczenia. Bo widzisz, w przypadku roszczenia stwierdzenia śmierci zawinionej przed sądem cywilnym nawet nie potrzeba aż tylu dowodów. Ponieważ nie chodzi o ciężar dowodu, tylko o ciężar prawdopodobieństwa. Wystarczyłoby, gdyby sędzia zdecydował, że prawdopodobnie zabiłaś Toma. Wyrok skazujący odciąłby cię od jego pieniędzy. Sama widzisz, że plan był jednak doskonały. I nadal może być.

– Tyle że ze wszystkich sił starałaś się doprowadzić do tego, żeby aresztowano mnie i skazano za morderstwo.

– Dziwi cię to? Miałaś polecieć z płaczem na policję i wyszlochać, że przypadkiem uderzyłaś męża i że wpadł do strumienia. Tymczasem postanowiłaś to ukryć. Nie obchodziło cię, że Tomowi należy się odpowiedni pochówek i że jego ojciec i siostra chcieliby wiedzieć, co się tak naprawdę wydarzyło. Myślałaś wyłącznie o sobie. Dlatego uznałam, że musisz za to zapłacić.

– Powiedziałaś, że plan był doskonały i nadal może być...

Starannie dobieram słowa, dokładnie wymierzam cios.

– Wystarczy, że nagle zmienię zdanie i przestanę cię uważać za obleśnego karalucha w skórze kobiety.

– Ach, rozumiem. Nieoczekiwanie zazdrosna, złośliwa, ordynarna siostra zechce wygłosić oświadczenie ofiary o doznanych szkodach, w którym mnie wybieli. Istnieje szansa, że dzięki temu oraz dzięki nieprzyznaniu się do winy uniknę wyroku skazującego za morderstwo. Jeśli tak się stanie, pójdziesz ze sprawą do sądu cywilnego, gdzie szanse na to, że zostanie uznana za zabójczynię Toma, są większe. Uniknę kary więzienia i wszyscy będziemy bogaci. Warunkiem powodzenia planu jest to, że kiedy teraz stąd wyjdę, nikt się nie dowie, że Tom żyje. Dlatego ani razu nie nazwałaś mnie Lucyferką. Chcesz, żebym powiedziała policji, że łysy mężczyzna na nagraniu to nie Tom.

Brawo za ripostę z Lucyferką.

– Powiesz, że kiedy uderzyłaś go kamieniem, rozwaliłaś mu usta. Albo że dzień wcześniej zrobiłaś mu tatuaż domowym sposobem na policzku. Albo że złamał kostkę. Coś, co pozwoli ci stwierdzić z całą pewnością, że to nie twój mąż. Tom nie żyje.

– Problem z twoim planem polega na tym, że spalił na panewce, tylko jeszcze o tym nie wiesz. Nie uda się, choćbym nie wiem, co zrobiła.

Lucy wstaje, podchodzi do Toma i całuje go w policzek.

– Żegnaj, Tom. – Próbuje podnieść kotkę, ale Zuzu chowa się za nogami Toma. Patrzę z niedowierzaniem, jak Lucy kieruje się w stronę drzwi. Poważnie? Odejdzie... tak po prostu?

Wymieniamy się z Tomem spojrzeniami. Mój brat wzrusza ramionami i wtedy dociera do mnie, że to się dzieje naprawdę. Jest gotów dać za wygraną. Nie ma mowy, nie poddam się.

Zrywam się z krzesła. Lucy jest już przy drzwiach. Otwiera je, słysząc skrzypienie starych schodów pożarowych na wietrze.

– Dokąd to, suko?! – krzyczę za nią. – Nie ma tak łatwo. Zrobisz to dla nas, czy ci się to podoba, czy nie.

Odwraca się do mnie, znów z tym swoim irytującym uśmiechem na ustach. Nienawidzę jej jak jeszcze nigdy dotąd.

– Mary, Tom... zabawa skończona. Komisarz Reavley chciał wiedzieć, czy mam jeszcze jeden ukryty telefon. Zdziwiłam się, ale potem zrozumiałam, dlaczego o to zapytał. Policja znalazła aparat, który Tom zgubił po tym, jak przeskoczył przez płot. Tom się ukrywał, udawał martwego. Do czego był mu potrzebny telefon? Kto miałby do niego dzwonić? Do kogo on miałby dzwonić? Hmm... być może w pamięci

urządzenia znajduje się jakiś numer. Być może policja zdoła go zlokalizować. Ciekawe, dokąd ją zaprowadzi...

Czy zdołałabym jej wybaczyć śmiech, którym nas uraczyła, wychodząc na schody? Czy przymknęłabym oko na fakt, że zdradziła policji naszą kryjówkę?

Jeszcze czego.

Rzucam się na nią, kiedy już stoi na podeście schodów, tak że z pełnym impetem uderza o barierkę. Stara, pordzewiała konstrukcja zaczyna się trząść, śruby mocujące obie poręcze wysuwają się z kruszejących cegieł. Czuję ostre szarpnięcie do przodu, gdy gruby słup, wokół którego wiją się schody, przekrzywia się na wpuszczonej w grunt betonowej stopie, i nagle się zatrzymuje. Stalowa wieża odchyła się od budynku.

Naraz dociera do mnie wrzask Toma. Mój brat ruszył za mną, po czym niespodziewanie podest usunął mu się spod stóp. Tom niezgrabnie usiłuje chwycić się poręczy, ale jego dłoń się ześlizguje, i przed nim już tylko droga w dół. Większość tego, co się wydarzyło, wiem z późniejszej relacji, na własne oczy widzę tylko, jak Tom upada ciężko na krótką trawę prawie dziesięć metrów pod nami.

Lucy gramoli się, wykrzykując imię mojego brata, i przechyla się przez barierkę. Na chwilę zapominam o Tomie i koncentruję całą swoją wściekłość wraz z pretensjami na Lucy. Znow się na nią rzucam. Metal wydaje ogłuszający jęk.

Oprócz niego słyszę nawoływanie, tupot stóp i jęk syren. A jednak Lucyferka sprowadziła gliny.

– Ty suko – wydzieram się, wpychając rękę między jej nogi. Łapię ją za spódnicę i zadzieram aż na biodra. Podciągam ją do góry i jednocześnie wymierzam jej cios między łopatki. Lucy leci na barierkę. Nie odbija się od niej, przeciwnie: obiema dłońmi chwyta metalową poręcz, wykonuje przewrót i grzmoci plecami o metalową osłonę podestu. Z jej ust dobywa się przeraźliwy wrzask. Muzyka dla moich uszu.

Siła uderzenia sprawia, że centralny słup, na którym opiera się cała konstrukcja, przekrzywia się o kolejne kilkadziesiąt centymetrów i znow się zatrzymuje. Podest przeistacza się w pochylnię. Stopy mi zjeżdżają. Padam na kolana, zsuwam się i z bolesnym stęknięciem walę w stalowe tralki.

– Lucy – jęczy Tom z dołu. Świadomość, że bardziej się martwi o wiedźmowatą żonę niż o siostrę w niebezpieczeństwie, jest dla mnie jak

najgorsza tortura i sprawia, że wszystko się we mnie gotuje.

Odpycham się od tralek, rzucam się do przodu i oplatom palce wokół poręczy tuż obok miejsca, w którym Lucy kurczowo trzyma się, by nie spaść. Obie ręce mam zajęte, dlatego pozostaje mi tylko jedno: otwieram usta i niczym dzikie zwierzę, którym się stałam, zatapiam zęby w jej dłoni.

Ponownie słyszę rozkoszną melodię cierpienia tej jędry i w następnej sekundzie Lucy i jej zakrwawione kłykcie lecą w dół. A Tom – co on robi? Daje susa tam, gdzie Lucy powinna wylądować i się połamać – chce zamortyzować jej upadek i przy okazji wsadzić jej łapę między uda. Suka twardo uderza o ziemię, ale rozlega się tylko głuchy odgłos, brak trzasku łamanych kości. Tom nieruchomieje, a Lucy leży na plecach i czystym wzrokiem wpatruje się w niebo. Znowu jest wolna jak ptak.

Widzę zbiegających się gliniarzy. Krzyczą do siebie, ale ich głosy nie brzmią jak kojąca nuta.

Wydaję z siebie ryk jak ranny niedźwiedź i nakręcona wściekłością zaczynam szarpać za barierkę, wkładając w to całą moją siłę, a trochę jej mam. Pisk metalu znamionuje rozbrat pomiędzy centralnym słupem a wtopioną w beton kotwą. Potem mogę się już tylko modlić, gdy wraz z przewracającą się stalową konstrukcją nieuchronnie pędzę na spotkanie z ziemią.

LUCY

Spotkałam się z komisarzem Reavleyem w holu hotelu Mercure Bowdon w Manchesterze. Miałam godzinę, potem musiałam ruszać w drogę. Rozmawiałam z nim dwukrotnie w ciągu trzech dni, które minęły od wydarzeń w pustym biurze będącym kryjówką Toma. Pierwszy raz w karetce. Toma i Mary zabrano do szpitala osobnymi ambulansami i w eskorcie policyjnej.

Biodro już mi tak nie dokuczało, ale nadal chodziłam o kulach. Każde ukłucie bólu sprawiało, że myślami wracałam do tamtego wieczoru i do Toma, który rzucił się pode mnie, kiedy spadałam ze schodów pożarowych. Wylądowałam w poprzek górnej części jego ciała, nogami i biodrami mocno wyrznięłam o ziemię, ale resztę zamortyzowała klatka piersiowa Toma. Złamałam mu kręgosłup, więc mogłam sobie tylko wyobrazić, jakich obrażeń bym doznała, gdyby się nie podłożył.

Ale nie współczułam mu, bo przecież to przez niego w ogóle znalazłam się w tej sytuacji. Niemniej byłam mu trochę wdzięczna. Wspomnienie upadku i szok po tym wszystkim, czego się dowiedziałam w kryjówce mojego męża, sprawiły, że mój umysł nie miał czasu zatrzymywać się na tak mało istotnych kwestiach jak wieczność kosmosu. Od tamtego dnia sen o nieskończoności już mnie nie dręczył. Spałam spokojnie dzięki wydatnej pomocy środków przeciwbólowych, a także świadomości, że nie mam w perspektywie wielu lat za kratkami.

Nie było mi również żal Mary. Niczym zwinna kotka zeskoczyła z walących się schodów tuż przed tym, jak runęły z hukiem na ziemię, i jedynie skręciła sobie kostkę przy lądowaniu. Pewnie żałowała, że nie ucierpiała bardziej. Kiedy nazajutrz wychodziłam ze szpitala, Mary była już po pierwszym z wielu przesłuchań na komendzie. Policja przedstawiła rodzeństwu całą listę zarzutów. Odmówiono im możliwości zwolnienia za poręczeniem. Obojgiem zajęła się niejaka Susan Metcalfe – ta sama osoba, która wczoraj przysłała mi pudełko czekoladek i kartkę z życzeniami.

Sierżant, która mnie przesłuchiwała.

Kiedy Reavley zobaczył, jak walczę z drzwiami przed wejściem do holu, podbiegł, żeby mi pomóc. Zanim wróciliśmy na kanapę, zdążyło ją zająć dwóch młodych mężczyzn. Nie zrobiły na nich wrażenia moje kule, ale wystarczyło, by Reavley błysnął odznaką, i natychmiast się zmyli.

Teraz, kiedy największe emocje już opadły, przypomniałam sobie, że jeszcze nie podziękowałam komisarzowi za jego perfekcyjne wyrzucenie czasu tamtego wieczoru. W karetce nie było ku temu okazji, bo za bardzo chciałam się dowiedzieć, w jaki sposób jemu i policji hrabstwa Nottinghamshire udało się zmaterializować w samą porę.

Przeгляд komercyjnych nieruchomości znajdujących się w ofercie agencji Toma okazał się bardzo żmudnym zajęciem. Ponieważ żadna z nich nie wyróżniała się na pierwszy rzut oka, nie było innego wyjścia, jak zacząć sprawdzać je po kolei. Z racji tego, że policja nadal nie miała pewności, czy Tom w ogóle żyje i czy wybrał któryś z tych obiektów jako swoją kryjówkę, zadanie nie znajdowało się wysoko na liście priorytetów ekipy poszukiwawczej. Do momentu, w którym mnie aresztowano, zdążono odwiedzić raptem cztery biura. Wypłynięcie nagrania z łysym mężczyzną mogło pomóc policji zogniskować starania, ale niestety w bazie danych agencji nie figurował żaden lokal do wynajęcia albo na sprzedaż w Nottingham.

Mniej więcej dwie godziny przed telefonem Toma do mnie jakiś funkcjonariusz postanowił jeszcze raz przejrzeć listę. Dziwnym trafem człowiek ten nie zwrócił uwagi, że Nottingham jest obszarem podejrzanym, i co gorsza, nie skorzystał z wykazu wziętego z komputera firmowego agencji Toma, tylko przepatrzył starszy plik, ten, który znaleziono w laptopie zarekwirowanym w naszym domu. Błąd policjanta okazał się zbawienny w skutkach.

Funkcjonariusz otworzył zwykły wordowski plik ze spisem adresów, a w sąsiednim oknie wszedł na stronę internetową agencji, żeby mieć podgląd nieruchomości. Natrafił na nieprawidłowość i na szczęście zgłosił ją przełożonemu. Lista zawierała jedną pozycję, której nie odpowiadała żadna zakładka na stronie: biuro przy Queen Lane numer 6, w Kimberley. W Nottingham. Wniosek był prosty – po tym, jak Tom sporządził kopię pliku, niewielki lokal został usunięty z dostępnego w witrynie agencji wykazu.

W trakcie przesłuchania Tom przyznał, że wyrzucił tę nieruchomość z bazy po to, żeby nikt się nie dowiedział o jej istnieniu, współnikowi zaś

powiedział, że zleceniodawca wycofał ofertę. Peter nie wiedział o planie rodzeństwa i nie brał w nim udziału.

Kiedy zjawiłam się na Queen Lane, policja już od pół godziny obstawiała biuro. Reavley powiedział, że moje przybycie rozzłościło niektórych członków jego ekipy, ponieważ rzeczywiście wyglądało to, jakbym jednak była w zмовie z Tomem. Jeżeli mój mąż faktycznie przebywał w środku, obserwował otoczenie i zobaczyłby funkcjonariuszy, mógł znowu zniknąć. Dlatego pozwolono mi zaparkować pod budynkiem i wspiąć się po schodach pożarowych. Oddział był gotowy przeprowadzić nalot. Czekano jedynie na potwierdzenie obecności kolejnego współlnika.

Słusznie zakładałam, że Tom kontaktował się z kimś z komórki, którą zgubił, kiedy uciekał po tym, jak został zauważony. Dzwonił z niej tylko na jeden numer – ten, o który zapytał mnie Reavley. Szybko go namierzono.

Okazało się, że w niedzielę rano, krótko po tym, jak Tom zaginął, numer był aktywny w pobliżu Cullerton, następnie przemieścił się do Kimberley w Nottingham. Logował się również w Sheffield niedaleko mojego domu, stąd teoria Reavleya, że aparat mógł należeć do mnie. Ale niedaleko mojego domu równie dobrze oznaczało niedaleko domów dziesiątek, może setek ludzi, których znał Tom.

By dowiedzieć się, do kogo dzwonił Tom, policja wprowadziła numery rejestracyjne samochodów wszystkich znanych przyjaciół i znajomych Toma do bazy Automatycznego Systemu Rozpoznawania Numerów Rejestracyjnych. Chodziło o sprawdzenie, czyje auta pojawiły się w określonych lokalizacjach w określonym czasie. Zadanie wyglądało na bardzo pracochłonne, ale funkcjonariuszom sprzyjało szczęście.

Ponieważ kilka dni wcześniej Mary nie zapłaciła za paliwo na stacji benzynowej, jej pojazd został wciągnięty do specjalnego rejestru wykroczeń. Zdarzenie miało miejsce we wtorek na stacji Shella w punkcie obsługi podróżnych pomiędzy dwudziestym ósmym a dwudziestym dziewiątym węzłem na autostradzie M1 w kierunku północnym. Mary jechała wtedy przechwycić mnie i Reavleya w agencji Toma; policja podejrzewała, że wracała z Nottingham ze spotkania z Tomem.

Od momentu, w którym znalazła się w bazie, za każdym razem, kiedy którakolwiek z kamer ASRNR uchwyciła jej tablice rejestracyjne, system wyświetlał stosowny komunikat. Wyświetlił go również tamtego dnia, kiedy pojechałam do Toma. Kamery zauważyły ją w Kimberley.

Reavley podejrzewał Mary już od jakiegoś czasu.

– Coś nie dawało mi spokoju – przyznał, kiedy jechał ze mną karetką. – W jej dosyć długim zeznaniu znalazło się niewiele na temat tego, jak bardzo tęskni za bratem. Nie mówiła o tym, jaki Tom był, nie opowiadała o jego dzieciństwie, wspólnych zabawach, rzadko odwoływała się do miłych wspomnień. Nieszczerze interesowała się tym, czy w toku śledztwa natrafiliśmy na jakikolwiek trop mogący wskazywać, że Tom żyje. Z mojego doświadczenia wynika, że najbliżsi osób zaginionych rozpaczliwie pragną tego rodzaju strzępów informacji, chcą wiedzieć, czy była używana karta albo czy poszukiwany odczytał mail... Mary ani na początku, ani właściwie na żadnym etapie śledztwa nie okazywała nadziei, którą widzę u tak wielu. Ludzie zwykle chwytają się wszystkiego, co mogłoby sugerować, że zaginiony żyje, i wypierają się całej negatywnej reszty. Bywa, że nawet wtedy, kiedy już odnajdziemy ciało i uda nam się je zidentyfikować. W przypadku Mary wyglądało to zupełnie inaczej. Z miejsca uznała, że Tom jest martwy, a wszelkie okoliczności przemawiające za tym, że przeżył, ignorowała.

Prawdę mówiąc, sama też dostrzegałam w niej ten brak nadziei i oczekiwań, ale chyba po prostu nie potrafiłam odpowiednio ich zinterpretować. Wierzyłam, że Tom nie żyje, i zakładałam, że Mary jest tego tak samo pewna jak ja. Dziś oczywiście wiem, z czego wynikała jej postawa.

– Poza tym konsekwentnie używała czasu przeszłego – mówił Reavley. – Chwilami wręcz milkła na ułamek sekundy, jakby przypominała sobie, że powinna powiedzieć „Tom był” zamiast „Tom jest”. Nigdy wcześniej się z tym nie spotkałem. Ludzie wolą używać czasu teraźniejszego, bo ten po prostu oddała poczucie nieodwracalności. Nawet tym, którzy z jakiegoś powodu uparcie trzymają się formy „był” albo „była”, zdarza się przejść. Ale nie Mary. Czas przeszły. Za każdym razem. Na kilometr śmierdziało to czymś... podejrzanym.

– Nie zwróciłam na to uwagi.

– Ale najbardziej znamiona była dla mnie jej reakcja, kiedy podzieliłem się z nią wątpliwościami, czy Tom na pewno wpadł do strumienia, ponieważ wydawało mi się mało prawdopodobne, by nurt zdołał unieść ciało aż do rzeki Darwin. Nawet jeśli nie przyszło jej do głowy, że to może oznaczać, że Tom nadal żyje, oczekiwałem od niej przynajmniej powtórzenia po raz enty oskarżenia pani o kłamstwo. Myślałem, że pewnie powie, że widocznie pozbyła się pani zwłok w inny sposób, zakopała je

pani w lesie albo coś podobnego. Nie, Mary jakoś nie paliła się do poszukiwań, nie upierała się, że powinniśmy ponowić wysiłki, skoro nie udało nam się odnaleźć ciała w wodzie. Zamiast tego przekonywała mnie, że Toma musiało znieść do rzeki.

– Zdążyłam przyznać się do winy – zauważyłam. – Wszystko odbywało się zgodnie z jej planem. Nie chciała, żeby ktoś zaczął wątpić w moją historię, bo to oznaczało kłopoty albo odsunięcie w czasie wyroku skazującego.

Położyłam kule na podłodze. Komisarz podał mi filiżankę herbaty. Za dużo cukru, ale przynajmniej pamiętał, że nie piję kawy. Dopiero teraz uświadomiłam sobie, że Reavley od samego początku zachowywał daleko posuniętą neutralność w tej sprawie. Rozgrywał Mary i tak samo manipulował mną. Poczułam się trochę dziwnie, kiedy zobaczyłam jego prawdziwe oblicze. Musiałam pozbyć się paranoi i przekonania, że komisarz nadal ma wątpliwości co do mojej roli w tej serii niezwykle zdarzeń.

Pomimo wielu świadczących przeciwko niej dowodów Mary twardo trzymała się kłamstwa, że nie miała pojęcia o zamiarze popełnienia oszustwa ubezpieczeniowego przez Toma. Zobaczyła brata w telewizji i przyjechała do Nottingham, żeby spróbować go odnaleźć, akurat tuż przed tym, jak na miejscu zjawiała się policja. Zaprzeczała, że rozmawialiśmy w biurze-kryjówce. Twierdziła, że zaatakowałam ją, jak tylko ją zobaczyłam.

Kreowała się na niewinną, kochającą siostrę, która przypadkiem natknęła się na niecny spisek Toma i jego nikczemnej żony. Z początku mój mąż mówił to samo, a ponieważ nie mogli się porozumiewać, ich wersje zdarzeń brzmiały jak coś, co ustalili dużo wcześniej. Policja nie dała się nabrać i dzień później dysponowała już dowodami na udział Mary w przekręcie. Uzyskała je od Toma.

Reavley odwiedził mnie, kiedy szykowałam się do wyjścia ze szpitala, i poinformował, że Tom – który leżał w sali na tym samym piętrze – pragnie zeznawać. Powie wszystko. Zgodzi się na nagranie.

Ale mogę być przy tym tylko ja.

Z początku nie byłam przekonana, czy chcę to zrobić, ale w końcu przystałam i już po pięciu minutach siedziałam przy łóżku Toma. Próbował przeproszać i starał się wciągnąć mnie w rozmowę, ale ja tylko pokazałam mu dyktafon i powiedziałam, żeby zaczął mówić. Zapytał, czy jest

jakakolwiek szansa, że kiedy opuści więzienie – pielęgniarzka wygooglowała wyroki za oszustwa ubezpieczeniowe i wyszło na to, że Tomowi grozi od sześciu do ośmiu lat – nadal będziemy małżeństwem, ale odparłam, że jeśli natychmiast nie zacznie zeznawać, pójdę sobie i już nigdy więcej mnie nie zobaczy.

Zeznanie Toma wprowadziło mnie w zdumienie.

– Twoja obrączka – brzmiały jego pierwsze słowa. – Mary ją ukradła. Zobaczyła ją na parapecie w łazience po tym, jak sprzątnęłaś moją krew. Wiedziała, że jej brak postawi cię w złym świetle, ale powód był inny. Chciała ją wysłać Richardowi z celi śmierci.

Dzień po aresztowaniu Mary policja przeprowadziła nalot na dom jej ojca i zebrała liczne fanty, w tym laptopa, który okazał się prawdziwą żyłą złota. Dzięki zeznaniu Toma intryga ułożyła się w sensowną całość. Reavley skonfrontował Mary ze zgromadzonymi materiałami. Stało się jasne, że relacje siostry Toma ze skazańcem wykraczały poza sferę tematu żartów.

Historia przeglądarki w laptopie Mary ujawniła liczne zapytania. Między innymi o ceny domów oraz mapy rozmaitych lokalizacji w hrabstwach Madison, Franklin i Greene w Pensylwanii. Wszystkie te miejsca znajdowały się w bliskości zakładu karnego Greene, więzienia o zaostrowym rygorze, w którym na wykonanie wyroku śmierci oczekiwało około stu sześćdziesięciu osadzonych, w tym Richard Chester. Mary szukała również informacji o biletach lotniczych, hotelach, restauracjach i innych rzeczach mogących sugerować, że planowała wyprawę do Stanów i odwiedziny u swojego korespondencyjnego przyjaciela. Albo coś więcej.

W szufladzie biurka policja odkryła kolejne ciekawe przedmioty, jak choćby pendrive oraz pisane odręcznie listy Richarda. Przysłał ich setki na przestrzeni kilku lat. Na pendrivie znajdowały się listy autorstwa Mary w plikach tekstowych. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że znaleziono również notatnik, w którym brakowało większości stron. Z odcisków długopisu wywnioskowano, że Mary układała listy na komputerze i dopiero potem przepisywała je „na czysto” na perfumowanym papierze w kwiatki.

Ale prawdziwą sensacją okazał się klucz kryptograficzny umieszczony na trzeciej stronie okładki notatnika.

Mary i Richard używali klucza do tego, aby móc się bez przeszkód i ryzyka interwencji cenzury porozumiewać w korespondencji. Richard pisał na przykład o tym, że wydał na heroinę całe „kieszonkowe”. Potem przez dłuższy czas nie wspominał o „kieszonkowym” – co miało uspić czujność strażników przeglądających pocztę – ale kiedy kolejny raz pojawiło się w liście, było jasne, że skazaniec prosi Mary o narkotyki.

Szlifowali ten swój kod przez lata z myślą o osobliwym planie mającym doprowadzić do zupełnie nieprawdopodobnego happy endu, w którym kochająca się para wzięłaby ślub, zamieszkała razem i żyła długo i szczęśliwie.

Richard Chester został skazany za dwa morderstwa z premedytacją, posiadanie narzędzia zbrodni – dużego noża – zмовę przestępczą oraz gwałt. Wyrok brzmiał: czterdzieści lat więzienia za gwałt i kara śmierci osobno za każde morderstwo.

Byłam wstrząśnięta. Nie szukałam informacji o „chłopaku” Mary, przyjmowałam na wiarę wszystko, co mówiła o jego przewinach. Teraz okazało się, że znacząco mijała się z prawdą.

Zgadzało się właściwie tylko to, że Richard włamał się do domu dilera, który okradł jego kobietę. Nie zabił go jednak w samoobronie. Odebrał mu życie we śnie, po czym poszedł do drugiego pokoju i zadźgał na śmierć kolejnego śpiącego mężczyznę, a następnie zgwałcił jego dziewczynę tuż obok zakrwawionych zwłok.

Po wszystkich próbował zakopać swoje trzy ofiary – w tym jedną nadal żywą! – w ogrodzie na tyłach domu. Został ujęty na gorącym uczynku, kiedy ciągnął zwłoki do dołu, ponieważ tak się pechowo dla niego złożyło, że akurat wtedy przyjechała policja z nakazem aresztowania dilera. Z listów między dwojgiem niedoszłych kochanków wynikało, że Richard nie próbował omotać Mary kłamstwami, nie zwodził jej. Mary doskonale wiedziała, z kim ma do czynienia oraz czego i w jaki sposób dopuścił się ten człowiek. Richard uważał, że po prostu „wziął sprawy w swoje ręce”, a Mary się z nim zgadzała. Pisała, że świat potrzebuje więcej takich „bohaterów” jak on.

Zdaniem Toma wszystko kręciło się wokół Richarda. Jego apelacje były regularnie odrzucane. Richard miał umrzeć w więzieniu. Rok temu pojawiła się plotka, że jeden ze świadków oskarżenia złożył fałszywe zeznania podczas procesu, co skłoniło Richarda do podjęcia kolejnej batalii o unieważnienie wyroku. Sęk w tym, że nie przysługiwał mu już adwokat

z urzędu i jeśli Richard zamierzał się bronić, potrzebował pieniędzy na prawnika.

Tom powiedział, że „Mary wylewała morze łez, rozpaczała... bardzo chciała mu pomóc, ale... hmm... skąd wziąć kilkaset tysięcy funtów?”.

– No cóż, od tego, którego można doić. Czyli ode mnie. Zaczęła podsukbywać pieniądze to tu, to tam i tak jak całe swoje oszczędności wydawać wszystko na rzeczy, które potem wysyłała temu durniowi w Stanach. Wysyłała mu to, co mógł sprzedać, na przykład twoją obrączkę, ale też podręczniki do prawa, kodeksy i różne takie. Wszystko, czego potrzebował. Szkoda, że nie wysłała mu granatu, żeby wsadził go sobie w dupę. Zaczęła mnie nawet namawiać na upłynnienie firmy, więc zbyłem ją bajeczką o umowie z Peterem. Powiedziałem, że chodziło mi o uniemożliwienie ci przejęcia pieniędzy. Wybacz, skarbie, ale tylko tak mogłem ją powstrzymać przed zmuszeniem mnie do sprzedania agencji, żeby mogła przesać forszę Richardowi.

Wiesz, do czego dążyła? Chciała się przenieść do Stanów i zamieszkać blisko niego. Podobno po to, żeby móc go odwiedzać. Ale według mnie ona jest po prostu bardzo samotna. Wraz z pogłębianiem się demencji tata coraz bardziej zamykał się w sobie, stawał się coraz chłodniejszy i coraz mniej... ludzki, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Mary potrzebowała kogoś, kto zająłby jego miejsce. A Richard był pod ręką. Wiem, że zwiódł ją tym gadaniem, że wkrótce wyjdzie na wolność. Jasne. Zabiłeś dwie osoby, jedną zgwałciłeś i próbowałeś zakopać całą trójkę? Nie ma sprawy, chłopaku, zmykaj. Czytałem jeden z jej listów do niego. Prosiła, żebym poszedł z nim na pocztę, więc go otworzyłem. Jesteś gotowa? Mieli się pobrać. Uwierzyłabyś? Mary obiecywała, że będzie mu wierna. Gość siedzi w Pensylwanii, regulamin nie przewiduje mokrych widzeń. Jeśli jakimś cudem uda mu się doprowadzić do unieważnienia wyroku, te wszystkie wnioski, odwołania, Bóg wie co, i tak zajmą wiele lat. Ale nie ma sprawy, Mary poczeka. Nie ma nic oprócz tego.

A jeśli do glin nadal nie dociera obsesja Mary, to zobaczysz, co powiedzą, kiedy zobaczą jej pokój u taty. Zamyka go na klucz, ale któregoś razu, kiedy wyszła, otworzyłem zamek wytrychem. I szybko pożałowałem. To wygląda jak sanktuarium poświęcone jakiemuś świętemu albo gwiazdorowi filmowemu, tyle że w tym przypadku obiektem kultu jest ten cholerny morderca. Nie wiem, ją chyba kręci, że do pewnego stopnia

panuje nad takim bydlakiem. Że jest jedyną osobą, której nigdy by nie skrzywdził. Co za bzdury.

Czy miała dla mnie miejsce w swoich planach? No jasne. Chciała, żebym z nią wyjechał. Wyobrażasz sobie? We dwoje mieliśmy zacząć nowe życie. Zakładała, że będę z nią mieszkał do czasu, aż Richard wyjdzie z więzienia. Czyli pewnie z tysiąc lat. Próbowwała mnie mamić i przekonywać, ale nie dałem się. Zwyczajnie zależało jej na tym, żeby mieć przy sobie kogoś znajomego, inaczej zostałaby całkiem sama w obcym kraju. Zostałbym jej sługusem.

Całe życie tak mnie traktowała, nawet kiedy miałem pracę, przyjaciół i nie musiałem się ukrywać. Wyobraź sobie, co by było tam. Nie mógłbym pracować, nie mógłbym prowadzić samochodu, nic bym nie mógł robić, bo przecież byłbym trupem. Od czasu do czasu wykonywałbym jej polecenia, ale głównie siedziałbym w zamknięciu jak ten bohater Człowieka w żelaznej masce. Pozbyłeś się pająka, Tom? Świetnie, to wracaj do piwnicy. Wierz mi, Lucy, wiem, jaki los mi pisała. I cieszę się, że szlag trafił jej plan. Naprawdę. Bo jak pomyślę, że miałbym mieszkać tak daleko od ciebie...

Tom wiedział mniej, niż mu się wydawało. Długofalowe plany Mary obejmowały zaskakujący zwrot akcji, którego nie mógł przewidzieć. W jednym z zaszyfrowanych listów Richard napisał, że nie podoba mu się pomysł sprowadzania Toma do Stanów. Uważał, że to ryzykowne. Bał się, że Tom popełni jakiś błąd i wszystko się wysypie. Wystarczyło najmniejsze wykroczenie, najdrobniejszy wypadek, cokolwiek, żeby policja zaczęła się nim interesować.

Szybko by się okazało, że jest nielegalnym imigrantem. Wtedy amerykańskie służby skontaktowałyby się z brytyjskimi na wypadek, gdyby Tom był zbiegiem ukrywającym się przed wymiarem sprawiedliwości. Wyszłoby na jaw, że zamiast celi na Toma czeka pusty grób i cały misterny plan Mary i Richarda wzięłby w łeb.

Richard zaproponował inne rozwiązanie, na które Mary ochoczo przystała. Ochoczo. Ciekawym szczegółem związanym z internetowymi poszukiwaniami hoteli, lotów, domów i tak dalej było to, że dotyczyły jednej osoby. Mary. To oczywiście nie oznaczało, że Tom nie zostanie uwzględniony w planie. Bynajmniej. Z postaci drugoplanowej awansował na głównego bohatera, choć raczej nie ucieszyłby się z tej nowej roli.

W jednym z listów Mary zapytała Richarda, czy zna kogoś, kto mógłby jej pomóc wytresować „pieska” (tak nazywała Toma), kiedy przyleci z nim do Ameryki.

Krótko mówiąc, Mary zamierzała zabić swojego brata. Byłam w szoku.

O tym wszystkim dowiedziałam się przed trzema dniami. Mary osadzono w areszcie śledczym w Peterborough. Narzekała, że wsadzono ją do celi za oszustwo, podczas gdy mnie wcześniej wypuszczono za poręczeniem pomimo ciężących na mnie znacznie poważniejszych zarzutów. Postąpiono tak, ponieważ istniała obawa, że Mary wyjedzie z kraju.

Czemu więc Reavley naciskał na kolejne spotkanie?

W liście do Mary, będącym nie zaszyfowaną wiadomością, lecz zwykłym bredzeniem, Richard pisał o możliwości przeniesienia do zakładu karnego w Wielkiej Brytanii, co w rzeczywistości było niewykonalne. Wspomniał o rozmowie telefonicznej, w której ustalali szczegóły, ale zespołowi Reavleya nie udało się dotrzeć do żadnych nagrań, o ile w ogóle istniały. W każdym razie policja nabrała podejrzeń i już wiedziała, czego szukać. Dezorientujące, rozproszone w niedawnych listach informacje zaczęły układać się w spójną całość.

Reavley wykonał telefon do Greene w Pensylwanii i naczelnik tamtejszego więzienia potwierdził, że Richard rozmawiał z osadzonymi mającymi jakąkolwiek wiedzę na temat Wielkiej Brytanii. W historii wyszukiwarki na komputerze Mary przewijały się nazwy czterech zakładów karnych dla kobiet w okolicy Sheffield. Mary i Richard wspominali o załatwieniu pewnej „sprawy” po „procesie”.

Nie Richarda. Moim procesie.

Mary planowała zaaranżować moją śmierć w więzieniu.

– Niewykluczone, że się mylimy – zaznaczył Reavley, kiedy ukryłam twarz w dłoniach. Powiedział, że wywnioskowali to na podstawie fragmentów korespondencji i... Zignorowałam próby pocieszenia mnie, bo wiedziałam, że to prawda.

Przypomniało mi się starcie z Mary na światłach przed paroma dniami. W odpowiedzi na mój docinek o Richardzie Mary rzuciła: „Kiedy trafisz za kratki, da znać, komu trzeba, i wykończą cię” i zrobiła minę, jakby była zdziwiona własnymi słowami. Myślałam wtedy, że poczuła, że przesadziła, ale teraz stało się dla mnie jasne: było zupełnie inaczej – Mary bała się, że któryś ze świadków zapamięta tę mimowolną groźbę i w rezultacie obróci się ona przeciwko niej.

Wstałam i zerknęłam na zegarek. Reavley też się podniósł.

– Ciekawi mnie, dlaczego wybrała pani akurat to miejsce. Stąd jest blisko do lotniska. Wybiera się pani dokądś?

Nie miałam ochoty na długie wyjaśnienia, ale czułam, że jestem mu coś winna. Zdecydowałam się na zagadkową odpowiedź, która wywołała uśmiech na mojej twarzy.

– Wygrałam torebkę żelków. Lecę odebrać nagrodę.

– Nieźle – skwitował. – Rozumiem.

Zastanawiałam się, czy podejrzewał, że powód, dla którego wyjeżdżałam z kraju, nie miał nic wspólnego z potrzebą odpoczynku. Nie byłam już zabójczynią. Wprawdzie rozważano postawienie mi zarzutu utrudniania śledztwa, ale ostatecznie zrezygnowano z tego. Byłam czysta... jeśli nie liczyć mojej duszy. Bo przecież uwierzyłam, że zabiłam Toma, i próbowałam ukryć ten fakt pod stosem kłamstw, nie przejmując się choćby bólem jego rodziny i przyjaciół. Jakiś dziennikarzyna nazwał mnie „cyborgiem o lodowatym sercu z kamienia”. Wybite szyby w domu i ściany pomazane graffiti świadczyły o tym, że nie jest osamotniony w swojej opinii. Dwa tygodnie poza Wielką Brytanią nie pomogą oczyścić mojego imienia, ale mam nadzieję, że zanim wrócę, kraj znajdzie sobie nowy temat.

Czy potraktowano mnie nie fair? Gdybym tak nie uważała, jakakolwiek autoanaliza byłaby znacząco utrudniona. Nigdy nie wiadomo, do czego jest się zdolnym, dopóki nie zacznie się tego robić.

Reavley wyglądał, jakby chciał coś dodać, i raczej nie chodziło mu o sprecyzowanie odpowiedzi, której udzieliłam na pytanie o plany. Przyzwyczaiałam się do tej jego miny.

– Lucy, mówię to pani tylko dlatego, że... Nie nazwałbym tego dobrą wiadomością, ale może dzięki temu poczuje się pani choć trochę lepiej. W jednym ze swoich listów Mary wspomina o pani polisie na życie. I pisze, że jej „piesek” wzgardził „wyżerką”. Naszym zdaniem to mogło oznaczać, że...

– Że w początkowej wersji planu Tom miał mnie zabić i odebrać pieniądze z ubezpieczenia – wchodzi mu w słowo. – Ale odmówił. Być może wtedy mu jeszcze na mnie zależało. To nie jest ani dobra, ani zła wiadomość. Może zrezygnował z własnego życia, by ocalić moje. Może bał się więzienia. Jedno jest dobre, drugie złe. To dla mnie nieistotne. Stoję pośrodku. Nie rusza mnie to.

Odprowadził mnie do wyjścia. Kiedy przyszło do pożegnania, poczułam, że muszę coś powiedzieć.

– Co za bajzel – jedynie tak zdołałam podsumować wszystko to, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni.

– Wystarczyło tylko trochę cierpliwości i wytrwałości – odrzekł Reavley, nawiązując do plątaniny kabli w biurze Toma. To był rzadki moment rozluźnienia. Bałam się, że kolejny prędko nie nastąpi. Musiałam zachować cierpliwość. I odnaleźć wytrwałość. Liczyłam, że Hawaje pomogą mi coś w sobie zmienić.

Odruchowo przyglądałam prawą brew z wygolonymi ukośnymi paskami.

– Podobno to teraz modne – zauważył Reavley.

– W moim przypadku było inaczej. W złości powiedziałam Tomowi, że sama to sobie zrobiłam, i zabroniłam mu komukolwiek o tym mówić. Dotrzymał słowa. Szanował mnie za to, że wtajemniczyłam go w swój mroczny sekret. Ale okłamałam go. W Niemczech...

Urwałam, bo coś ścisnęło mnie za gardło. Reavley wyczuł, że zamierzam poruszyć trudny temat, i zaznaczył, że nie muszę niczego wyjaśniać. Nie musiałam, ale zależało mi na tym.

– Były mąż chciał mnie zabić. Przez to podjęłam próbę samobójczą i trafiłam do szpitala psychiatrycznego. Wie pan, o co poszło? Że pieczone ziemniaki są za mało kruche. Powiedziałam, że zapomniałam mieć je na oku. Odparł, że może to załatwić, i dźgnął mnie widelcem z nabitym na niego ziemniakiem. Jest pan drugą osobą, której o tym mówię. To chyba znaczy, że panu ufam, komisarzu.

Nachylił się. Pozwoliłam mu. Wyciągnął rękę i dotknął jednej z czterech prawie niewidocznych blizn.

Potem podał mi dłoń.

– Mam nadzieję, że w przyszłości czeka panią jeszcze wiele dobrego. Dużo pani wycierpiała, ale zaczyna pani nowy rozdział. Wszystko...

Szukał właściwego słowa. Wiedziałam, co by tu idealnie pasowało.

– Zmieni się, Aaronie. Wszystko się zmieni.

Podziękowania

Największe podziękowania należą się Tobie, czytelniku, który – aby móc przeczytać moją powieść – rozstałeś się z ciężko zarobionymi / znalezionymi / podrobionymi / ukradzionymi pieniędzmi. Wymyśliłam opisaną tu historię i przelałam ją na papier, ale zanim dotarła do Ciebie

w takiej postaci, w jakiej ją teraz widzisz, musiał się nad nią pochylić znakomity zespół Bloodhound Books, a zwłaszcza Betsy Reavley, Fred Freeman, Ian Skewis, Tara Lyons i Heather Fitt. Jedynym sposobem na to, by czytelnik wrócił po dokładkę, jest uraczenie go apetyczną opowieścią², co – mam nadzieję – udało nam się zrobić.

Chciałabym również podziękować pierwszym czytelniczkom za poświęcony czas: Amandzie J. Finlayson, Lyndzie Checkley, Sally-Jo Wicket i Deanne Grocock.

[1] Chodzi o różnicę pomiędzy angielskimi określeniami barrister i solicitor. Pierwszy to adwokat mający uprawnienia do reprezentowania klientów w sądach wszystkich instancji; drugi pracuje w kancelarii i zajmuje się sprawami, zanim trafią one do sądu, oraz ewentualnie reprezentuje klientów w sądach niższej instancji (przyp. tłum.).

[2] Są też inne metody. Wchodzi kobieta do biblioteki i pyta: „Macie jakieś książki na temat paranoi?”. Na to bibliotekarz... [puenta wkrótce].

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

CZEŚĆ I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

CZEŚĆ II

24

25

26

27

CZEŚĆ III

28

29

30